Conn[illegible] KU ŚWIATŁU

Marjorie Bra[illegible]
[illegible]kto[illegible] za[illegible]sz[illegible]zachęcała mnie do [illegible]go,
[illegible] d[illegible] z [illegible]iebie jes[illegible]cze w[illegible]cej

Karol

Londyn, 12 marca [illegible]1[illegible]

Gospodyni, powłócząc nogami, [illegible]pr[illegible]owadziła [illegible]p[illegible]ko[illegible]nika Henry[illegible]ego [illegible]cka Sewa[illegible]a do długiego[illegible]wąskiego poko[illegible]ju[illegible]skie[illegible]wa si[illegible]pro[illegible]to do osłonie[illegible]tego k[illegible]27[illegible](n[illegible].96[illegible]/R[illegible]

taką karę i przerażała ich niesprawiedliwość wyroku. Niektórzy liczyli na akt łaski ze strony króla.

Istotnie, któż bardziej zasługiwał na łaskę niż Cashman? - z ironią zadał sobie to pytanie Jack. Największą jego zbrodnią było to, że usiłował odebrać w Admiralicji swój zaległy żołd. W tłumie były setki takich jak on... Mężczyzn, którzy walczyli za kraj tylko po to, by po powrocie do domu odkryć, że nie mają ani pracy, ani renty, ani żadnej przyszłości.

Spojrzenie Jacka wciąż było spokojne, ale gdy ściągał czarną skórzaną rękawiczkę, jego dłoń lekko zadrżała. Usiadł wyprostowany niczym papista w czasie mszy. To prawda, Cashman włamał się do sklepu rusznikarza w czasie zamieszek na Spa Fields, ale to, że się tam znalazł, sprawiły wódka i rozgoryczenie, a nie zamiar popełnienia zdrady stanu.

Z premedytacją? Jack wiedział, że John Cashman był trzykrotnie poważnie ranny w głowę w czasie walk. Większość uważała, że nawet swoimi własnymi sprawami nie jest w stanie właściwie się zająć...

Nic dziwnego, że jego los przerażał tłum. Do diabła, nawet rozwścieczał.

- Zawsze walczyłem za mojego króla i ojczyznę, a oto na jaki koniec mi przyszło! - krzyknął Cashman, schodząc z wozu i patrząc śmiało na wznoszący się przed nim pomost. Odpowiedział mu ryk tysięcy gardeł.

Tłum gromadził się tu od piątej rano, a teraz rozpościerał się, jak okiem sięgnąć, szczelnie wypełniając ulice i alejki. Niczym pszczoły w przepełnionym ulu ludzie oblepiali okna, tłoczyli się na balkonach, okupowali dachy...

Cashman bez wahania zaczął wstępować na stopnie szubienicy. Jego odwaga wzniecała gniew tłumu. Gdy skazaniec stanął na podeście, pośpieszył ku niemu z pociechą duchowny. Cashman z płonącym wzrokiem strząsnął z ramienia jego dłoń.

- Nie chcę łaski od nikogo, tylko od Boga!

Kat poprowadził go naprzód. Kiedy chciał nałożyć skazańcowi kaptur na głowę, ten odtrącił go.

- Chcę widzieć do końca.

Kat i duchowny zeszli z pomostu i stanęli po obu stronach zapadni znajdującej się pod stopami Cashmana.

- Nie mogłem odzyskać tego, co mi się należy, i to mnie przywiodło do tego miejsca! - krzyknął Cashman. - Nigdy nie podniosłem ręki przeciw królowi i ojczyźnie, tylko za nich walczyłem!

Nie przestawał krzyczeć, lecz słowa uwięzły mu w krtani, w jednej chwili ściśniętej pętlą. Jack bezwiednie chwycił się ręką za gardło. Z zaciśniętymi zębami, przepełniony bólem i gniewem, zmusił się, by patrzeć na miotające się na linie ciało. Związanymi kończynami wstrząsał szaleńczy spazm.

Tłum zamarł, w grobowej ciszy odcięto ciało ze sznura. Cisza trwała, gdy

duchowny okrywał wreszcie kapturem wykrzywioną twarz, gdy dźwignięto ciało i przenoszono je do prostej trumny z desek oraz gdy umieszczano trumnę na wozie. Trwała jeszcze, gdy wóz ruszał.

Jack wstał i zaczął na powrót wciągać swoje czarne skórzane rękawiczki. Przenikał go chłód, zupełnie jakby uderzał w niego wściekły wicher, choć za oknem najlżejszy powiew nie poruszał przypominającymi szkielety gałęziami drzew. Sprawdził zapięcie mankietów i włożył płaszcz. Twarz miał skupioną, ruchy przemyślane i oszczędne.

W oniemiałym tłumie zabrzmiał pojedynczy okrzyk. Rósł w siłę, w miarę jak dołączały do niego kolejne głosy, nabierał impetu, potężniał, aż wreszcie zmienił się w jeden straszliwy ryk:

- Mordercy! Mordercy!

Pułkownik Seward przerwał naciąganie rękawiczek i wyjrzał. Wóz znikał właśnie z pola widzenia.

- Istotnie - mruknął. - Istotnie.

1

Londyn, grudzień 1817

***N**igdy nie zakładaj, że jesteś bezpieczny. Zawsze miej się na baczności.* Ojciec złodzieja, włamywacz, jakiego Londyn nie znał ani wcześniej ani później, w nieskończoność wbijał mu do głowy tę najważniejszą prawdę.

Wytężając słuch, by poprzez szelest otaczających łóżko draperii, którymi poruszał nocny powiew, wyłapać każdy dźwięk, złodziej, znany jako Duch Wrexhall, wziął do ręki stojący na gzymsie kominka zegar z tombaku. Za ciężki. Delikatna figurynka z porcelany wyglądała kusząco, ale była zbyt krucha, by przetrwać skoki po dachach, jakich wymagało to zajęcie.

Kolejna maksyma starego odezwała się w podświadomości złodzieja: pięć minut na wejście, pięć na wyjście. Za długo już tu był.

Długimi, wrażliwymi palcami muskał złocone ramy wiszących na ścianie obrazów w poszukiwaniu ukrytych tam schowków. Nic. Z lekkim zniecierpliwieniem Duch ruszył w głąb apartamentu markizy Cotton. Jej legendarna kolekcja kosztowności gdzieś tu przecież musiała być, do diabła...

Znalazłszy się przy odległej ścianie, złodziej odsunął od siebie nieprzyjemną myśl, że okno jest dość daleko, i nachylił się nad ozdobną toaletką. Pozytywka. Ładna, ale to drobiazg. Wyłożona macicą perłową tabakierka. Ech... Nic z tego nie jest warte przyobiecanych pięciu tysięcy funtów. Tylko jakiś klejnot zdołałby pokryć tę sumę.

Złodziej poruszał się teraz szybciej. Przesuwał dłońmi po meblach, dotykał luster, otwierał szuflady, aż w końcu... Jest. Niewinna, zwracająca uwagę wyłącznie swoim względnie prostackim wyglądem na tle wykwintnych drobiazgów, solidna,

wyłożona marmurem umywalnia.

Białe zęby błysnęły pod przepaską z czarnego jedwabiu, maskującą twarz Ducha. No tak, to oczywiste. Jedna z elementarnych ojcowskich mądrości: schowane tam, gdzie najlepiej widać.

Ukląkł na jedno kolano i zaczął macać pod umywalnią. Wkrótce natrafił na niewielką metalową sztabkę. Pociągnął. Spod marmurowego blatu wysunęła się szuflada. Złodziej uśmiechnął się jeszcze szerzej. Teraz tylko sięgnąć ręką do sekretnego schowka i...

Schowek był pusty.

- Obawiam się, że nic z tego - rozległ się spokojny głos.

Duch zerwał się, odwrócił i potoczył oszalałym wzrokiem w poszukiwaniu autora tych słów.

Siedział tam, gdzie ciemność była najlżejsza - pośrodku pokoju, nienagannie wyprostowany. Ciemnobrązowy płaszcz zlewał się ze złotawym obiciem sofy.

Schowany tam, gdzie najlepiej widać.

Żaden modny zapach nie zasygnalizował jego obecności. Żadne drżenie nie przebiegło powietrzem, telegrafując wiadomość: on tu jest. Pułkownik John Henry Seward. Tajny agent.

Wszystkie mięśnie w ciele złodzieja napięły się, szykując do lotu. Seward wstał powoli, blokując swoją szczupłą sylwetką dostęp do okna. Złodziej był szybki, ale nie aż tak. W podziemnym świecie Londynu uważano Sewarda za najgodniejszego przeciwnika. Mimo wszystko może nie być innego wyjścia, a skoro tak...

- Nie robiłbym tego, synu. - W głosie Sewarda była sama łagodność, choć brzmiał odrobinę szorstko, tak jakby w gardle miał ranę.

- A co niby mam robić? - odparł złodziej. - Stać tu grzecznie i czekać, aż włoży mi pan pętlę na szyję? Niedoczekanie, psiakrew. - Jedynie lekkie drżenie głosu zdradzało, iż buta złodzieja odrobinę zmalała.

- Należało pomyśleć o tym wcześniej, zanim zabrałeś się za ten proceder. Poddaj się, chłopcze. - Co za absurd... W głosie Sewarda pojawił się ślad współczucia.

Współczucie? Niczego podobnego nie można było się spodziewać ze strony Jacka Sewarda. To rzekome współczucie było w rzeczywistości przejawem myślenia życzeniowego, któremu lepiej nie ulegać w obecnej sytuacji. Jack Seward nie wiedział, co to współczucie... Trzeba zachować przytomność umysłu, tak by wykorzystać każdą okazję do ucieczki.

- Nie masz dokąd uciekać - powiedział Jack, jak gdyby czytając w myślach złodzieja. - W hallu są moi ludzie, a ja - rozłożył ręce gestem usprawiedliwienia, unosząc ramiona - no cóż, jestem tutaj.

- No tak - mruknął Duch.

Nagle Seward poderwał głowę. Mimo panujących ciemności można było dostrzec, że intensywnie nasłuchuje.

Psiakrew... Jedynym atutem złodzieja było zaskoczenie, ale niewielką miał szansę, by zagrać tą kartą. Jack Seward sprawiał wrażenie, jakby przestał się czemukolwiek dziwić już dawno, dawno temu. A jednak nie było innego wyjścia. Gdyby go zdemaskowano... Cóż, pozostałoby mu wtedy jedno: stryczek.

- W porządku, kapitanie. - Złodziej zwrócił się do Sewarda, wymieniając jego poprzednią rangę, z trudem udawał brawurę. - Jestem pokonany. Zastanawiam się tylko, czemu nie woła pan swoich ludzi?

- Doskonale, chłopcze. Cóż za przenikliwość - rzekł z aprobatą Seward. - Ale nie tak szybko, jeśli łaska. Najpierw chciałbym cię sprawdzić. Ręce, ramiona i całe ciało. Ktoś, kto tak sprawnie otwiera zamki, musi być równie dobry w posługiwaniu się ostrymi narzędziami.

- Racja, kolego. Ale ja nie mam noża. Mokra robota to nie jest zajęcie dla dżentelmena, a ja - w miarę moich skromnych możliwości, rzecz jasna - jestem dżentelmenem.

A teraz podsunąć się odrobinę bliżej.

Z tej odległości można już było dostrzec w mroku twarz Sewarda. Przecięte blizną czoło, wąskie, ruchliwe, inteligentne usta, spokojne, uważne szare oczy.

- Co za interes chce pan ubić? Chce pan część łupu? Jakiś drobiazg, żeby móc przymknąć oko?

- Nie - rzekł Seward. - Chcę czegoś, co ukradłeś już wcześniej.

- O!

Cóż to takiego? - myślał rozpaczliwie złodziej. Ocenił dzielący go od okna dystans, wciąż niepostrzeżenie przysuwając się do Sewarda.

Co mogło być aż tak ważne, że właśnie jego posłano, by to wytropił? Nie ukradł dotąd nic bezcennego. Nigdy się nie zdarzyło, by jego łupem padła rodzinna scheda, tak by komukolwiek się opłacało wszczynać śledztwo... Nie, doprawdy, nic nie usprawiedliwiało włączenia do akcji głównego agenta Ministerstwa Wojny.

- Powiedziałem ci, żebyś się nie ruszał. - Uprzejmy ton Sewarda zawierał teraz subtelną pogróżkę.

Złodziej zadrżał. Muśnięcie niezdrowej rozkoszy przerodziło się w nagłą, lekkomyślną decyzję. Ostatnio coraz częściej podobny poryw brawury okazywał się nie do odparcia, a pragnienie, by poddać się impulsowi - nie do stłumienia. Jak teraz.

- W porządku, kapitanie. - Stali od siebie w odległości wyciągniętego ramienia. Drugiej takiej możliwości, żeby zaskoczyć Sewarda, nie będzie. - Ale mówię panu, że nie mam żadnego szpikulca. No i nie chcemy tu pańskich chłopców; uniemożliwiliby nam ubicie interesu, no nie? Ale jak mi pan nie wierzy, to dalej, niech mnie pan poklepie. No, szybciej, proszę zrobić swoje, żebyśmy mogli w końcu zacząć pertraktacje.

Oczy Sewarda zwęziły się i w tej samej chwili sparaliżowana ręka wystrzeliła

naprzód, chwytając złodzieja za przegub. Zaskakująca siła była w tych zgiętych palcach... Duch rzucił się w tył, usiłując wyszarpnąć się z nieubłaganego chwytu, dopóki nie stało się jasne, że jedynie Seward może być zwycięzcą w tej walce.

- Zrobię, a jakże - mruknął Seward. Przyciągnął do siebie czarno odzianą postać i, unieruchomiwszy oba nadgarstki, przycisnął złodzieja do swej twardej piersi. Szybko i sprawnie przesunął zdrową ręką po jego ciele. Barki, ramiona, boki, biodra, uda, łydki... I z powrotem. Prześlizgnął ręką po klatce piersiowej złodzieja.

Znieruchomiał. Blade oczy błysnęły. Chwycił złodzieja za pas i szybkim ruchem pchnął lekkie ciało do przodu. Dłoń sięgnęła w dół, między nogi, gestem zarówno intymnym, jak i zdecydowanie nieosobistym.

- O Boże. - Dłoń opadła jak oparzona, lecz druga nadal ściskała pas złodzieja żelaznym chwytem. - Jesteś kobietą.

Udało się. Wytrąciła go z równowagi. Teraz musiała wyciągnąć z tego korzyść... Wzięła głęboki, uspokajający oddech.

- Pańską kobietą, kapitanie, jeśli wola. - Starała się nadać swojej plebejskiej wymowie z East Endu odcień prowokacji. Byleby tylko udało się powstrzymać drżenie głosu...

Postąpiła krok bliżej i zakołysała biodrami, wspierając się o niego całym ciałem. Sztywna sylwetka pozostała niewzruszona.

- Możemy zawrzeć układ, kapitanie. Spodoba się panu, słowo daję.

- Układ - powtórzył jak echo Seward i pochylił głowę, by przyjrzeć się dokładniej jej twarzy. Policzki miał szczupłe, usta ujęte w klamrę twardych, wyżłobionych doś

Ciepłe, twarde. Przez trzy uderzenia serca nie reagował. I nagle coś wewnątrz niego, coś, czemu zaprzeczał tak długo, że prawie już zapomniał o jego istnieniu, w jednej chwili znalazło ujście. Namiętność wylała się na nią żrąca niczym kwas, paląca jak ogień. Instynktownie przyciągnął ją jeszcze bliżej, trzymając nadal za pas.

Jego usta zmiękły. Wolną dłonią powiódł po jej plecach i ujął głowę. Nachylił się nad nią, zmuszając, by odchyliła się do tyłu. Chwyciła go za ramiona, by nie upaść.

To za wiele... Nie wyobrażała sobie tego. Nie chciała. Nieudolne ciało. Zdradzieckie usta.

Był samcem, jak każdy inny samiec, któremu podsuwa się to, czego pragną wszystkie samce. A jednak...

A jednak, o Boże, było w tym znacznie, znacznie więcej.

Sposób, w jaki trzymał głowę, czekając na pocałunek, zdradzał głód, ogromny głód. W jego żądzy czuła wyposzczenie, a w rozkoszy, jakiej doznawał - niech Bóg jej wybaczy, że mu ją dawała - była beznadziejność.

Co gorsza, w jego pragnieniu rozpoznała własne. Usta błądziły po jej twarzy, oddech mieszał się z jej oddechem, a ona chłonęła jego esencję. Dziesiątki wrażeń przebiegały przez głowę: jego pięść zaciśnięta na jej pasie, trzymająca ją jak brankę; lekki aromat mydła przebijający przez wilgotną woń mgły, napływający przez otwarte okno; żar jego warg; śliskość zębów, gdy dotknęła ich koniuszkiem języka...

Chciała zatracić się w tej uwodzicielskiej pogróżce, dotknąć najciemniejszej strony jego pragnienia. Otworzyła szerzej usta, bezsilna wobec pragnienia, jakie wzbudzało dotknięcie jego języka. Nogi zadrżały, osłabłe. Poddała się jego mocy, przywarła do niego, gotowa ulec, pozwolić, by wziął jej ciało, by wziął jej życie...

Oderwał usta, wciąż trzymając ją za głowę kaleką ręką.

- Do krocset... Mam cię wziąć tu, na biurku, zatracić się w rozkoszy, a potem puścić wolno? Czy na tym polega ten interes?

Zaledwie była w stanie myśleć.

- Tak.

- To już lepiej wezmę cię w łóżku. Bez maski. Myślisz, że hrabina Cotton miałaby coś przeciwko temu? - W jego głosie brzmiała gorzka ironia.

Potrząsnęła głową.

- Wybaczy pan, kapitanie. Tu i teraz. Taki jest układ.

Poruszyła się, usiłując uwolnić się z jego chwytu. Puścił ją. Wspięła się na palce, nachyliła i obwiodła leciutko ustami twardą linię jego szczęki. Ciepło jego skóry... Szorstkość zarostu pod wargami...

- Kto wie, czy nie warto - powiedział zdyszanym głosem. - Kto wie...

Usta miał rozchylone, pierś wznosiła się i opadała w głębokim, bezszelestnym oddechu. Wpatrywał się w nią. Twardość, gniew i zarazem błaganie było w tych

bladych, utkwionych w niej tęczówkach. Stała nieporuszona, na uwięzi jego wzroku, w zalanym księżycowym światłem pokoju.

- W porządku - szepnął i była w tych słowach obietnica niewyobrażalnej rozkoszy. W jego uścisku mogłaby ostatecznie zatracić resztki samej siebie. Zapomnieć...

Już opadała z powrotem w te objęcia, z których, wiedziała, już się nie uwolni - gdy wtem zamarła. Nie. Weźmie ją, wykorzysta, a potem wypełni swój obowiązek. On nie ma serca. Nie ma duszy. Powinna znać ten typ: był jej pokrewny.

Chwyciła go za rękawy, pociągnęła w dół i kopnęła w krocze. Stracił dech. Zgiął się we dwoje i opadł na kolana. Padając, wyciągnął ramiona, usiłując ją pochwycić. Przeskoczyła je i rzuciła się ku oknu. Dobiegło ją przekleństwo, gdy była już na parapecie. Odbiła się i skoczyła na przeciwległy dach.

W pośpiechu źle wymierzyła odległość i wylądowała na samym skraju, śliskim i omszonym. Potknęła się i upadła. Rozpaczliwie ryła paznokciami wilgotne, popękane dachówki, usiłując chwycić się czegoś, by nie runąć na ziemię.

Ostatnim wysiłkiem zdołała zacisnąć dłonie na biegnącej pod okapem rynnie i poleciała w dół, omal nie wyrywając sobie ramion ze stawów. Wisiała całym ciężarem jakieś pięć metrów nad chodnikiem. Gdyby spadła, nie zabiłaby się, ale prawdopodobnie złamałaby sobie coś i zostałaby pojmana. A potem stracona.

- Trzymaj się!

Kątem oka dostrzegła Sewarda wychylonego całym ciałem z okna po przeciwnej stronie ulicy. Wyciągał ku niej ramiona, ale był za daleko, by jej pomóc - lub przeszkodzić. Twarz miał napiętą, nieprzeniknioną, tylko oczy były żywe, pełne obietnic, którym nie potrafiła nadać imienia.

Przerażenie dodało jej sił. Sieknąwszy z wysiłku, zdołała zaczepić się nogą o krawędź dachu i podciągnęła się z powrotem na wierzch. Chwilę trwało, zanim zdołała ponownie znaleźć się w pozycji stojącej. Dysząc, patrzyła na Sewarda znaj dującego się na przeciwległym, oddalonym o niemal trzy metry brzegu przepaści.

I on wpatrywał się w nią w milczeniu. Potem drwiącym gestem uniósł powoli dwa palce do przeciętego blizną czoła i zasalutował jej. Nawet z tej odległości mogła dostrzec błysk ironii w jego szarych oczach, zupełnie jakby teraz odebrał lekcję, którą powinien był opanować dawno temu, i jakby cenił nauczkę, jaką mu dała.

- Do następnego razu. - Choć wypowiedział te słowa bardzo cicho, zdawała sobie sprawę, że to przyrzeczenie.

Do następnego razu? Dlaczego? Dlaczego miałby ją śledzić Ogar Whitehall? To chyba niemożliwe, aby posuwano się tak daleko, zamierzając chronić buble jakiegoś arystokraty, nawet jeśli byłyby nie wiadomo jak kosztowne...

Wpatrywała się w niego. Lęk powoli ustępował, wyparty przez uczucie triumfu. Zdradziło ją własne ciało. Nie tylko jej reakcja na pocałunek Sewarda była zdradą, ale i pragnienie, by mu ulec, ulec obietnicy namiętności tak płomiennej, że

wypaliłaby z jej umysłu wszystkie te przeklęte wspomnienia... A jednak zwyciężyła.

Po drugiej stronie przepaści Seward skłonił głowę w pełnym godności uznaniu własnej klęski. Nie mogła pozwolić, by ten gest minął niezauważony.

Z kuszącym uśmiechem chwyciła się obiema dłońmi za pas, doskonale parodiując pozę oficera i dżentelmena. I natychmiast skryła się za kominem. Teraz zniknie. Prowadziły stąd niezliczone sekretne ścieżki - na wyżynach niedostępnych dla policji, szpiegów Bow Street... i Jacka Sewarda.

Zanim nastanie ranek, Duch przestanie istnieć. Zamiast niego pojawi się Anne Wilder, szanowana, zamożna członkini londyńskiej socjety, niegdyś znana piękność, dziś pogrążona w smutku wdowa występująca w roli opiekunki wchodzących w świat młodych panien. Była poza jakimikolwiek podejrzeniami.

A jednak, choć wiedziała, że jest bezpieczna, wcale tak się nie czuła.

I - Boże, zmiłuj się - to uczucie było przyjemne.

2

Sir Robert Knowles przerzucał leżące na biurku papiery. Henry Jamison i dwaj inni obecni w pokoju mężczyźni czekali. Celowo jest nieprzyjemny, pomyślał Jamison. Ale kogo właściwie usiłuje sprowokować?

Patrząc na tę pospolitą z pozoru, dobrotliwą twarz, na różową niczym pupa niemowlęcia czaszkę i miękkie fałdy żłobiące krągłą twarz, Jamison zdawał sobie sprawę, że wygląd Knowlesa jest całkowitą antytezą jego charakteru: kanciastego, władczego i dumnego. W tych rzadkich chwilach, kiedy pozwalał sobie na introspekcję. To Jamisona bawiło, że tak odmienne aparycje mogą kryć tak podobne osobowości.

Od trzydziestu lat on i Knowles, każdy na własną rękę, dążyli do osiągnięcia jednakowo wpływowych i jednakowo mglistych pozycji w tajnych służbach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Stanowiska obu były bezimienne - stanowiska, które pozwalały im gromadzić informacje, pociągać za nitki, blokować jedne działania, a wspomagać inne, manipulować i przetwarzać informacje istotne dla sekretnych przedsięwzięć rządu.

Chociaż w chwili obecnej władza Knowlesa była większa, nie miało to trwać wiecznie. Nie mogło. Bo Jamison był przeznaczony do wielkości. Nie do wielkości w przybliżeniu. Do wielkości konkretnej.

Ostatnio jego polityczny wpływ trochę osłabł, a sama siła osobowości okazała się niewystarczająca, by wykonywano jego dyrektywy. Potrzebował wesprzeć się na innych, by jego sprawy szły naprzód, a władza pozostawała niezagrożona. Potrzebował Henry'ego Johna Sewarda - najbardziej skutecznego tajnego agenta, jaki pozostawał kiedykolwiek na usługach brytyjskiego rządu.

- Czy ustalił pan tożsamość złodzieja? - spytał Knowles, nie podnosząc oczu.

- Nie, sir - rzekł Seward. - Nie ustaliłem.

Jamison przycisnął do ust dłonie poznaczone wątrobowymi plamami. Z krzywym uśmieszkiem odnotował, że z założenia onieśmielające biurko Knowlesa nie zrobiło na pułkowniku Sewardzie żadnego wrażenia. Stał przed nim, wyprostowany jak struna.

- A czemuż to, do kroćset? - spytał młody lord Vedder. Fircyk grający o wiele ważniejszą rolę niż przypuszczał, przybył na to spotkanie w charakterze reprezentanta księcia regenta. Jamison tolerował go, gdyż, jak już dawno zaobserwował, fircykowie bywają przydatni.

- Ponieważ byłem zajęty innymi sprawami. - Jack obojętnie wpatrywał się w Knowlesa. - Człowiekiem zwanym Brandeth, sytuacją w Manchesterze, która wymagała mojej uwagi... A jeszcze ta wpadka z Cashmanem. - Gniew sprawił, że te ostatnie słowa zabrzmiały lodowato.

Knowles odwołał Sewarda od sabotowania intryg coraz liczniejszych rozwścieczonych politycznych opozycjonistów głównie po to, by zajął się ujęciem tego, jak mu tam, Ducha Wrexhalla. Jeśli jednak Jamison nie znosił, gdy Knowles komenderował Sewardem, którego Jamison uważał za swojego osobistego agenta, to Seward w ogóle nie cierpiał, by nim komenderowano. Jego słowa były jasnym przypomnieniem - tak jakby w ogóle jakieś przypomnienie było potrzebne - że uważa swoje obecne zajęcie za trywialne.

Brandeth, jak przewidywał Seward, zebrał trochę wojska u bram Derby. Sprawa Manchesteru wymagała o wiele bardziej przemyślanych działań. Zamierzano zaatakować banki i więzienia. Seward zdołał przedostać się na zgromadzenie przywódców ruchu i storpedował te plany, zanim zostały uchwalone.

Seward gwałtownie przeciwstawiał się Knowlesowi i Jamisonowi, którzy gromadzili dosyć wątpliwe dowody przeciwko Cashmanowi. Na tyle gwałtownie, że w końcu odmówił udziału w tej akcji.

Lord Vedder nic o tym nie wiedział. Jamison zastanawiał się, czy traktowałby on Sewarda równie niedbale, gdyby zdawał sobie sprawę, że ten ostatni był w stanie, gdyby tylko chciał, już ze trzy razy zaaranżować jego śmierć - przy niewielkim wysiłku i jeszcze mniejszej szansie, że obciążyłoby to jego konto. Vedder poprawił swoje absurdalne rękawiczki z jaszczurczej skóry, chrząknął władczo i rozpoczął nużącą tyradę na temat tego, co winien jest Seward swemu przyszłemu królowi.

Jamison śledził reakcję agenta słuchającego napuszonych wywodów Veddera. Tak jak oczekiwał, najwyraźniej nie było żadnej. Od niemal ćwierć wieku Jamison obserwował Jacka, patrzył, jak z chudego, żylastego wyrostka zmienia się w mężczyznę o muskułach ze stali, jak targające nim gwałtowne pasje zaczyna kryć pod maską chłodnej, niewzruszonej uprzejmości.

Nieskazitelne maniery plus kompletny brak skrupułów. Niepokojące połączenie... Seward stał w nienagannej postawie wojskowego, ale jego twarz wyrażała wyłącznie uprzejme zainteresowanie dla jadu sączącego się z ust lorda Veddera.

Interesująca postać z tego pułkownika Sewarda.

Jamison, od wielu lat zajmujący się manipulowaniem innymi ludźmi, nigdy nie miał do czynienia z tak tajemniczym mężczyzną. Niepokoiło go, że nie potrafi pojąć, dlaczego Seward - najskuteczniejszy agent, jakiego zaprzągł kiedykolwiek do swego jarzma - godzi się na bycie narzędziem w cudzych rękach.

Co by się stało, gdyby interesy Sewarda nie szły w parze z interesami tajnych służb Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Albo, co gorsza, z jego własnymi, Jamisona, interesami?

- To niepodobne do ciebie, Seward - mruknął, ucinając tyradę Veddera.

Pułkownik płynnym ruchem zwrócił ku niemu twarz. Od początku wiedział, że Jamison go obserwuje.

- Czyżby, sir?

Nienaganne obejście. Opanowanie. Chłodna krew. Etykieta, powiedział niegdyś Seward Jamisonowi, to jedyne, co się liczy. Ideologie powstają i giną, religie ulegają erozji, partie polityczne rosną w siłę, by za chwilę osłabnąć i utracić władzę. Jedynie grzeczność niezmiennie pozostaje jedną z niewielu rzeczy cenionych przez cały cywilizowany świat.

Seward wyraził nawet sugestię, że przyczyną tego, iż tak niewielu jego podkomendnych zginęło, jest fakt, że to najmniej rozrzutny sposób prowadzenia spraw, najmniej sprzeczny z wrażliwością, że w gruncie rzeczy i w tym wypadku idzie po prostu o dobre maniery. Doprawdy, taki człowiek mógł budzić niepokój.

- Taki brak kompetencji, to całkiem do ciebie niepodobne - warknął Jamison, zły na siebie za ten nietypowy lęk. - Jak proponujesz złapać tego złodzieja, skoro nie potrafiłeś go tu doprowadzić, pomimo że wpadł w twoją pułapkę?

Vedder trzepnął rękawiczką w dłoń, demonstrując swój gniew.

- Pewnie będzie chciał, żeby przydzielić mu więcej ludzi.

- Nie, sir. Bynajmniej.

Niech go licho... Pomimo wszelkich prób Jamisona, by wykorzenić resztki jego szkockiego akcentu, wciąż trzymał się tej wymowy.

- A zatem? - spytał lord Vedder.

- Chciałbym uzyskać *entreé* do kółka towarzyskiego księcia regenta.

- Co? - Lord Vedder otworzył usta ze zdumienia.

- Do licha, trudno nie podziwiać twojej zuchwałości - rzekł Jamison.

- Śledzę tego złodzieja od sześciu miesięcy, sir. Jeśli ustalę jego przyszłe ofiary, zdobędę szansę jego ujęcia. To dosyć łatwa dedukcja. Markiza Cotton znana jest z tego, że obnosi swoje perły po wszystkich przyjęciach. - Z każdym słowem mówił coraz bardziej ochryple. Odrobina szorstkości w głosie to była pamiątka po tym, jak na dwie minuty został powieszony przez napoleońskich „patriotów". Dziś ten efekt się pogłębił. - Ale jak pan powiedział, nie udało mi się zaaresztować złodzieja.

Jamison odnotował, że kostki palców u sparaliżowanej ręki Sewarda lśnią niczym marmur. Interesujące... A porażka w kwestii zaaresztowania złodzieja martwi go. Nie tylko interesujące, ale i użyteczne.

Każdą emocję Sewarda - jakąkolwiek - można było zaostrzyć, manipulować nią i użyć jako bata. A niewiele dałoby się znaleźć batów, którymi można było poganiać kogoś takiego jak Seward.

- Nie potrafię przewidzieć następnej ofiary, poza tym, że najprawdopodobniej będzie to, jak poprzednicy, osoba bliska Jego Królewskiej Wysokości - ciągnął Seward. - Jeśli mam ująć tego złodzieja, muszę być w stanie określić przyszłą ofiarę. Łatwiej będzie mi to zrobić, jeśli będę miał możność obserwować, kto spośród przyjaciół księcia zwraca na siebie uwagę, kto w oczach złodzieja może wyglądać na bezbronnego.

- Do wszystkich diabłów! - wybuchnął lord Vedder.

- Jak pan rozumie to swoje *entreé*? - po raz pierwszy włączył się do rozmowy Knowles.

- Obiektem przestępstw jest towarzystwo, które przybywa do Londynu na otwarcie parlamentu, a nie ścisłe grono najbliższych księciu osób - rzekł Seward.

- Potrzebuje pan więc uczęszczać jedynie na szersze zgromadzenia i przyjęcia? - spytał Knowles.

- Tak, sir.

- Sądzę...

- Nie mogę zaaprobować podobnego oszustwa w stosunku do przyjaciół Jego Królewskiej Wysokości! - uniósł się lord Vedder. - Ten człowiek to bastard!

Knowles spojrzał na niego z niesmakiem.

- Jeśli „przyjaciele" księcia będą okradani po każdym z jego przyjąć, to wkrótce może się okazać, że Jego Królewska Wysokość będzie zmuszony spożywać posiłki samotnie.

- Przebiera pan miarę, sir - oburzył się Vedder.

Knowles odgarnął do tyłu przerzedzone pasma siwych włosów.

- Życzenie Jego Królewskiej Mości, by jego przyjaciele przestali być obiektem działalności tego kryminalisty, zostało wyrażone dość jasno. Czy pragnie pan, bym mu powiedział, że torpeduje pan nasze wysiłki mające na celu doprowadzenie tego złodzieja przed oblicze wymiaru sprawiedliwości, ponieważ nie podobają się panu okoliczności przyjścia na świat pułkownika Sewarda?

Tłumiąc przekleństwo, lord Vedder z wściekłością porwał ze stołu trzcinową laskę i wypadł z pokoju.

Knowles westchnął lekko.

- Przykre to, że musimy go tolerować, ale konieczne. Służy nam jako parawan maskujący prawdziwy cel, dla którego należy znaleźć tego złodzieja. - Wskazał krzesło. - Może usiądzie pan, Jack?

- Nie, dziękuję, sir.
- A zatem... Czy słusznie przypuszczam, że nie tylko nie zaaresztował pan tego złodzieja, ale w dodatku nie udało się panu odzyskać listu?
- Tak jest, sir - odrzekł Seward.
- Psiakrew... Nie możemy sobie pozwolić na porażki - zauważył Knowles. - Niedobrze, Jack. Był pan z tym złodziejem w jednym pokoju, nieprawdaż? Co się stało? Pokonał pana?
- Tak - potwierdził Jack cicho, z naciskiem.

Uwaga Jamisona wzrosła.

- Czyżby tracił pan krzepę, Jack? - spytał Knowles z odcieniem troski w głosie. - Może powinienem wysłać z panem jakiegoś młodzieńca w charakterze pomocnika?
- Ze względu na dobro owego „młodzieńca" odradzałbym. - Choć słowa te zostały wypowiedziane spokojnie, a kąciki ust Sewarda uniosły się w pełnym skruchy uśmiechu, ostrzeżenie było jasne.

Duma? - pomyślał ze zdumieniem Jamison. Nie, to było mniej szlachetne uczucie... Jamison wychylił się do przodu, całą uwagę koncentrując na Sewardzie. Uważał się za mistrza w przenikaniu cudzych serc i przypisywał tę umiejętność temu, iż sam go nie miał, więc żadne sentymenty nie mąciły jego osądu. W Sewardzie była... władczość.

- Istotnie jest pan bastardem, Jack. - Knowles odprężył się, zadowolony z odpowiedzi Sewarda.
- Tak, sir. Lord Vedder bez wątpienia nieustannie będzie podkreślał ten fakt.
- Co pan o tym myśli, Jamison? - spytał Knowles. Mogli nie lubić się nawzajem, ale obaj żywili wzajemny szacunek dla swej bystrości. Po cichu mogliby wspólnie organizować niektóre najważniejsze posunięcia tajnych służb i uniknąć wielu katastrof.
- Myślę - rzekł Jamison - że należało to zrobić już parę tygodni temu.
- Mogłoby się okazać przydatne, gdybym wiedział o tym liście coś więcej - powiedział Seward.

Knowles zastanowił się przez moment.

- Cała ta sprawa jest bardzo niepokojąca, Jack - zaczął. - Przed chwilą otrzymałem list od lorda Atwooda. Pisze w nim, w jaki sposób wszedł w posiadanie tego niebezpiecznego dokumentu. Sporo czasu zabrało mu, zanim dokładnie ustalił, co należy z nim zrobić i kto ma stosowną władzę, by zająć się tak delikatną kwestią. Najwyraźniej kontaktował się już z obecnym tu Jamisonem - Knowles spojrzał na Jamisona, który przytaknął - ale chciał przypomnieć mi o ważności dokumentu, który znajduje się w jego posiadaniu.
- Tak - potwierdził Jamison. - Kontaktował się ze mną przed Knowlesem. Zbytecznie. Już wcześniej podjąłem działania, żeby dokument został dostarczony do naszych rąk.

Knowles posłał mu szybkie, baczne spojrzenie.

- Tak. Ale nie został. Miał być dostarczony przedwczoraj i skradziono go - wraz z wysadzaną szlachetnymi kamieniami szkatułką, w której Atwood, jak powiedział Jamisonowi, ten list przechowywał.

- I poinformował Jamisona o tej kradzieży? - spytał Seward.

- Nie Jamisona, tylko całe obecne na przyjęciu zgromadzenie. Wieczorem w dniu kradzieży złożył publiczne oświadczenie, że jest najświeższą ofiarą Ducha Wrexhalla.

- To dziwne, że tak otwarcie mówił o tym wszem i wobec.

- Nie takie znów dziwne - sprzeciwił się Jamison. - Mógł powiedzieć w ten sposób złodziejowi, że zna jego tożsamość i daje mu szansę zwrócenia skradzionej własności. To jeden z powodów, dla których sądzimy, że złodziej może należeć do socjety.

- Dlaczego nie spytaliście panowie Atwooda, kogo podejrzewa?

- Nie mieliśmy takiej możliwości - odparł Jamison. - Następnego ranka Atwood zginął w wypadku. Zderzenie powozów.

- W wypadku - powtórzył Seward.

- Właśnie - ze znużeniem skinął głową Knowles.

Jamison pomachał dłonią, jak gdyby chciał rozwiać mgłę, która groziła przesłonięciem prawdziwego celu.

- Jedyne pytania, które powinniśmy sobie stawiać, są następujące: kto mógł w ostatniej chwili przewidzieć kroki, jakie podjęliśmy, żeby odzyskać ten list? Kto wiedział, że Atwood miał być naszym kurierem? Kto był obecny na tym przyjęciu? Kto ma ten przeklęty list?

- Być może nikt, sir - rzekł Seward.

- Proszę to wyjaśnić - zażądał Knowles.

- Jeśli ten list istotnie jest tak ważny, jak pan mówi, do tej pory wyszłoby to na jaw. Mogliśmy o tym nie słyszeć po prostu dlatego, że pierwotna kradzież była rezultatem przypadku, a złodziejowi chodziło tylko o szkatułkę.

Całkiem wiarygodne wyjaśnienie, pomyślał Jamison.

- To prawda - powiedział powoli. - Gdyby ktoś wynajął tego złodzieja, żeby ukradł list, to do tej pory albo ujawniono by publicznie jego treść, albo zażądano by okupu.

- Nie mamy takiej pewności - rzekł Knowles. - A musimy ją mieć. Właśnie dlatego konieczne jest, żeby ujął pan tego złodzieja i ustalił, co zrobił z listem. Proszę pozwolić, że będę mówił zupełnie jasno, Jack. - Ojcowski wyraz twarzy Knowlesa, zmienił się w zimny i bezlitosny. - Nie obchodzi mnie, co pan zrobi ani jak pan to zrobi, ale ma pan znaleźć złodzieja i wyciągnąć z niego, co się stało z listem.

- A potem?

- A potem - rzekł Jamison - może pan działać stosownie do sytuacji.

- Mam zabić złodzieja?

Knowles wzruszył ramionami.

- No cóż... Nie wiem, co pan z nim zrobi. Co nie znaczy, że kogokolwiek obchodzi, ile ukradł broszek, diademów czy innych błyskotek. Ale ten list muszę mieć, Jack.

- Tak jest, sir. Będzie pan go miał.

*

Jack stał w oknie salonu miejskiego domu, który wynajmował, ze wzrokiem utkwionym w rozciągający się w dole londyński pejzaż. Gdzieś tam była ona. Drwiąca sobie z niego swym złodziejstwem. Odkrywająca w okrutny sposób jego słabość, o jaką nigdy się nie podejrzewał - namiętność.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się reagować w taki sposób. Owszem, uprawiał seks, a czasem nawet się nim cieszył. Zawsze jednak była to dla niego po prostu jeszcze jedna broń w jego arsenale, broń, której używał, by manipulować i panować nad innymi. Seks nigdy nad nim nie panował. Nigdy nie zaangażował się w spotkanie do tego stopnia, by przestać się kontrolować i zapomnieć o jego celu. Bo spotkanie zawsze miało jakiś cel. Do dzisiaj.

I żeby jeszcze szło o jakieś szczególne powaby! Drobne, okryte wełnianą tkaniną ciało, ciemne oczy, niewielkie, jędrne piersi, woń drogiego burgunda wciąż obecna w jej oddechu...

Wspomnienie owładnęło nim, poruszając każdy nerw. Długie miesiące poszukiwań wytworzyły w nim pewien respekt dla tego złodzieja, szacunek, jaki może mieć profesjonalista dla profesjonalisty. Niewielu byłoby w stanie umknąć jego niezmordowanej pogoni...

Doszło do tego, że zaczął wyczekiwać, jaki będzie następny ruch przeciwnika w grze, którą prowadzili. To było wyzwanie, podnieta - w życiu, które stopniowo oferowało coraz mniejszą rekompensatę za męczący akt oddychania.

Teraz jednak...

Teraz zaczęła się między nimi inna gra, inny, mniej szlachetny rodzaj stymulacji. Co za ironia, że to właśnie ona przebudziła jego seksualny apetyt, tak długo uśpiony! Wciąż ją czuł: nieznaczny ciężar piersi w dłoni, dotyk przesuwających się między palcami włosów, gorąco między udami...

Wśliznęła się pod jego ochronny pancerz. I do jego snów. Och, jakże czekał, żeby odnowić z nią znajomość...

Stojący za nim mężczyzna odchrząknął. Jack rozplótł trzymane za plecami dłonie i odwrócił się, rozdrażniony, że aż tak się zamyślił. Zdziwiło go nieco, że w pokoju zdążył już zapanować mrok.

- Masz jakieś wiadomości, Griffin? - zwrócił się do stojącego przed nim korpulentnego mężczyzny w średnim wieku.

- Tak jest, kapitanie.

Jack spotkał się z Peterem Griffinem pod paryską szubienicą chyba ze sto lat temu, kiedy wciąż jeszcze myślał - czy miał nadzieję - że śmierć może zrównoważyć długi, które miał na swoim koncie. Głupie, naiwne wyobrażenie, z którym rozstał się dawno temu... Niemniej jego gotowość, by poświęcić życie dla Griffina i czterech jego towarzyszy, zaowocowała lojalnością Petera, niezachwianą i gorącą, czego wielokrotnie dowiódł. Po wojnie został najbardziej zaufanym podwładnym Jacka.

- Masz coś dla mnie? - spytał Jack.

Griffin wyciągnął zabazgrany nieudolnie kawałek papieru i przeczytał:

- Pokojówka lady Houghton wymyka się na spotkania z lokajem. Znaczy, że to nie ona. Kobieta Frostów może być interesująca. Pokojówka lady Dibbs była konfidentką Caro Lamb. Mogłaby traktować całą rzecz jak jakiś cholerny dowcip.

- Coś jeszcze?

- Tak. Wdowa Wilder co wieczór kładzie się wcześnie spać, a jej młoda podopieczna, ta dziewucha Northa... to kokietka, kapitanie. Dziesiątki młodzieniaszków kręci się wokół tych miodowych usteczek.

- Tak, ale która z nich miałaby za każdym razem moż...

Pukanie do drzwi poprzedziło wejście młodego człowieka o zaniepokojonej twarzy. Przysunął się do Jacka i wymamrotał mu do ucha swoje nowiny. Jack skinął głową i młodzieniec wyszedł.

- Pionki - powiedział Griffin z sardonicznym uśmiechem.

- Słucham?

- Słowo daję, zdumiony jestem, ile oczu i uszu pracuje dla pana, kapitanie. Dzieci, staruszkowie, prostytutki, sklepikarze... Rozciągnął pan prawdziwą sieć, kapitanie. Niczym pionki diabła.

- Och, znowu te porównania z diabłem. Powtarzasz się do znudzenia, Griffin - zauważył Jack. Ona też uznałaby go za diabła; nie miał co do tego wątpliwości.

- Wielu ludzi by tak powiedziało, kapitanie. A ja bym nie zaprzeczył.

- Znów odzywają się twoi prezbiteriańscy przodkowie, Griffin... Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo będziesz się z ambony wyrzekał swojej przeszłości. A o wiele cenniejszy jesteś jako agent niż pastor.

- Dla kogo?

- Jak to... Dla mnie, oczywiście. Za późno, by pana zmieniać. - Ironia wywabiła z jego słów nutkę zarozumiałości. - A teraz powiedz mi, proszę, że byłeś dyskretny. Nikt nie zna przedmiotu ani przyczyny twoich poszukiwań?

- Nikt. - Na twarzy Griffina pojawił się wyraz natchnienia. - Do diabła, kapitanie... Nie powiedział pan swemu ojcu, kogo pan podejrzewa?

- Nie - rzekł Seward. Dziwne, że przypomnienie przypuszczalnej więzi łączącej go z Jamisonem wciąż jeszcze potrafiło ukłuć. - Nic nie mówiłem Jamisonowi.

- Ani Knowlesowi? - Griffin poderwał ze zdziwieniem głowę. - Nie powiedział im pan nawet tego, że ich złodziej jest kobietą?

- Nie.

- Zastanawiam się, dlaczego?

- Ponieważ - choć Seward nie wykonał najlżejszego ruchu, a modulacja jego głosu nie zmieniła się ani na jotę, Griffin odstąpił o krok - mogliby mi przeszkadzać. A to nie jest ich złodziej, Griff, tylko mój. Mój.

3

Jack przestąpił próg Carlton House. Nozdrza wypełniła woń przegrzanych ciał i przejrzałych owoców, a oczy - widok kłębiących się bezładnie, napierających zewsząd na siebie ludzi.

Upuścił płaszcz w skwapliwie wyciągnięte ramiona służącego i spytał o jego pana, księcia regenta. Wątpił, by zamierzał się on dziś pojawić. Sześć lat, jakie upłynęły, odkąd król Jerzy III oszalał, a książę zaczął sprawować obowiązki regenta, nie były dla niego latami szczęśliwymi. Lżony przez parlament, pogardzany przez poddanych, pogrążony w głębokim smutku po śmierci ukochanej córki Charlotty, książę regent coraz mniej czasu spędzał na przyjęciach.

I o to chodzi, pomyślał Jack. Nie można było ufać księciu, że utrzyma w tajemnicy szaradę, która nieoczekiwanie zbliżyła go ze źle urodzonym żołnierzem.

Upewniwszy się u pazia, że książę regent istotnie udał się na spoczynek, Jack zszedł po schodach. Z nieznanym dotąd uczuciem oczekiwania, co ujawniało się w jego niecierpliwych ruchach, zagłębił się w tłum.

Na początku protestował przeciw zleceniu, którym obarczył go Knowles. Jedyną odpowiedzią Knowlesa było to, że znalezienie tego złodzieja to najważniejsza funkcja ze wszystkich, jakie kiedykolwiek Jack mógłby pełnić. A ponieważ Jack już dawno temu zawarł pakt z diabłem, zgodził się bez dalszego oporu.

Teraz jednak złodziejka sprawiła, że sprawa zyskała dla niego wybitnie osobisty walor. Pobudziła nie tylko jego ciało, ale daleko więcej - imaginację. Po raz pierwszy w życiu Jack poznał, co to obsesja. Pragnął ją posiąść, ją całą: jej napiętą siłę, cudowną tyranię jej uległości, jej lęk i jej odwagę.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się wokół.

Mężczyźni, wszyscy przyodziani zgodnie z ostatnią modą, prześlizgiwali się w tłumie niczym czarne węże po polu barwnego kobiecego kwiecia. Szafran i kość słoniowa, jedwab i tafta omiatały marmurowe płyty posadzki, gdy damy przesuwały się obok niego w tańcu, blade motyle nocy bijące upudrowanymi skrzydełkami w blasku tysięcy świec.

Kolejno studiował ich twarze. Spędził dwa tygodnie na analizowaniu różnych list gości i znalazł cztery nazwiska, które pojawiały się na nich regularnie: Jeannette Frost, Cora Dibbs, Anne Wilder i Sophia North. Zorganizował już obserwację ich

domów, z góry zakładając, że złodziejka pracuje u którejś z tych dam. Parę dni temu jednak, na podobnym przyjęciu, zmuszony był zrewidować to założenie. Miał żywą świadomość, że jest obserwowany.

Czuł na sobie jej spojrzenie tak wyraziście, jakby to był fizyczny dotyk, i tak intymnie, jak intymne były ich pocałunki. Dzisiejszego wieczoru miał zamiar porozmawiać z każdą z tych czterech kobiet. Uśmiechnął się. Jeśli któraś z nich była złodziejką, powinna docenić ekscytację związaną z tym, że obława jest tuż tuż... Wtedy, w sypialni markizy, wyczuł jej uzależnienie od niebezpieczeństwa, rozpoznał je natychmiast. Było to nieoczekiwane - i fascynujące - uzupełnienie tego, co wiedział już na jej temat.

Coś innego niż doraźna korzyść popychało ją do tego procederu... To była pierwsza dostrzegalna skaza na skądinąd drobiazgowo opracowanej metodzie postępowania. Skaza, którą mógł wykorzystać.

Wszedł w tłum. Szybko wyszperał wśród twarzy znajomą. Odpowiednio znudzona, należała do młodej rozpustnicy - pani Wells, o ile pamiętał - odprowadzającej z parkietu Jeannette Frost. Jack zręcznie zaszedł im drogę.

- Czy wyświadczyłaby mi pani łaskę, pani Wells, i przedstawiła mnie swojej uroczej towarzyszce? - spytał, zginając się w niskim ukłonie.

Pani Wells drgnęła, zaskoczona, ale szybko się opanowała.

- Oczywiście, panie Seward. Z przyjemnością. Panno Frost, chciałabym przedstawić pani pułkownika Henry'ego Johna Sewarda. Pułkowniku, oto panna Jeannette Frost.

Ciemnowłosa trzpiotka przyglądała mu się z szelmowskim uśmiechem, balansując lekko na palcach, wskutek czego delikatne młode piersi w głęboko wyciętym dekolcie podrygiwały wesoło.

- Jestem zachwycony, panno Frost - wymruczał Jack. - Absolutnie...

W tym momencie wtargnął między nich mężczyzna o czerwonej twarzy. Panna Frost przestała podrygiwać.

- Ach - zauważył gładko Jack. - Pani rodzic, jak sądzę?

Panna Frost zachichotała. Ojciec nie zareagował.

- Nie zawrze pan znajomości z moją córką, sir - rzekł Ronald Frost. - Nie dbałbym, gdyby nawet sam król uważał pana za kuzyna. Wiem, kim pan jest. Mój syn był pod pańską komendą w czasie wojny.

- Doprawdy?

- Doprawdy! - odparł Frost cichym, nabrzmiałym furią głosem. - Pisał do mnie. Wiem, co się tam działo. Co pan wyprawiał. Brudne sztuczki, mokra robota...

- Cóż za niedyskrecja ze strony pańskiego syna - mruknął Seward.

- Może pan sobie ze mnie szydzić, jeśli pan chce, ale mój chłopak zginął, próbując odzyskać dla pana jakiś bezużyteczny śmieć. Mógł pan posłać kogoś innego. Jakieś plebejskie zero. A pan posłał mojego syna. Oby pan zgnił za to w piekle!

- Czyżby sądził pan - Jack zniżył głos - że kawałek piekła, na jaki zasłużyłem z powodu pańskiego syna, tak bardzo różni się od tego, na jaki zasłużyłbym, gdyby szło o jakieś plebejskie zero?

- Co za impertynencja, psiakrew! - syknął Frost. - On był moim dziedzicem!

Jack pochylił głowę.

- Współczuję panu z powodu tej straty. A teraz, jeśli pan pozwoli...

- Akurat, współczuje pan!

Zatracając się coraz bardziej we własnym smutku i wściekłości, Frost mówił coraz głośniej. Parę osób obejrzało się za nimi ze zdziwieniem. Jeszcze chwila i Frost wywoła scenę... Nie mógł na to pozwolić. Musiał zrobić wszystko, żeby jej zapobiec. Jak zawsze.

- Syn pisał do pana o zadaniach, jakie mu wyznaczano, tak? - usłyszał swój głos jak gdyby z wielkiej odległości. W porządku. Mógł już pomyśleć, że stracił tę umiejętność przemieszczania się... Że i to mu ukradła.

- Tak - odwarknął mężczyzna.

- To była - Jack nachylił się bliżej, tak by nikt nie mógł podsłuchać jego słów - nie tylko niedyskrecja, ale być może i zdrada stanu.

Twarz starszego z mężczyzn przybrała jeszcze bardziej jaskrawy odcień czerwieni. Zacisnął usta w cienką linię. Zdał sobie sprawę, do czego się właśnie przyznał... Jego syn może być pośmiertnie oskarżony, a nazwisko splamione.

- Otóż właśnie, sir. Powinien pan pamiętać o córce - dodał spokojnie Jack i odstąpił o krok, by wykonać ukłon. Był bezwzględny i nieczuły, bo wymagała tego jego funkcja, ale przynajmniej nie był brutalny. To był w stanie kontrolować. - Panno Frost, to dla mnie zaszczyt.

Panna Frost, obojętna na dramat, w jakim właśnie zagrała jedną z ról, znów zachichotała. Albo była znakomitą aktorką, albo bardzo prostą dziewuszką... Nie, doszedł do wniosku Jack, rzucając ostatnie spojrzenie, nikt nie mógłby zagrać tego aż tak dobrze.

- Do pańskich usług, sir - skłonił głowę w kierunku zaciśniętych szczęk pana Frosta i odwrócił się, już wypatrując następnej kandydatki do roli złodziejki.

Pośród nieustannie przemieszczających się ciał dostrzegł Malcolma Northa. Stał obok dwu siedzących na krzesłach kobiet. Jedna z nich miała na głowie brzydki kapelusz, druga zaś była ślicznotką o świeżej twarzy. Sam North był schludnym dżentelmenem, który wyglądał na takiego, co się łatwo uśmiecha i szybko denerwuje, a ponadto na oportunistę. O ile jego maniery były nienaganne, o tyle linia kredytowa bynajmniej nie. Grał ostro i często przegrywał.

Jack przyglądał się, North zaś tymczasem skłonił się kobiecie w kapeluszu - Anne Wilder - i odszedł.

Jack obserwował młodą wdowę parę dni temu, gdy szła przez park w pewien szczególnie brzydki wieczór. Wiatr wyszarpnął jej spod kaptura kilka pasm

włosów. Zatrzymała się i uniosła twarz ku niebu. Patrzył na nią z ukrycia, poruszony do głębi wyrazem tęsknoty błądzącym tak jawnie po jej twarzy.

Wciąż była odwrócona do niego bokiem. Chociaż jednak włosy krył brzydki kapelusz, a lawendowa suknia sylwetkę, wiele mógł odczytać z jej postawy: pełnego gracji ułożenia rąk na podołku, opuszczonych oczu, uniesionego w górę podbródka. To była kobieta, która nauczyła się cierpliwości późno - i, być może, zbyt dobrze.

Obok niej siedziała córka Northa, drobna, żywiołowa Sophia, jedyny powód, dla którego Northowie się tu znaleźli - czy w ogóle gdziekolwiek w towarzystwie. Gdyż Sophia była bardzo młoda i bardzo ładna, a książę regent lubił urodę i młodość.

Światła świec tańczyły w ogniście czerwonych włosach Sophii i połyskiwały w fałdach jej różowej sukni. Jej gesty były sztuczne, obliczone na to, by przyciągać wzrok. Odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. W falowaniu krągłego biustu, uwydatnionego przez prowokacyjnie głębokie wycięcie stanika, dał się zauważyć leciutki dreszczyk podniecenia. Koniuszek języka zwilżył dolną wargę.

Prowokacja? - pomyślał Jack. Cóż, będzie na tyle niegrzeczny, że rozczaruje tę damę.

Postawił kieliszek na stole i ruszył na poszukiwanie Gilesa Daltona, lorda Stranda. To właśnie Strandowi w dużym stopniu zawdzięczał Jack łatwość, z jaką został wprowadzony w otoczenie księcia regenta. Markiz uznał to zadanie za niezwykle zajmujące. To tak, jakby przemycić wilka na łąkę pełną owiec, ocenił.

Znalazł w końcu Stranda, szepczącego coś do ucha jakiejś rumieniącej się piękności.

- Witam, lordzie Strand - rzekł, podchodząc.

- Ach, pułkownik Seward. - Strand wyprostował się i przywitał z Jackiem. - Czy poznała pani kiedykolwiek żywego i prawdziwego pułkownika, panno... panno...

Pulchna piękność odęła wargi.

- Jestem pani Pons-Burton. Mój mąż to Bertram Pons-Burton.

Wiadomość ta najwyraźniej rozbawiła Stranda, gdyż zaśmiał się.

- Stary Bertie? Niech mnie diabli! Pani Pons-Burton, czy mogę pani przedstawić pułkownika Sewarda, mojego zwierzchnika pod każdym możliwym względem?

Nie czekając na odpowiedź, poklepał ją po ręce, przybierając na twarz wyraz udanego smutku.

- A więc otrzymała pani swoją niespodziankę, moja droga. Proszę już iść. Nie mam ochoty, żeby mnie jutro wyzwał na pojedynek jakiś starzec w bryczesach i pudrowanej peruce na głowie. Mój klub naprawdę niechętnie patrzy na takie rzeczy.

Ujął ją za ramiona, odwrócił i lekko popchnął. Odeszła, mruknąwszy coś z niezadowoleniem.

- Proszę wybaczyć, że panu przeszkodziłem - rzekł Jack.

- Nie ma tu nic do wybaczania. Nie mam ochoty usługiwać źrebicy jakiegoś starego ogiera - odparł obojętnie Strand. - A teraz w czym mogę panu pomóc?

- Proszę mnie przedstawić rodzinie Malcolma Northa. - Słowa te zabrzmiały raczej jak polecenie niż jak prośba, ale podczas wojny Strand pracował dla Jacka jako jeden z jego agentów, więc był przyzwyczajony do jego sposobu mówienia.

- Mała Sophia North, tak? Śliczna, prawda? Sam myślałem, żeby uderzyć, ale jestem nadzwyczaj konsekwentny. Zdecydowanie odmawiam uganiania się za kobietą, do której nie rościłby sobie praw inny mężczyzna.

Jack nie udawał, że nie rozumie. Parę lat temu Strand odkrył, że kocha pewną młodą damę, ale na swoje nieszczęście uczynił to odkrycie dopiero wtedy, gdy tamta była zakochana w kim innym. Obecnie nazywała się Thomasowa Montrose.

- Co pan jeszcze o nich wie? - spytał Jack.

Swoboda, z jaką Strand wzruszył ramionami, zdradzała, że zdążył już wypić sporo wina. Szkoda. Ten człowiek miał mu wiele do zarekomendowania.

- Sophia od początku sezonu trzyma młodzieńców w niepewności - rzekł Strand. - Matka umarła, zdaje się, zeszłej zimy, i dziewczyna zwróciła się do wdowy po swoim kuzynie, Anne Wilder, żeby była jej towarzyszką i przyzwoitką na czas sezonu. Sophia jest nieco swawolna, obawiam się. Kłania się z wyrafinowaniem zaskakującym u tak młodej istoty.

Paru bliskich przyjaciół księcia regenta przeszło powoli obok pań North. Dżentelmeni wyciągnęli szyje, przyglądając się piękności i w nieco mniejszym stopniu jej przyzwoitce. Jak młode bydło na aukcji, poddawano kobiety ocenie, dyskutowano o nich, ważono ich zdolność dostarczania rozrywki - wszelkich rodzajów rozrywki...

- A wdowa?

W spojrzeniu Stranda była ironia.

- O, jest pan koneserem, pułkowniku. To subtelne i wytworne cacko, ta ciemnowłosa, przystojna wdowa. Ma niezwykłe oczy. Świadome. Wiedzące - powiedział z namysłem. - A mimo to jest obecnie uważana niemal za świętą.

- Świętą? - spytał Jack, ubawiony. Z jego doświadczenia wynikało, że świętość zawsze stanowi płaszczyk dla interesowności.

W odpowiedzi na ironiczny ton Jacka Strand uśmiechnął się.

- Och, nie zawsze taka była. Po raz pierwszy pokazała się w towarzystwie jakieś sześć, siedem lat temu. Rozpieszczona córka owdowiałego kupca. Jedyną jej przepustką do wielkiego świata była jakaś schłopiała wielka dama ze strony matki. Ojciec otrzymał szlachectwo za sprytne manipulacje pieniędzmi podczas wojny. Umarł parę lat temu. A jednak, pomimo skromnych przodków, została gwiazdą. Bez dwóch zdań.

- Naprawdę? - spytał Jack, zachęcając go do dalszych rewelacji.

- Tak... No i niezłe z niej też było ziółko. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, kiedy Mateusz Wilder, przystojny, uczciwy, szlachetny - och, można by mnożyć w nieskończoność te świetlane przymiotniki - ożenił się z tą dziewczyną. Ale ustatkowała się bardzo ładnie, muszę jej to przyznać. Nigdy nie zrobiła z Wildera błazna, odkąd dał jej swoje nazwisko. Co nie oznacza, że mama Wilder kiedykolwiek zaakceptowała to małżeństwo. Stara jędza do tej pory nie chce z nią mieć nic wspólnego.

- Jak umarł Wilder?

- A jak umiera każdy z nas? Na wojnie. Zdaje się, że był kapitanem na statku. Ale sądząc z zachowania Anne Wilder, można by pomyśleć, że to ona umarła. Nigdy nie widziałem, by kobieta tak się zmieniła... Słowo daję, czekam w napięciu, kto w końcu przebije jej skorupę. Podobała mi się ta psotnica... Choć muszę przyznać - podobnie jak parę tuzinów obecnych tu jegomości, jestem tego pewien - że i na świętoszkę mam sporą chrapkę.

- Wciąż mówi pan o jej świętości - zauważył Jack. - W jakim sensie?

- Tak jak powiedziałem, dopiero niedawno wróciła do świata, oficjalnie po to, żeby matkować Sophii. Ale wciąż znacznie więcej czasu poświęca zdobywaniu funduszy na dobroczynny zakład, jaki ufundowała, niż na ostrzeniu sobie ząbków na konkurentach Sophii. Nazwała go „Towarzystwo Wspomagania Żołnierzy".

- Żołnierzy?

- A pan naturalnie ma w nim swój udział.

- Naturalnie. Towarzystwo uwielbia tego rodzaju przedsięwzięcia. Albo płacisz, albo jesteś wyklęty. A wie pan, jak istotne jest zachowywanie pozorów w moim małym światku.

Jack nie odpowiedział. Być może powinien wykreślić Anne Wilder ze swojej listy? Charytatywna działaczka z wyższych sfer, pozyskująca możnych sponsorów dla swojej wypieszczonej idei, nie miała raczej zbyt wielu powodów, żeby wdrapywać się na dachy... Ale przecież, przypomniał sobie, złodziejka nie działa wyłącznie z chęci zysku!

- Niech pan uważa, Jack - powiedział Giles. - Ona może pana zaskoczyć. I to w niezupełnie przyjemny sposób.

- Ale dlaczego „żołnierzy"? - spytał Jack, wciąż wpatrując się we wdowę.

- Och, żołnierze, marynarze... wszystko jedno, każdy mundur jest dobry - powiedział Strand znudzonym tonem. - Pewnie uważa, że ma dług wobec ludzi zmarłego męża. Obawiam się, że nie był zbyt dobrym dowódcą. Zatopiono mu okręt, stracił mnóstwo ludzi... Czy raczej kawałków ludzi. Anne Wilder opiekuje się każdym weteranem, który niezupełnie pamięta, kim był przed wojną. Ja mam szczęście, pamiętam - zakończył gorzko Strand. - A z pana jeszcze większy szczęściarz, Jack. Wojna w ogóle nic nie zmieniła w pańskim życiu.

- Obawiam się, że ma pan rację - odparł Jack. - Nie szuka kolejnego męża?

- Nie. Nie ma w niej śladu kokieterii. Przypuszczam, że to naprawdę było małżeństwo z miłości. - W twarzy Stranda na moment pojawiło się zamyślenie, tak jakby stanął wobec zagadki, o której wiedział, że nigdy jej nie rozwiąże. - Mateusz Wilder ją uwielbiał. Pamiętam, jak myślałem, że to wręcz perwersja - być tak zakochanym nawet po paru latach małżeństwa.

- A teraz pogrążona w smutku wdowa włożyła kapelusz i strzeże Sophii niczym smok - mruknął Jack.

- Co chciałbym wiedzieć - rzekł Strand - to kto będzie jej strzegł niczym smok? Zakonnica o oczach stręczycielki... - Obserwował wdowę od niechcenia.

- Czy Malcolm North zechce mnie poznać? - spytał Jack.

- Hm?... Cóż, lepiej dla niego, żeby zechciał. Był pan na prywatnym przyjęciu u Książątka. Kto zaryzykuje jego gniew, żeby utrzeć panu nosa? A zresztą Northowie w gruncie rzeczy się nie liczą - powiedział Strand z okrutnym, właściwym członkom elity pragmatyzmem. - Ani pieniędzy, ani majątku... North był po prostu dość przewidujący, żeby zbagatelizować Brummela, podczas gdy my wszyscy wciąż byliśmy pewni, że się z księciem pogodzą. Książę okazał się wdzięcznym suwerenem.

Jack zmarszczył brwi. Jeśli złodziejką była Sophia North albo Anne Wilder - choć wydawało się to mało prawdopodobne - to mogły szukać schronienia w potężnych ramionach księcia i pokrzyżować w ten sposób jego plany. Nie mógł do tego dopuścić.

- Będzie pan tak uprzejmy? - Jack popchnął Stranda przed sobą.

4

Anne przeszukiwała wzrokiem tłum kłębiący się u podnóża schodów. Była niemal pewna, że widziała Jacka Sewarda... Czuła szybkie bicie serca. Już trzeci raz w ciągu ostatniego tygodnia spotykała go na tych samych przyjęciach, na które uczęszczała wraz z Sophia.

Być może się myli. Być może to jej zaabsorbowanie osobą surowego pułkownika sprawia, że wszędzie go widzi... Przygryzła policzek od wewnątrz. Może ból przywróci jej zdrowe zmysły? Nie pomogło, tak jak nie pomagało już od dwóch tygodni.

Po prostu nie mogła zapomnieć jego pocałunku.

Samo wspomnienie wystarczało, żeby... żeby była podniecona, przyznawała ze wstydem. Wiedziała, dlaczego - a w każdym razie sądziła, że wie. Obudził w niej najgorsze żądze, wystawił na pokusę czysto fizycznego spełnienia. Jego pocałunek nie oznaczał „kocham cię, Anne”, czy „uwielbiam cię, Anne”, czy też „czy kochasz mnie, Anne?” Oznaczał „pragnę cię”. Nie chciał od niej niczego, tylko ciała. I ona też chciała tylko tego - a może tylko do tego była zdolna: do zwierzęcego parzenia się. Powinna się wstydzić...

Była zmęczona wstydem. Wyczerpana świadomością, że gdyby kochała Mateusza, gdyby naprawdę kochała go taką samą czystą, szlachetną miłością, jaką on kochał ją, żyłby do dziś. Nie zgłosiłby się na ochotnika na front, nie skazałby siebie samego na śmierć, a wraz ze sobą załogi...

- O Boże, Anne - odezwała się nagle Sophia.

Co za ulga, że odwróciła jej uwagę... Anne rozejrzała się dookoła.

- Popatrz na bransoletę pani Pons-Burton. Jaka rozkosznie ordynarna. - Sophia rzuciła jej złośliwe spojrzenie. - Myślisz, że te perły mogą być prawdziwe?

O tak, bez wątpienia były prawdziwe. Ojciec nauczył ją odróżniać sztuczne błyskotki od klejnotów, nawet na odległość.

- Zapowiadam, że też będę takie miała, kiedy wyjdę za mąż - oznajmiła Sophia, po czym dodała głosem pełnym nabożnej czci: - Muszą być warte fortunę.

- Trzy fortuny - mruknęła Anne. Dość, żeby wykarmić tuzin rodzin przez tuzin lat, pomyślała... Po raz kolejny z goryczą uświadomiła sobie przepaść, jaka dzieliła obecnych tu ludzi od tych, którzy szukali nocą schronienia w jej Towarzystwie Wspomagania Żołnierzy. Wraz z gniewem przyszła fala niepokoju.

Nie zamierzała zostać złodziejką, kiedy przyjechała do Londynu, żeby występować u boku Sophii jako jej przyzwoitka. Umiejętności, jakich wyuczył ją w dzieciństwie ojciec, to była po prostu zabawa, sposób spędzania czasu podczas wizyt matki u wysoko urodzonych krewnych. Historie, jakie opowiadał jej ojciec o Ślepym Tomie, Mary Rum czy Księciu Londyńskich Złodziei, to były tylko opowieści, nic więcej.

Nie wiedziała, że są prawdziwe, dopóki nie natknęła się na prowadzony przez ojca dziennik. Przyparty do muru ojciec wymógł na niej przysięgę dotrzymania tajemnicy, a potem wyjawił jej prawdę: to on był Księciem Złodziei. Była zszokowana, przerażona - ale i, o tak, podekscytowana. Błagała go, żeby powiedział jej więcej, nauczył więcej. Cóż to była za frajda - odkryć, że własny ojciec jest notorycznym złodziejem...

Ojciec, prawdopodobnie lekko znudzony swoim życiem właściciela ziemskiego, chętnie się zgodził. Nauczył ją wszystkiego. To był ich sekret, ich wspólny żart. Nigdy nie sądziła, że wykorzysta wiedzę, jaką się z nią podzielił...

- Mogłabyś, prawda? - dosłyszała piskliwy głosik Sophii.

Anne podniosła wzrok. Młoda kuzynka jej męża patrzyła na nią z wyczuwalną irytacją.

- Proszę? - spytała Anne.

- Mówiłam, że jesteś wystarczająco zamożna, żeby kupić sobie na każdą rękę taką bransoletę, jaką ma pani Pons-Burton. Chociaż Bóg jeden wie, dlaczego miałabyś kupować biżuterię, skoro nie kupisz sobie nawet przyzwoitej sukni. - Sophia spojrzała z jawną pogardą na strój Anne i odwróciła wzrok, wyraźnie sygnalizując, że ma dość konwersacji.

Anne nawet nie spojrzała na swoją suknię w kolorze przybrudzonej lawendy. Znała doskonale jej krój i równie doskonale wiedziała, że z łatwością mogłaby zastąpić ją inną, gdyby tylko zechciała. Po śmierci Mateusza odziedziczyła fortunę, pieniądze, których nie była w stanie wydać na siebie i dla których nie miała innego celu. Nie istniał żaden prawdziwy dom, który musiałaby utrzymywać. Wiejska rezydencja, w której żyli z Mateuszem, była zaledwie przystankiem w ich pościgu za szczęściem; wkrótce po jego śmierci sprzedała ją. Postanowiła więc, że ustanowi fundację na rzecz ludzi, którymi Mateusz dowodził tak nieudolnie.

Zarządzający majątkiem uznali, że nie mogą do tego dopuścić, ponieważ spoczywa na nich obowiązek dopilnowania, by fortuna Mateusza przyniosła korzyść wdowie po nim, a nie jakimś nikomu nieznanym eksmarynarzom.

Skoro jednak idea zaświtała jej w głowie, nie zamierzała jej porzucić. Musiała to zrobić - zrobić coś, cokolwiek - żeby pomóc ludziom Mateusza.

Wkrótce po przybyciu do Londynu zaczęła prosić o datki. W towarzystwie przyjęto z entuzjazmem jej starania. Zaczęto kokietować się nawzajem - a także prasę - wielkością przyobiecanych sum.

Ale, jak szybko zorientowała się Anne, obietnice i rzeczywiste wpłaty nie zawsze się ze sobą pokrywały. Kiedy się upominała, grożono jej zniszczeniem towarzyskiej pozycji Northów, jeśli odważy się ujawnić tę „oszczędność".

Wobec tego kradła to, co było przyobiecane.

Początkowo okradała jedynie tych, którzy obiecywali coś publicznie, a prywatnie wycofywali się z donacji. W miarę jednak jak upływały miesiące, uzupełniała swoją listę o kolejne ofiary: dandysów bez zajęcia i sumienia, damy, które trwoniły fortuny przy karcianym stoliku...

Powstrzymał ją Jack Seward.

Złościło ją, że musi zrezygnować z nocnej działalności, ale nie miała wyboru.

Oznajmił, że ukradła coś, na czym mu zależało, ale mimo usilnych starań nie mogła się domyślić, o co mu chodziło. A dopóki nie znajdzie tego, czego szukał, musiała siedzieć cicho. Rozsądek nakazywał, żeby powiedzieć sobie „stop". A zatem posłucha rozsądku.

- Gdzie jest ojciec? - szepnęła nagląco Sophia. - Nie będziemy mogły być przedstawione, jeśli nie będzie z nami ojca.

- Przedstawione komu, Sophio? - spytała Anne, rada, że dziewczyna przerwała bieg jej myśli.

- O Boże, Anne... Czy ty w ogóle bierzesz udział w rozmowie? Przecież powiedziałam. On tu jest.

- Kolejne zauroczenie, Sophio? - mruknęła. - Kto to jest tym razem? Lord Strand? Lord Vedder? - Zauważyła, że przy jej długiej, białej rękawiczce odpiął się

- Agent pracujący dla rządu - odrzekła Sophia. - Nazywają takich Ogary Whitehall, a on ma jeszcze przezwisko „Diabelski Jack”.

Perłowy guziczek wyprysnął z palców Anne i potoczył się po podłodze, ginąc wśród szerokich spódnic zgromadzonych tu dam. Lekkie drżenie przebiegło jej ciało, dreszcz zwiastujący niebezpieczeństwo, dręczące znajomy i dręczące przyjemny. Takiego samego uczucia doświadczała, gdy wkładała czarną maskę, by na parę godzin stać się Duchem Wrexhallem.

Nie próbowała już dociekać, czym było dla niej to niezwykłe uniesienie... Tylko wtedy, gdy ryzykowała życiem, przeżywała krańcową ekscytację, dzięki której czuła, że istnieje. Przez wiele lat starała się uciec od wspomnień, aż w końcu znalazła miejsce, gdzie przeszłość nie istniała: dachy Londynu.

Tam stała się czcicielką przyspieszonego bicia swego serca, wysilonej pracy własnych płuc, gdy płynęła w powietrzu, wyzwania, jakie stanowiła cisza zamkniętego na klucz pokoju...

Splotła dłonie na podołku. Dreszcz podniecenia znikł, pozostawiając tylko chłodne przeczucie niebezpieczeństwa. Szalona była, że urągała mu, patrząc w jego pełne bólu oczy. Robiła to, nie zwracając uwagi na jego nienaganny sposób bycia, na jego łagodny głos. Szalona była, że go całowała. I szalona, że chciała czegoś więcej.

- Jest zachwycający - szepnęła Sophia.

Anne ostrożnie uniosła wzrok. Był. Szedł u boku lady Sheffield przez mrowiący się tłum niczym wilk. Tak jak wilk obcy i zwarty w sobie, tak samo naturalny w sposobie bycia... I o równie wilczych oczach mordercy.

Wypatrywał czegoś. A raczej kogoś. Wiedziała - aż za dobrze - kogo.

Obserwowała go, modląc się, żeby Sophia nie dostrzegła jej zainteresowania i żeby nie podszedł bliżej. Świadomość, że może przyciągnąć go siłą własnej reakcji, budziła dreszcz ekscytacji.

Był obezwładniająco, niesłychanie wręcz przystojny, z tymi swoimi lekko rozwichrzonymi, złocistymi włosami, twardą szczęką, przenikliwym spojrzeniem. Jednak coś więcej niż tylko układ rysów przyciągnęło jej wzrok. Miał w sobie jakieś nieokreślone wyrafinowanie, subtelność manier, co w połączeniu z drapieżnym spojrzeniem sprawiało, że nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi. Gdy szedł przez salę, odprowadzały go ukradkowe, zadumane spojrzenia wielu kobiet.

Anne obserwowała Jacka, skryta za wachlarzem. Nie potrafiła określić, co właściwie w nim widzi. Wiedziała tylko, że nawet tysiące świec płonących w srebrnych kandelabrach nie są w stanie przepędzić cienia z jego twarzy, że nawet najlepszy londyński krawiec nie zdołał dodać warstewki ospałości i rozmarzenia tej napiętej jak struna, pełnej dziwnego wdzięku sylwetce i że nie zegnie jej nigdy żadna dandysowa ociężałość.

Ujrzała, jak pochylił się nad ręką Jeannette Frost. Rozdzielił ich ojciec dziewczyny, jeszcze czerwieńszy na twarzy niż zwykle. Jeśli powiedział coś przykrego, nie wywarło to żadnego wrażenia na pułkowniku Sewardzie. Po prostu, odwróciwszy głowę w bok, powiedział coś do Jeannette, po czym spokojnie odszedł.

- Muszę go poznać. Co za ogłada! Co za maniery! - zachwyciła się Sophia. - Jest fascynujący. Był na wojnie, wiesz... Podobno robił tam okropne rzeczy. To, czego nikt inny by nie zrobił.

Okropne rzeczy... Wytworny głos, pełne współczucia, zmęczone życiem oczy. Okropne rzeczy.

- To bastard. Owoc romansu sir Jamisona ze szkocką dziewką. Nigdy go nie uznał. Nie dał mu nawet nazwiska... Chociaż, trzeba oddać staremu sprawiedliwość, wychował go.

- Skąd tyle wiesz o tym człowieku, Sophio? To niestosowne.

- Ojej, nie bądź taką pedantką, Anne. Wszyscy o nim wszystko wiedzą. Krążą plotki, że to nowy faworyt Książątka... - przerwała, błądząc spojrzeniem po smukłej sylwetce Sewarda. - Choć raczej nie wygląda, żeby był w jego typie, prawda? Jest na ustach wszystkich. On i ten złodziej. - Wybuchnęła perlistym śmiechem. - Słowo daję, nie wiem, co by było bardziej ekscytujące: poznać Diabelskiego Jacka czy Ducha Wrexhalla. Cóż za rozkoszny dylemat...

- Ducha Wrexhalla? - spytała Anne, wyrwana ze swoich myśli. Słyszała już, oczywiście, miano, które nadał jej jakiś dowcipniś, ale nie wiedziała, że jej wyczynami karmi się pospolita plotka.

Sophia rzuciła jej współczujące spojrzenie.

- Naprawdę powinnaś być bardziej *au courant*, moja droga. Nazwa „Duch Wrexhall" wzięła się stąd, że pierwszą ofiarą tego złodzieja była lady Wrexhall. Stara wiedźma przysięga, że widziała, jak znikł za oknem jej mieszkania położonego na trzecim piętrze niczym duch.

Anne nie odpowiedziała. Sądziła, że jej kradzieże są pilnie strzeżonym sekretem, że duma nie pozwoli przyznać się do tego nikomu z obrabowanych... Cóż, powinna była się domyślić.

Pułkownik Seward zniknął w tłumie. Anne złożyła wachlarz. Czuła ulgę. I rozczarowanie.

- Jeannette Frost dałaby wiele, żeby stać się następną ofiarą Ducha Wrexhalla - rzuciła lekko Sophia.

- Co takiego?

Anne wpatrywała się w Sophię, zdumiona, jak trudno stłumić narastający w niej śmiech. Już dawno nic jej tak nie rozśmieszyło.

Sophia z mądrą miną skinęła głową.

- I ona, i lady Dibbs marzą, żeby paść jego ofiarą, tak jak inne modne panie. Duch

zajął miejsce Byrona jako „szalony, zły, niebezpieczny”. - Uśmiechnęła się naiwnie. - Ale gdybym ja miała wybór, to wolałabym raczej kogoś bardziej... rzeczywistego. Na przykład nieocenionego pułkownika Sewarda.

- Biorąc pod uwagę to, co powiedziałaś o Diabelskim Jacku, będziesz miała szczęście, jeśli nie poznasz ani jego, ani tego Ducha - odparła Anne. Jej rozbawienie przygasło.

Sophia spojrzała na nią z politowaniem.

- Chyba już całkiem opadły ci skrzydła. A kiedy wychodziłaś za Mateusza, uważałam, że jesteś najbardziej olśniewającą istotą na świecie... Właśnie dlatego błagałam ojca, żebyś była moją przyzwoitką. - Wydęła z niesmakiem pulchne usteczka. - Muszę stwierdzić, że się rozczarowałam. Zestarzałaś się przed czasem. Jesteś pruderyjna jak zakonnica i masz tyle fantazji, co kot napłakał.

- Jakże to miło słyszeć, Sophio - odrzekła spokojnie Anne, wytrzymując bez drgnienia powiek ironiczne spojrzenie dziewczyny. Sophia była kiedyś nieco zepsutym, ale dobrym dzieckiem. Śmierć matki napełniła ją goryczą, która teraz czasami przejawiała się jako złośliwość.

Dziewczyna zmieszała się na moment, ale szybko jej wstyd ulotnił się. Położyła dłoń na ręce Anne i spojrzała na nią twardo.

- Przepraszam, Anne. Chciałam ci tylko przypomnieć, że to Mateusz nie żyje, a nie ty. Życie toczy się dalej. Spójrz tylko, jak zmieniła cię ta żałoba... Jestem pewna, że mnie się to nie przydarzy. Nie będę uciekać od życia, tak jak ty.

- Nie wiedziałam, że właśnie dzięki mnie postanowiłaś rzucić się życiu w objęcia - odparła sucho Anne. - Muszę sobie pogratulować. Kiedy już wrócę do sił po tej ucieczce.

Sophia spojrzała na nią z lekkim uznaniem.

- Widzę, że zostało ci jeszcze trochę rozumu.

- Sarkazmu, chciałaś powiedzieć?

- To często jedno i to samo - zauważyła Sophia. - Ja zamierzam wyrwać od życia, ile tylko się da, a jeśli będę chciała czegoś więcej, to ukradnę.

Kolejny złodziej w rodzinie? - pomyślała ze smutkiem Anne. Sophia wiedziała tak mało, a była przekonana, że wie tak dużo... Niestety, czas i doświadczenie potrafią w tajemniczy sposób zniweczyć tak świetne samopoczucie.

- Życzę ci jak najlepiej - stwierdziła.

Na twarzy Sophii pojawił się wyraz zaciętości.

- Nie zamierzam poprzestać na letnich przyjemnościach i przeżyciach z drugiej ręki - wygłosiła. - Pragnę namiętności. Nie będę poskramiać...

- Czego nie będziesz poskramiać, Sophio? - spytał North.

Sophia gwałtownie odwróciła głowę. Jej uczucia były czytelne. Strach toczył w niej przegraną walkę z młodzieńczym buntem wobec karcącego tonu ojca.

- Czy ta kasztanka, którą kupiłem ci w zeszłym tygodniu w Tattersall’s, jest za

ognista dla ciebie?

- Ja... to znaczy...

- Nie, Malcolmie - wtrąciła uspokajająco Anne, przyjmując od niego filiżankę ponczu. - Sophia porównywała właśnie kasztankę z klaczą ze stadniny lorda Frosta, na której jeździła w zeszłym roku. Porównanie było korzystne dla kasztanki.

North sprałby Sophię na kwaśne jabłko, gdyby dostrzegł rys niesforności w jej charakterze, zwłaszcza jeśli zagrażałaby ona jego planom dotyczącym znakomitego mariażu córki. Choć Anne niezbyt podobała się osoba, jaką stała się obecnie Sophia, nie mogła pozwolić, by. ojciec się nad nią znęcał.

North, uspokojony tą odpowiedzią, skinął głową i cofnął się, stając za krzesłem Anne. Na ogół podczas spotkań towarzyskich nie miał zbyt dużo do powiedzenia ani jej, ani Sophii. Fenomenem było dzisiaj już to, że w ogóle spędzał czas w ich towarzystwie. Widać nie rozstawiono jeszcze stolików do kart.

Siedzieli tak w niezręcznym milczeniu przez parę minut. Wreszcie Sophia skryła twarz za wachlarzem.

- Idzie tu! - syknęła. - Z lordem Strandem!

Z jakimś mętnym poczuciem nierealności tego, co się właśnie działo, Anne przybrała na twarz obojętny uśmiech i spojrzała na zbliżających się mężczyzn.

Pierwszy szedł lord Strand. Jego efektowną niczym złota gwinea prezencję zakłócał bijący od niego ciężki odór rozpusty. Za nim, z wojskową precyzją, która sprawiała, że wszelkie pozy dandysów wydawały się śmieszne, kroczył pułkownik Seward.

Nie miał w sobie nic z hulaki. Była w nim zarówno powaga, jak i subtelność. Poruszał się ze sztywną gracją człowieka, który ma w sobie zadawnioną ranę, który przywykł do bólu i znosi go bez żadnego świadomego wysiłku. Cienie pod oczami i bladość twarzy zdradzały bezsenność; przecinająca brew blizna, sztywna ręka i złamany nos świadczyły o licznych konfrontacjach - i o cenie, jaką zapłacił za podobną liczbę zwycięstw.

Strand zatrzymał się dokładnie na wprost Sophii i kłaniając się, wysunął nogę. Pułkownik Seward czekał obok. Z bliska Anne mogła dostrzec kolor jego oczu. Były szare, w chłodnym odcieniu popiołu z dawno wygasłego ogniska.

Okropne rzeczy...

- Panie North, czy mógłbym przedstawić panu pułkownika Henry’ego Johna Sewarda? - wycedził Giles.

- Ach, Sewarda? Bardzo mi przyjemnie, sir. Słyszałem o panu. Książę wyraża się o panu z wielkim uznaniem.

- Jestem zaszczycony, sir. - Głos miał taki sam jak wtedy, gładki jak dym, gorący jak żarzące się węgle.

Anne spojrzała na Sophię. W uniesieniu jej starannie uczesanej głowy, w błysku oczu, w lekkim rozchyleniu ust widoczna była ekscytacja. Musi uchronić ją przed

zaślepieniem... Seward pożarłby ją żywcem, z tymi swoimi doskonałymi manierami i bezlitosnymi oczami.

- Anne, moja droga, oto pułkownik Seward - usłyszała głos wuja. - Sir, proszę poznać moją siostrzenicę, panią Anne Wilder.

Przełknęła ślinę. Chciałaby coś zrobić... Uniosła głowę, prawie spodziewając się, że Seward chwyci ją za przeguby i własnoręcznie wywlecze z sali balowej.

- Miło mi pana poznać, pułkowniku.

Na dźwięk tych paru słów pułkownik, zgięty w niskim, oficjalnym ukłonie, poderwał się gwałtownie i spojrzał na nią zwężonymi oczami.

Była w potrzasku.

5

Jack delikatnie podniósł do ust dłoń Anne Wilder i lekko musnął ją wargami.

- Miło mi pana poznać, pułkowniku - powiedziała i zadrżała. Czuł wibrującą w niej trwogę. Zaalarmowany, podniósł wzrok.

Trzymała go na uwięzi spojrzenia, niemal po męsku bezpośredniego. Świadomego. Wiedzącego. W jej oczach była szczypta dzielności, spora doza cierpienia i mnóstwo rezygnacji. To nie były oczy stręczycielki, jak sugerował Strand. Jack sam wiele razy stręczył; znał to spojrzenie.

Patrzyła na niego raczej jak kobieta, która mogłaby sprzedać swoje ciało: z poddaniem się temu, co nieuniknione, i z jakimś, psiakrew, wyczekiwaniem. „Zrób to i miejmy to za sobą” - mówiło jej spojrzenie. Podniecało go to.

- Jestem zaszczycony, madame - rzekł, wziąwszy głęboki, uspokajający oddech. Ona także, odnotował, dyskretnie zaczerpnęła powietrza.

Nic dziwnego, że Strand był pod wrażeniem... Twarz Anne była bardzo oryginalna: szerokie kości policzkowe, kwadratowa szczęka, ciemne, niemodnie proste brwi. Nos był zarówno zuchwały, jak i wytworny, oczy, głęboko osadzone, o leciutko tkniętych czerwienią powiekach, miały niezwykły, przywodzący na myśl ciemną noc odcień indygo. Usta same w sobie były subtelnym dziełem sztuki: miękkie, czułe.

To, że kobieta we wdowiej żałobie mogła wzbudzić w nim tak wyraźnie seksualną reakcję, wprawiło go w zakłopotanie. Była jednakże odrobinkę zaniedbana - ciemny pukiel wymknął się spod kapelusza, rękawiczkę szpeciła zmarszczka - i w wyobraźni Jacka skrystalizował się jej obraz, jak podnosi się z jego łóżka syta z rozburzonymi włosami... Gdy odwrócił wzrok, usłyszał, że Anne wzdycha z ulgą. Przeklął w duchu siebie samego za tę jawno

Sophia uniosła drobną twarzyczkę i przyjrzała mu się z kobiecą pewnością siebie.

- Uniżony sługa, panno North.

- Phi! - parsknęła ślicznotka, ukazując dołki w policzkach, i jednym ruchem otworzyła wachlarz. - Sług mam już pod dostatkiem, sir. Może znalazłaby się dla pana inna funkcja?

Uśmiechnął się z udaną admiracją. Te cięte uwagi były niezłe, ale swoboda, z jaką je wypowiadała, zdradzała, że powtarzała je już nieraz.

- Jest pan przyjacielem Książątka? - spytała dziewczyna.

- Znamy się z księciem regentem od bardzo dawna.

- Och! - Pulchne usteczka utworzyły idealne kółko.

Naprawdę była cudownym stworzonkiem, efektownym, przypominała małego, rozkosznego kotka... Ale na jej widok nie czuł ani źdźbła tego żenującego głodu, jaki obudziła w nim tamta złodziejka w czarnej jedwabnej masce i męskich bryczesach, czy ukłucia żądzy, jaka go ogarnęła, gdy patrzył na tę lekko rozburzoną fryzurę wdowy wciąż jeszcze w żałobie.

Uśmiechnął się smętnie. Czyżby był tak perwersyjny, że potrzebuje fetysza, żeby się podniecić?

- Książę uwielbia moją Sophię - powiedział z dumą North.

- Czy panią również uwielbia, pani Wilder? - spytał Jack.

Pytanie zaskoczyło ją, choć tylko bardzo bystry obserwator dostrzegłby leciutkie drgnienie ręki i żarzący się jak wolfram błysk w ciemnych oczach, zanim nałożyła na twarz nieprzeniknioną maskę.

- Jako troskliwy monarcha kocha wszystkich swoich poddanych.

- Och, jego zainteresowanie Sophia raczej nie sprawia wrażenia monarszej troskliwości - prychnął North.

- No, nie wiem - wycedził Strand. - Pani Fitzhubert twierdzi, że zainteresowanie ze strony Jego Wysokości zawsze ma charakter królewski. I że jego uwielbienie polega raczej na zniechęcaniu.

Malcolm North parsknął, a Sophia zarumieniła się, podekscytowana tą skandalizującą uwagą. Jack spojrzał na panią Wilder. Siedziała nieporuszona. Przypomniał sobie, że zanim wyszła za mąż, obracała się w dość swobodnym towarzystwie i musiała być osłuchana z podobnymi słonymi żarcikami. Kobieta z przeszłością... Z czymś, czego i on miał w nadmiarze.

- No, no! - śmiała się Sophia. - Nicpoń z pana, lordzie Strand!

- Tak powiadają, panno North. - Strand zerknął szelmowsko na wdowę. - Cóż za tolerancyjną przyzwoitkę znalazł pan, North! Pani Wilder, czy nie powinna pani strzec tej rozkosznej młodej kobiety przed podobnymi do mnie osobnikami?

Anne uniosła brwi.

- Nawet małe dziecko potrafiłoby trafnie rozpoznać życzliwość i dowcip w tej rozmowie, sir. Moją czujność chowam na sytuacje, w których zagrożenie jest

bardziej wyrafinowane.

Jack patrzył na nią z rosnącą aprobatą.

- Och! - wykrzyknął Strand z pozornym rozbawieniem, wyraz jego oczu zdecydowanie temu przeczył. - Słyszał pan, Seward? Twierdzi, że jestem przejrzysty jak szkło.

- Istotnie, tak właśnie twierdzi.

- I, zdaje się, powiedziała też, że jestem dziecinny!

- Tak, chyba tak.

- Anne! - Twarz Northa wyrażała zatroskanie z powodu jej impertynencji, mimo że impertynencja dotyczyła człowieka, który gorszył młode - i prawdopodobnie dziewicze - uszy jego uwielbianej córki.

Pani Wilder najwyraźniej także doceniła ironię sytuacji, ale stłumiła uśmiech, zanim zdołał na dobre zagościć na jej ustach. Inteligencja i subtelność. Zrodzona z doświadczenia umiejętność trafnej oceny. Kobieta, która - jeśli Strand miał rację - zrezygnowała ze swawoli, wybierając oddanie dla ukochanego małżonka... O tak, wdowa jest bez wątpienia interesująca. Czy jednak jest złodziejką?

- A pan, pułkowniku Seward - spytała Sophia, przywołując Jacka do rzeczywistości - czy pan także jest nicponiem?

- Gorzej niż nicponiem - włączył się Strand, zanim Jack zdążył otworzyć usta. - Łotrem. Czyżby nie słyszała pani o Diabelskim Jacku?

Sophia z entuzjazmem pokiwała głową. Anne Wilder zmarszczyła leciutko brwi, tak jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

Nigdy dotąd nie słyszała jego przydomka? Wobec tego musiała mieć wyłączoną uwagę. Smuga szeptów ciągnęła się za nim w każdym salonie, sali operowej czy przybytku hazardu.

- Słyszałam - rzekła Sophia, spoglądając na niego nieśmiało. - Czy pańska reputacja jest zasłużona, pułkowniku?

Przyjrzał się jej przez moment. Z łatwością mógł wyobrazić sobie Sophię w roli złodziejki: ożywione podekscytowaniem oczy, drobne ciało spięte w oczekiwaniu, śmiałość i brawura jako motyw.

- A więc? - ponagliła go z łobuzerską miną.

- Jak mogę na to odpowiedzieć, panno North, skoro nie znam ani autora tego przydomka, ani zarzutów, które się za nim kryją?

- Ach tak - rzekła z satysfakcją Sophia. - A więc przyznaje się pan do winy.

- Przyznaję się tylko do tego, że o ile miano Diabelskiego Jacka nadał mi ogrodnik sąsiada, to owszem, zasługuję na to, bo niewątpliwie ogołociłem jego sad. Kiedy miałem dwanaście lat.

Anne parsknęła krótkim śmiechem. Sophia odęła usta.

- Fe! - powiedziała. - Drwi pan sobie, pułkowniku. Dżentelmen powinien umieć rzetelnie przedstawić swój charakter.

Jack poderwał głowę.

- Czy w swej wielkoduszności nie zechciałaby pani, panno North, spytać mnie raczej o to, na co pragnąłbym zasługiwać, niż na co zasługuję?

- A co to takiego?

Jack, zaskoczony, zwrócił głowę ku Anne. Z jej ust bowiem padło to ciche pytanie.

- Phi! - odezwała się z przekąsem Sophia, zanim zdążył odpowiedzieć. - Godziwe ambicje nie są ani w połowie tak interesujące, jak niegodziwe czyny.

- To prawda - przyznał z powagą Strand. - Ale obecny tu Seward zwykł milczeć jak głaz na temat swojej przeszłości. Jest po diabelsku *comme il faut*.

- „Książę ciemności jest dżentelmenem...” - szepnęła Anne, spuszczając swoje niezwykłe oczy na splecione dłonie.

- Co mówisz, Anne? - spytała z irytacją Sophia.

- Przepraszam... Po prostu cytowałam Shelleya.

Anne... Anne, która czyta Shelleya i która, jeśli nie stracił doszczętnie całej swej przenikliwości, właśnie nazwała go dżentelmenem. Cóż za zdumiewająca wyobraźnia.

- Może ktoś opowie mi o pułkowniku? - błagała Sophia.

- Obawiam się, że aby poznać życiorys diabła, będzie pani musiała zwrócić się do jego biografa - rzekł Strand.

- To znaczy?

- Jakże, do mnie, moje dziecko. Za pozwoleniem, sir, czy mogę być partnerem pańskiej córki w tym tańcu? Jestem pewien, że opiekunka nie będzie miała nic przeciwko temu. To taniec ludowy. Prosty i nieskomplikowany, zupełnie jak ja.

North skinął głową. Strand ujął dłoń dziewczyny i pomknął z nią na parkiet w chwili, gdy dwóch innych dżentelmenów prosiło o to samo Northa. Jack zignorował ich, pochłonięty śledzeniem spektaklu w wykonaniu Sophii North.

Potrząsała lokami, błyskała olśniewającymi uśmiechami ku swym partnerom i unosiła brwi w sposób kokieteryjny i światowy zarazem. Obrotne dziewczę... Chociaż w ciągu tych miesięcy, kiedy ścigał złodzieja, zakładał u swojego przeciwnika prawdziwą inteligencję, a nie zwykłą chytrość i spryt.

Upłynęło parę minut, zanim zdał sobie sprawę, że nie patrzy już na Sophię, tylko obserwuje z uwagą Anne Wilder. Była tak inna od swej podopiecznej... Była jak wspomnienie niepokojącego snu. Sprawiała wrażenie, jakby była zrobiona z dymu, wypalona wewnątrz - delikatny okręt o osmalonym sercu.

Doprawdy, trudno było znaleźć podobieństwo między kruchą sylwetką Anne, a tamtą wytrenowaną, gibką postacią, skaczącą z okna drugiego piętra... A co ważniejsze, Anne Wilder po prostu nie miała w sobie gorączkowej pasji Ducha.

Nie było śladu wyczekiwania w jej wzroku, gdy patrzyła na tancerzy, śladu tęsknoty. Wszystko w niej świadczyło o wyczerpaniu się namiętności. Nie potrafił

wyobrazić sobie, by mogła najpierw oferować mu swoje ciało, a potem zaatakować... To on powinien być podobnie utalentowany. Anne pociągała go znacznie bardziej, niż by tego pragnął.

Zatracił się w tych nietypowych dla siebie rozważaniach, gdy wtem North odchrząknął.

- Anne, moja droga - rzekł - ci mili chłopcy potrzebują na chwilkę mego towarzystwa. Czy nie mogłabyś... To znaczy, kiedy Sophia wróci, czy nie byłabyś tak miła...

- Oczywiście, Malcolmie - odparła.

- Przyłączy się pan do nas na partyjkę kart, pułkowniku? - spytał North.

- Dziękuję, może trochę później. Dotrzymam towarzystwa pani Wilder.

- Proszę, niech pan nie odmawia sobie tej przyjemności ze względu na mnie, sir - powiedziała szybko Anne. - Zapewniam pana, że obserwowanie towarzystwa całkowicie mnie zadowala.

- Ale nie przepędzi mnie pani, skoro nie umiem wyobrazić sobie milszego sposobu spędzenia czasu niż pozostanie z panią.

- To bardzo poczciwie z pańskiej strony, Seward - rzekł z ulgą North.

- Zapewniam panią, że ulegam wyłącznie własnej skłonności - pospieszył Jack, zirytowany brakiem subtelności ze strony Northa.

- Jasne! Wobec tego dziękuję pańskiej skłonności. - North zaśmiał się, ubawiony własnym *bon mot*. - Najwyżej na godzinkę, Anne. - I wtopił się w tłum, podążając śladem odchodzących towarzyszy.

- Nie musi pan czuć się zobowiązany, pułkowniku - rzekła Anne, patrząc gdzieś w bok. - Czas spędzony z „chłopcami" zazwyczaj ma tendencję do rozciągania się, a pan z pewnością chciałby się przywitać z wieloma osobami.

- Jeśli zamierza pani przestrzec mnie w ten sposób przed monopolizowaniem pani czasu, pani Wilder, to zapewniam, że nie zamierzam roztaczać nad panią niepożądanej opieki. Doceniam wyrozumiałość, z jaką traktowana jest moja obecność w tym miejscu.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie zaprzeczyła i był jej za to wdzięczny.

- Sama doznaję podobnej wyrozumiałości - powiedziała - i zapewniam pana, że nie wyrozumiałość mną kieruje. Miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam, pułkowniku.

- Czy zawsze jest pani równie uczciwa, pani Wilder?

- W miarę możliwości, sir - odparła po chwili namysłu.

- Wobec tego wyświadczy mi pani wielką łaskę, jeśli będę mógł cieszyć się jeszcze przez parę minut pani towarzystwem.

Uniosła twarz i blask świec obramował pozłotą jej wysokie kości policzkowe.

- Skoro takie jest pańskie życzenie, pułkowniku - powiedziała i zamilkła, ocenę wyrazu swej twarzy pozostawiając jemu. Starał się odczytać subtelne oznaki, za

pomocą których ludzie zwykle ukrywają lub ujawniają swoje intencje. Niewątpliwie jakaś tam wdowa nie pomna stanowić wyzwania dla jego talentu... A jednak stanowiła. I to wielkie.

Pogrążony w rozważaniach zauważył lorda Veddera, dopiero gdy ten ostatni stanął obok.

- Pani Wilder. - Lord skłonił się, kompletnie ignorując Jacka. - I znowu się spotykamy! Czwarty raz w tym tygodniu! Cóż to znaczy? I w dodatku jest pani ze swoją czarującą młodą kuzynką... Cóż to za rozkosz być świadkiem, jak dawny wzór doskonałości wprowadza w świat nowy! Proszę mi jednak powiedzieć, czy panna North zdoła wytrzymać to szalone tempo? A pani?

Jack otworzył usta, żeby przywołać łajdaka do porządku, ale Anne uprzedziła go.

- Jak to miło z pana strony, że troszczy się pan o nas, lordzie Vedder - odrzekła ze spokojem. - To prawda, obawiam się, że Sophia postanowiła, iż żadnej uroczystości nie zostanie zaoszczędzona jej krytyka, żadnemu wieczorowi jej pochwała i że nikt nie będzie mógł nazwać jej wyjątkową dlatego, iż nie zawarł z nią znajomości.

- Postanowiła pani okazywać nam dezaprobatę - rzekł lord Vedder, parsknąwszy lekko w modnym stylu.

- Nie ja, sir. Sama krytykowałam, chwaliłam i zawierałam znajomości, jak z pewnością pan sobie przypomina. A w każdym razie tak sądzili niektórzy mężczyźni.

Ciężkie powieki Veddera opadły. W jego milczeniu oraz nagłej sztywności Jack odczytał krótką, bolesną historię młodego człowieka, zadurzonego i pewnego dobrego przyjęcia, który dostał kosza, choć sądził, że jego względy, tak samo jak jego tytuł, są nie do odparcia. Nie, pani Wilder nigdy nie była święta. To kobieta, która po prostu znała swoją wartość.

- Istotnie, ma pani rację - rzekł Vedder, patrząc na parkiet. - Czy jednak zdołamy zrobić wrażenie na pannie North? Jako osoba, która nigdy nie uległa wrażeniom, niech nam pani udzieli, proszę, jakichś wskazówek. Wygląda na to, że ona zna już wszystkich.

- Och, nie, sir. Są tu co najmniej dwie osoby, które poznała dopiero przed chwilą.

Anne odwróciła głowę, by napotkać spojrzenie Jacka. Nieoczekiwany i chyba dlatego nieoczekiwanie czarujący dołek pojawił się w jej policzku, a ton odpowiedzi rozświetliła nutka ironicznego humoru.

- Obecny tu pułkownik Seward uratował towarzystwo od popadnięcia w zwyczajność, pojawiając się w charakterze *terra incognita*.

- Jesteśmy mu wielce zobowiązani. - W głosie Veddera brzmiał chłód.

- Och - pospieszyła niezręcznie pani Wilder - chyba zakładałam zbyt wiele. Lordzie Vedder, czy nie zna pan pułkownika Sewarda?

- Ależ tak, madame. Znam.

dziękuję panu za to. Obiecuję dać tysiąc funtów, pani Wilder. Dla pani żołnierzy.

W grupie dam dało się słyszeć pełne aprobaty westchnienie.

- To jest, kolejne tysiąc funtów - rzekła lady Dibbs. Oczy jej lśniły, samo jak klejnoty, które miała na szyi.

Jack spojrzał na Anne Wilder, ciekawy jej reakcji na podobną szczerość

Kiedy indziej ta pełna goryczy spostrzegawczość Willa wywołałaby uśmiech na twarzy Anne. Nie dziś. Tego wieczoru miała przybyć z zamiarem zwiedzenia Domu grupa statecznych i szczególnie zamożnych patronów. Jeśli wyjdą w przeświadczeniu, że dzieje się tu dobrze, wówczas mogą dać jeszcze więcej pieniędzy. A co ważniejsze, mogą dać swoją ocenę. Osoby, które zaprosiła, miały długie doświadczenie w prowadzeniu dobroczynnych instytucji - coś, czego jej bardzo brakowało.

- Robimy, co możemy, Willu. Gdzie jest pan Fry? - spytała, rozglądając się za administratorem.

- W kuchni. - Will otworzył pchnięciem jedne z mnóstwa drzwi wiodących do głównej części budynku i wszedł, mrużąc oczy w słabym świetle.

W swoim poprzednim wcieleniu Dom był popularnym teatrem. Dotąd nosił pewne oznaki dawnej chwały. Gigantyczne złocone kolumny wspierały na pół zapadnięty balkon, a nad dawno porzuconą sceną zamarły w ciemności wyszczerbione, jaskrawo pomalowane loże. Aksamitne kurtyny dawno temu zostały pocięte na kwadraty i wykorzystane jako koce. Wszystkie krzesła i większość ławek usunięto.

Setki ludzi - więcej niż kiedykolwiek zdarzyło jej się tu widzieć - siedziały teraz na podłodze. Opierali się o zawilgocone ściany, wydając jednostajny, niski pomruk, niczym duchy członków dawno zmarłego chóru. Zbiorowy oddech unosił się obłokami pary pod sufitem tego przestronnego pomieszczenia.

Panowały tu chłód, wilgoć i ciemność, a choć tłum wypełniał wnętrze, nadal sprawiało ono wrażenie ogromnej, pustej skorupy. Od ścian odbijało się echo.

Widok tego pomieszczenia zawsze nieuchronnie przygnębiał ją. A jednak wiedziała, że dla wielu było to schronienie niezwykle komfortowe. Tyle było im potrzeba. Tyle pragnęli. Puste oczy odprowadzały ją, gdy zmierzała do niewielkiej kuchni położonej na tyłach sali. Czasem uniosła się jakaś ręka, przesyłając pozdrowienie bądź przekleństwo. Nie mogła mieć za złe tym, co ją przeklinali. Jakie prawo miała, by nosić wełniany płaszcz, gdy oni nie mieli butów?

- Musimy zdobyć rękawiczki dla dzieci, Willu - powiedziała po cichu.

Chłopak wzruszył ramionami, kopnięciem usuwając z drogi cuchnącego alkoholem mężczyznę.

- Jeśli pani będzie myśleć o tym, żeby im było ciepło w ręce, nic dobrego z tego nie przyjdzie. Ukradną im rękawiczki w godzinę, sprują i sprzedadzą włóczkę, żeby mieć na jedzenie. Co to jest...

- Co to jest marznąć w ręce, kiedy się jest głodnym? - dokończyła za niego Anne, walcząc z uczuciem, że to wszystko na próżno.

- O to to, pani Wilder - podchwycił wesoło Will.

- Obawiam się, że nie znam się na tym zbyt dobrze - powiedziała tonem usprawiedliwienia.

- Co tam, wszystko w porządku, pani Wilder - rzekł wspaniałomyślnie chłopak. - Tylko ma pani za miękkie serce, a dla nich ten, co ma miękkie serce, nie ma za dużo tutaj - popukał się palcem w czoło.

Anne przyszło na myśl, czy Jack Seward też był kiedyś takim chłopcem jak Will - twardym, pozbawionym sentymentów i zdolnym do radzenia sobie z każdą okropnością, jaką zgotuje mu życie.

Jack ze swoją sztywną urodą strąconego archanioła i przenikliwymi, wszystkowiedzącymi oczami... Zagryzła wargi, usiłując usunąć z myśli jego obraz. Nie ma prawa myśleć o Jacku inaczej jak o wrogu. W ciągu ostatnich paru tygodni straciła z oczu tę prawdę.

Will wprowadził ją do pomieszczenia kuchennego. Tu znajdowało się znacznie mniej ludzi. Przysadzisty piec w przeciwległym kącie nie dawał zbyt wiele ciepła, a nikły żar w niewielkim stopniu wspomagało parę łojowych świec skwierczących w ściennych lichtarzach. Ludzie tłoczyli się, starając się zgromadzić wszelkie ciepło, jakie były w stanie wytworzyć ich ciała.

Krążyła pogłoska, że Jack spędził pierwsze lata życia w takim właśnie miejscu. Tylko gorszym. Znacznie gorszym.

- Gdzie jest pan Fry? - mruknęła, rozglądając się po pomieszczeniu.

- Może znowu przed wejściem - podsunął Will.

- Znajdź go, Willu. Powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać o finansach. Zanim przyjdą ci ludzie.

Pan Fry nie mógł wyjawić, ile pieniędzy im dała. Nie miała rachunków na pokrycie tych sum i sponsorzy szybko by się o tym dowiedzieli.

- Tak jest, proszę pani. - Will zasalutował krótko i zaczął przedzierać się przez tłum, zarabiając na przekleństwa tych, którym w pośpiechu nadepnął na rękę czy nogę.

- Pani Wilder? - Starsza kobieta złapała ją gruzłowatymi palcami za rękaw.

Anne z desperacją spojrzała na uniesioną ku niej ożywioną nadzieją twarz.

- Słucham, pani Cashman?

Syn Mary Cashman, John, będąc pod komendą Mateusza, otrzymał kilka poważnych ran w głowę. W rezultacie zwolniono go z marynarki. Jego los bardziej niż czyjkolwiek przepełniał Anne poczuciem winy.

- Pani, są już może jakieś wiadomości z Admiralicji? - spytała kobieta z nadzieją w głosie.

- Na razie nie, pani Cashman. Ale nie spoczniemy, dopóki nie dostanie pani swojej należności.

Cashman przez dwa lata usiłował wydostać z Admiralicji swój zaległy żołd, tak żeby matka mogła przestać żebrać. W końcu, pijany, zły i zawiedziony, dołączył do zbiegowiska buntowników włamujących się do sklepu rusznikarza. Zbyt zamroczony alkoholem, by uciec, Cashman stał się jedynym oskarżonym.

Torturowano go, uznano za winnego próby wzniecenia rozruchów i powieszono. Jego ostatnim życzeniem było, by należny mu zaległy żołd został przekazany matce.

- Przykro mi, pani Cashman.

Gdyby John Cashman nie służył na statku Mateusza... To bez sensu. Zbyt wiele rozmaitych „gdyby" przepełniało jej myśli. Gdyby John nie był pod komendą Mateusza... Gdyby Mateusz poślubił swoją młodzieńczą miłość, Julię Knapp... Gdyby ona, Anne, umiała kochać go, tak jak na to zasługiwał... Gdyby ona i Jack spotkali się wcześniej...

Starsza kobieta pokiwała ponuro głową. Była zmęczona, przybita, chora i pragnęła tylko dwóch rzeczy, rehabilitacji syna i spadku po nim.

- On nie był zdrajcą, pani - powiedziała cicho. - On był odważny, mój Johnny. Gazety pisały o nim „dzielny chwat". I taki był.

- Pani Cashman...

- Cicho sza, pani. - Kobieta położyła brudny palec na popękanych wargach. - Nie ma co kołysać łodzią. Trzeba tylko trzymać kurs ździebko dłużej. Wszystko będzie dobrze...

- Tak, pani Cashman.

Staruszka uśmiechnęła się.

- Nie patrzcie tak, pani. Macie swoje własne zmartwienia i kłopoty. Stracić męża takiego jak kapitan Wilder... Johnny mówił, że to najlepszy i najporządniejszy dżentelmen, pod jakim służył.

- O tak, prawdziwy dżentelmen - dał się słyszeć za nimi ochrypły, Bełkotliwy głos. - I cholernie kiepski dowódca.

Z mroku wyłonił się mężczyzna na drewnianym szpuncie, podpierający się prymitywną kulą. Brakowało mu i ręki, i nogi.

- Co ty sobie myślisz, O'Shea, żeby mówić coś takiego? - syknęła na niego Mary Cashman. - Po wszystkim, co pani Wilder dla ciebie zrobiła?

O'Shea wysunął wyzywająco dolną wargę. Wionęło od niego tanią whisky.

- Lepiej by było, żeby mnie zabił pani dobry mąż, niż tak jak teraz... Bawił się w wojnę, dżentelmen!

Anne nie miała na to żadnej odpowiedzi. Patrzyła na żałosny kikut ramienia, na szpunt, w miejscu którego powinna być noga... Mateusz nie tylko sam zginął przez swoją brawurę i brak doświadczenia. Poświęcił także całą załogę.

Mogła go powstrzymać... Nie mogła... Myśli splątały się jak węże, jadowite, trujące.

Z Franka O'Shea uszła nagle wola walki. Oczy mu się załzawiły. Zamrugał.

- Niech mnie pani nie wyrzuca. Nie wiem, co by się ze mną stało... Nie mam gdzie pójść. Ja tylko miałem na myśli, że kapitan był zanadto dżentelmenem. Nie miał drygu do wojny, wie pani, o co mi chodzi?

- Tak - odparła słabo Anne.

- Widzisz? - Pijak rzucił Mary Cashman spojrzenie pełne wyższości. - pani Wilder wie, że jej mąż nie powinien był dowodzić statkiem. - Głowa zachwiała mu się na cienkiej szyi jak przejrzałe jabłko na gałązce. - Powinien był siedzieć w domu, pieścić swoje rany i pić herbatę z tą paniusią, swoją małżonką.

Słowa te brzmiały w jej w uszach jak przekleństwo. Wpatrywała się w niego z dręczącym poczuciem winy.

Frank otarł oczy wierzchem dłoni. Ten ruch i wypity alkohol sprawiły, że stracił równowagę. Kula zaklekotała po podłodze. Frank zachwiał się na swojej jedynej nodze i runął.

Anne chwyciła go, gdy padał. Wciągnął gwałtownie powietrze i wczepił się w nią, z oczami rozszerzonymi paniką i zmieszaniem. Trzymała go mocno. Przez sekundę jego twarz, tak bliska jej twarzy, stężała w gniewie.

Cóż... Był młodym mężczyzną, uświadomiła sobie Anne z zaskoczeniem i rozpaczą. Prawdopodobnie niewiele starszym od niej... Miał jakieś plany, perspektywy, którym wojna do spółki z Mateuszem położyły nagły kres.

- Nienawidzę mojego kalectwa! - warknął O'Shea poprzez zaciśnięte zęby. Po policzkach płynęły mu łzy. - Nienawidzę tego, czym się stałem!

- Wiem, wiem - mruknęła Anne, ostrożnie pomagając mu stanąć. Pani Cashman cmokając z dezaprobatą, schyliła się po kulę.

Złapał ją i odwrócił się.

- Niech pani stąd idzie - warknął ponuro. - Niech się pani stąd zabiera, do diabła!

- Macie, pani, inne zmartwienia na głowie - powiedziała uspokajająco pani Cashman. - Ja się tu zajmę tym O'Shea, a wy macie na głowie te wszystkie szlachetnie urodzone osoby, które przychodzą na nas popatrzeć, tak czy nie?

- Tak. Tak, mam - wykrztusiła. Wiedziała, że szemrze ledwie dosłyszalnie, ale przemocą wyrzucała z siebie kolejne słowa, usiłując zagłuszyć wewnętrzny głos, który wykrzykiwał oskarżenia pod jej adresem. - Muszę znaleźć Willa i pana Frya. Koniecznie musimy zrobić dobre wrażenie...

Pasmo włosów wymknęło się nagle z jej starannie upiętej fryzury i opadło na ramię. Spojrzała w dół. Jej spódnica była wilgotna, w plamach, rękawiczki powalane ziemią...

Wygląd znaczy tak wiele dla tych ludzi. Kobieta może ufundować dobroczynny zakład, ale nie wolno jej zniżyć się do bezpośredniego wykonywania brudnych prac, jakich wymaga jego prowadzenie. Może to robić tylko prosta, ordynarna kobieta, ale prosta, ordynarna kobieta nie otrzyma wsparcia ze strony bogatych i dobrze wychowanych.

Do oczu Anne napłynęły łzy. To tyle, jeśli chodzi o dobre wrażenie.

*

Fakt, że Anne Wilder wzbudziła w nim głęboką tęsknotę, nie oznaczał

bynajmniej, że ma być wolna od obserwacji. Jack podążył więc jej śladem do ubogiej części miasta, gdzie jego złodziejka zastawiła skradzione kosztowności.

Zatrzymał się dyskretnie w stosownej odległości od dawnego teatru, który spełniał obecnie rolę instytucji dobroczynnej, i zaczął ogrzewać dłonie przy należącym do sprzedawcy kasztanów koszu z węglami, przy okazji wchodząc nieuważnie w podmarznięte błoto. Zaczął mżyć deszczyk. Jack co chwila poprawiał kołnierz, ale kapiące z ronda kapelusza krople mimo wszystko znajdowały drogę, by spływać mu po plecach lodowatym strumykiem. Zastanawiał się, czy powinien wejść za nią do środka. Mogła spotykać się tam z kimś, kto zajmuje się skradzionymi dobrami. Przytułki to doskonałe miejsce do kontaktów ze światem przestępczym... Mimo wszystko został na ulicy.

Ponieważ nie chciał widzieć jej w takim miejscu.

Chociaż Dom zachował tandetny blichtr porzuconego teatru, wydzielał z siebie również woń przytułku: potu, alkoholu i beznadziei. Czuć ją było aż tu, o parę przecznic dalej.

Anne chyba nigdy przedtem nie znała ludzi podobnych do tych, którzy kończyli w takim miejscu: mężczyzn i kobiet, dla których seks to wyłącznie cielesna ulga, bo ich dusze i umysły są zbyt zdrętwiałe, by móc przeżywać coś więcej, dzieci gotowych sprzedać wszystko i wszystkich wyłącznie po to, żeby przeżyć kolejny dzień... I on kiedyś był taki.

W miarę jak upływały kolejne minuty, narastał w nim niepokój. Weszła tam sama... To prawda, była ich dobroczyńcą, ale Jack wiedział z pierwszej ręki, jak niewiele to znaczy dla zdesperowanego człowieka. A jeśli wyjdzie na zewnątrz i ktoś ją zaczepi? A jeśli nawet w budynku spotka kogoś w pustym korytarzu? A jeśli...

Nie będzie spokojny, dopóki nie zobaczy jej bezpiecznej. Przeciął smaganą śniegiem i deszczem ciemną ulicę, uzbroił się wewnętrznie na spotkanie z wonią i widokiem tego miejsca i zaczął wchodzić po schodach ku drzwiom frontowym. Dwadzieścia pięć lat temu opuścił podobny przybytek. Nigdy później nie wszedł do innego. Nie chciał wchodzić i teraz.

Dwóch przypominających szkielety, okrytych łachmanami żebraków zgarbiło się na jego widok. Pchnął drzwi. Podmuch zimnego, stęchłego powietrza wionął mu na twarz i oblepił gardło ohydną wonią beznadziei. Wewnątrz zapłakało dziecko.

Nienawidził tego. A jednak wszedł. Uważał, by patrzeć prosto przed siebie, by nie oglądać widm swojego dzieciństwa. Jakaś dłoń w błagalnym geście otarła się o jego nogę. Rzucił się naprzód.

Zauważył chłopaka, który z zainteresowaniem zwracał ku niemu wyrazistą, bystrą twarz. Skinął na niego. Chłopak podszedł.

- Gdzie jest dama, która weszła tu pół godziny temu? - spytał Jack.

- Pani Wilder? - Chłopak uniósł głowę. - A ile pan da?

- Pół korony.

Oczy chłopca rozszerzyły się, a następnie zwęziły. Parsknął i wskazał okrycie Jacka.

- Pański płaszcz jest wart dziesięć razy tyle. Może pan sobie pozwolić na troszkę więcej.

Płaszcz był wart czterdzieści razy tyle, ale chłopak nie mógł tego wiedzieć. Swoje własne palto wygrzebał przecież w kupie łachmanów albo ukradł innemu chłopcu.

Przeżyć - tylko to się tu liczyło. Tylko tyle oczekiwał tu człowiek od następnego dnia, miesiąca, roku. W miejscu takim jak to wszystko podlegało wymianie w nieustannym targu o życie.

Jack bez słowa rzucił chłopakowi koronę. Ten złapał ją w powietrzu i rozejrzał się, by sprawdzić, czyje ciekawe oko było świadkiem jego nieoczekiwanej gratki.

Jest tam. - Chłopak gestem zachęcił Jacka, by szedł za nim. - W kuchni. Czeka na grube ryby.

- Grube ryby? - Jack wciąż unikał patrzenia na otoczenie. Koncentrował się na słowach chłopca. Nie potrzebował odświeżać wspomnień - cierpkiego odoru moczu, zastarzałego potu... Nie chciał być tutaj.

- No tak. - Chłopak pchnął kolejne drzwi. Jack wszedł za nim, mrużąc oczy w buchającym z przedwiecznego pieca dymie. - Ma przyjść tu do nas lada moment cała czereda dżentelmenów i dam, żeby zobaczyć, czy warto nam pomagać.

Jack nie słuchał. Zauważył Anne dokładnie w momencie, gdy kaleki mężczyzna obejmował ją za ramiona. Jack już chciał się rzucić naprzód, ale się opamiętał. Ten człowiek jej nie atakował. On się przewracał.

A Anne go chwytała.

Objęła mocno brudasa, ostrożnie pomogła mu stanąć na powrót na zarosłej brudem podłodze i uklękła obok niego.

Nie spuszczając z niej oczu, Jack podszedł bliżej. Ludzie rozstępowali się przed nim. Słyszał, że Anne coś mówi. Coś o wywarciu dobrego wrażenia - a potem włosy rozsypały jej się wokół ramion. Spojrzała w dół i rozpłakała się.

Nie powinna płakać.

Dotknął jej ramienia. Odwróciła się. W jej oczach było rozpoznanie i konsternacja.

- Proszę pozwolić, że pani pomogę - usłyszał własny głos. Wyciągnął rękę. Wpatrywała się w nią, jakby oferował jej nie pomoc, lecz jakiś diabelski pakt. Powoli, z wyrazem otumanienia i bezradności na twarzy, złożyła dłoń w jego dłoni. Pomógł jej wstać i poprowadził w kąt pomieszczenia.

Nie było tu żadnej prywatności. Każdy akt - prokreacji czy walki o życie - rozgrywał się w takich miejscach na oczach widzów. Ale ona się o tym nie dowie. Nie dowie się nigdy, jeśli będzie miał na to wpływ.

Podszedł bliżej. Swymi szerokimi ramionami spróbował odgrodzić ją od spojrzeń,

stworzyć niewielką przestrzeń, w której mogłaby się schronić.

- Włosy się pani rozsypały. - Głos Jacka brzmiał tak, jakby zabrakło mu tchu.

Czuł jej ciepło i delikatną, czystą woń jej ciała. Była tak dziwna i odurzająca jak zapach róż w styczniu. W takim miejscu, po tylu latach... To za wiele. Zamknął oczy. Postać

ręce z dala od niej. Kiedy w parę minut po tym, jak mu podziękowała, pojawili się lordowie i damy, właściwie uciekł.

Pchnął drzwi i wkroczył do niewielkiego, pustego pokoju. Nie poznawał samego siebie. To się musi skończyć! Powinien skupić się na sobie, odgrodzić się murem od wszystkiego, co go rozprasza. Gubił się, tracił kontrolę nad sobą i dystans, których tak rozpaczliwie potrzebował, by przetrwać.

Odwrócił się i zamarł, zaskoczony. Za nim stał, cierpliwie czekając, Adam Burke. Jack zagryzł w zdenerwowaniu wargi. Burke, jeden z jego najlepszych informatorów... Istotnie, zawezwał go, a potem zapomniał. Rozdrażniło go to.

- Potrzebuję dokładnych wiadomości na temat wszystkich służących zatrudnionych w domach tych pań - rzekł chłodno. - Chcę wiedzieć, gdzie śpią, z kim śpią, kim są ich rodzice, gdzie przebywają. Możesz to zrobić, czy mam to zlecić Griffinowi?

- Nie, sir! - odpowiedział skwapliwie Burke. - Nie ma powodu, żeby zawracać głowę Griffinowi, sir. Ja się zatrudniłem... to jest, zatrudniłem się u Frostów. Wie pan, jaka jest służba... Będę mógł dostarczyć panu każdą najdrobniejszą plotkę.

- Ja potrzebuję czegoś więcej niż plotki, Burke - rzekł ostro Jack. - Potrzebuję faktów. Czy to jasne?

- Tak jest, sir. Najzupełniej jasne. Do końca tygodnia będzie pan lał nazwisko ciotki szwagra pomywaczki, sir! - Młody człowiek aż trząsł się ze strachu, słysząc groźny ton Jacka.

Jack opanował się. To, że sam znalazł się w dziwnym stanie, nie było winą chłopaka.

- Nie przejmuj się tak, Burke. Jestem po prostu w złym humorze. Wybacz mi. Nie mam zamiaru odgryźć ci głowy.

Wybacz mi? Oczy Burke’a rozszerzyło uwielbienie. Pułkownik Seward był jedynym znanym mu człowiekiem, który traktował swoich wywiadowców z taką samą kurtuazją jak oficerów.

Burke spędził w wojsku sześć lat, z czego połowę w służbach specjalnych pułkownika Sewarda. Uczciwszego, twardszego i przyzwoitszego dżentelmena nie sposób było znaleźć. Choć plotka mówiła, że kiedyś był wycirusem z przytułku, Burke wiedział, co to wysoka jakość. Pułkownik miał klasę.

- A same te panie, sir? - spytał.

- Tak samo trzeba się nimi zająć - odparł pułkownik. - Chcę wiedzieć wszystko, co dotyczy tych czterech kobiet. Czy ich bracia mają kosztowne upodobania, czy ich wujowie mają metresy Francuzki... Wszystko.

- Będzie pan to wszystko miał, pułkowniku - rzekł Burke. Po czym spoważniał. - Byłem tam tylko parę dni, sir, ale zebrałem już trochę informacji. Służba mówi, sir, że pan Frost szaleje. Ostro pije i wygaduje głupoty. O panu.

- To rozpacz, Burke. Stracił syna.

- Ale on wini za to pana, pułkowniku. Mówi, że pan... hm... że... - jąkał się Burke.
- Że zagroziłem mu, iż publicznie oskarżę jego syna o zdradę stanu, jeśli będzie kwestionował moją pozycję społeczną? - spytał spokojnie Jack.
- Tak, sir.
- Tak też uczynię. - Jack odchylił się w krześle i obserwował Burke'a z niewzruszonym wyrazem twarzy. - Masz w związku z tym jakiś problem, Burke?
- Nie, sir. Pan zawsze robi to, co należy, ani mniej, ani więcej, i to nie jest żadne pochlebstwo. Nie, sir, nie mam żadnego problemu. Ale pan Frost ma, i myślę, że lepiej by było dać mu już spokój. To jest taki typ, sir, co uważa, że prawdziwy mężczyzna nie zamyka gęby na widzimisię kogoś gorszego od siebie - co nie znaczy, że pan jest gorszy, pułkowniku - a ta rzecz gryzie go w tyłek jak diabli.
- Twoje słownictwo, Burke - zwrócił mu łagodnie uwagę pułkownik. - Maniery i sposób zachowania otworzą ci wszystkie drzwi, ale pod warunkiem, że potrafisz wykorzenić wszelkie zarodniki prowadzące do jaskini, w której się urodziłeś. Język to taki właśnie zarodnik.
- Tak jest, sir. Ale... yyy... wybaczy pan, sir, ale pan sam wymawia „r" po szkocku. Jakby coś warczało.
- Tak - przyznał Jack. - Ale nie zawsze. Tylko wtedy, kiedy chcę. To mój talizman, Burke.

Burke skinął głową, choć nie rozumiał, o czym pułkownik mówi. Tak czy owak Seward, wywodzący się z najgorszych społecznych dołów, był jego wzorcem, skoro więc zależało mu, żeby Burke wyrażał się poprawnie, to Burke tak będzie się wyrażał.

- A co do Frosta - ciągnął pułkownik - to doceniam twoją troskę i zrobię, co będę mógł, żeby nie wystawiać więcej na próbę tego dżentelmena. Czy masz dla mnie jeszcze jakieś przestrogi?

Słysząc ten lekko ironiczny ton, Burke poczerwieniał.

- Nie, panie pułkowniku. To ja idę. - Burke skłonił się zgrabnie i wyszedł. Po drodze omal nie zderzył się ze starszym, łysiejącym dżentelmenem podążającym zdecydowanym krokiem wzdłuż hallu. Pewnie kolejny spryciarz na usługach pułkownika, pomyślał Burke. Seward miał ich tuziny i żaden z nich nie wiedział nic o pozostałych.
- Mam nadzieję, że masz coś dla niego - uśmiechnął się do starego. - Wygląda na to, że trudny czas ma nasz pułkownik...

Mężczyzna mruknął coś pod nosem i zniknął za drzwiami.

Znalazłszy się w środku, sir Knowles obejrzał się z irytacją.

- Kto to jest ten młody impertynent o wyglądzie Adonisa?
- Adam Burke - odparł nieuważnie Jack.
- A Adam Burke to... - naciskał Knowles.
- Wywiadowca. Jest bardzo dobrze widziany jako lokaj we wszystkich

eleganckich domach, właśnie ze względu na swą prezencję. Najbardziej wymagający pracodawcy żądają, żeby lokaj nie tylko usługiwał, ale również dostarczał wrażeń estetycznych. A poza tym to dobry, porządny człowiek. Ostatnio pracuje u Frosta.

- Rozumiem - powiedział Knowles z lekkim rozdrażnieniem, opadając na obite skórą krzesło.

- Proszę mi wybaczyć moje maniery, sir. Czy zamówić herbatę?

- Do diabła z manierami, Jack. Przyszedłem, żeby zobaczyć, jak mu idzie, i poinformować, że pewien człowiek z Admiralicji spotkał się wczoraj z dość zdecydowanym żądaniem pana głowy.

- Ach tak? - spytał Jack.

- Frost wpadł jak wystrzelony z procy i zaczął miotać wszelkie możliwe kalumnie pod adresem pańskiego charakteru.

Znowu ten przeklęty ojciec w żałobie.

- Mam nadzieję, że kalumnie były celne. Szkoda języka na przypisywanie do mojego nazwiska chybionych przymiotników, kiedy jest tyle innych, których można użyć.

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Odprawiono go, rzecz jasna. - Knowles osuszył czoło chusteczką. - Niemniej proszę zadbać, żeby nie wałęsali się tu rozmaici przedstawiciele socjety i nie wchodzili nam w drogę.

- Tak jest, sir.

- Doskonale. A teraz do rzeczy, Jack. Obraca się pan w najelegantszych salonach od co najmniej dwóch tygodni. Proszę mi powiedzieć, czego się pan dowiedział.

- Jestem pewien, że Jamison podzielił się moimi raportami...

Knowles przerwał mu głośnym parsknięciem.

- Jest pan pewien tego, co nie istnieje. Jamison wydziela mi po kropelce tylko takie informacje, co do których podejrzewa, że już je mam albo będę je miał skądinąd, nic ponadto.

Bez wątpienia była to prawda. Jamison i Knowles nieustannie grali ze sobą w ślepą babkę, udzielając sobie nawzajem tylko tych wiadomości, które rywal mógł wykorzystać zgodnie z zamierzeniami informatora. Wszystkie pozostałe trzymali w ukryciu niczym skarb, by użyć ich w stosownej chwili do własnych celów. Niestety, zbyt często stawką w tej grze była kariera i przyszłość innych ludzi, a czasem nawet ich życie. Jak w przypadku Johna Cashmana.

Ta myśl otrzeźwiła Jacka.

- Jamison niewzruszenie trwa na stanowisku, że skoro tylko złodziej zostanie zaaresztowany, natychmiast powinien go spotkać wypadek - powiedział Knowles. - Upiera się, że wszelkie przecieki co do treści tego pisma grożą katastrofą. Ogromną katastrofą.

- Już to słyszałem. Wielokrotnie.

Knowles obgryzł kawałeczek paznokcia i wypluł.

- Myślę, że chciałby, żeby każdego, kto wie coś na ten temat, spotkał wypadek.

- Każdego?

Knowles westchnął.

- Nie powinien pan się dziwić. Lojalność Jamisona wobec monarchii przybiera postać skrajną.

Jack przetrawiał ukryty sens tej informacji. List miał jakieś powiązania z monarchią, Knowles dopuszczał więc możliwość, że kiedy zostanie odzyskany albo kiedy zostanie potwierdzone jego zniszczenie, Jack może znacząco urosnąć w siłę.

Jeszcze ciekawsze było, dlaczego Knowles w ogóle informuje go o tym wszystkim. Wymagało to starannego przemyślenia. Czegoś, do czego Jack ostatnio raczej nie był zdolny.

- Ten złodziej, Jack...

- Od czasu naszej konfrontacji Duch zniknął. Jestem jednak przekonany, że kolejny rabunek to tylko kwestia czasu. Zamierzam go uprzedzić.

Knowles skinął z zadowoleniem głową. Wstał i skierował się do drzwi.

- Doskonale. Proszę jednak doprowadzić rzecz do końca, zanim Jamison zaszlachtuje nas obu w łóżkach za to, że rzuciliśmy okiem na jego bezcenny list.

- Tak jest, sir.

Knowles zrobił kolejną pauzę.

- Wiem - przemówił po chwili - że to prawdopodobnie niepotrzebne strzępienie języka, ale czy pan wierzy, czy nie, jestem pańskim przyjacielem, Jack. I będę nim, gdyby kiedykolwiek mnie pan potrzebował.

- Dziękuję, sir - odparł uprzejmie Jack, wypatrując sygnału, który powiedziałby mu, jakiej odpowiedzi Knowles od niego oczekuje. Żaden sygnał jednak nie nadszedł. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Knowles zniknął.

Jack w pomieszaniu padł na krzesło. Nie potrafił dostrzec motywów, dla których Knowles zaoferował mu swoją pomoc. Ale ostatnio w ogóle niewiele potrafił dostrzec... Gdyby istniała taka możliwość, mógłby podejrzewać, że jego umysł został zatruty.

Co noc przenikała do jego snów złodziejka, by odgrywać niekończące się erotyczne sceny. Budził się rano w napięciu, przepełniony niezaspokojoną potrzebą. Światło dnia nie przynosiło ulgi, bo wraz z nim zaczynała się inna, bardziej subtelna tęsknota. Za dnia monopolizowała jego myśli Anne Wilder. Podobała mu się jej niemodna bezpośredniość, jej sposób prowadzenia rozmowy, nawet jej dziwnie erotyczne, nieświadome zaniedbanie.

Wiedział dlaczego... Mogła poślubić arystokratę, choć jej antenaci wcale nie stali wyżej niż jego. W swojej niewybaczalnej głupocie piastował na dnie własnego czarnego serca mglistą nadzieję, błysk impertynencji, z uporem podsuwającej myśl, że być może jego względy wcale by jej nie przeraziły.

Co za absurd.

Anne Wilder, jakikolwiek był jej życiorys, miała za sobą małżeństwo z człowiekiem, którego wszyscy w towarzystwie uważali za wzór wszelkich cnót i małżeńskiego oddania.

Po takim związku cóż mogłaby znaleźć atrakcyjnego w mężczyźnie takim jak on?

*

Pot pokrywał ciało Jacka. Niezaspokojone podniecenie zwarło mięśnie jego brzucha w bolesny węzeł. Przetoczył się na wierzch, unieruchamiając pod sobą napięte, drobne ciało. Uda złodziejki oplotły go. Przegarnął jej włosy i przyciągnął głowę w dół, ku jej głowie.

Nakrył ją sobą, otoczył i wszedł. Zakołysała powoli biodrami, pogłębiając jego panowanie, ustanawiając własne. Zadrżał w zetknięciu z jej żarem, z jej głębokim, wewnętrznym uściskiem.

Ujął dłońmi jej pośladki, uniósł się i pchnął głęboko. Usłyszał jej długi, drżący wdech.

- Pragniesz mnie? - westchnęła.

Odpowiedział ruchem bioder, lepiej niż mogłyby wyrazić to słowa.

- Pragniesz mnie? - nastawała, zsuwając dłonie wzdłuż jego pleców, by przytrzymać go głęboko w sobie.

Chciał pić namiętność z jej ust, czuć jej rozkosz. Jego ciało tętniło żądzą spełnienia. Słyszał jak dyszy pod nim, ciężko, chrapliwie. Mięśnie drżały z napięcia.

- Pragniesz? - wyszeptała.

- Tak - wyrzucił z siebie. - Tak!

Zniknęła. Rozpłynęła się. Odrzucił głowę do tyłu, zawył w furii - i obudził się.

Niesmak i seksualne niespełnienie powitały go po tej stronie lustra. Co za przeklęte sny... Był wściekły, chory z pożądania.

Miesiąc upłynął od jego spotkania ze złodziejką, ale w ciągu ostatnich dziesięciu dni jej nocne wizyty nasiliły się. Każda miała jawnie erotyczny charakter; każda kończyła się seksualną udręką.

Ale nie dziś. Sięgnął w dół i zacisnął pięść wokół obrzmiałego członka. Zamknął oczy. Czuł smak jej języka, smak burgunda, czuł sprężystość i miękkość jej ciała... Dłoń zaczęła się poruszać.

Tej nocy znajdzie takie spełnienie, jakie jest mu dostępne. Niemniej, pomyślał, gdy rytm i ciemność przyniosły w końcu przykrą ulgę, ma nadzieję, że kiedy złapie złodziejkę, nie będą sami. Dla jej dobra.

8

Anne miała rację - Vedder to libertyn. I świnia... Sophia wpatrywała się ze złością w lustro, pozwalając, by z jej lśniących oczu płynęły łzy. Cóż, sama oklaskiwała tę

przenikliwość Anne. Oby przyniosła jej radość.

Wzięła do ręki notkę Veddera i nie spojrzawszy więcej na napisane śmiałym charakterem linijki, zmięła ją i cisnęła w ogień. Buchnął płomień.

A więc lord Vedder nigdy jej nie kochał. Kiedy jednak spotkała się z nim w parku tego ranka i poszła za nim do tajemnej altanki, gdzie nauczył ją tych rozkosznych sztuczek, które kobieta może robić z mężczyzną, mówił, że kocha! Dzięki Bogu, nigdy nie naśladowała tego idiotycznego sentymentalizmu. Przynajmniej tego mogła sobie pogratulować.

Uniosła podbródek, wpatrując się wyzywająco we własne odbicie. Czy tak wygląda kobieta niemoralna? A zatem kobieta niemoralna wygląda pięknie. Oderwała od swojej nowej, kosztownej sukni delikatną koronkę wykańczającą dekolt i cisnęła ją w ogień w ślad za notką. Być może mogłaby nawet podziękować lordowi Vedderowi za jego nauki...

Więcej przyjemności z tego miłosnego aktu miał Vedder niż Sophia. Doprawdy, rozkosze ciała to niewiele więcej niż zwykła przyjemność... Zupełnie jakby podano ci mleko, kiedy masz ochotę na śmietankę.

Skoro jednak nawet tak letni, mdły, egoistyczny mężczyzna jak lord Vedder może dawać przyjemność, to o ile większą może zyskać z kimś takim jak Jack Seward? Sophia z namysłem zmrużyła oczy. Z notki Veddera wynikało jasno, że oczekuje, iż ona będzie usychać z tęsknoty za nim, wylewać łzy... Niech go diabli! Skoro, jak mówi, jest skończona, to równie dobrze może się tym radować.

Uśmiechnęła się do swego odbicia. Czas odkryć, gdzie dają śmietankę. Miała nadzieję, że dziś wieczorem, u lorda Stranda, zdoła to ustalić.

*

Northowie przybyli na bal o wiele wcześniej, nim pojawili się modni goście. Malcolm jednak zdecydował, że nie przepuści żadnej okazji do zagrania w karty, Sophia zaś postanowiła, że nie ominie ani jednego tańca.

- Mam nadzieję, że Seward nie zacznie znowu węszyć za Sophia - odezwał się Malcolm siedzący na otomanie obok Anne. - To bękart. I niezbyt sympatyczny.

Anne nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi. Określenie „sympatyczny” nie pasowało do Sewarda... Rycerski, poważny, pełen ogłady - tak. Ale był też, w jemu tylko właściwym znaczeniu tego słowa, sympatyczny.

- Ten człowiek przypomina dym - ciągnął Malcolm. - Nigdzie go nie widać i nagle widać go wszędzie. Zniechęcaj go, Anne, jak możesz. Ale rób to dyskretnie. Seward cieszy się zaufaniem regenta.

- Spróbuję - obiecała Anne, modląc się w duchu, żeby go dziś przypadkiem nie spotkać. Równocześnie pragnęła go zobaczyć.

Dwa dni temu Jack stał za nią i dotykał jej włosów, budząc w niej krępującą świadomość swego wzrostu, siły i męskości. Siał spustoszenie w jej uczuciach. Wiedziała, że szedł jej śladem do Domu w nadziei, że przyłapie ją na jakichś

przestępczych machinacjach, tak samo jak wiedziała, że jego zainteresowanie dla niej wykiełkowało z podejrzliwości. Wykonywał po prostu swoją pracę - a jednak, gdy zebrał dłonią jej włosy, gdy spojrzał jej w oczy, miała wrażenie, że jest w tym coś żywiołowego. Coś pokrewnego temu żarowi, który poczuła w sypialni lady Cotton.

O czym ona myśli? Odwiodła go po prostu tamtej nocy od jego celu; on z pewnością zrobiłby to samo, tak samo wykorzystałby swoje oddziaływanie na nią do własnych celów. Trudno było nie zauważyć, jak dalece jest wrażliwa na jego obecność, na jego dotyk...

Pragnęła tego, co obiecał. Pragnęła, żeby zagarnął ją ramionami, pragnęła zatracić się w jego namiętności...

- O, do diabła - wykrzyknął nagle Malcolm. - Na śmierć zapomniałem ci powiedzieć. Pojutrze idziemy do Julii Knapp. Przysłała pozdrowienia.

Anne zamarła. Julia Knapp - pierwsza miłość Mateusza, jego prawdziwa miłość. O ile Anne wiedziała, nigdy nie wyszła za mąż, dochowując wierności mężczyźnie, który ją porzucił. Co nie znaczy, by kiedykolwiek obarczała winą Mateusza... albo Anne.

Kiedy dotarła do niej wiadomość o ich zaręczynach, przysłała Anne list. „Serce nie sługa", pisała. Skoro Mateusz kocha Anne, to musi ona być wspaniała. Julia życzyła im szczęścia.

Jej późniejsze staropanieństwo było dla Anne niczym sztylet w serce. Skoro jednak przyjechała obecnie do miasta, to może zdecydowała się znowu wystąpić na małżeńskim rynku? A jeśli Julia postanowiła zadbać o własne szczęście, czy Anne nie mogłaby zrobić tego samego? Poczuła w sercu drgnienie nadziei.

- Czy przyjechała do miasta na sezon? - spytała.

- Co mówisz? A, znaczy Julia Knapp? - Malcolm zmarszczył czoło. - Nie wiem. Nie pytałem jej. Nie mam pojęcia, po co przyjechała... Teraz to już starucha.

- Och, Malcolmie... Jest tylko o pięć lat starsza ode mnie!

- Dokładnie - rzekł Malcolm. - A ty od pięciu lat jesteś wdową.

Nic dziwnego, że Sophia ma tak miłosierną naturę, pomyślała z ironią Anne. Zdobyła ją uczciwą drogą.

Malcolm wychylił kieliszek porto, odstawił go na podłogę i oparł dłonie na kolanach. Stęknął i uniósłszy się nieco, rozglądał się po salonie, dopóki nie wypatrzył jednego ze swych serdecznych przyjaciół.

- Powinienem się przejść, Anne. Pamiętaj, postaraj się, żeby ten Seward nie zawracał głowy Sophii. Swoją drogą, gdzie to dziewczę się podziewa? - Po tych

tylko jedno miejsce, gdzie nie dosięgało jej poczucie winy. Jack Seward sprawił, że to schronienie zostało jej odebrane.

Nie odważyła się już wychodzić na dachy. Obserwował ją zbyt pilnie... Wstała. Gdzież ta Sophia się podziewa? Już trzy kwadranse minęły, odkąd odeszła, uwieszona u ramienia lorda Stranda.

Mniej miała zaufania do zdrowego rozsądku Sophii niż do rozsądku spaniela jej wuja... Wyszła z salonu i ruszyła korytarzem ku bardziej oddalonym, prywatnym pokojom.

- Pani Wilder?

Pieszczota tego głosu była zarazem jedwabista i drażniąca. Dopiero gdy zdała sobie sprawę z ulgi, jaka na nią spłynęła, uświadomiła sobie, jak bardzo się obawiała, że Sophia jest z nim.

Odwróciła się. Stał tuż obok. Jego surowa, przecięta blizną twarz nie potrzebowała maski. Któż mógłby cokolwiek odczytać poza tą nieprzeniknioną uprzejmością?

Próbowała rozeznać się we własnych uczuciach. Obawa, ulga, satysfakcja kłębiły się w niej splątane, zacierając nutę lęku. Ale strach, jak zrozumiała ostatnio, miał swoją własną, uwodzicielską moc.

Jack pochylił głowę, usiłując odczytać wyraz twarzy Anne. Rozmawiał właśnie z lady Dibbs, gdy zauważył, jak znika w tym mało uczęszczanym korytarzu. Nakazał sobie zignorować ją, pozostać na miejscu dotrzymać towarzystwa zachłannej damie.

Ale Anne wyglądała na zmartwioną. Wytrwał więc przy swojej decyzji całe pięć minut, po czym uległ impulsowi i ruszył za nią.

- Witam, pułkowniku Seward - rzekła.

Mógłby uwierzyć w ulgę, jaką sygnalizowało wygładzenie się jej czoła... Ale przelotna miękkość wyrazu jej zmysłowych ust, gdy wypowiadała pozdrowienie - to z pewnością musiała być tylko gra świateł albo imaginacja.

- Właśnie podziwiałam kolekcjtd79.72 301.83j 1 51cjt[(i)-3.16403(d.62232( )-66.3073(d))4.68

mogłaby zaakceptować jego towarzystwo tylko dlatego, by uczynić zadość wymogom etykiety, ukłuła go, a to z kolei go zmieszało.

Czekał, nie próbując jej pomóc. Utrwalał w pamięci surowe piękno i oryginalność jej twarzy, wiedząc, że odtąd wszystkie kobiety będzie oceniał, porównując je z urodą Anne.

- Nie chciałabym pozbawiać pana przyjemniejszego towarzystwa, choć nie mam nic przeciwko pańskiemu - szepnęła w końcu.

- Czy jest tu jakieś przyjemniejsze towarzystwo? - odparł. - Być może jest równie przyjemne, ale ponieważ nauczyłem się, by nigdy nie mierzyć jednej przyjemności, porównując ją z inną, nie potrafię na to odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się, ale była to tylko uprzejmość.

- Pięknie powiedziane, sir. Dziękuję i przyjmuję pańską ofertę.

Podał jej ramię, a ona ujęła je tak lekko, że ledwie czuł jej dotyk. rozumiał swój błąd. Zaakceptowała jego towarzystwo ze względu na maniery, ale nie były one tak dobre, by zdołała zamaskować wstręt do fizycznego kontaktu z nim.

Cóż... Czego mógł oczekiwać, skoro zawarł z nią tę niezwykłą znajomość zaledwie parę dni temu? Tamten powitalny uśmiech... Najsłuszniej uznać, że to tylko moja własna imaginacja, pomyślał i spokojnie poprowadził ją naprzód.

- Czy była tu już pani kiedykolwiek przedtem? - spytał po długiej chwili milczenia.

- Tak. - Uniosła ku niemu wzrok. - Dawno temu. Tuż po ślubie.

- Z pewnością nie było to aż tak dawno. Jest pani młodą kobietą - rzekł cicho.

Jakiś cień przemknął pod jej gładkim, powierzchownym spokojem.

- Biorąc pod uwagę liczbę lat, nie jest ich być może zbyt wiele. Ale licząc w minutach, rejestr jest dość bogaty - szepnęła, po czym, idąc spokojnie przed siebie, dodała: - Proszę mi wybaczyć ten nudny filozoficzny komentarz.

Przyglądał się jej, zaskoczony. Nie odwracała spojrzenia. Był w nim smutek, tak jakby przytłaczało ją ciężkie brzemię. Nagle zapragnął uwolnić ją od tego ciężaru, przywołać uśmiech na te miękkie wargi.

Ta myśl pociągała go, nawet jeśli można ją było uznać za banalną i śmieszną. Oszołomiony, pierwszy przerwał tę milczącą wymianę spojrzeń. Uniósł głowę i wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w alabastrową wazę umieszczoną na marmurowej podstawie.

- Nie podoba się panu?

Choć pytanie Anne było uprzejme, nie przestawała przeszukiwać wzrokiem hallu. Szuka wymówki, żeby uciec od mojego towarzystwa, pomyślał.

- Ależ tak, podoba mi się - odparł bez polotu. - Były dwie, ale druga stłukła się w czasie transportu.

- Jakież to smutne!

- Tak - mruknął, śledząc jej wzrok błądzący po pustym korytarzu. - Mówiłem

Thomasowi, że są zbyt kruche, żeby je przewozić.

- Był pan z lordem Elginem? - spytała, przenosząc w końcu spojrzenie na niego.

- Tak.

Nie będzie się wysilał na opowiadanie jej, że był w Grecji, organizując sromotną klęskę Napoleona pod Aleksandrią.

- Chciałabym zwiedzić Grecję.

Powiedziała to od niechcenia, tak jakby wyłącznie etykieta zmuszała ją do podtrzymywania konwersacji.

- Mogłaby pani pozować do któregoś z greckich posągów.

Jej śmiech był nieoczekiwany, nagły - i zachwycający. Chciałby usłyszeć ten dźwięk jeszcze raz.

- A który posąg mógłby to być, pułkowniku?

Persefony. Zaślubionej ciemności, tęskniącej za światłem.

- Och, każdy. Ma pani klasyczne rysy.

Oczy rozszerzyły się jej. Odwróciła wzrok.

- Nie powinienem być taki śmiały - powiedział, zatrzymując się. - Proszę wybaczyć moje zachowanie.

Przeklinał swoją niezręczność. Z płonącymi żarem policzkami, wciąż patrzyła w bok. Pragnęła uwolnić się od jego obecności... To było jasne od samego początku. Nie mógł dłużej ignorować jej awersji.

Delikatnie zdjął dłoń w rękawiczce ze swojego rękawa - jakież łatwe zadanie! - i skłonił się.

- Proszę mi wybaczyć, pani Wilder. Pani przechadzka najwyraźniej miała być samotna, a ja pani przeszkodziłem. Życzę miłego wieczoru.

Anne spojrzała mu prosto w oczy. Przez cały czas musiała sobie przypominać, że powinna wypatrywać Sophii, pragnęła wyłącznie cieszyć się jego towarzystwem, nawet jeśli nie potrafiła pogodzić tej przyjemności z lękiem przed Sewardem.

- Źle pan zrozumiał moje roztargnienie, pułkowniku - rzekła impulsywnie. - Wierzę, że nie nadużyje pan mego zaufania, sir, gdy powiem, że przeszkadza mi nie tyle pańskie towarzystwo, co nieobecność innej osoby. Tylko dlatego, że obawiam się, w jakie towarzystwo popala Sophia... Zniknęła przed godziną i teraz nie mogę jej odnaleźć.

Przyglądał się jej przez moment.

- Być może mógłbym pomóc pani ustalić miejsca jej pobytu?

- Będę wdzięczna, pułkowniku.

Z powagą znów podał jej ramię i zdecydowanym krokiem poprowadził przez plątaninę korytarzy, hallów, przedpokojów i sal.

Mimo że się śpieszyli, zajęło im kwadrans, zanim w końcu usłyszeli śmiech Sophii dochodzący zza zamkniętych drzwi. Anne uzbroiła się wewnętrznie na to spotkanie, niepewna, z jakim spektaklem przyjdzie jej stanąć twarzą w twarz.

Pułkownik Seward spojrzał na nią z uśmiechem.

- Wszystko będzie dobrze. Zapewniam - powiedział cicho. Uwierzyła mu. Poprzez pryzmat swego lęku widziała go teraz wyraźnie, dostrzegała jego wrodzony takt. Był dżentelmenem.

Jakie to dziwne - odkryć, że Ogar Whitehall, mężczyzna, który miał sumieniu „okropne" rzeczy, ma w sobie także ogromną delikatność uczuć... Nie miała jednak wątpliwości, że nie na darmo nadano mu ten przydomek - Diabelski Jack.

Przez jedną chwilę seksualną pamięć, której wystarczała najlżejsza sposobność, by się przebudziła, zastąpiło poczucie pokrewieństwa - czy czegoś w rodzaju przyjaźni. Nigdy dotąd nie miała mężczyzny przyjaciela...

I nie ma go nadal, przypomniała sobie surowo. Gra z tym niebezpiecznym mężczyzną w szarady. Nie wolno jej o tym zapomnieć.

Jack pchnął drzwi. Wokół okrytego rypsem stołu siedziało czterech mężczyzn - lord Vedder, lord Strand i dwóch młodzieńców, których Anne nie znała - Sophia zaś u jego szczytu.

Nieprzycięte knoty skwierczących świec słały kłęby czarnego dymu w ciężkie, przegrzane powietrze. Na poplamionym winem obrusie połyskiwał stosik monet. Jego szczyt wieńczyła bransoleta.

Sophia pierwsza zobaczyła Anne. Jej twarz natychmiast stwardniała w uporze, a w oczach błysnęło wyzwanie. Rozmyślnie zwróciła się do Anne ramieniem.

Anne zignorowała ją, starając się ocenić rozmiary szkody, jakie poniosła reputacja dziewczyny. Nie było tak źle, jak się obawiała... Wiele kobiet uprawiało hazard. Wprawdzie nie tak młodziutkich jak Sophia i nie wyłącznie w męskim towarzystwie, ale Anne pocieszała się jak mogła.

- Sophio... - zaczęła.

- Kto przyjdzie mi z pomocą? - rzuciła prowokacyjnie Sophia. - Niewątpliwie mój pocałunek wystarczy za stawkę?

Dobry Boże, pomyślała Anne, słabnąc. Ta dziewczyna jest ostatecznie pogrążona.

- Ja zagram - zgłosił się Jack.

Anne drgnęła. On nie może... Wyglądałoby... Szarpnęła się naprzód. Jack chwycił ją za ramię. Od niechcenia, nieznacznym ruchem, który obserwator mógłby wziąć za jej własny, odwrócił ją tak, że stanęła plecami do stołu.

- Chwileczkę, panowie - powiedział. - Pani Wilder i ja mamy do rozstrzygnięcia pewien mały zakład.

Wziął do ręki jej opuszczoną dłoń, trzymającą jedwabny wachlarz, i uniósł ją. Manipulował długimi palcami przy jej własnych, sztywnych, modląc się, żeby wachlarz się otworzył.

- Jeśli złapie pani swoją podopieczną i wyciągnie ją z tego pokoju, dostarczy im pani wrażeń, o których będą opowiadać sobie przy obiedzie przez dwa tygodnie - powiedział po cichu. Na ustach cały czas miał uśmiech, oczy lśniły.

- Nie wygląda, żeby dało się ją stąd wyciągnąć - odparowała.

- Niemniej - rzekł - musi pani mi zaufać, tak samo jak zaufała mi pani, powierzając powód, dla którego błąkała się pani tymi korytarzami. Proszę, pani Wilder.

Tak, ufała mu. Ta sama cecha, która budziła w niej strach, sprawiała, że nie mogła mu nie ufać. Jeśli zabiera się do jakiegoś zadania, na pewno nie spudłuje.

- Proszę udawać brak zainteresowania - powiedział, schylając głowę, tak jakby przyglądał się wachlarzowi. - Całkowity brak zainteresowania, wręcz znudzenie.

- To niemożliwe.

Przez chwilę w jego szarych oczach pojawił się uśmiech.

- Dla dobra panny Sophii proszę przynajmniej spróbować udać beztroskę. - Puścił jej rękę i wyprostował się. - Ma pani rację, pani Wilder - powiedział głośno. - To scena zupełnie jak z Hoghartha.

Podszedł do stołu i wskazał puste krzesło.

- Panno Sophio, panowie, czy można?

Vedder otworzył usta, ale zanim zdołał coś powiedzieć, Strand z błyskiem rozbawienia w oczach rzekł:

- Oczywiście, pułkowniku.

- Dziękuję.

Zajął miejsce i założył nogę na nogę.

- Wątpię, by mógł pan zagrać przy tym stole, Seward - powiedział Vedder, mierząc wzrokiem jego strój.

Po raz pierwszy Anne zwróciła uwagę na ubiór Sewarda, a nie na niego samego. Choć dobrze skrojony, pozbawiony były jakichkolwiek ozdób, nie uwydatniał też męskiej sylwetki, co było znakiem firmowym kreacji pochodzących od dobrego krawca. Seward ubierał się statecznie, jak mężczyzna o ograniczonych środkach.

- Ja poręczę za pułkownika Sewarda - powiedział przeciągle Strand. - Aczkolwiek nie będę brał udziału w grze, tak żeby umożliwić mu zgarnięcie moich pieniędzy. Pasuję.

- Cóż za hojność, Strand - rzekł Seward.

- Próbuję tylko wykazać, że niekorzystna opinia pani Wilder na temat mojej dojrzałości jest nieuzasadniona. Cóż pani powie, madame? Czyż odmówienie sobie przyjemności uczestnictwa w grze nie jest oznaką dojrzałości? Do krocset, zagrałbym o to. - Dżentelmen wybuchnął śmiechem.

Anne nie pozwoliła mu jednak odwrócić swojej uwagi od śledzenia Sewarda.

- Cóż, panno Sophio - ciągnął Strand - czy będzie się pani wykręcać?

Gra powoli nabierała tempa. Każda wyjście i podwyższenie stawki sprawiały, że puls Anne gwałtownie przyspieszał. Sophia, z olśniewającym uśmiechem na twarzy, sprawiała wrażenie osoby całkowicie beztroskiej. Tylko gorączkowe wypieki na policzkach zdradzały, że zaczynała pojmować powagę własnej sytuacji.

Coraz więcej monet pokrywało stół. Z każdą kartą coraz obfitszy pot zraszał czoła dwóch młodszych mężczyzn. Chlusnęli w gardła zawartość kieliszków, rozdzielając nerwowe spojrzenia pomiędzy szydercze oblicze lorda Veddera i chłodne, uprzejme - Jacka. W końcu, jeden po drugim, wypadli z gry.

Gra bardzo szybko dobiegła końca. Vedder założył, że podwyższenie stawki przez Jacka w odpowiedzi na jego śmiałe wyjście to blef. Założył błędnie.

Jack z łatwością wygrał. Vedder nie miał wyjścia, musiał przyjąć klęskę z taką godnością, na jaką tylko było go stać. Nie miał jej zbyt wiele, zauważyła Anne. Gwałtownie odwrócił się tyłem do stołu.

Jack bez słowa pchnął stosik monet ku bladej teraz jak papier Sophii. Dwaj młodzieńcy stojący obok kredensu parsknęli śmiechem.

Jack, z właściwą sobie surową gracją, wstał i zbliżył się do Sophii. Uniosła ku niemu wzrok.

Teraz ją pocałuje, pomyślała bezradnie Anne, i Sophia będzie skończona. A nawet jeśli Jack nie będzie się domagał przyobiecanego pocałunku, inni rozgadają, że złożyła tę propozycję i że została ona odrzucona. Wówczas nie tylko reputacja Sophii będzie zrujnowana, ale na dodatek ją wykpią.

Biedna Sophia... Biedne, krnąbrne, zagubione stworzonko. Ale pod powłoką współczucia zupełnie inne uczucie nurtowało Anne.

To Sophia będzie czuła pocałunek Jacka, dotyk jego warg, który Anne pamiętała tak dobrze. To Sophia pozna ich ciepło, ich nacisk... Sophia!

- Czy mogę otrzymać mój pocałunek, panno Sophio? - Jack wyjął z kieszeni żakietu chusteczkę i z eleganckim ukłonem podał ją Sophii. Jego poprawność była nieskazitelna: zachował kamienną twarz, nikt nie mógłby powiedzieć, że ma na myśli coś innego.

Sophia utkwiła w nim rozszerzone niedowierzaniem oczy. Anne poczuła zalewającą ją falę wdzięczności. Westchnęła bezgłośnie.

Weź tę chusteczkę, Sophio! - ponaglała ją w milczeniu. I Sophia, powoli jak we śnie, wzięła od niego śnieżnobiały kwadracik i lekko musnęła ją. Jack z uśmiechem zabrał chusteczkę z jej osłabłej ręki.

- Będę cenił to niczym skarb, panno Sophio. Wierzę, że lord Strand także ma podobnie miłą pamiątkę od innej damy.

- O, tak - powiedział przeciągle Strand. - Od damy o wyjątkowej dystynkcji i doskonałym smaku.

- To dosyć śmiały gest - zauważył jeden z młodzieńców.

- Nie pozwól, żeby ktoś usłyszał, że mówisz coś podobnego, mój chłopcze - powiedział Strand ze śmiechem. - Gdyby moja dama kiedykolwiek się dowiedziała, że jej gest został źle zrozumiany, zareagowałaby dość gwałtownie. Podobnie jak jej mąż, który doskonale spisuje się w pojedynkach.

- Nie chciałbym, żeby ktokolwiek źle interpretował kaprysy dam - rzekł Seward.

Spojrzenie, które zwrócił na młodzieńców, było tak niewinne, acz potencjalnie groźne jak tkwiące w pochwie ostrze.

- Ależ naturalnie! - zapewnił gorąco jeden z nich.

- Tylko prawdziwy łotr mógłby źle odczytać intencję damy - dodał sentencjonalnie drugi.

Strand podniósł się z westchnieniem.

- Myślę, że dość rozrywek na dziś, panowie. Może poszlibyśmy coś przekąsić?

Dwaj młodzi ludzie zgodzili się natychmiast, niemal depcząc Strandowi po piętach. Vedder wyszedł za nimi. Przechodząc obok Anne, skłonił głowę.

- Pani sługa.

Z twarzy Sophii ustąpiła bladość. Wstała od stołu, mocno zagryzając wargi.

- Dziękuję, pułkowniku. Jestem pańską dłużniczką.

- Nic mi pani nie jest winna, panno Soph9736(ł)-3.16295188(99942 0 0 17.96477(k)-9.607

jeden wieczór sprawiłam jej już dość kłopotów. Gdybym po prostu mogła znaleźć gdzieś trochę powietrza...

- Proszę pozwolić, że będę pani towarzyszył - zaproponował uprzejmie. W milczeniu wyprowadził ją na opustoszały korytarz i powiódł ku oknu. Szyba była stłuczona i draperiami poruszał chłodny powiew.

Spojrzała na Jacka. Uśmiechał się grzecznie, unosząc brwi i marszcząc przecięte blizną czoło.

- Czy czuje się już pani lepiej? - spytał ironicznie.

- O, tak. Dziękuję - powiedziała i przysunęła się trochę bliżej. Przygryzła dolną wargę, wiedząc, że wygląda to prowokacyjnie. - Muszę bardzo podziękować panu, jak należy, za to, że przyszedł mi pan dziś z pomocą. Teraz rozumiem, że moje postępowanie było impulsywne i nieprzemyślane. Niektórzy mogliby uważać je za przejaw nadmiernej swobody.

Nie zaprzeczył.

- Ale cóż, obawiam się, że istotnie jestem rozpuszczona. - Przysunęła się jeszcze bliżej i znów położyła mu wachlarz zecgorsie. Koniuszki piór dotykały silnej, opalonej szyi. - Uratował mnie pan od konsekwencji mojego braku rozwagi. Chciałabym... - rozpostarła palce na jego piersi, twardej i ciepłej pod tkaniną kamizelki - chciałabym okazać panu, że doceniam to.

Opuścił na nią wzrok.

- To niekonieczne, panno Sophio.

- Och, ale zależy mi nectym.

Potrząsnął głową. W jego uśmiechu był smutek i skruchec.

- Jestem za stary. Mógłbym być pani ojcem.

- Ojca już mam. - Położyła mu dłonie za ramionach, wspięła się necpalce i przywarła do niego całym ciałem.

- Jest pani dla mnie bardzo miła, panno Sophio - rzekł. - Ale to ani czas, ani miejsce, a ja, obawiam się, nie jestemccnęzczyzną, za jakiego mnie pani uważa.

Wyciągnął dłoń i lekko powiódł po jej policzku zesztywniałym palcem. Ten gest, choć pieszczotliwy, skutecznie zniszczył kontakt między nimi. Odsunęła się, rozczarowana i niezadowolona.

- Czy wróciła już pani do siebie? - spytał łagodnie.

Mogła darować sobie te śmiałe awanse. Musiał mieć podobnych schadzek na pęczki, skoro był tak zblazowany... Ta myśl rozdrażniła ją.

- Na razie tak, pułkowniku - powiedziała, pozwalając, by odsunął ją od siebie i poprowadził z powrotem. - Na razie tak.

*

Anne Wilder szła powoli obok lady Dibbs i nieznacznie wyciągając szyję, przypatrywała się zatłoczonej sali balowej.

- Czy zgubiła pani swoją czarującą młodą podopieczną, pani Wilder? - spytała

lady Dibbs kpiąco.

- Ależ skąd. Rada bym po prostu wiedzieć, czy dobrze się bawi...

Anne starała się okazywać beztroskę. Lady Dibbs dostrzegła jednak, że jej słowa zirytowały towarzyszkę, i na jej twarzy odmalowała się satysfakcja.

Siedem lat temu lady Dibbs była gwiazdą londyńskiego sezonu - przez całe dwa tygodnie. I właśnie wtedy Anne Tribble, to nieznane nikomu zero, przybyła nie wiadomo skąd i szturmem wzięła wszystkie salony. Mało tego... Potrafiła usidlić Mateusza Wildera, mężczyznę, który przez te właśnie dwa tygodnie wykazywał niewątpliwe oznaki, iż ulega czarowi lady Dibbs!

Nie to jednak było głównym powodem, dla którego lady Dibbs nie lubiła ciemnowłosej wdowy. Nie lubiła Anne Wilder przede wszystkim dlatego, że tylko ona spośród równych im pozycją wiedziała, że Cora Dibbs, majętna żona starego, złożonego chorobą barona, wypiera się swojej donacji. Widok wdowy przypominał jej za każdym razem, że jest oszustką i prowadzi grę pozorów.

- Jak pani myśli, gdzie mogła się podziać? - spytała niewinnie.

- Pewnie tańczy... Te młode panny mogą tańczyć całymi godzinami.

- Tańczy? - powtórzyła jak echo lady Dibbs. - Jestem pewna, że widziałam, jak wychodzi z sali w towarzystwie pułkownika Sewarda.

Wyraz zainteresowania na szczupłej twarzy Anne pogłębił się.

- Wiem, że w młodości pozwalała pani sobie na poufałości z osobami, których inni woleli nie znać, sądzę jednak, że powinna pani przestrzec swoją młodą krewną przed podobnym postępowaniem.

- Czyżby?

Lady Dibbs mimo woli poczuła podziw dla chłodu Anne. Szkoda tylko, że wyraz oczu psuł cały efekt. Jej spojrzenie zdradzało bardzo, bardzo wiele.

- Tak - ciągnęła, poprawiając rękawiczki. - Wiem z całą pewnością, że pułkownik Seward to nikczemnik i że... - Spojrzała w bok, po czym nachyliła się konfidencjonalnie do Anne. - Szuka towarzystwa najgorszego typu kobiet.

- Nie może pani o tym wiedzieć. - Głos Anne ujawniał napięcie.

Dobry Boże... Anne Wilder najwyraźniej ma do niego słabość! Lady Dibbs znała parę kobiet, które deklarowały zainteresowanie Diabelskim Jackiem, ale zainteresowanie to zawsze miało charakter czysto fizyczny. Żadna z nich nigdy nie traktowała go poważnie, uważały go wyłącznie za podniecającą rozrywkę!

- Niemniej wiem, moja droga. Widziano go, jak dotrzymywał im towarzystwa.

- Nie pojmuję, dlaczego mi pani o tym opowiada, lady Dibbs - odparła sztywno Anne i zdradziła się w ten sposób.

Lady Dibbs roześmiała się.

- Jak to, moja droga? Ze względu na pannę North, rzecz jasna. Dlaczegóż by inaczej?

Policzki Anne oblał szkarłatny rumieniec. Uniosła podbródek.

- Dziękuję za radę. - Rozejrzała się i na jej twarzy pojawiła się ulga. - Oto i Sophia - stwierdziła z triumfem. - W towarzystwie lorda Stranda. Daruje pani, że ją opuszczę?

- O, tak - odrzekła z satysfakcją lady Dibbs.

*

Sophia roześmiała się wesoło na dowcipną uwagę młodego oficera i uniosła głowę, by uchwycić wzrok Stranda i sprawdzić, czy dostrzegł, jaka admiracja ją otacza.

Dostrzegł i rzucił jej pełne uznania spojrzenie, na które czekała. Popatrzył na zegar stojący. Było już dobrze po pierwszej... Znudzony powlókł się do hallu. I tu bawiono się w najlepsze. Widział rozgorączkowane twarze gości i uwijających się jak w ukropie służących.

Postanowił właśnie opuścić przyjęcie, aby udać się do swojego klubu, gdy wtem zauważył Anne Wilder. Siedziała na miękkiej, wyścielanej aksamitem ławeczce i mrużąc oczy, wpatrywała się w kawałek papieru. Z góry, z portretów spoglądał na nią szyderczo długi szereg antenatów lorda Liverpool o twarzach zastygłych w wyrazie wiecznej pogardy. Nie dostrzegała tego.

Strand uśmiechnął się na widok tak głębokiego skupienia. W miarę jednak jak się jej przyglądał, uśmiech ten powoli bladł.

Anne od dawna go pociągała. Na początku traktował to zainteresowanie jako po prostu kolejne ze swoich autodestrukcyjnych zaślepień. Kobieta innego mężczyzny zawsze była dla niego atrakcyjna... Teraz jednak Anne Wilder nie należała do nikogo, a pociągała go nawet bardziej niż przedtem. Dziwne, pomyślał, gdy podniosła głowę i światło padło jej na twarz. Nie była już tą pięknością, jak podczas swego pierwszego sezonu.

Liliowe cienie leżały na powiekach. Blada skóra zbyt ciasno opinała delikatnie sklepioną czaszkę, a płytkie zagłębienia nad skrońmi stwarzały wrażenie kruchości. Była zbyt szczupła. Nie, nie, to już nie gwiazda... A jednak wciąż miała w sobie coś, co pociągało go znacznie bardziej niż uroda.

Być może, dumał Strand, wsparty o framugę drzwi, jego pociąg do Anne miał jednak związek z jego dawnym zachowaniem? Ponieważ w ostatecznym rozrachunku Anne należała do kogoś, komu nigdy nie był w stanie odebrać panowania: do siebie samej.

Wykreowała samą siebie. Jak nikt.

Choć starał się, jak mógł, nie miał pojęcia, jak ją oczarować. Jego zręczność, jego riposty, wystarczające, by padła niejedna cytadela cnoty, nie robiły na wdowie najmniejszego wrażenia. Na przemian to krążył wokół niej, to ją ignorował, traktował protekcjonalnie i nadskakiwał... bez skutku. Ona go po prostu nie zauważała.

Dlaczego?

Odszedł od drzwi i przedzierając się przez kłębiący się tłum, okrężną drogą ruszył ku niej.

- Mówię panu, Strand...

Drogę zastąpił mu Ronald Frost. Strand zaklął cicho. Oczy miał czerwone i załzawione; policzki pokrywała pajęcza siateczka zmarszczek.

- Pański sługa, sir. - Strand próbował go ominąć. Frost ścisnął go za ramię.

- Mówię panu, Strand - powtórzył Frost.

Pijany... Strand dobrze znał tę jego zbyt staranną dykcję.

- Zawsze myślałem, że Liverpool to gość, który toleruje tylko to, co najlepsze: jedzenie, wino, towarzystwo...

- I tak też jest. - Strand, zauważywszy stojącego w pobliżu lorda Veddera, który patrzył na nich z ironicznym uśmiechem, skinął na lokaja. - Zaraz zorganizujemy panu kieliszek wina, Frost. Liverpool ma Puligny Montrachet, który zasługuje na uwagę konesera.

Frost zignorował tę jego uwagę.

- Cała ta sprawa śmierdzi stajnią.

- To pewnie moje buty. - Strand próbował uwolnić się od Frosta.

- To nie pańskie buty - powiedział Frost. - To pułkownik Seward. Ja bym go nie zaprosił do domu.

- Och - odparł Strand, modląc się, żeby Frost go puścił. - Ale co robić, skoro ten człowiek jest tak blisko z Książątkiem i w ogóle?

Vedder porzucił swoje stanowisko i podszedł bliżej.

- Mimo wszystko ja bym go nie gościł pod swoim dachem. - Frost wydął z dezaprobatą wargi i zachwiał się. Vedder złapał go za ramię i podtrzymał.

- Dzięki, Vedder.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Przynieś panu Frostowi butelkę boucharda - zwrócił się Strand do lokaja, który wreszcie zdołał się do nich przepchać. - Frost, mój drogi, to wino jest doskonałe. - W istocie było o wiele za dobre dla człowieka w stanie upojenia, ale Frost nawet po pijanemu rozpoznałby drugi gatunek.

- Znakomita winnica, do kroćset - zauważył Vedder. - Też nie miałbym nic przeciw temu, żeby spróbować.

- O tak. Wyborny pomysł - rzekł Strand.

- Chodź no tu, Frost, stary koniu. Jestem pewien, że mamy te same gusta... i dyzgusta. - Vedder ujął łokieć Frosta i delikatnie skierował go w ślad za odchodzącym lokajem.

Jakie to zobowiązujące ze strony Veddera, pomyślał Strand. I jakie nietypowe dla niego... Niemniej trzeba będzie powiedzieć Sewardowi o rosnącej antypatii Frosta. Znowu zaczął przeciskać się przez tłum, próbując wymyśleć, w jaki sposób zwrócić się do Anne. Powinno to być coś wyrafinowanego i prowokacyjnego. Musi

zwrócić na niego uwagę dzisiejszej nocy, na Boga...

Zatrzymał się. Obok Anne stał Jack Seward. Jej twarz rozświetlało zainteresowanie. A na twardej, przeciętej blizną twarzy Jacka...

Strand cofnął się za marmurową kolumnę. Nie było go stąd widać, za to wyraźnie słyszał ich rozmowę. Czuł się jak nikczemnik. Oparł głowę o chłodny kamień i modląc się, żeby go nikt nie zaczepił, zamknął oczy i słuchał.

- ...spodobało się pani muzeum?- w głosie Sewarda brzmiało prawdziwe zaciekawienie.

- Tak. Choć nie wiem zbyt wiele o sztuce.

- Sądziłem, że damy uczą się malarstwa i innych dziedzin sztuki od kołyski.

Anne milczała przez parę sekund.

- Ja nie jestem prawdziwą damą, pułkowniku. Ale jestem przekonana, że pan o tym wie.

- Nic mi o tym nie wiadomo, pani Wilder - odrzekł poważnie Seward. - Jest pani damą w każdym calu.

- Nie - powiedziała cicho, ale z naciskiem, tak jakby zależało jej, aby go przekonać. - Nie jestem. Nie mam formalnego wykształcenia. Czy w ogóle jakiegokolwiek wykształcenia, skoro już o tym mowa... Nie miałam nauczycielek ani guwernantek. Uczył mnie tylko pastor, i to wyłącznie wtedy, kiedy zmuszony był wyrównać zaległe rachunki u kupca kolonialnego.

Seward roześmiał się. Strand był zdumiony. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby Seward się śmiał.

- Moi rodzice starali się mnie przekonać o pożytkach płynących z czytania książek - mówiła dalej Anne. - Ale nie byłam zbyt podatna na tę ideę. - Strand mógł sobie wyobrazić, jak unosi ku Sewardowi ciemne oczy, zachęcając, by był równie uczciwy, jak ona.

- Znacznie bardziej wolała pani...

- Rosnąć jak dzikus, obawiam się. - Śmiech w głosie Anne zabrzmiał w uszach Stranda jak piękna muzyka.

- Proszę mi o tym opowiedzieć. - Niski, twardy zwykle głos Sewarda zabrzmiał ciepło.

Strand odszedł od kolumny i niepostrzeżenie wmieszał się w tłum gości. Tyle razy zadawał sobie pytanie, dlaczego Anne Wilder go nie dostrzega... Teraz miał odpowiedź.

Zawsze mierzył swoje miłosne sukcesy wrażeniem, jakie wywierał na kobietach. Czy przyszło mu kiedykolwiek do głowy zapytać kobietę, Jak spędziła dzień, co zajmowało jej myśli? Czy przyszło mu kiedykolwiek do głowy, że dzień kobiety wart jest dyskusji? Nie. Tylko noc. I to tylko wtedy, gdy spędziła ją z nim.

Nieznany dotąd akt autoanalizy ukazał mu inne oblicze rzeczywiści. Nigdy się nie ożenił, bo zawsze zarzucał sieci zbyt głęboko. Od tamtego czasu wyłącznie igrał na

płyciznach... gdzie też spędził całe swoje życie.

Parę sekund trwało, by rozpoznał, skąd bierze się powab, jaki miał Seward w oczach Anne: zwracał dużo większą uwagę na jej słowa niż na własne.

*

Jack miał przemknąć przez tę warstwę społeczną jako przelotny intruz, w pościgu za złodziejem. To nie było już prawdą. Ponieważ ona tu była, ona oddychała tą niezwykłą atmosferą i czyniła ją przez to jeszcze bardziej niezwykłą. A on chciał, żeby tak było.

Otrząsnął się z marzeń i spojrzał na Anne, siedzącą na ławce. Nie wiedział, co powiedzieć. Wytrącało go to z równowagi. Zawsze był pewien, czego się od niego oczekuje, i wiedział dokładnie, jak spełnić te oczekiwania. Przy niej czuł się zagubiony.

Powinien śledzić lady Dibbs, czy nawet mało prawdopodobną jako złodziejkę Jeannette Frost, a nie odgrywać rolę dobrego wujka wobec Sophii, by zasłużyć na parę minut względów ze strony jej opiekunki. Z pewnością nie mógł już sobie mówić, że trzyma się blisko Sophii, żeby zweryfikować swoje podejrzenia wobec niej. Dziewczyna z pewnością nie była jego złodziejką.

Jego złodziejką...

Rozzłościło go to i zbiło z tropu. Żeby w jego pozbawionym jakichkolwiek przywiązań życiu wpaść w obsesję na punkcie dwu kobiet naraz! To doprawdy jakieś szaleństwo.

- A panu, pułkowniku - przerwała zbyt długo trwające milczenie, odwracając od niego wzrok - czy podobało się panu muzeum?

- Niewiele miałem okazji, by nauczyć się czegoś o sztuce czy o muzyce. - Splótł ręce za plecami i spojrzał gdzieś poza nią. Nie było muzyki w przytułku, były tylko pieśni niesłabnącego nigdy głodu. Nie było sztuki w domu Jamisona, jeśli nie brać pod uwagę ludzkich nastrojów, jakimi przesycał własne knowania... Ale raczej nie mógł jej o tym opowiedzieć. - Muszę jednak przyznać, że lubię pejzaże i miłe dźwięki.

- „Mężczyzna, który nie ma muzyki w sobie samym Ani się nie wzrusza na dźwięk miłych tonów, Gotów jest do zdrad, podstępów i łupiestwa".

- Wyrecytowała cichym, miękkim głosem.

- Proszę uważać, pani Wilder. Wkrótce się wyda, że jest pani niezwykle uczoną niewiastą... Niech pani przestanie olśniewać biednych prostych oficerów, cytując Szekspira.

Znowu się roześmiała. Była piękna.

- Pułkowniku, czasy, kiedy obawiałam się, by nie powiedzieć zbyt dużo lub zbyt mało, dawno minęły. A pan nie może podawać siebie za przykład „biednego prostego oficera", którego miałabym olśniewać. - Jej śliczne usta złagodniały w wyrazie zadumy. - Oboje weszliśmy tu tylnymi drzwiami, czyż nie, pułkowniku?

- Tak, pani Wilder - usłyszał własny głos. Serce waliło mu w piersi. Tymi paroma słowami stworzyła między nimi więź.

- Tak jak pan, mój ojciec w młodości niewiele miał czasu, by uczyć się dla samej przyjemności zdobywania wiedzy. Muzyka była jedną z jego głównych słabości. Matki także...

- Była pani... bardzo przywiązana do rodziców - zauważył.

Wspomnienie rodziców sprawiło, że w jej surowej urodzie pojawiła się łagodność, której nie zauważał do tej pory.

- Kochaliśmy się.

Więź została zerwana. Te niewinne słowa wykopały między nimi przepaść nie do przebycia. Żeby nie wiem jak wytężał pamięć, nie mógł przypomnieć sobie głosu matki, jej czułego gestu... Nic, co byłoby dowodem, że nie pojawił się po prostu, ot tak, któregoś dnia, że to nie głód, gniew i niepowstrzymane, nierozumne pragnienie przetrwania splotły się któregoś dnia w kącie przytułku, by go uformować.

A ona wiedziała, co to miłość. Miłość kształtowała ją od najwcześniejszych lat. Dlatego zawsze będzie dla niego niepojęta. Czy mogłoby być inaczej, biorąc pod uwagę jego życiorys?

- Miała pani mnóstwo szczęścia, pani Wilder - powiedział i, skłoniwszy się, odszedł.

*

- Zatańczy pani jeszcze raz, nieprawdaż, panno Sophio? - Oficer w czerwonym surducie był najwyraźniej pod jej wrażeniem, niczym koliber na widok pełnego nektaru kwiatu. Naprawdę trudno będzie się go pozbyć...

- Doskonale, sir. Proszę tylko pozwolić mi odpocząć parę minut.

Odesławszy go na stronę, rozejrzała się za pułkownikiem Sewardem. Zabawi się z nim, pouwodzi... i troszeczkę podrażni.

Nie miała zamiaru rezygnować ze swojego urzeczenia pułkownikiem Sewardem. Same fantazje o nim wystarczały, by rumieniec oblewał jej policzki. Ciało bolało ją od pragnień wzbudzonych przez gorące dłonie młodych ludzi w ciemnych kątach i przez nikczemnych wicehrabiów w innych, bardziej sekretnych miejscach. Wzbudzonych, ale nigdy zaspokojonych. Potrzebowała zaspokojenia.

Dojrzała go. Siedział sam, założywszy niedbale nogę na nogę, z ręką wyciągniętą na oparciu kanapy. Nawet ta sztywna ręka była w jakiś perwersyjny sposób fascynująca. Bryczesy ściśle opinały twarde, muskularne uda. Ruszyła ku niemu, gdy wtem coś w jego twarzy powstrzymało ją.

Chociaż postawa Sewarda wyrażała nonszalancję, oczy były utkwione w jakiś niewidoczny punkt. Zapatrzył się do tego stopnia, że wręcz nie mrugał, a w spojrzeniu było tyle bólu, że niemal czuła ściśnięcie w jego gardle. Z poczuciem nieuchronności Sophia zaczęła przedzierać się przez tłum, żeby zobaczyć, co go tak pochłonęło. Stanęła.

Anne rozmawiała z jakąś starszą kobietą. Właśnie podnosiła rękę, żeby tym gestem podkreślić swoją kwestię. Była ciemna i drobna niczym skrzat, a suknię miała surową jak dewotka; nawet ten przeklęty kapelusz był przekrzywiony. A on wpatrywał się w nią, jakby była boginią... Konsternacja i zazdrość walczyły o lepsze w małym, twardym sercu.

- Panno Sophio - szepnął jej do ucha lord Strand. - Oboje jesteśmy *de trop*. Obiecuję jednak, że znajdę miejsce, gdzie może być pani pewna gorącego przyjęcia.

10

Czas zaś ciągnął się w nieskończoność. Choć Anne starała się nie myśleć o Jacku Sewardzie, zawładnął jej dniami i straszył ją po nocach. Od paru dni przebywała w swoim pokoju, wymawiając się okropnym bólem głowy, ale ilekroć dzwonek u drzwi oznajmiał kolejnego gościa, łapała się na tym, że wytęża słuch, by usłyszeć miękki i ochrypły zarazem głos Jacka. Nocą budziło ją wspomnienie jego warg na jej ustach, twardego, napiętego ciała pod jej dłońmi, jego głodu, budzącego jej własny... Przerażała ją ta obsesja.

Nic by jej nie przyszło ze związku z Jackiem Sewardem, co najwyżej śmierć na szubienicy. Była złodziejką, którą on miał ująć. Sama ta świadomość powinna była zabić jej fascynację... Ale tak się nie stało.

Z każdym dniem pokój wydawał się mniejszy, a jej nerwy były coraz bardziej napięte. Krążyła po mieszkaniu, wciąż wychodząc na korytarz. Miała wrażenie, że ściany napierają na nią, że powietrze stało się zbyt gęste, by oddychać. Miała ochotę uciec na dachy, wiedziała jednak, że Jack ma kogoś, kto obserwuje dom.

W końcu nie mogła już dłużej znieść zamknięcia, na które sama siebie skazała. Któregoś wieczoru okryła się wełnianą narzutką i ruszyła do parku, gdzie w mroku lśniły sylwetki wiecznie zielonych krzewów. Wszedłszy przez bramę, zwolniła kroku. Przymknęła oczy, uniosła twarz ku niebu i łapczywie wciągnęła chłodne, wilgotne powietrze. Nad jej głową widniały słabe światełka gwiazd. Odgłosy ruchu ulicznego były odległe, stłumione przez bukszpany i cisy.

- No co, malutka?

Rozpoznała tę spokojną intonację i lekką chrypkę w głosie. Jack, pomyślała bez zaskoczenia. A więc tak, będzie tu osobiście stał na straży.

- Śliczna łobuziczka z ciebie, prawda? Okropnie musisz być zdesperowana, skoro szukasz mojego towarzystwa...

Przypomniała sobie słowa: „On szuka towarzystwa kobiet najgorszego gatunku”.

O Boże... Był tu z jakąś damulką! Upokorzona, rozejrzała się dookoła, szukając jakiejś ścieżki, którą mogłaby umknąć, ale nie było ani jednej.

- No chodź, niech cię troszkę popieszczę. O tak... To nie takie straszne, prawda? No, bądź grzeczna, malutka. - W jego głosie była kusząca miękkość.

Czy pieścił ją szorstko, czy czule? Czy czuła woń jego oddechu?

- Mam chęć zabrać cię do domu...

Zamarła.

- Pani Wilder? - zawołał.

Zmusiła się, by się odwrócić.

Trzymał na rękach zwierzę, małą, drżącą szarą kotkę. Łechtał ją pod brodą, a ona śpiewała swoją radosną, gardłową pieśń. Powoli docierało do świadomości Anne, że uśmiecha się do niego niemądrze, on zaś odpowiada jej równie ogłupiałym uśmiechem.

- Dobry wieczór, pułkowniku Seward.

- Dobry wieczór, pani Wilder.

Skłonił głowę. Kotka wdrapała się po płaszczu i zaczęła ocierać się trójkątnym łebkiem o jego twarz. Delikatnie odczepił pazurki i wziął zwierzątko na ręce.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Dotychczasowa panika ustępowała miejsca zdumieniu.

- Lubi pan koty, pułkowniku? - spytała w końcu.

- Tak. - Rozbawiło go jej zaskoczenie. - Psy też lubię.

- Ma pan psa?

- Nie - odparł. - Ale któregoś dnia będę miał. Dwa albo trzy psy i stajnię pełną kotów.

- Któregoś dnia? Dlaczego nie teraz? To dość proste przedsięwzięcie - mówiła, zaskoczona zarówno odcieniem żartobliwej prowokacji we własnym głosie, jak i tematem ich rozmowy. - Łapie pan któregoś i zrobione.

- I gdzie bym go trzymał? - podchwycił ten niby to drwiący ton. - Ja nie mam domu, pani Wilder. Wynajmuję mieszkanie.

- Jestem pewna, że pańska służba potrafiłaby wystawić kotu tę miseczkę śmietanki.

- Nie mam służby. Tylko kucharkę i dziewczynę na przychodne. - Choć głos miał łagodny, w oczach malowała się ostrożność.

Zarumieniła się, zakłopotana. Powinna była pamiętać o jego skromnej sytuacji...

- Nastąpi jednak taki dzień, kiedy przejdę na emeryturę i zamieszkam w wiejskim domu. Kuchenne drzwi będą całe lato stały otworem, tak żeby psy i koty mogły swobodnie wchodzić i wychodzić.

- A co pan zrobi, kiedy te stwory zaczną panu grasować po kuchennych szafach?

- Będę je obserwował, pani Wilder.

Szara kotka uderzyła go aksamitną łapką w podbródek. Przykrył jej głowę wielką dłonią i pogłaskał. Kotka zamruczała. Zazdrość ukłuła Anne - zazdrość o kota...

- Tak po prostu obserwował? - spytała.

- Tak - odparł. Świadomie stał bez ruchu, w nadziei, że Anne podejdzie bliżej.

I rzeczywiście zbliżała się po trochu, w miarę jak rozmawiali. Czekał. Oddech miał coraz płytszy.

Zdjęła rękawiczkę i z wahaniem wyciągnęła rękę w stronę kotki, muskając niechcący sparaliżowane palce Jacka. Nie patrzała na niego, a on nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Ostre, zmysłowe wrażenie przebiegło prądem kaleką dłoń.

Patrzył jak zahipnotyzowany na powolny ruch smukłych, wytwornych palców przegarniających gęste futerko kota, gładzących je pewnymi, zręcznymi pociągnięciami. Dreszcz podniecenia przebiegł go na ten widok: wyobraził sobie jej dłoń na własnym ciele. Ogarnęło go pożądanie.

Nie był przygotowany na taką intensywność własnej reakcji. Poderwał głowę, wpatrując się w mrok ponad jej głową. Była taka mała, taka drobna... Mógłby ją podnieść i trzymać niemal równie łatwo, jak kota.

Gdy stali tak blisko siebie, żar ich ciał tworzył kokon ciepła w chłodnym powietrzu nocy. Wydawało mu się, że czuje woń jej ciała, ten sam nieuchwytny, lecz przyprawiający o zawrót głowy zapach, który poczuł tam, w jej dobroczynnym zakładzie.

- Mimo wszystko sądzę, że powinien pan zabrać ją do domu, pułkowniku - powiedziała miękko. Spojrzał w jej ciemne oczy. Kotka uniosła pyszczek, jak gdyby na znak zgody. - Opieka nad kotem nie wymaga wiele wysiłku.

Potrząsnął głową.

- Nie. To jest kot uliczny, nawykły do włóczęgi. Będzie wył za swobodą, jeśli zamknę go w mieszkaniu.

- Ale może też być tak, że zwinie się w kłębek przy kominku i nie będzie miał chęci nigdzie wychodzić. Może ma już dosyć włóczęgi, pułkowniku...

Niewielka pionowa zmarszczka pojawiła się między jej brwiami. cofnęła dłoń i naciągnęła rękawiczkę.

Otoczyła go fala tęsknoty. Wszystko, czego pragnął, miał przed sobą, ale jeśli wkrótce nie znajdzie czegoś, co stanowiłoby dowód, że jego obecność w tym miejscu jest korzystna, zostanie stąd odesłany. Daleko od niej. Anne nigdy się nie dowie, że coś dla niego znaczy. Do diabła, coś, co było lak wyjątkowe... To strasznie ważne, żeby do tego nie dopuścić.

Ostrożnie postawił kotkę na ziemi. Patrzyła na nich przez chwilę żałośnie. Gdy w oddali zaszczekał pies, dała susa i zniknęła w gęstych zaroślach.

Jack podał Anne ramię.

- Czy mogę panią odprowadzić, pani Wilder?

- Dziękuję panu.

Złożyła dłoń na jego przedramieniu, pozwalając, by poprowadził ją ścieżką ku parkowej bramie. Szybko zapadł zmrok. Zapalono już uliczne światła i droga była pusta.

Jack w milczeniu przeprowadził ją na drugą stronę ulicy, a potem powiódł opustoszałą drogą ku miejskiemu domowi Malcolma Northa. U podnóża schodów zatrzymał się i rozejrzał z niezdecydowaną miną. W końcu pociągnął ją w kąt

między ścianą a schodami, w zaciszny cień, gdzie nie dochodził zimny, nocny wiatr, który właśnie przybrał na sile.

- Pani Wilder - odezwał się w końcu, patrząc w przestrzeń - ja nie będę tu przez cały sezon.

- Nie? - Anne nie była w stanie ukryć smutku. Mówił tak ostrożnie, tak poważnie... Jej dotychczasowe zadowolenie wypierał niepokój. - Dlaczego?

- Jest pani inteligentną kobietą, pani Wilder, a także znajomą lorda Stranda. Czy nie zastanawiało panią, dlaczego Strand wprowadził mnie w wyższe sfery? - Zaczerwienił się. - Robię zbyt śmiałe założenie. Moja obecność czy nieobecność w towarzystwie raczej niewiele panią obchodzi.

Bardzo mnie obchodzi, pomyślała. Odnotowuję każdą sekundę twojej nieobecności. Kiedy tu jesteś, obchodzi mnie to o wiele za bardzo. Katastrofalnie wręcz.

Spojrzała w jego piękne, zakłopotane szare oczy. Powinna zgodzić się z jego oceną, potwierdzić, że poświęca mu niewiele myśli... Ale nie mogła.

- Nie - powiedziała na głos. - Zauważyłam pana.

Enigmatyczny uśmiech przemknął po jego surowej twarzy.

- Mimo to nigdy nie okazała pani zainteresowania.

Wstrzymała oddech. Wiedział, że to ona jest złodziejką...

Cała uwaga, jaką jej poświęcał, uprzejmość, względy, wszystko to było okrążaniem przed mordem. Nie dbała o to. Podejrzewała to przecież od samego początku. Miała wrażenie, że jej dusza zawisła w próżni.

- Akceptowała mnie pani, choć musiała podejrzewać, że znalazłem się w towarzystwie ze względu na własny cel.

Próżnię wypełniło przerażenie.

- Poszukuję osoby, która jest znana jako Duch Wrexhall.

To było jeszcze gorsze... O wiele gorsze niż aresztowanie. Była dla niego dostatecznie ważna, by jej zaufał.

- Jak dotąd, nie odniosłem sukcesu.

- Przykro mi.

Nigdy się nie dowie, ile prawdy było w tych słowach. Chciało jej się płakać, ukryć twarz w dłoniach i zaszlochać. Nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy, że mu zależy...

- Przepraszam - wyszeptała jeszcze raz.

- Jeśli wkrótce nie zaaresztuję tego złodzieja, moi zleceniodawcy wyznaczą mi nowe zadanie. Daleko stąd. Ja... będzie mi pani brakować, pani Wilder.

Więzienie byłoby dziecinną zabawą w porównaniu z karą, jaką stanowiło jego zaufanie. Zaufanie, które ona zawiedzie... Odwróciła spojrzenie. We wzroku miała szaleństwo.

Wahał się przez chwilę, po czym stanął przed nią na szeroko rozstawionych

nogach, wojskowym zwyczajem skrzyżowawszy ręce za plecami.

- Pani Wilder...

- Tak, pułkowniku?

- Czy mogę mieć do pani niezwykle śmiałą prośbę?

Podniosła ku niemu wzrok. Czuła się pusta w środku.

- Proszę pytać, pułkowniku.

- Czy mogłaby pani wyświadczyć mi grzeczność i wymówić imię, które otrzymałem na chrzcie?

Prosił ją o coś więcej niż wypowiedzenie paru sylab... Prosił o intymność większą niż słowne pieszczoty kochanków. Prosił o rozpoznanie, o uznanie jego istnienia.

Poryw zimnego wichru zaigrał pasemkiem włosów na jej wargach. Twarda linia ust Jacka nagle zmiękła, oczy złagodniały. Z wahaniem wyciągnął rękę i ostrożnie odgarnął niesforny kosmyk. Był teraz bliżej; dzieliły ich zaledwie centymetry. Czuła promieniujące od niego ciepło i marzyła, by pozwolić mu się objąć.

- John, prawda? - spytała ściszonym głosem.

- Nie - odpowiedział równie cicho, ale z naciskiem. - Jack.

Wpatrywali się w siebie z powagą. Na odległym kościele dzwon wybił godzinę. Jakiś nocny ptak przefrunął obok nich. Jack powiódł palcem wzdłuż jej dolnej wargi i opuścił rękę. Nachylił głowę. Ona uniosła twarz ku niemu.

Usłyszała własne westchnienie, ledwie dosłyszany szept swej duszy. Musnął ustami jej usta, tak delikatnie, tak lekko, że równie dobrze mogłoby to być muśnięcie skrzydeł motyla.

- Jack - szepnęła w tę obietnicę pocałunku. - Jack.

Przez sekundę jego wargi były tuż tuż. Potem cofnął się o krok. Usłyszała, jak bierze długi, drżący oddech.

Drzwi wejściowe otworzyły się i w jasnym prostokącie światła ukazała się sylwetka lokaja.

- Dziękuję, pani Wilder - powiedział z powagą. - Do jutra.

- Do jutra - powtórzyła bezdźwięcznie, z całego serca tęskniąc za

- Strand mówi, że uważasz, iż złodziej jest kobietą. - Jamison przesunął oprawny w skórę egzemplarz *Państwa* Platona, tak by stał w idealnie równej linii z szeregiem podobnych mu tomów. - Kobieta może nieskończenie skomplikować sprawy. Ludzie są, psiakrew, tak sentymentalni, gdy chodzi o kobiety... Jeśli to niewiasta, to trzeba będzie potraktować ją doraźnie. Nie będzie żadnego śledztwa, żadnej możliwości, by ujawniła treść tamtego listu.

- Strand powiedział panu, że przypuszczam, iż Duch jest kobietą? - spytał Seward.

- Seward, nie zaszczycaj tej kreatury używaniem przydomka. A co do Stranda, to owszem, powiedział. A dlaczego nie? Wyobrażałeś sobie, że poczuwa się wobec ciebie do jakiejś lojalności? - Jamison sztywnym krokiem podszedł do biurka.

Strand nic mu nie powiedział; to inny z jego totumfackich podpowiedział mu trop, który doprowadził go do podobnego przypuszczenia. Ale Seward nie musiał o tym wiedzieć. Najlepiej go izolować, trzymać z daleka od jakichkolwiek przywiązań. Był wtedy bystrzejszy, bardziej przezorny, a zatem i bardziej skuteczny.

- Nie, sir - odparł uprzejmie Seward.

Jamison, siadając na krześle, pogratulował sobie samemu. Wziął nieokrzesanego chłopaka i własnoręcznie uformował zeń tę wspaniałą, nieznającą litości, analityczną istotę. Patrząc teraz na niego, tak uprzejmego i tak bezwzględnego, można by nawet dać wiarę plotkom, że Seward to jego naturalny syn...

Dotknął palcem nosa, zastanawiając się starannie nad wyborem sposobu postępowania.

- Będę mówił otwarcie. Jeśli znajdziesz tego złodzieja, mężczyznę czy kobietę, zabijesz go. Nie zadawaj mu żadnych pytań. Nie próbuj ustalić, gdzie znajduje się list.

- Czy wolno mi spytać, sir? - Na szczupłej twarzy Sewarda nie znać było śladu zaskoczenia, nawet jeśli je czuł. - Skoro odzyskanie tego listu jest tak ważne...

- Odzyskanie listu nie jest tak ważne, jak jego zniszczenie i likwidacja każdego, kto mógł go przeczytać. Doszedłem do przekonania, tak samo jak ty, że złodziej albo nie ma tego przeklętego świstka, albo nie zdaje sobie sprawy z jego znaczenia. Prawdopodobnie został spalony jako śmieć - ciągnął. - Ale gdyby złodziej któregoś dnia przypomniał sobie, co przeczytał... skutki byłyby zapewne katastrofalne. Dlatego nie można pozostawić jego - czy jej - przy życiu.

Seward nie okazał nawet źdźbła awersji. I właściwie dlaczego miałby ją okazać?

- Twoja obecność wśród wyższych sfer spowodowała jedynie to, że bękart się przyczaił. Od sześciu tygodni nie było ani jednego rabunku, i książę znowu beztrosko pożera marcepany ze swymi śmiesznymi przyjaciółmi. Być może złodziej nie żyje? Może zabił go któryś z jego kompanów? Wszyscy wiemy, że czasem zdrada prowadzi do śmierci - podkreślił znacząco Jamison.

Seward wciąż był bierny. Jamison nie lubił tego. Seward zawsze stanowił zagadkę; teraz stał się jeszcze bardziej enigmatyczny.

- Powinienem doprawdy odwołać cię od tego zadania - rzekł Jamison.

Seward zmarszczył brwi. Jamison, momentalnie zaalarmowany, pochylił się ku niemu.

- A więc? O co chodzi?

- Złodziej nie jest głupcem, sir - rzekł Seward. - Nie będzie próbował kraść, wiedząc, że go poszukuję, przynajmniej tak długo, dopóki może.

- A zatem była to strata czasu - Jamison rozluźnił się - i dalszy wysiłek jest bezsensowny.

- Niekoniecznie - odparł Seward. - Powiedziałem „dopóki może”, ale nie sądzę, żeby mógł się powstrzymać zbyt długo.

- O czym ty mówisz, człowieku?
- Jestem przekonany, że pieniądze nie są jedynym motywem tych kradzieży. Myślę, że złodziej czuje przymus ich popełniania.
- Nonsens. - Jamison wyjął zza krzesła laskę i przytrzymał w dłoni jej ciężką srebrną główkę. - Musiałby być szaleńcem.
- Być może. Chciałbym jednak poczekać nieco dłużej, sir.
- Są ważniejsze sprawy niż ściganie złodzieja, który nie kradnie. Damy kogoś innego na twoje miejsce. - Kogoś, kogo Jamison będzie mógł z całą pewnością kontrolować.
- Nie.

Twarda nuta w głosie Sewarda zaskoczyła Jamisona. Zmrużył oczy.

- Mam dziesiątki innych spraw, w których twoje zdolności mogą być użyteczne - powiedział z naciskiem. - A może powziąłeś upodobanie do tabaki i ponczu, Seward?
- Proszę mi wybaczyć, sir - powiedział Seward jeszcze spokojniej - ale w tej sprawie nie podlegam pańskiemu kierownictwu.

Jamison zacisnął dłoń na główce laski.

- Coś ty powiedział?
- Lord Knowles nie uważa, że tracę czas. A ponieważ on pierwszy zaangażował mnie do tego zadania, będę kontynuował śledztwo, dopóki mnie nie odwoła.

Jamison wpatrywał się w niego w kamiennym milczeniu. Nie wierzył własnym uszom. Seward był jego tworem. Jego człowiekiem. Jak śmiał o tym zapomnieć?

- Pracuję dla rządu - ciągnął Seward. - Jestem, proszę mi wybaczyć, że to podkreślam, psem klubowym, sir. Pracuję dla każdego, kto trzyma smycz.
- Czy to ma być dowcip? - spytał chłodno Jamison.
- Nigdy nie uważałem tego za zbyt zabawne.

Jamison gwałtownym ruchem przejechał laską po blacie biurka, zrzucając leżące na nim papiery.

- Czy nie rozmawialiśmy właśnie o zdradzie, sir?
- Nie przypominam sobie, sir.

Zupełnie jakby piach zasypał nagle płomień, gniew na twarzy Jamisona ustąpił miejsca ironii.

- Dopilnuję, żeby smycz wróciła do ręki pełnoprawnego właściciela.
- Jak pan sobie życzy - odparł Seward.
- Jeśli za dwa tygodnie nie będę miał listu, porozmawiam z Knowlesem i zostaniesz odwołany od tego zadania - rzekł Jamison i odprawił Sewarda krótkim, niecierpliwym gestem dłoni.

Seward wyszedł, uważając, by nie nastąpić po drodze na któryś z leżących na podłodze dokumentów.

Jamison długo siedział w milczeniu. W końcu sięgnął po pióro i arkusz papieru.

dachach, kiedy są razem. Poza tym lady Dibbs jest za pulchna, żeby zmieściła się w którymś z tych okien, przez które Duch musiał wchodzić.

- To prawda - zgodził się pułkownik. - Gdzieś musi być jednak coś, na czym można by bazować...

- Jamison naciska?

- Dał mi dwa tygodnie na znalezienie złodzieja. - Pułkownik zmarszczył brwi. - Z tym listem chodzi o coś więcej, Griff. Coś, czego nie rozumiem. Nie podoba mi się to. Jamison mało nie dostał apopleksji, kiedy mu przypomniałem, że jestem pod komendą lorda Knowlesa. - Starannie naciągnął rękawiczki. - Co jest w tym przeklętym liście, że doprowadza go do takiej pasji?

- Ustalę to, kapitanie. Robię postępy. Odkryłem, że list pierwotnie wyszedł z pałacu Windsor.

Pułkownik znieruchomiał. Podniósł wzrok.

- To ciekawe.

Griffin zmarszczył brwi. Żakiet pułkownika nie leżał prawidłowo.

- A z którego miejsca w pałacu?

- Jeszcze nie wiem. - Griffin pociągnął klapę marynarki, by ją wyprostować. - Ale mam tam człowieka, który potrafi wyszperać takie rzeczy.

- W tej chwili nawet nikt tam nie mieszka. Oprócz starego króla - zauważył pułkownik. - A on przestał zajmować się polityką dawno temu, kiedy oszalał, a jego syn został regentem.

Griffin odstąpił o krok, by ocenić własne dzieło.

- Diament to zdecydowanie trafny wybór, kapitanie.

*

Anne siedziała, wpatrując się kamiennym wzrokiem w lustro. Suknia była nowa - efekt wolnego popołudnia, co rzadko jej się zdarzało, i sprytnie zaaranżowanej przez sklepikarza wystawy. Przysłano ją dziś rano, razem z wysadzanymi kryształami pantofelkami, jedwabnymi pończochami o delikatnym hafcie i szalem z cieniutkiej siateczki, usianej drobnymi, złotymi paciorkami.

Na głębokiej zieleni materii jej dłonie sprawiały wrażenie interesująco bladych - kość słoniowa raczej, a nie zwykły odcień wosku. Złoty jedwab wykańczał obrębek, głęboki dekolt i krótkie bufiaste rękawki. Jeszcze wczoraj suknia sprawiłaby jej przyjemność... Dziś równie dobrze mógłby to być worek.

Czy to możliwe, by kochała Jacka? Odkąd ta straszliwa możliwość pojawiła się w jej umyśle, nie była w stanie myśleć o niczym innym. Zresztą to absurd. Miłość? Cóż ja wiem o miłości? - pomyślała z goryczą.

Kiedyś była zakochana. Poślubiła mężczyznę i przez dwa lata była nieustannie pouczana o niedostatkach swego serca, bo jej miłość usychała, podczas gdy miłość Mateusza rosła. Choć starała się ze wszystkich sił go kochać, zwrócić mu choć część tego ogromnego ciężaru, a raczej daru, poprawiła się w popłochu, ogromnego

daru, jakim było jego uwielbienie - nie potrafiła tego uczynić. I dlatego zginął.

W ostatnim liście dał jej jasno do zrozumienia, że uwalnia ją od małżeńskich więzów w najskuteczniejszy z możliwych sposobów. Umierając. Tyle że wcale nie stała się przez to wolna... I nigdy nie będzie. -

W głowie jej pulsowało. Pochyliła się naprzód, przyciskając palce do skroni. Nie, nie będzie nazywała miłością tego, co czuje do Jacka. Nie może.

Jak w ogóle może myśleć o pokochaniu Jacka? Kiedy odkryje, kim ona jest, wzgardzi nią.

Poderwała głowę i utkwiła wzrok w lustrze. Widniała w nim kobieta o lśniących ogniem oczach. Tak, to o to chodzi... Jack Seward to narkotyk, to uzależniające niebezpieczeństwo, tak samo jak trzymetrowe skoki na wysokości trzydziestu metrów. Uczucie do niego po prostu podwyższa stawkę, o jaką toczy się gra, czyni ją bardziej ryzykowną, bardziej stymulującą, bardziej perwersyjną.

Nie! Coś wewnątrz niej sprzeciwiało się temu brzydkiemu oskarżeniu, ale nie słuchała tego głosu. Nienawiść do siebie samej i poczucie beznadziejności gnały ją naprzód, byle dalej od kolosalnej straty, jaka jej zagrażała.

Nie wiedziała już, co robi ani dlaczego. Z wiru kłębiących się w głowie niepowiązanych myśli tylko jedna przybrała jasny, wyrazisty kształt: musi od niego uciec.

11

Wazy z chińskiej porcelany wypełnione różami Michaelmas pyszniły się na stołach. Wypolerowane powierzchnie kredensów odbijały blask woskowych świec, a z piętra płynęły słodkie dźwięki kwartetu smyczkowego. Przyjęcie u Northów rozpoczęło się.

Przybyło tylko około tuzina gości, Jack Seward jako jeden z pierwszych. Przyszedł tu z powodu Anne. Chciał ją zobaczyć, porozmawiać z nią, sprawdzić, co spowodował swoim spontanicznym pocałunkiem. Aczkolwiek, poprawił się z sarkazmem, tę krótką wymianę oddechów raczej trudno uznać za pocałunek... A mimo to poruszył go głębiej niż jakikolwiek inny. Z wyjątkiem jednego, być może. Ale tamten poruszył go w zupełnie inny sposób...

- Pułkownik Seward!

To Sophia go odnalazła. Schodziła z góry, prowadząc przed sobą wysoką szatynkę o subtelnej twarzy.

- Witam, panno Sophio.

- Julio, moja droga - Sophia otoczyła ramieniem towarzyszkę - to jest pułkownik Seward. Pułkowniku, oto moja przyjaciółka, panna Julia Knapp.

- To dla mnie przyjemność, panno Knapp. - Jack skłonił głowę.

- Chyba musiało dojść do jakiegoś wypadku na którejś z głównych ulic - zauważyła Sophia, rozglądając się wokół. - Przyszło tak mało osób...

- Bez wątpienia - zgodził się Jack. Zauważył skromną liczbę gości, a wśród tych,

którzy przybyli, nie było ani jednego księcia. Biedna Sophia musiała się pomylić w ocenie własnej osoby... W cudzym domu, jako dziewczę urodziwe, mogła flirtować do woli, ale przyjęcie zaproszenia na kolację w jej własnym oznaczałoby, że jej aspiracje zostały potraktowane na serio.

- Od dawna jest pani w mieście, panno Knapp? - spytał. Konieczność prowadzenia błahej rozmowy drażniła go. Chciał zobaczyć Anne.

- Nie - odparła panna Knapp. - Przyjechałam w zeszłym tygodniu wraz z rodziną brata. Sophię spotkałam wczoraj, w muzeum. Była uprzejma zaprosić mnie na dzisiejszy wieczór. Mój brat i jego rodzina zostali wcześniej zaproszeni gdzie indziej.

Odwróciła wzrok. A zatem panna Knapp nie przyszła tu ze względu na brata, pomyślał Jack.

- Od dawna zna pani pannę North?

- Od czasu jej dzieciństwa, kiedy spędzała letnie miesiące w Mill End.

- Mill End? - zawiesił pytająco głos.

- To wiejski dom moich kuzynostwa, Wilderów. - Sophia wpadła Julii w słowo. - Zwykle spędzałam tam lato. Knappowie mieli posiadłość przylegającą do Mill End. Byli sąsiadami od pokoleń.

A więc Julia znała Mateusza Wildera... Jakim człowiekiem był jego nieżyjący rywal? Co w nim było tak wyjątkowego, że Anne nosiła po nim żałobę dłużej, niż wymagał tego obyczaj?

- A zatem jest pani znajomą pani Wilder - powiedział.

- O tak, Julia zna Anne - mruknęła Sophia.

Julia potrząsnęła głową. Jej miękkie, kasztanowe kędziory podskoczyły lekko.

- Nie tak znów dobrze, Sophio. Poznałam panią Wilder w roku jej wejścia w świat. Była taka ożywiona, pewna siebie... Wszystkie usiłowałyśmy z nią rywalizować. - W jej głosie brzmiał wyłącznie szczery podziw.

- Tak - powiedziała Sophia z namysłem. - Anne była wspaniała. Uważałam ją za najbardziej fascynującą istotę na świecie. - Po czym, nie chcąc, by przyłapano ją na czymś tak niemodnym jak sentymentalizm, jednym ruchem otworzyła wachlarz. - Chciałam tylko powiedzieć, że miała doskonałe wyczucie stylu. Ale teraz zrezygnowała ze stylu na rzecz tych wszystkich nudnych szarości...

- Och, moja droga - rzekła Julia - nie powiesz mi, że wciąż jest w żałobie?

- Proponuję, żebyś sama ją o to zapytała. Może ponczu, pułkowniku Seward? - Nie czekając na odpowiedź, skinęła na służącego.

- Przepraszam. - Julia stanęła w pąsach. - Pospieszyłam się... - Rzuciła w jego kierunku pełne skruchy spojrzenie. - Proszę mi wybaczyć. Ja tylko... Po prostu miałam nadzieję, że Anne odnalazła spokój.

- Doprawdy nic się nie stało, panno Knapp - powiedział Jack. - Pani troska przynosi pani zaszczyt.

- O, przyszedł lord Vedder. - W uśmiechu Sophii pojawiło się napięcie. - Muszę pójść się z nim przywitać. - Wionęła obok nich, unosząc wysoko podbródek. Oczy jej lśniły.

- Sophia niewątpliwie dojrzała, odkąd jej matka odeszła - zauważyła Julia, patrząc, jak Sophia wita lorda Veddera wysokim, sztucznym śmiechem.

- Wspomniała pani o swojej przyjaźni z Mateuszem i Anne Wilderami - powiedział niedbale Jack.

- O, tak. Matę... kapitan Wilder to mój towarzysz dzieciństwa.

Mateusz...

- Wobec tego straciła pani wieloletniego przyjaciela - powiedział na głos. - Moje kondolencje. - Dziwne, nigdy nie składał kondolencji wdowie po Mateuszu. - Jaki był kapitan Wilder?

Julia milczała chwilę. Nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi, jak na zwykłe grzecznościowe pytanie, ale starannie ją przemy siała. Naprawdę chciała porozmawiać o Mateuszu Wilderze, zdał sobie sprawę Jack. Wiedział już, że przeszłość w Mill End to było coś więcej niż zwykła przyjaźń, w każdym razie z jej strony, i że mówiąc o Mateuszu, Julia Knapp przywołuje go z powrotem do życia, przynajmniej we własnej pamięci.

- Był niezwykle przystojny, a mimo to ani trochę zarozumiały z powodu swojej prezencji. Był życzliwy, towarzyski, wielkoduszny. Nie był mądry w stylu Brummela, ale miał czar. Wielki czar.

Uniosła głowę, jak gdyby rysując w wyobraźni jego obraz. Na jej szczerej, otwartej twarzy igrał uśmiech. Była w nim zakochana...

- Życzliwy, wielkoduszny... Niezwykle wartościowy mężczyzna - zauważył Jack.

W jego tonie widać zabrakło należytego podziwu, gdyż rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie.

- Musiało to zabrzmieć okropnie poprawnie dla kogoś takiego jak pan, pułkowniku. Ale to nie jego wina, tylko moich niedostatecznych umiejętności, by go właściwie opisać.

Do diabła. Nawet jeśli jest zazdrosny o zmarłego, nie musi ogłaszać światu tego faktu.

- Zasłużył na pani aprobatę, panno Knapp. Jest to dostatecznie wysoka rekomendacja.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Ale to nie tylko moje zdanie, wie pan. Nieraz oskarżałam go, że za wszelką cenę szuka adoracji - roześmiała się. - Faktem jest, że Mateusz wyzwalał w ludziach dążenie do poszukiwania w sobie tego, co najlepsze. Nie zaakceptowałby niczego, co jest poniżej.

- To wielki dar - zauważył Jack.

- Tak - odparła powoli Julia. - Z wyjątkiem sytuacji, gdy ktoś nie dorastał do jego

oczekiwań. Nie znosił tego, tak jakby czyjaś porażka czy doskonałość w jakiś sposób dotyczyły jego. Okropnie go to raniło.

- W takim razie często bywał zraniony.

Niepotrzebny był ten cynizm... Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zachowywał się równie gburowato.

Julia nie uchwyciła zniewagi. Potrząsnęła tylko głową.

- Właśnie w tym rzecz, pułkowniku Seward. Rzadko bywał zraniony, ponieważ najczęściej ludzie przez sam związek z nim stawali się dużo lepsi.

- Nawet pani Wilder? - Jeszcze raz, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że to sondowanie wypada prostacko, nie mógł się powstrzymać.

Spojrzała na niego.

- Mateusz kochał Anne. On... - Odwróciła wzrok, tak jakby coś w jego twarzy przypominało jej dawne rany. - Od chwili gdy ją spotkał, od pierwszego momentu, gdy ją ujrzał, uwielbiał ją.

Jack czekał.

- Ona nie należała do jego klasy społecznej, wie pan. Była w tej sprawie całkiem szczera. Co nie znaczy, że miało to dla Mateusza jakiekolwiek znaczenie. Starał się o nią tak, jakby była królewskiego pochodzenia. A odpowiadając na pańskie pytanie, to tak, stała się lepsza. - W jej głosie było jakby wyzwanie.

- W jakim sensie? - spytał, starając się mówić gładko, z zainteresowaniem, ale bez zbytniego zaangażowania.

- Anne była - Julia zmarszczyła czoło, szukając właściwych słów - niezmordowana, kiedy po raz pierwszy pokazała się w towarzystwie. Świeciła niemal zbyt jasno. To było zupełnie tak, jakby się patrzyło na płomień pożerający głownię.

- Szkoda, że jej wtedy nie znałem - powiedział w zamyśleniu Jack.

- My, przyznam, uważaliśmy, że jest odrobinę zbyt żywiołowa, zbyt impulsywna, ale Mateusz niczego podobnego nie dostrzegał. Uważał, że jest ideałem. Za pierwszym razem odmówiła mu swojej ręki. Nie wiedział pan o tym? On był jednak zdeterminowany. Powiedział, że dopiero gdy poślubi Anne, będzie człowiekiem pełnym. Doskonałym.

Służący ze srebrną tacą w ręce zatrzymał się obok nich, oferując im poncz. Julia ujęła filiżankę wytwornym gestem, uniosła do ust i pociągnęła łyk.

Czy to była przyczyna tego bólu, jaki dostrzegał w Anne? Czy spadła z piedestału, na jakim ustawił ją Mateusz? Było dla niego zagadką, dlaczego Mateusz Wilder, nie mając żadnego doświadczenia w służbie na morzu, a mając za to rodzinę, majątek, wdzięk - i Anne - zgłosił się na ochotnika do tak ryzykownej powinności.

Czy kiedy zorientował się, że poślubił nie księżniczkę z baśni, tylko zwykłą śmiertelniczkę, postanowił raczej zrezygnować z życia, niż prowadzić nie w pełni „doskonałą” egzystencję?

A jeśli on, Jack, miał rację, to co z Anne? Czy czuła, jak powoli narasta u męża rozczarowanie? Czy pytała, czego jej brak, jakiej cechy, którą Mateusz wyobraził sobie, że posiada? Jak to jest być tak kochaną, a potem przekonać się, bez żadnej własnej winy, bez żadnego prawidła, na jakie można by się powołać, że nie jest się już w stanie wzbudzać u małżonka afektu, a może nawet zwykłych względów?

Musi się przekonać, czy ma rację.

- Nigdy nie byłem żonaty, ale przypuszczam, że płomień zalotów musiał się w końcu nieco przytłumić małżeńską codziennością.

- Jestem zwykłą wieśniaczką, pułkowniku. Przypuszczam, że miłość, kiedy raz została nam dana, rośnie. I z całą pewnością nie dostrzegłam w ich małżeństwie niczego, co by mnie odwiodło od tej opinii. Co nie znaczy, że widywałam ich często. Mateusz uwielbiał zabierać Anne w nowe, egzotyczne miejsca. Miał wielki pociąg do podróży i poznawania nowych ludzi.

- A zatem był równie czułym małżonkiem, co zalotnikiem?

Skinęła głową i westchnęła lekko.

- O, tak. Z każdym mijającym miesiącem, z każdym rokiem Mateusz kochał Anne coraz bardziej.

Musi więc poszukać innego wyjaśnienia dla tej zagadki.

- To doprawdy rzadkość. A czy ów żar nigdy nie wzbudził zazdrości, jaka zwykle rodzi się w podobnych przypadkach?

Najwyraźniej zdziwił ją ten pomysł.

- Być może niektórzy byli zazdrośni. Ale któż nie byłby zazdrosny, widząc, jak spełnia się baśń? - Uśmiechnęła się lekko, jakby ze skruchą.

Ale w baśni zawsze jest jakiś potwór, pomyślał Jack. Kto - czy co - był nim w przypadku Anne?

- Mateusz nade wszystko pragnął jej szczęścia - powiedziała cicho Julia, rozglądając się, gdzie by można było odstawić pustą filiżankę.

- Dlaczego w takim razie zgłosił się do służby, do której najwyraźniej nie był przygotowany? - mruknął Jack. Julia uniosła ku niemu wzrok. W jej twarzy znać było długie lata niepewności. Najwyraźniej sama mnóstwo razy zadawała sobie to pytanie.

- Ja... ja nie wiem.

Milczenie pomiędzy nimi rozciągnęło się w długą, pustą ciszę. Stali dopóki znów nie podeszła do nich Sophia.

- Patrzcie, kogo znalazłam... I nie jest w szarościach! - Jej śmiech brzmiał nieżyczliwie.

Zza pleców Sophii ukazała się Anne. Jack wlepił w nią oczy. Zbrakło mu tchu.

Przygotowany był na wrażenie, jakie wywoła na nim jej widok, ale mimo to nie zdołał opanować gwałtownego bicia serca. Zmysły momentalnie napięły się, wyostrzyły, tak jakby wszystko w nim otworzyło się na nią, nastroiło na nią,

gotowe chłonąć każdy szczegół: jej wygląd, dźwięk jej głosu, jej woń i jej ciepło.

Miała na sobie jakąś lśniącą suknię w kolorze sosnowych konarów, przetykaną złotem. W obramowaniu bogatych barw jej uroda była jeszcze bardziej zniewalająca, jeszcze wyrazistsza, a równocześnie, jakby na przekór, jeszcze bardziej bezbronna.

Nie patrzyła na niego. Założyłby się, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że on tu jest. Przez chwilę wpatrywała się w Julię Knapp, jakby zobaczyła ducha. Po chwili wyraz napięcia zniknął, ustępując miejsca ironii, a następnie rezygnacji.

- Panna Knapp - powiedziała. - Jak to miło zobaczyć panią po tak długim czasie.

Julia zbliżyła się, szeleszcząc taftą. Jej szczery powitalny uśmiech tak dalece kontrastował z wyrazem twarzy Anne, że dla świadków kontrast ten był wręcz przykry.

- Moja droga pani Wilder! Jak świetnie pani wygląda!

Anne wahała się jedynie ułamek sekundy, po czym objęła znacznie wyższą od siebie Julię.

- Malcolm powiedział, że jest pani w mieście. Musiała pani przyjechać niedawno?

- W zeszłym tygodniu. Byłam...

- ...zajęta. Naturalnie! Czyż nie tak bywa zawsze w sezonie? Czy Sophia zaproponowała pani poncz? Ale przypominam sobie, że pani nie lubi ponczu. To może lemoniady? - mówiła szybko Anne. Jej oczy połyskiwały, uśmiech był olśniewający, fałszywy i łamiący serce. - Musimy... - Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Jackiem. Zamarła.

- Jack.

Zaledwie dosłyszał to słowo. To nie był nawet szept. Raczej wydech. Dźwięk ostateczności. Skłonił się.

- Dobry wieczór, pani Wilder.

- Dobry wieczór, pułkowniku Seward. Jak to miło, że zdołał pan przyjść na nasze przyjęcie. - Jej ton był równie miły i lekki, co pusty i bez znaczenia. Nigdy dotąd nie słyszał podobnego tonu z jej ust. - Ale musi pan poznać pannę Knapp, pułkowniku. Ach, już się państwo znają? To świetnie!

Coś było straszliwie nie tak. Postąpił krok naprzód. Cofnęła się. Poczuł skurcz w piersi, tak jakby żelazna pięść zaciskała się wokół jego serca. Umykała spojrzeniem, jak zwierzę usiłujące wyrwać się z pułapki, obolałe i nieporadne.

Przeraził ją. Zbyt często widział ten wyraz w jej oczach, by pomylić go z innym... Wczoraj wieczorem odeszła do siebie przerażona jego śmiałością - i własną bezbronnością wobec niego.

Anne to nie lady Dibbs... Nie była zbyt wprawna w unikaniu niechcianych awansów. A on z tego skorzystał. Czuł się wprost chory.

- Panna Knapp zamieszkała u brata. - Spojrzenie Sophii wbiło się między niego a Anne.

Anne uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie. W twarzy miała wzruszającą gorliwość.

- O! Na czas sezonu?

- Był tak uprzejmy, że zaprosił mnie, bym zamieszkała z jego rodziną na stałe - odparła Julia. - Mój ojciec odszedł na początku ubiegłego roku.

Anne zbladła.

- Ja... tak mi przykro...

- Dziękuję - odparła z wdzięcznością Julia. - Simon przeprowadził się ze swoją rodziną do dworu. Był tak uprzejmy, że zaprosił mnie i matkę, byśmy pozostały na miejscu. Nie potrafię wyrazić, jak to miło móc znowu słyszeć w domu dziecięce głosy...

- Panna Knapp ma doskonałą sytuację, jest czułą ciotką dla pięciorga dzieci swego brata. - Ton Sophii jasno mówił, że bynajmniej nie uważa tej pozycji za doskonałą. - Jak się one mają?

- Znakomicie - zapewniła pośpiesznie Julia. - Cieszą się doskonałym zdrowiem. Dziękuję. Ale pani, pani Wilder... słyszałam, że robi pani wspaniałe rzeczy dla naszych marynarzy i żołnierzy. Coś w rodzaju funduszu dobroczynnego?

- Tak - odparła Anne, odsuwając się niezręcznie.

Julia chwyciła jej dłoń w obie ręce.

- Jak to dobrze! Jakież to wspaniałe... Obie z matką pielęgnowałyśmy żołnierzy, kiedy po raz pierwszy ich do nas przyniesiono - wyjaśniła z błyszczącymi zapałem oczami. - Otworzyłyśmy dla nich dom. To była wielka satysfakcja!

Ściskała rękę Anne z pełnym aprobaty uśmiechem.

- Jestem pewna, że gdyby Mateusz żył, popierałby panią.

- Czyżby? - Sophia nie wyglądała na przekonaną. - Ależ to by oznaczało, że Anne nie byłaby w stanie spędzać z nim każdej wolnej chwili!

Julia roześmiała się. Anne, jak zauważył Jack, nie.

- Och, Sophio, wciąż te drwiny! Ale mówiąc poważnie, Anne, zazdroszczę pani. Mieć coś tak satysfakcjonującego do wypełnienia długich dni...

Urwała gwałtownie, gdy zdała sobie sprawę, że słowa te ujawniają jej samotność i brak jakiegokolwiek celu w życiu i że towarzystwo może się poczuć niezręcznie.

Anne pośpiesznie starała się wypełnić lukę w rozmowie.

- Jak się pani podoba mały sezon, panno Knapp?

- Och - odparła ze swobodą Julia - nie przyjechałam tu, żeby się bawić. Za parę miesięcy najstarsza córka mojego brata wchodzi w świat. Odwiedzamy krawców i załatwiamy tym podobne sprawy.

- Ależ Julio - zaprotestowała Sophia - ty też powinnaś mieć trochę rozrywki.

- Obawiam się, że pod koniec tygodnia wyjadę - powiedziała spokojnie Julia. - Nie mam powodu, żeby zostawać.

- Będzie nam pani brakowało - pośpieszyła Anne z jawnym przymusem.

- Pułkownik Seward pytał mnie o Mateusza, pani Wilder - powiedziała Julia odrobinę zanadto promiennie. - Ciekaw był, jakim człowiekiem był Mateusz.

Anne gwałtownie zwróciła ku niemu głowę i prześwidrowała na wylot nieodgadnionym spojrzeniem. Był w nim i tragizm, i gorycz samotności.

- Najlepszym z najlepszych, pułkowniku Seward - powiedziała z przekonaniem. - Najlepszym z najlepszych.

12

O mój Boże. - Julia z niepokojem wpatrywała się w Anne. - Tak strasznie mi przykro. Nie sądziłam, że rozmowa o nim będzie nadal dla pani tak bolesna. Proszę mi wybaczyć.

Na widok jej strapienia Anne poczuła, jak niby tysiąc maleńkich ostrzy przeszywają poczucie winy.

- Nie potrzebuje się pani tłumaczyć, naprawdę. Czuję się znakomicie.

Julia była najuczciwszą z kobiet. Nigdy nie oskarżała Mateusza, że ją porzucił, ani jej, Anne, że go złowiła. A przecież można ją było o to oskarżyć. Tak, złowiła Mateusza Wildera, wykorzystując wszelkie umiejętności, jakimi dysponowała.

- Pułkownik Seward zamierzał opowiedzieć nam o Szkocji - rzekła Julia, poszukując jakiegoś tematu do konwersacji.

- Doprawdy? - spytała Anne. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, niezdolna, by patrzeć wprost. Zbyt to było bolesne.

Zmarszczył brwi.

- Ja myślę, że Szkocja to miejsce dzikie i romantyczne. A pani, Julio? - rzuciła impulsywnie Sophia. - A już zwłaszcza góry. Czy pan pochodzi z gór, pułkowniku?

- Nie. Z Edynburga.

A więc to prawda, pomyślała Anne. Spojrzenie utkwiła w Julii, ale wszystkie pozostałe zmysły nastrojone były na Jacka. Powiadano, że sir Jamison znalazł go w przytułku w Edynburgu. Zapomniała o tym... Tak samo jak zapomniała, że jest złodziejką.

- Pani Wilder - usłyszała, zaskoczona, zniżony głos Julii. - Czy mogłabym zamienić z panią słowo na stronie?

Anne w milczeniu skinęła głową. Julia odwiodła ją nieco na bok, pozostawiając Jacka z Sophia.

- Nie powinnam tego mówić tutaj, ale czuję, że muszę. Wątpię, czy będę miała inną sposobność, a czuję, że jestem to winna Mateuszowi.

Anne zesztywniała.

- Co jest pani winna Mateuszowi, panno Knapp?

- On tak bardzo panią kochał.

O Boże... Ostry ból przeniknął jej żołądek. Ile jeszcze razy będzie musiała znieść podobne sytuacje? Ile jeszcze razy będzie jej przypominane, że była kochana... nie,

uwielbiana, darzona uczuciem, o jakim większość kobiet może jedynie marzyć? Uczuciem, które należało się Julii Knapp.

- Pani reakcja na moją wzmiankę o Mateuszu mówi jasno, że nadal jest pani w żałobie. Niepotrzebnie. Nie powinna pani. Mateusz byłby tym bardzo zasmucony.

Mateusz byłby tym zachwycony, zakipiała nagle wewnątrz niej myśl, pełna nieoczekiwanego jadu. Przerażona, zagryzła wargi.

- Ja także jestem pogrążona w smutku - wyznała szczerze Julia. - Mateusz był moim przyjacielem. I choć moja strata nie może się równać z tą, jakiej doznała... - Julia zawiesiła na moment głos - żona, to wiem, że nie chciałby, żeby czczono jego pamięć w świątyni przygnębienia. „Kiedy Anne się śmieje" - powiedział mi raz - „ja też nie mogę się nie uśmiechnąć".

- Proszę... nie.

Julia mocno ujęła oburącz drżącą dłoń Anne.

- Droga pani Wilder, proszę zacząć od nowa. Jest pani młoda. Całe życie przed panią. Proszę zacząć jeszcze raz i cieszyć się tym.

- Tak jak to pani zrobiła? - spytała Anne ściszonym głosem.

Julia uśmiechnęła się.

- Ależ ja nie dysponuję takimi środkami jak pani, moja droga. Gdybym mogła znaleźć cokolwiek, czemu mogłabym się poświęcić... - Potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Mogę to zmienić - rzekła Anne z rozpaczliwą gotowością. - Może pani zamieszkać ze mną. Zostać moją damą do towarzystwa. Mogłybyśmy...

- Mieszkać w domu Mateusza? Jeść z jego stołu? - Julia potrząsnęła głową. - Nigdy nie potrafiłabym od pani przyjąć niczego, co należało do Mateusza. - Nie było cienia niechęci w jej odmowie, jedynie głęboka, niewysłowiona duma, która przypomniała Anne, jak głęboko zranił Mateusz Julię.

Jakież to było głupie z jej strony, proponować coś takiego... Być damą do towarzystwa kobiety, która ukradła ci twoją przyszłość, twoje życie? Do listy wszystkich swoich grzechów mogłaby dopisać gruboskórność.

- To było niedelikatne. Przepraszam.

- Nie ma potrzeby. - Miły uśmiech rozświetlił szczerą twarz Julii. - Ale proszę, niech pani spróbuje zostawić przeszłość za sobą.

Skinęła głową, wiedząc, że kłamie. Przeszłości nie da się pozostawić za sobą. Kuśtykała za nią na drewnianej nodze, robiła jej wyrzuty głosem starej kobiety i oskarżycielskimi listami matki Mateusza. Przychodziła na przyjęcie, strojna w taftę. Przeszłość zawsze będzie z nią.-

Jej wzrok spoczął na ciemnozłotej głowie Jacka Sewarda, nachylonej nad Sophią. Dlaczego ją pocałował, otwierając jednym szarpnięciem jej serce, tak pilnie dotąd strzeżone? Dlaczego sprowadził na nią ten ból - ból tęsknoty za czymś, co nigdy się nie ziści? Czy właśnie coś takiego czuł Mateusz? Jeśli tak, to nic dziwnego, że

wybrał śmierć.

Dlaczego Jack to zrobił? Co dostrzegł, kiedy na nią patrzył? Przymknęła oczy. Głowa pulsowała jej z bólu. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

Z pomocą przyszło rozgoryczenie.

Jack widział w niej wdowę w żałobie. Kobietę bez znakomitego nazwiska, które by ją chroniło, kobietę, która wyszła niegdyś za mąż powyżej własnego stanu. Kobietę, która zdobyła uwielbienie mężczyzny o reputacji świętego.

Ale nie widział jej samej.

Podniósł wzrok. Twarz miał napiętą, badawczą.

Złodziejka - oto kim była. Powinien to dostrzec. Powinien wiedzieć.

Gdyby tylko nie patrzył na nią z takim pełnym napięcia skupieniem, tak jakby odkrył jej demony i próbował przepędzić je za pomocą egzorcyzmów. Gdyby nie był wciąż obecny, gdyby nie oblegał jej nieustannie swoją pełną powagi kurtuazją i ciepłem swego spojrzenia, swoim nieczęstym śmiechem i swoją siłą, wówczas - Boże, zmiłuj się - może zdołałaby się zmusić do tego, by przestało jej na nim zależeć.

Zaśmiała się cichym, suchym śmieszkiem. Śmiech zamienił się w szloch. Stłumiła go.

Jack momentalnie postąpił naprzód, pozwalając, by rozpoczęte przez Sophię zdanie zawisło pomiędzy nimi niedokończone. Anne uniosła dłoń, powstrzymując go tym gestem. Czuła na sobie stroskane spojrzenie Julii.

- Musiałam się przeziębić dziś po południu. - Słyszała własny głos jakby z oddali. - Sophio, zechcesz bawić sama naszych gości? Wybaczycie mi państwo, że was opuszczę. Panno Knapp?

- Naturalnie, pani Wilder.

- Pułkowniku?

Skłonił głowę. Anne szybko odeszła.

Przyjęcie u Northów skończyło się godzinę później. Znacznie wcześniej, niż nakazywała moda, ale dla Jacka i tak o wiele za późno. Wracał z Mayfair do siebie nabrzeżem, odtwarzając w pamięci wyraz twarzy Anne, gdy uciekła z sali i - nie mógł obronić się przed tym wrażeniem - od niego.

Od rzeki ciągnął chłód. Opary mgły snuły się leniwie po ziemi. Było zbyt zimno, żeby pójść gdzieś pić, za późno, żeby pracować.

Gdy sięgał klamki drzwi, z mgły wychynął Griffin w towarzystwie wyrostka.

- Nie spałem całą nockę - odezwał się chłopak bez żadnych wstępów. Griffin stał obok w milczeniu. - Dokładnie tak, jak pan kazał. Dziewczyna kuchenna to niezły gagatek, co noc wymyka się na parę godzin, ale po dachach nie łazi.

Jack skinął głową. Wszystko było tak, jak oczekiwał... Rozegrał to źle od samego początku. Stawiał na lekkomyślność i zuchwalstwo złodziejki, które będą ją

zmuszały do działania, do prowokowania go, pomimo - a może właśnie, dlatego - że wiedziała, iż jest on blisko.

Popełnił błąd. Złodziejka zniknęła.

Wyłowił z kieszeni parę monet i rzucił je na brudną, cierpliwie czekającą dłoń.

- Obserwuj nadal.

- W porząsiu, kapitanie. - I chłopak zniknął bezszelestnie jak duch.

Złodziejka też nazywała go kapitanem, ale jej gardłowa, typowa dla Dockland wymowa nie była rodzima. Ktoś ją nauczył - albo nauczyła się sama w późniejszym życiu.

Od szeregu dni zaniechał ścigania jej, zajęty pogonią innego rodzaju. Teraz jednak czas zaczynał naglić i musiał z powrotem skierować uwagę na złodziejkę. Tylko natrafiając na jakiś ślad, mógł kupić sobie trochę czasu. Czasu, potrzebnego do rozwiązania zagadki tamtego listu.

- Są jakieś nowości? - zwrócił się do Griffina. - Dowiedziałeś się czegoś od Burke'a?

- Niczego - rzekł z niesmakiem Griffin. - Chłopak wymówił Frostowi i popędził za czymś jak szalony do Sussex.

- A sam znalazłeś coś? Potrzebuję jakiegoś tropu, którym można by pójść. Potrzebuję go już, teraz - nalegał Jack.

- Myślę, że Atwood miał ten list przez jakiś czas, zanim powiedział o nim Jamisonowi - odparł Griffin. - Mój człowiek na zamku Windsor powiedział, że Atwood był tam regularnym gościem aż do kwietnia, kiedy złożył ostatnią wizytę.

- Kogo odwiedzał Atwood?

- To mnie właśnie zaskakuje, kapitanie. Odwiedzał starego króla.

- Co? - spytał z niedowierzaniem Jack.

Griffin skinął głową.

Czy coś się w tym kryło? Czy król w swoim szaleństwie ujawnił jakiś skandal, informację, którą można było się posłużyć, żeby szantażować regenta?

- A skoro mowa o dziwnych koneksjach... Obserwowałem lorda Veddera, zgodnie z pańskimi instrukcjami. Vedder zaczyna być blisko z Frostem, który utopiłby pana, kapitanie, w łyżce wody. A przedwczoraj w nocy złożył kolejną wizytę pańskiemu ojcu. Knowles nie został zaproszony.

- Pewnie żądał od Jamisona, żeby mnie skrócił o głowę za impertynencję. Obserwuj go nadal - rzekł Jack i bez dalszych komentarzy wszedł po schodach, po czym zniknął za frontowymi drzwiami.

*

- Jeśli zostaniesz, będziesz zgubiona - ostrzegł Strand lakonicznie. Uniósł świecę, tak by blask padł na okrytą ciężkim płaszczem sylwetkę nocnego gościa. - Nie słyszałaś o takich mężczyznach jak ja?

Sophia North zrzuciła kaptur, ukazując wspaniałą grzywę rudych loków.

Ale czy ty również nie zamierzasz mnie wykorzystać?

Jakie to uroczo niewinne z jej strony... Oczywiście, że ją wykorzysta. Wykorzysta ją, by zapomnieć o Cat Montrose, o Anne Wilder, i o wszystkich kobietach, które obiecują mężczyźnie spełnienie duchowe, a nie po prostu chwilowe rozładowanie seksualnego popędu.

O tak... Przy niej będzie mógł na chwilę zapomnieć o tym drobiazgu - że jest tak przeraźliwie samotny.

Zbliżyła się na odległość ramienia i położyła mu dłoń nie na piersi, a na udzie. Wezbrał. Sophia uśmiechnęła się znacząco.

- Możemy wykorzystać się nawzajem.

Może wcale nie była taka niewinna, jak myślał.

Wodząc dłońmi po jej piersiach, talii i niewielkim, miękkim, krągłym brzuchu, pomyślał, że nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego nauczyciela.

13

Ciemność nocy okryła niebo. Gdyby uniosła ramiona, zamknęła oczy i wychyliła się, nie upadłaby w dół. Rozpłynęłaby się w przestrzeni albo uniosła w górę niby dym i poszarpałyby ją na strzępy czyste wichry grasujące po niebieskim podbrzuszu.

Rozciągająca się w dole ziemia była tym bardziej efemeryczna - kuliła się pod całunem mgły niby trędowaty pod swą opończą. Tu, w górze, wyostrzone nerwy wychwytywały z otoczenia każdy najlżejszy niuans, a zmysły drżały w lubieżnym poddaniu się przymusowi.

Obejrzała się i popatrzyła przez okno na swoją sypialnię. Za oszronioną szybą jarzyła się na nocnym stoliku samotna świeca. Na łóżku kłębiła się zmięta pościel; obok na dywanie leżała jedwabna nocna koszula.

Niebo było czarne, powietrze mroźne, ale w końcu to był jej świat. Dzisiejszej nocy odwiedzi Diabelskiego Jacka, Ogara Whitehall. Człowieka, który robił rzeczy straszne - ale straszniejsze było nakłanianie jej, by uwierzyła, że mogłaby go pokochać. Wrócić do tej niszczącej iluzji. Do tej zabójczej nadziei.

Chłód przenikał jej stawy, usztywniał palce. Mógłby znieczulić i serce, gdyby ten organ nie był już martwy.

Musiała je przebudzić, jedyną bowiem rzeczą, jaką ryzykowała, było jej własne życie. Chwile, kiedy należała wyłącznie do siebie, nocy i lśniących w mroku, zimnych, dalekich gwiazd.

Ruszyła pewnie po oszronionym dachu. Powódź bodźców zalewała jej zmysły. Dźwięki były jak las, kolory - jak uczta, oddech i ruch mięśni - jak muzyka. A ona pławiła się w tym wszystkim.

Do diabła z Sophia i jej ojcem. Do diabła z Julią Knapp. Do diabła z kalekimi żołnierzami Mateusza i panią Cashman skuloną gdzieś na rogu ulicy. I do diabła z Jackiem Sewardem.

Wyjrzała zza zwieńczenia. Po przeciwnej stronie ulicy, przy parkowej bramie stał jakiś wyrostek i uniósłszy sprytną twarz ku niebu, przeszukiwał wzrokiem dachy. Kolejna wtyczka Jacka Sewarda... Niech szuka.

Pobiegła lekkim krokiem po stromej płaszczyźnie. Oddech tworzył obłoczki pary. Trochę trudniej było się poruszać tu niż po płaskim, ale już trudniej było odróżnić jej sylwetkę na czarnym tle. Nie myślała o niebezpieczeństwie obsunięcia się, nie dbała o to.

Tylko jednego chciała od tej nocy - żeby położyła kres jej mrzonkom i jej zmartwychwstałemu cierpieniu.

Posuwała się naprzód pewnie i bez wahania jak lunatyk. Wiedziała, gdzie on mieszka - znała ów skromny adres w tej części miasta, gdzie właściciele domów wynajmowali mieszkania pozbawionym majątku drugim synom lordów i rozmaitym zadłużonym fircykom.

Podeszła na skraj przepaści i rzuciła się w pustkę ponad rozciągającą się w dole ulicą. Ze śmiechem wylądowała na krawędzi przeciwległego dachu i pobiegła naprzód jeszcze szybciej, szybciej niż zdradziecka wyobraźnia mogła przywołać obraz twarzy Jacka. Teraz ważny był dla niej tylko fizyczny wysiłek zwilżający skórę potem i budzący w jej ciele mrówki rozkoszy.

Kolejna ulica, kolejny skok. Mięśnie drżały z napięcia, tętno biło szybko jak u królika, każdy por skóry dyszał radością. Z łomocącym sercem wspięła się po stromej, pokrytej obluzowanymi łupkami płaszczyźnie na szczyt.

Była na miejscu.

Odetchnęła głęboko. W dole pod nią spał Jack i śnił o jej pojmaniu i jej kapitulacji. Zanadto jest mną zajęty, pomyślała ponuro. Ścigał zarówno złodzieja, jak i kobietę, a teraz zapłaci za ten błąd.

Pod wpływem niejasnego przeczucia jej wargi wygięły się boleśnie, a w oczach zapłonął ponury blask. Wstrząsnęła się, aby się od niego uwolnić. Czyż nie dostawała zawsze tego, czego chciała? A tym razem chciała Jacka Sewarda.

Podpełzła do krawędzi dachu i wychyliła się. Tuż pod nią blado lśniła płaszczyzna okna. Występ miał szerokość męskiej dłoni.

Wysunęła się jeszcze trochę, przechyliła ponad zwieńczeniem, zawisła na biodrach i wyciągnąwszy rękę, uchwyciła się górnej części framugi. Tynk rozkruszył się pod palcami. Wygrzebała zagłębienie, poprawiła chwyt, wychyliła się jeszcze bardziej, zwisła na moment - i stanęła na wąziutkim parapecie.

Wpatrując się przez szybę w puste wnętrze, wsunęła w szczelinę cieniutką metalową płytkę i poluzowała zamknięcie. Pchnąwszy lekko, uchyliła połówkę okna i wśliznęła się do środka. Znajdowała się w sypialni niewielkiego miejskiego domu, takiej samej jak setki sąsiednich, bez indywidualności, bez śladu wdzięku, który by ją wyróżniał - czysta konwencja. Bywała już w takich pokojach wiele razy.

Za otwartymi drzwiami na lewo powinna być jeszcze jedna sypialnia, a za nią garderoba. Poniżej - jadalnia i salon, ewentualnie biblioteka, a na parterze - kuchnia, spiżarnia i pomieszczenia dla służby.

Podeszła ostrożnie do otwartych drzwi i zajrzała. Po chwili oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Miała rację - to była sypialnia. Sypialnia Jacka. Można było rozróżnić zarys jego długiego ciała wyciągniętego na wąskim łóżku. Weszła do pokoju i rozejrzała się, rejestrując wzrokiem jego zawartość.

Powinno to być coś, w czym byłoby szyderstwo i groźba. Coś, co uświadomiłoby mu jego bezbronność, wzbudziło gniew, zawód, świadomość straty. Coś, co by go sprowokowało do poszukiwania jej tym usilniej.

Szybko przejrzała pozbawiony jakichkolwiek osobistych cech zbiór przyborów toaletowych, książek i skromną zawartość komody. Nie było nic oprócz...

Pomysł zawładnął jej wyobraźnią i nie pozwalał się zakrzyczeć rozsądkowi. To przecież będzie takie łatwe, takie doskonałe. Będzie jej potem nienawidził, zareaguje na jej prowokację jak pies na zapach.

Zacznie ją ścigać zajadle, zapamiętale i w ten sposób - omal nie roześmiała się na myśl o gorzkiej ironii tej sytuacji - powtórnie skieruje całą uwagę na złodziejkę, a wdowa będzie mogła działać wolna od jego fascynacji. To było wszystko, czego potrzebowała. Odrobiny przestrzeni. Ale najpierw on musi stracić swoje opanowanie, zostać sprowokowany tak, aby przekraczało to jego zdolność oporu przed dalszym pościgiem.

Z lekkim świstem wyciągnęła z ozdobnej pochwy jego ceremonialną szpadę. Użycie przeciw niemu jego własnej broni to dobry start.

Oddech Jacka zatrzymał się na moment. Jednak w snach tego człowieka podobny dźwięk był znajomym towarzyszem... Stal, woń prochu, krzyk umierającego,

wszystko to było zbyt swojskie, by przywołać go do świata czujących. Swoją intuicją bezbłędnie rozpoznawała prawdę i to rozpoznanie powstrzymało ją. Nie był już dla niej obcy. Znała go.

A on myślał, że zna ją. Głupiec.

Ze szpadą w dłoni podeszła na palcach do okna. Rozsunęła ostrożnie zasłony, wpuszczając do środka nieco światła. Spojrzała w dół i zmarszczyła brwi. Okno wychodziło na położoną dziesięć metrów niżej ciasną uliczkę. Niczym nieprzyozdobione, czarne od sadzy ściany domu nie dawały żadnej sposobności, by uchwycić się czegoś dłońmi. Jedynie ćwierćmetrowej szerokości ceglany ściek rozbijał jednolitą nagą przestrzeń.

Wychyliła się nieco bardziej. Z mieszkania wychodziło jeszcze jedno okno. Znajdowało się dwa metry niżej, zbyt daleko, by mogło być użyteczne. Podeszła z powrotem do łóżka Jacka, zabierając po drodze lekkie drewniane krzesło. Nie patrząc na niego, postawiła je obok łóżka. Mężczyzna taki jak Jack nawet przez sen poczuje, że jest obserwowany.

Oparła lekko nogę o krawędź krzesła i uniosła szpadę. Ostrze zalśniło w świetle księżyca. Skierowała jego koniec prosto w gardło Sewarda i, odetchnąwszy głęboko, trąciła łóżko nogą.

Żadne drgnienie nie zdradziło, że się przebudził. Tylko nagle jego płytki oddech ostrzegł ją, że czuwa.

- Nie śpi pan, kapitanie. Niech pan nie struga ze mnie wariata - szepnęła ochryple.

Otworzył oczy, tak przytomne, że zwątpiła, czy w ogóle spał. Ciemność odbita w źrenicach była czysta i lśniąca.

- Moja złodziejka.

W jego miękkim głosie dosłyszała powitanie. Wzrok Jacka powędrował w dół, poniżej miejsca na szyi, w które wycelowane było ostrze. Mimo ciemności dostrzegła gorycz w jego uśmiechu. Nie pytając ją o zgodę, usiadł. Kołdra osunęła się do pasa. Kołnierzyk odpiął mu się w czasie snu i w rozcięciu nocnej koszuli widać było tors i bark. Na ten widok krew zaczęła szybciej pulsować w jej żyłach.

Mięśnie miał napięte. Blask księżyca ozłacał go, uwydatniając potężną muskulaturę.

- Ręce do góry. Nie zamierza pan chyba rzucić się na mnie? Przebiłabym pana jak ropuchę.

- Doprawdy? - W jego głosie dało się słyszeć wyłącznie ciekawość, ale muskuły rozluźniły się. Odchylił się leciutko na poduszkę.

To rozluźnienie budziło jeszcze mniej ufności niż napięcie.

- A dlaczego nie? Przeszkadza mi pan, miesza się w moje sprawy...

- Sprawy?

- W moją pracę. W moje kanty. W mój zarobek.

- Proszę wybaczyć, że się pani naprzykrzam. Jedyne, czego od pani potrzebuję, to

list, który ukradła pani lordowi Atwoodowi.

Zdumiała się. Jaki list? Atwood nie miał żadnego listu. On...

Jack pochylił się leciutko do przodu, co natychmiast zwróciło jej uwagę. Ten gest odsłonił jeszcze bardziej jego pierś. Nie wyglądało zresztą, żeby miało to dla niego jakieś znaczenie. Najwyraźniej było mu obojętne czy jest ubrany, czy nie.

W zachowaniu Sewarda wyrażała się swoboda i elegancja. Jego postać o ciemnej karnacji odcinała się na tle białej pościeli, skórę miał gładką i napiętą. Na piersi lśniło delikatne, ciemne futerko, a twardy zarys szczęki ocieniał nocny zarost. Kiedy leżał tak w ciemnawym pokoju, wyglądał niezwykle pociągająco.

Powietrze między nimi aż drgało od utajonego seksualnego napięcia. Niemal czuła jego język na wargach, jego dłonie na...

Nie, nie chce, żeby to nią zawładnęło. W jej życiu zbyt wiele było spraw, które nią zawładnęły, pogrążając jej duszę w oceanie żalu. Teraz ona będzie sprawować kontrolę. Ona będzie panem sytuacji.

- Zezłościł mnie pan! - Słaby, rozdrażniony głos przypominał skrzek jakiejś mizernej istoty.

- Raz jeszcze proszę o wybaczenie. - W gładkim niczym whisky głosie brzmiała drwina, ale niepewność sprawiała, że wzrok pozostał czujny.

Zadawał sobie pytanie, jak daleko ona się posunie, do czego jest zdolna...

Chciała, żeby był nie tylko niepewny. Chciała, żeby był przekonany, że jest zdolna do każdego czynu, do każdej zbrodni. Bo czyż nie była? Czyż nie strząsnęła z siebie wdowiej bojaźliwości, wspinając się na dachy londyńskich domów?

Prześladował ją w myślach, prześladował ją w życiu. Chodził za nią krok w krok we śnie i w świecie realnym. Zapędził ją w kozi róg, a teraz ona zwróciła się przeciw niemu.

Chciała tego. Chciała mieć całą władzę, jaką on reprezentował.

- Prośba o wybaczenie to za mało, kapitanie. Może powinnam załatwić to od ręki? Jeśli usunę pana z drogi, będę mogła robić, co zechcę.

- Morderstwo? Cóż za krwiożercza z pani istotka!

Potrząsnęła głową.

- Nigdy jeszcze nie splamiłam mojej nieśmiertelnej duszy morderstwem. Miałabym splamić ją teraz? Po prostu troszkę bym pana skaleczyła. - I krótkim, gwałtownym dźgnięciem przebiła prześcieradło o parę centymetrów od niego. Syknął odruchowo. Uśmiechnęła się.

- Fascynujące uczucie, prawda? Nie wiedzieć, czy następna chwila nie będzie ostatnią. Wiedzieć, że twój wróg trzyma w rękach twój los, a ty nie możesz nic zrobić w tej sprawie. - Nachyliła się tak blisko, że mogła dostrzec, jak wdycha jej zapach, usiłując w ten sposób ją zidentyfikować. Nawet tu, nawet teraz - wciąż ją ścigał.

Szarpnęła się do tyłu, wściekła, że nie jest w stanie wzbudzić w nim takiego lęku,

jaki on budził w niej.

- Jak to jest być jeden raz zającem, a nie psem? - Nagłym ruchem szpady strąciła z niego kołdrę.

Rzucił się do przodu i na chwilę jego twarz wyłoniła się z cienia, raźnie oświetlona padającą z okna poświatą. Anne błyskawicznie odwróciła ku niemu koniec szpady, dotykając ostrzem jego piersi.

- Siedzieć!

Przez sekundę w pięknych, czystych oczach Sewarda zabłysło zuchwalstwo, po czym opadł z powrotem w półcień. Jego pierś unosił głęboki, miarowy oddech. Mrówki i żar przebiegły po skórze, piersiach, brzuchu i udach Anne. Powstrzymała go. Poddała go swej woli.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem.

- Wstawać, kapitanie - powiedziała, podnosząc się z krzesła. Wyciągnąwszy zza pasa pistolet, wymierzyła w niego i lufę, i szpadę.

- A jeśli odmówię?

- Widział pan kiedy wykastrowanego ogiera, kapitanie? - Koniec szpady opadł, igrając lekko z kołdrą zakrywającą jego krocze.

Przez ułamek sekundy mocowali się spojrzeniem. Jack zręcznie usunął się od bezpośredniego zagrożenia i dźwignął się z łóżka. Był wysoki, o wiele wyższy od niej, a jednak - zmysłowy dreszcz przebiegł jej ciało - to ona miała nad nim władzę. Nawet z odległości dwóch metrów górował nad nią niczym wieża. Stał swobodnie, lecz jego oczy wpatrywały się w nią uważnie.

Znów zbliżyła szpadę do jego gardła, nie odsuwając się nawet na centymetr. Jej nozdrza wypełniła woń snu, piżma i czegoś niemożliwego do określenia a podniecającego.

- Dokąd mamy stąd iść? - spytał.

Wskazała krzesło.

- Usiądzie pan, kapitanie.

- W obecności damy? Nie sądzę. - Skłonił się, znowu z niej drwiąc.

- Nie jestem damą. Jestem złodziejką. Pańskim wrogiem. A tej nocy należy pan do mnie.

Spojrzenie Jacka nabrało ostrości, a na twarzy pojawił się wyraz czujności. Za późno zdała sobie sprawę, że tym razem zapomniała, żeby mówić z takim akcentem jak jej ojciec.

- Siadać, psiakrew!

Usiadł, zaznaczając wzruszeniem ramion, że jej małe zwycięstwo uważa za mało istotne. Anne stanęła za nim i przyłożyła mu do szyi lufę pistoletu.

- Ręce do tyłu, kapitanie - zakomenderowała ochryple, zsuwając linę z ramienia.

Zrobił, czego żądała. Chwyciła go najpierw za sztywną dłoń, mimo woli odnotowując bolesne zawęźlenie mięśni i ścięgien.

Był ranny. Bóg jeden wie, ile razy, a jednak się nie poddał. Przetrwał. A co ważniejsze i bardziej fascynujące, przetrwał swoje własne wyczyny. Gdyby ona mogła to osiągnąć... Zawahała się.

- Schwytam panią, wie pani o tym - rzekł, odwracając głowę i rzucając jej z ukosa złe spojrzenie.

Założyła mu pętlę na przegub, zacisnęła mocno, po czym, chwyciwszy za drugi, skrępowała mu ręce. Obeszła go dookoła, stanęła z powrotem na wprost i obrzuciła go zuchwałym spojrzeniem.

Nie dostrzegła, by wywarło to na nim jakieś wrażenie.

- A teraz? - spytał.

- A teraz zabawię się z panem, kapitanie. Tak jak pan bawił się ze mną. A pan będzie się zastanawiał: czy to już, czy to mój koniec?

- Nie zabije mnie pani.

- Nie? - rzuciła ostro. - Jeśli przyjdzie wybierać między pańskim życiem a moim, wybiorę moje, kapitanie. Może pan nie mieć żadnych wątpliwości. Już kiedyś to zrobiłam i dziś zrobię to samo.

- Zabiła pani człowieka? - spytał, patrząc na nią uważnie.

- Tak!

- A więc, jeśli taki ma pani zamiar, proszę zrobić to szybko. Nie mam ochoty spędzać moich ostatnich chwil na wymianie zwierzeń ze złodziejką i morderczynią, w dodatku zamaskowaną.

Nie było w tym, co mówił, cienia strachu, nie było też wyższości ani pogardy. Po prostu stwierdzał fakt.

- Nieważne na co pan ma ochotę - warknęła. - Ważne, na co ja mam ochotę. Nie wie pan, jacy są złodzieje, kapitanie? Chcą tego, czego nie mogą mieć, a kiedy to dostają, chcą więcej.

- Pani nie chce mnie zabić. Pani chce, żebym przestał panią ścigać. Ale ja nie przestanę. Jeszcze nie. I pani o tym wie.

- Milczeć!

Potrząsnął głową. W oczach miał namysł.

- Mogła pani być wolna, gdyby poczekała pani odrobinę dłużej. Ale pani nie poczekała. Dlaczego? - Pytanie było ostre, zdecydowane. - Musiała pani przypuszczać, że wystarczy się przyczaić i poczekać, aż zostanę odwołany. Dlaczego więc zrobiła to pani teraz?

Słowa Sewarda uderzały w nią, budziły strach.

- Bo tak chciałam!

- Czy wie pani, co myślę? - Głos miał chłodny, odległy i pełen pokus.

- Nie. - Szybkim ruchem uniosła szpadę i dotknęła jego szyi. Bezlitośnie powiodła końcem szpady wzdłuż rozchylonego zapięcia nocnej koszuli. Nie zatrzymała się przy jego końcu. Przecięła lnianą tkaninę, obnażając twardą drabinę żeber.

Dotknąwszy wszystkich po kolei, zsunęła ostrze w dół, po brzuchu, do występu kości biodrowej.

Znalazła sposób, żeby zmusić go do milczenia.

Jego wzrok spoczął na jej twarzy z królewską władczością. Jedynie ciemna barwa nasycająca szyję i dolną część twarzy zdradzała, że coś czuje. To - i zemsta, jaką obiecywały jego oczy. Świeciły w mroku niczym wilcze ślepia.

Gardło miała ściśnięte. Nie mogła się zatrzymać. Zaczęła to. Musi skończyć. I jest to, bądź co bądź, to, czego chciała, czego pragnęła od początku. To jest prawdziwy powód, dla którego tu przyszła, bez względu na to, jakie kłamstwa wmawiała sobie samej. Gdyż jest to wszystko, co kiedykolwiek mogłaby od niego mieć.

I to też mu ukradnie. Nawet wbrew jego woli. Jednym chlaśnięciem przecięła to, co zostało z jego nocnej koszuli.

- Teraz musi mnie pani zabić, złodziejko - powiedział konwersacyjnym tonem, choć jego oczy płonęły niczym głownie. - Bo ja nie spocznę, dopóki pani nie złapię. Nie spocznę, póki nie będę pani miał. Choćby to miało trwać długo, choćby miało mnie nie wiadomo gdzie doprowadzić.

Puściła szpadę, która upadła ze stukotem na drewnianą podłogę. Tętno waliło jej w gardle. Zdecydowanym ruchem stanęła między jego kolanami.

- Tak - powiedziała. - Ale w tej chwili ja mam pana.

14

Wsunęła kciuki pod krępujący jego dłonie sznur, gdzie pozostawiła niewielki luz, kiedy zaciskała więzy. Parę minut i byłby wolny... Furia rozżarzyła jego zdecydowanie niemal do białości.

Powinien był ją sprowokować, udowodnić, że to tylko blef, ale to nie była ta sama kobieta, która prześladowała go w snach. Jego złodziejka zmieniła się. Otulał ją płaszcz desperacji, stąpała po cienkiej linii dzielącej samokontrolę od jej utraty. „Piękność to zwodnicza wędka ze śmiercionośnym haczykiem” - pisał Lyly, i tak rzeczywiście było.

Widywał już podobny stan u mężczyzn, którzy posunęli się zbyt daleko i ostatecznie przekroczyli granicę. Ona wyglądała tak samo. Zdradzały to szybkie, nerwowe ruchy i pot, który zwilżał jej szyję i wsiąkał w kołnierzyk ciemnej koszuli. Uśmiech rozszczepiał jej twarz z ostrością żyletki, zamierając na moment tylko po to, żeby po paru sekundach zabłysnąć na nowo, jak gdyby w odpowiedzi na jakąś słyszalną tylko dla niej obelgę.

Patrząc na nią, tak lekkomyślną i tak przeklętą, zdał sobie sprawę, że są ze sobą spokrewnieni duchowo niczym ogień i popiół. Anne Wilder to było marzenie, obiekt dążeń, uosobienie tego, czym może być miłość. Złodziejka - to była jego rzeczywistość.

Od pierwszego spotkania - a może nawet jeszcze wcześniej, może już wtedy, kiedy rzuciła mu wyzwanie swoim sprytem i odwagą - tkwiła w jego piersi niczym

kula. I jak w przypadku kuli, jeden umiejętny dotyk przypominał człowiekowi o jej potencjalnie śmiercionośnej obecności.

- Mam pana - powtórzyła swym twardym szeptem, wciskając się między jego uda w parodii jeszcze intymniejszej pozycji kochanki. Ledwo widział jej rysy w mroku panującym w pokoju. Słyszał jej oddech i czuł jej ciepło. Dreszcz przebiegł mu po skórze...

Nagle zdał sobie sprawę, co czuł od pierwszej chwili. Seks. Spływał z niej falami: cielesny, przemożny, intensywny.

Nadał mu imię - i niczym hubka w morzu trawy, sam zajął się płomieniem od jej podniecenia. Ciało, chyże i twarde, zesztywniało od gotowości i dobrze znanej, gwałtownej tęsknoty.

Pragnął jej. Nie tego, by ją zaaresztować, nie przeklętego listu. Pragnął być w niej i było to pragnienie intensywne, niemożliwe do pohamowania.

- Wie pan, co jest cholernie śmieszne, kapitanie? - Nachyliła się tuż nad nim i słowa padły na jego usta jak ciepły deszcz.

Zza czarnej maski lśniły jej oczy. Nie mógł mówić. Zanadto jej pragnął. Przywiązała go do tego krzesła i zmusiła, by równocześnie smakował swoje pożądanie i swoją bezsilność. Gorzej, w jego całkowicie pozbawionym złudzeń życiu sprawiła, że pozbył się jedynej iluzji, w jaką pragnął wierzyć. Zmusiła go do rezygnacji z Anne Wilder.

- Nigdy nie miałam pańskiego cholernego listu - powiedziała ostrym tonem, z wargami o parę centymetrów od jego warg. - Zrobi pan to dla nas za darmo!

Przybliżyła usta do jego ust. Zacisnęła jedną dłoń na jego karku, drugą rozpostarła na piersi. Powiodła językiem wzdłuż szwu jego warg. Ciemna, ciepła trucizna spłynęła rzeką po jego ciele, zbierając się w kroczu. O Boże...

Zapomniał o wolności, zapomniał o zemście w obliczu tej o wiele bardziej naglącej potrzeby. Szarpnął się w przód, naprężając krępujący go sznur, w poszukiwaniu bardziej intymnego kontaktu.

Dała go mu. Jęknęła głucho, kiedy jego żywy i ciepły język znalazł się w jej ustach. Wcisnęła się między jego kolana, przywarła do ramion. Jej palce ześliznęły się z piersi na brzuch, leciutko drapiąc paznokciami zsuwały się coraz niżej.

Zacisnął powieki. Wierzchem dłoni otarła o jego obrzmiały członek. Zacisnął zęby, by westchnieniem nie zdradzić się i nie oddać jej zwycięstwa. I wtedy zamknęła go w dłoni z parzącą jak rozpalone żelazo delikatnością. Jęk rozkoszy wyrwał mu się z gardła. Odrzucił głowę, uniósł biodra.

Pożądanie spaliło na żużel wszystkie jego plany, intrygi i strategie. Jedna myśl opanowała go z siłą imperatywu. Chciał tego, co sama mu oferowała - co oferowała ona, jedna ze wszystkich kobiet, jakie znał: koniec tęsknoty.

Zapłaci jej każdą cenę, jakiej zażąda.

Drżała na jego piersi, a dłonie zaborczo poznawały jego ciało. Nachylił głowę, by

pocałować ją jeszcze raz. Oczy miała zamknięte.

- Otwórz usta - zażądał gardłowym szeptem. - Daj mi je. Pozwól...

Wyszarpnęła się z jego pocałunku i odskoczyła do tyłu, obejmując obronnie ramionami własne ciało. Oczy miała rozszerzone. Ryknął z wściekłością niczym głodujący, którego oderwano od zastawionego stołu.

Odbiegła od niego. Z dziką determinacją rzucił się naprzód całym ciałem, naprężając więzy, wykręcając ramiona. Zakwiliła - i, jak nałogowiec do opium, podpełzła do niego z powrotem. Jej oczy paliły jak ogniem. Pod czarną, jedwabną maską drżały rozkosznie bezbronne usta.

Położyła mu dłoń na udzie. Zazgrzytał zębami w męce i przymknął oczy.

- Czego chcesz? - wyrzucił z siebie. - Cokolwiek by to miało być, kończ, psiakrew!

Jej westchnienie przywróciło go rzeczywistości, tak jak nie zdołałoby tego sprawić żadne słowo. Poczuł sznury wrzynające mu się w przeguby, usłyszał swój ciężki niczym u dzikiego zwierza oddech, poczuł woń własnego potu i własnego podniecenia.

Nie zamierzała zaspokoić tej prymitywnej potrzeby. Widział, jak narasta w niej strach, który przemaga pożądanie.

Nie potrzebowała się go bać. Boże święty, jak suplikant błagałby ją na klęczkach o dotyk, o pocałunek, o ciało...

Zbyt późno zdał sobie sprawę ze swego uwikłania, zbyt późno rozpoznał, co z nim zrobiła. Przehandlował wszystkie długie lata walki o samokontrolę za szansę parzenia się z nią. Niech ją piorun trzaśnie!

Rozwścieczony, próbował wyśliznąć się z więzów. Znów był małym chłopcem, głodującym karaluchem z przytułku, zmuszonym przez niewiedzę i rozpacz do życia w tym plugawym więzieniu. Był chłopcem, na którym wyżywał się każdy mieszkaniec tego zgniłego piekła, który nienawidził ich wszystkich, ale najbardziej samego siebie, gdyż nie potrafił zaprzestać walki. A walka z tym, co nieuniknione, sprawiała tylko, że ból był jeszcze dotkliwszy.

Bicze strażników były niczym wobec bólu, jaki sprawiało zwykłe „chcę”. Mógł się odgrodzić od ich brutalności. Mógł wykorzystać ból, jaki zadawali, popracować nad nim i czegoś się w ten sposób nauczyć. Ból niezaspokojonego „chcę” nie nauczył go nigdy niczego oprócz tego, by chcieć jeszcze więcej. Dopóki ostatecznie nie przeklął się za to.

Ona może się wycofać, do diabła. Może uciec. Schować się w piekle, jeśli potrafi - niewiele jej to pomoże. Znajdzie ją.

- Uwolnij mnie!

Pomacała za sobą podłogę w poszukiwaniu szpady i znalazła ją. Zerwała się na równe nogi i zbliżyła koniec ostrza do jego szyi.

- Nie.

Sznur wpił mu się w przeguby. Ciepła ciecz splamiła konopną linę. Jego krew.

- Nie ruszać się! - zakomenderowała, głosem drżącym tak szaleńczo jak roztańczone ostrze. Nerwowo kręciła głową, spoglądała w prawo i w lewo, szukając drogi ucieczki.

- Czemu mnie nie załatwisz?

Wykręciwszy sztywną rękę, zdołał ją wyszarpnąć z więzów. Poderwał się. Krzesło z trzaskiem padło na podłogę. Rozcięta nocna koszula chyliła się z boku. Jej wzrok padł na dowód jego podniecenia; powieki zatrzepotały i opadły na moment.

Wykorzystał tę nieprawdopodobną dziewiczość. Gołą ręką chwycił ostrze, przecinając dłoń. Trysnęła krew.

W panice chwyciła oburącz rękojeść, usiłując wyrwać mu broń. Wolną dłonią chwycił ją za kark i przyciągnął do siebie. Walczyła desperacko, on zaś chwycił ją mocno, przyjmując każdy cios.

Dyszała ciężko. Nie była w stanie myśleć. Był za duży, za silny, zbyt rozwścieczony... O Boże, pomyślała w histerii, miotając się jak szalona, jak mogła sądzić, że potrafi nad nim zapanować?

Łzy pociekły jej po twarzy. Walczyła, ale na dnie tych łez, jak żarłoczne zwierzę, taiło się pożądanie i wyło o zaspokojenie. O Boże, było w niej od tak dawna, ale nigdy takie jak dziś: tak elementarne, tak żywe.

Jakaś jej głęboko pogrzebana cząstka nie tylko chciała tej walki, ale więcej - chciała jego zwycięstwa. Chciała, żeby woń jego żaru i złości zalewała jej zmysły, chciała czuć śliskość jego brzucha na swoim brzuchu, jego twarde męskie ciało na...

- Nie!

Słabła. Na ułamek chwili żelazny chwyt, w jakim trzymał jej nadgarstki, stał się odrobinę luźniejszy. Szarpnęła się w bok i uderzyła go mocno głową w podbródek. Usłyszała, jak szczęknęły mu zęby i, zatoczywszy rękojeścią szpady, ugodziła go w skroń. Cofnął się o krok. Tyle miejsca jej wystarczyło. Wyrwała się z jego uścisku i rzuciła do okna.

Słyszała, że podbiegł do niej, ale już otwierała okno, już zwisała po tamtej stronie, trzymając się parapetu. Puściła go, przerzuciła ręce na zewnątrz i uchwyciła się kruchego tynku, usiłując natrafić palcami stóp na rynnę. Puls walił jej w skroniach. Desperacko przebierała nogami. Rynny nie było.

Pod wpływem ciężaru ciała palce zaczynały wysuwać się z płytkiego zagłębienia. Stopy tłukły się o mur jak uwięziony w kominie ptak. Ręce drętwiały. Osuwała się. Czarna przepaść otwierała się pod nią, wciągała...

Coś zacisnęło się wokół jej nadgarstka z siłą imadła.

Spojrzała w górę. Z okna wychylał się do połowy Jack. Z napiętymi jak powrozy muskulami, z zaciśniętymi zębami, usiłował podciągnąć ją do góry. Ale dłoń miał

śliską od krwi i osłabłą od przecinającej ją głębokiej rany. Choć podciągnął ją trochę, czuła, że jego chwyt słabnie. Za chwilę upuści ją na bruk.

- Wrzuć mnie przez okno, piętro niżej! - jęknęła, tracąc dech.

- Nie! - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Wrzuć! Bo zginę!

Niezdecydowanie, ból i furia przemknęły po jego twarzy, po czym że sieknięciem wychylił się jeszcze bardziej. Spocony tors lśnił, w zimnym świetle księżyca. Twarz miał surową od skupienia.

Chwycił się parapetu zdrową dłonią i wychylił ją w bok, po czym, wykorzystując rozpęd, z całej siły pchnął w kierunku od ściany budynku. A potem łukiem pofrunęła z powrotem.

Okno zamajaczyło jak czarne, płaskie jezioro szkła. Krzyknęła i zamknęła oczy. Tysiąc przejrzystych odłamków eksplodowało wokół niej, gdy rozbiła szybę i wpadła do środka pośród fontanny rozpryśniętych kryształowych drzazg.

Wylądowała w przysiadzie, przekoziołkowała i stanęła na nogi, tak jak ją uczono. I od razu, z kotłującymi się w głowie myślami, rzuciła się przez łukowate drzwi do hallu, a stamtąd do głównego wejścia.

Zwolniła. Puls walił jej w skroniach, pierś falowała z podniecenia. Oszukała śmierć - i jego. Uratował ją.

Wytężając słuch, by złowić odgłosy nieuniknionego pościgu, wśliznęła się do ciemnej alkowy tuż obok drzwi frontowych. Na schodach rozległ się łomot kroków. Zadudniły obok jej kryjówki. Usłyszała jego ciche przekleństwo, gdy wypadł na zewnątrz. Blask ulicznej lampy wydobył z mroku jego smukłe, twarde ciało.

Stanęła bezszelestnie za nim, sycąc oczy jego widokiem: szerokimi plecami, prostą linią barków, wąskością bioder, zwięzłością pośladków przechodzących w smukłe uda i łydki.

Przyłożyła mu do głowy lufę pistoletu. Odwrócił się gwałtownie i nad jej głową przeleciała zaciśnięta pięść. Zdążyła się uchylić. Dźgnęła go lufą pistoletu w twardy brzuch, a wolną ręką ujęła za kark. Zdumienie i gniew przebiegły mu po twarzy.

Po raz drugi tej nocy całowała go. Czuła rozchylonymi ustami jego twarde jak wyrzeźbione wargi, czuła, jak jego ciało szybko nabrzmiewa. Z cichym jękiem podobnym do warknięcia zgniótł ją w uścisku i uniósł. Nie bacząc na tkwiący między ich ciałami pistolet, przyparł ją plecami do ściany. Żarłocznie zagarnął wargami jej wargi, przygwoździł biodrami jej biodra. Jego ramiona zdawały się jeszcze szersze, gdy nachylał się nad nią niczym jastrząb nad ofiarą. Otoczył ją swoją męskością.

Poddaj się. Zwyciężył, pomyślała, tonąc w powodzi wrażeń.

- Psiakrew! - mruknął. Furia, beznadziejność, nienawiść do siebie i straszna

tęsknota były w tym przekleństwie.

On tego chce, pomyślała sennie. Nienawidzi mnie. Zabije mnie.

Odepchnęła go, i potknąwszy się, odskoczyła. Wciąż trzymając go na muszce pistoletu, poszukiwała za sobą klamki. Postąpił naprzód.

- Nie! - W jej głosie było szaleństwo. Zatrzymał się.

- Znajdę cię - powiedział ponuro. - Niezależnie gdzie będziesz i jak długo miałoby to trwać. Nie zdołasz ujść daleko.

Rzuciła się do ucieczki. Lekko i szybko jak chart pomknęła po zimnych, mokrych kocich łbach. Wspięła się na dach, po czym rzuciła się w drwiącą ciszę nocy. Przyspieszony oddech zmienił się w łkanie. Wiedziała, że miał rację: następnym razem nie zdoła uciec dostatecznie szybko ani dostatecznie daleko.

15

Książę regent urządzał przyjęcie. Planował je od tygodni. Podano wystawne jadło, Carlton House był pełen wytwornych osób i błyskotliwych rozmów. Miano tańczyć i grać w karty, a o północy podać przekąskę.

Książę regent nie zdołał dotrwać do tańców.

Pogoda oraz wznowiona aktywność Ducha Wrexhalla wielu zaproszonych zatrzymały w domach. W poczuciu, że go zlekceważono, zaraz po kolacji wymówił się i poszedł, pozostawiając towarzystwo.

Zostali tylko zajadli birbanci, zdecydowani nie pozwolić, by jakikolwiek przypadek przeszkodził im w korzystaniu z wszelkich dostępnych na tym świecie form przyjemności. W ich liczbie znajdowali się Northowie - wraz z Anne Wilder.

Ogromne okna Carlton House wypełniło na moment białoniebieskie światło. Hulające towarzystwo nie zauważyło przelotnego błysku - z wyjątkiem Anne. W parę sekund później pod nogami tłumu zadrżała podłoga. Kandelabry tańczyły w rytm gromu tak niskiego i głębokiego, że trudno go było dosłyszeć poprzez gwar rozmów. Zbliżała się burza.

Spojrzała na swoją szklankę z ponczem i zakręciła nią w kółko, tworząc w rubinowym płynie miniaturowy wir. Każdy dzień mija tak samo bezładnie i przypadkowo, jak drobina korka wirująca szaleńczo wokół ścianek szklanki. Odkąd Jack...

Nie. Nie Jack. Nie będzie myśleć o Jacku. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby odwrócić jej uwagę, i zauważyła w niewielkiej odległości Sophię z lady Dibbs, lady Pons-Burton i Jeannette Frost. Powoli zbliżały się ku niej. Sophia. Będzie myśleć o Sophii.

Ostatnio dochodziły ją różne pogłoski ze strony zatroskanych znajomych, życzliwych wdów i dobrze poinformowanych dżentelmenów. Ich słowa były pełne współczucia, ale oczy mówiły co innego.

- Młodość, młodość, pani Wilder - mówili. - Cóż, pamiętam, że pani w jej wieku

też nie przejmowała się tym, co uchodzi, a co nie, nieprawdaż? A przecież nic złego się pani nie stało...

Trunek zawirował szybciej. Wir w szklance pogłębił się. O tak, nie pominą żadnej sposobności, żeby wypomnieć córce handlarza, że podstępem wymogła małżeństwo na arystokracie.

Nie raniły jej ich prostackie insynuacje. Nie mieli za grosz subtelności. Jack Seward zabiłby ją swoją nienaganną uprzejmością. Jack by...

Nie. Sophia. Trzy dni temu weszła w nocy do jej pokoju i odkryła, że jest pusty. Dziewczyny nie było. Pojawiła się tuż przed powrotem Malcolma.

Miała tę odrobinę szczęścia, pomyślała Anne. Malcolm nakrzyczałby na Sophię, na służbę, a już zwłaszcza na nią samą. Groźna perspektywa - o ile człowiek jest w stanie się nią przejąć. Ale czyż nie był to jej stygmat? Niezdolność do prawdziwego przejmowania się czymkolwiek, do miłości? Tak właśnie mówił Mateusz. A on wiedział.

Sophia wraz z towarzyszącymi jej damami zatrzymała się o parę metrów. Gwar ich rozmowy przypominał brzęczenie pszczół w ulu. O tak, pomyślała Anne, przypatrując się głębokiemu dekoltowi Sophii i jej wystudiowanemu uśmiechowi, dobrze wykonałam swoją robotę jako opiekunka... Jeszcze trochę takiej opieki i Sophia skończy w domu publicznym.

Starała się. Naprawdę się starała... Tak samo jak starała się pokochać Mateusza.

W szyby uderzył deszcz. Rozgrzane szkło w zetknięciu z zimnymi kroplami natychmiast zaszło parą. Znów zagrzmiało, tym razem bliżej. Cztery kobiety przerwały rozmowę.

- Okropna pogoda - stwierdziła lady Dibbs, kiedy grzmot ucichł. - A ja jestem w nowych pantofelkach...

Sophia uśmiechnęła się uprzejmie, błądząc spojrzeniem wśród tłumu mężczyzn. Biedna lady Dibbs, pomyślała Anne. Nawet nie zdaje sobie sprawy, że została uprzedzona.

Nie tak dawno temu lady Dibbs wymogła na Anne milczenie w sprawie jej zadłużenia wobec Domu pod groźbą towarzyskiego ostracyzmu wobec Northów. Teraz już nie miała takiej władzy. Sophia zdecydowała, że sama dopilnuje tej sprawy.

Uśmiech dziewczyny pogłębił się. Anne obejrzała się, żeby zobaczyć, kto tym razem przyciągnął jej uwagę. Parę kroków za nią stali Strand i Jack. Na jego widok puls Anne gwałtownie przyspieszył. Spojrzenie Jacka omiotło ją i powędrowało dalej.

Chciała, żeby Jack Seward porzucił swoje zaloty wobec wdowy na rzecz pościgu za złodziejką... Nie można było oczekiwać lepszego rezultatu. Już nie szukał jej towarzystwa. Nawet nie patrzył na nią! Ograniczał się tylko do minimum, jakiego wymagały jego wykwintne maniery.

Powinna się uśmiechać. Powinna czuć triumf. Bądź co bądź, jej plan - och, jakże mądry plan - powiódł się. Czyż nie? Nagły ból ścisnął jej gardło.

Minęło pięć dni, odkąd wtargnęła do pokoju Jacka. Każdej następnej nocy wychodziła i kradła perły, świecidełka, błyskotki i rodzinne pamiątki, z każdą kolejną kradzieżą coraz bardziej zuchwała. Po prostu przestała się przejmować.

Jakie to miało obecnie znaczenie? Zrosła się ze swoją rolą w jedno. Rozkoszowała się nią, delektowała. Potrzebowała jej, ponieważ jedyne, co kiedykolwiek będzie miała z Jacka Sewarda, to jego pościg. Jako wdowa nie zyska jego względów; jako złodziejka nie pozna jego namiętności.

Sophia nie ucierpi z powodu jej czynów. Łączyło je jedynie bardzo dalekie powinowactwo. Była źle urodzoną żoną kuzyna Sophii. Doprawdy, towarzystwo zacznie współczuć biednej dziewczynie, która...

- Ostatniej nocy napadł mnie Duch.

Anne gwałtownie odwróciła głowę. Słysząc ciche wyznanie Jeannette, wyraziła zdumienie. Równie dobrze mogłaby wrzucić między nie zdechłego kota.

- Ukradł mi broszkę, a potem... potem mnie pocałował.

- Moje drogie dziecko! - wykrzyknęła lady Dibbs, jej oczy błyszczały z ciekawości.

- Jakie to ekscytujące! - podjęła Sophia. - I okropne, naturalnie. Proszę nam opowiedzieć, jak to było.

- Tak - poparła ją sucho Anne. - Proszę nam opowiedzieć, żebyśmy w przyszłości mogły uniknąć pani losu.

Jeannette nie trzeba było dłużej prosić.

- A więc - powiedziała - zegar wydzwonił właśnie północ...

Północ? Brakowało ze trzy godziny do świtu.

- Obudziło mnie wrażenie, że przesuwa się po mnie jakiś cień. Otworzyłam oczy... Nachylał się nade mną. Byłam jak sparaliżowana ze strachu.

- Domyślam się - rzekła Anne. Gdy ona grzebała w szufladach i schowkach z biżuterią, Jeannette Frost przez cały czas chrapała jak cierpiący na astmę mastiff.

Jeannette splotła ręce na piersi.

- „Łajdaku!” - krzyknęłam. Łypnął na mnie, wielki, barczysty brutal, i powiedział: „Dobra, dobra, dziewucho! Skoro jestem łajdakiem, to mogę zrobić, co do łajdaka należy”. Złapał mnie, pocałował, a kiedy dałam mu w twarz, roześmiał się.

Zachichotała.

- I to wszystko? - spytała Sophia.

- Och! - Dziewiczo wstydliwemu westchnieniu Jeannette wcale nie towarzyszył dziewiczy rumieniec. Spojrzała po twarzach swoich słuchaczy, bez wątpienia próbując ustalić, jakie zakończenie przyda jej większego splendoru. - Naturalnie, że wszystko.

Twarze pozostałych kobiet wydłużyły się z rozczarowania.

Tchórz z ciebie, panno Frost, pomyślała Anne. Niewątpliwie jednak tak było rozsądniej... Spojrzała w stronę, gdzie stał ojciec Jeannette i groźnym spojrzeniem swych zaczerwienionych oczu obrzucał to córkę, to Jacka. Zgwałcona córka Frostów? Lepiej, żeby była martwa.

- Jeden pocałunek? - spytała lady Pons-Burton, wydymając usta.

- Tak, tylko jeden pocałunek - skinęła głową Jeannette Frost, zezując ku ojcu.

- Jakież to musiało być okropne dla pani, panno Frost - powiedziała Sophia, a Anne odniosła przykre wrażenie, że Sophia pociesza Jeannette nie ze względu na przygodę, a raczej ze względu na jej nieciekawe zakończenie.

- Muszę wam o czymś powiedzieć. - Jeannette rozejrzała się dookoła. - Nie wydaje mi się, żeby Duch pochodził z gminu.

- A to dlaczego, panno Frost? - spytała lady Dibbs.

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć dlaczego. Po prostu miał wokół siebie taką aurę... I wymowę miał poprawną, nawet jeśli mówił gwarą. Pomyślałam sobie, że może to jakiś - jej wzrok padł na szerokie plecy Jacka i zniżyła głos - spłukany arystokrata.

- No tak. - Lady Dibbs prowokacyjnie przygryzła dolną wargę. - Wiemy, jacy oni potrafią być interesujący.

- Wiele hałasu o nic, jeśli chcecie znać moje zdanie - zareplikowała z ironią Sophia. - Albo też myślenie życzeniowe.

- Jak to, panno North? - Lady Dibbs spojrzała po towarzyszkach, by sprawdzić, czy podzielają jej zdumienie w związku ze spontaniczną opinią tak młodej i, najwyraźniej, niedoświadczonej dziewczyny. - Cóż takiego ma pani na myśli?

Jeannette i lady Pons-Burton prychnęły.

- Mówię o pułkowniku Sewardzie, rzecz jasna - powiedziała Sophia, lekko mrużąc oczy. - Uważam, że ten człowiek nie jest ani w połowie tak fascynujący, jak to się o nim opowiada.

- Skąd pani może o tym wiedzieć? - mruknęła lady Dibbs. Spojrzała ponad głową Sophii wprost na Anne i zamrugała, tak jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jej obecności. - Być może pani Wilder miałaby lepsze kwalifikacje, by opowiedzieć nam o pułkowniku Sewardzie, który chodzi za nią jak cień. Ale ale, nazywają go Ogarem Whitehallem, prawda?

Wszystkie cztery damy schowały się za wachlarzami i zachichotały.

Kiedy Anne nie odpowiedziała, lady Dibbs zwróciła roziskrzone spojrzenie na Sophię.

- A jakie podobne życiorysy ma tych dwoje! I w ogóle... Och, mój Boże! Nie czujesz się obrażona, Sophio, prawda? - Z mocno czerwonych ust lady Dibbs wydobył się sztuczny śmieszek. - Mam na myśli, że przecież nie jest to dla nikogo tajemnicą... Trzeba uważać, czym i z kim warto się dzielić. A pani Wilder nigdy nie przejmowała się, czy ktoś wie... jak skromna była pozycja jej przodków.

Podła.

- To te jego maniery - przerwała Jeannette, ignorując to, co działo się na dalszym planie. - Taki brutalny życiorys, a taki wykwintny sposób bycia! To połączenie jest po prostu piorunujące.

Anne nie chciała na niego patrzeć. To by było tak, jakby ich języki nigdy nie były złączone, jakby nigdy nie przywierała ciałem do jego ciała, nie gładziła ciepłej, twardej piersi, nie czuła pulsu bijącego w jego męskości.

Boże święty, kiedy o tym zapomni? Przygryzła policzek tak mocno, że poczuła w ustach metaliczny smak krwi. W ostatnich dniach przywołała z powrotem do życia widmo dziewczyny, która kiedyś olśniła londyńskie towarzystwo. Nikt zdawał się nie dostrzegać, że jej śmiech brzmiał chłodno, że jej błyskotliwy dowcip pozbawiony był życzliwości, a obietnice, jakie składały jej oczy, były puste.

Czarowała i prowokowała, w maniackim niemal dążeniu, by wypełnić tę pustkę. Dżentelmeni tłumnie gromadzili się wokół niej, ożywieni, zaintrygowani, co też oznacza to najnowsze wcielenie Anne Wilder. Starała się z całych sił, by nie pamiętać. Daremnie. Opanował ją jak...

- Pani Wilder! - Ton lady Dibbs sugerował, że powtórzyła jej nazwisko więcej niż jeden raz.

- Tak?

- Na pewno mogłaby pani zabawić nas jakąś interesującą historyjką o pułkowniku Sewardzie, prawda?

Za żadną cenę nie dostarczy tej kobiecie tematu, na którym będzie sobie ona ostrzyć swój jadowity język. Straciła wszystko, co było dla niej ważne. Nic, co lady Dibbs mogła jej zabrać, nie miało już znaczenia.

- Nie znam żadnych historii o pułkowniku Sewardzie, lady Dibbs. Mogłabym jednak opowiedzieć niejedną o pani.

Lady Dibbs z niedowierzaniem wlepiła w Anne oczy. Otworzyła usta, zamknęła je i znowu otworzyła.

- Doprawdy, pani Wilder, nie sądzę, żeby...

- To oczywiste - rzekła Anne. - Proszę jednak pozwolić, że wyrażę się jaśniej. Chodzi o dotacje, dwa razy po tysiąc funtów, które obiecała pani na rzecz Fundacji Pomocy Żołnierzom przy dwu odrębnych okazjach. Nigdy nie dostałam ani pensa.

Otaczające je kobiety momentalnie zamilkły. Lady Dibbs wyprostowała się.

- Przekazanie tak znacznych sum wymaga czasu - stwierdziła chłodno. W jej głosie brzmiało ostrzeżenie.

- Z pewnością nie więcej niż zajęło pani nabycie tego naszyjnika - odrzekła spokojnie Anne, muskając wzrokiem wisiorek z pereł i diamentów. - Przypuszczam, że powiedziała pani niektórym obecnym tu damom, że jest nowy, prawda?

- Insynuuje pani, że nie dotrzymałam obietnicy? Radzę, żeby się pani dobrze

zastanowiła, pani Wilder, zanim pani odpowie.

Jeśli lady Dibbs sądziła, że Anne zadrżą kolana, to doprawdy w ogóle jej nie znała.

Uśmiech Anne spalił na popiół wszelkie oznaki pokory i uległości, jakich lady Dibbs i jej towarzyszki oczekiwały w charakterze opłaty za wstęp do ich egzaltowanego królestwa. Lady Dibbs cofnęła się. Anne postąpiła naprzód.

- Insynuuję, lady Dibbs? - powiedziała głośno i dobitnie. - Fakty mówią same za siebie. Obiecała pani dwa tysiące funtów; nie dała pani nic poza publiczną demonstracją własnej hojności.

Lady Pons-Burton parsknęła. Lady Dibbs przeszyła ją jadowitym spojrzeniem.

Ale Anne jeszcze nie skończyła.

- Jedyny powód, dla którego w ogóle o tym mówię, to ten, że skoro jest pani taką orędowniczką prawdomówności, tak nieugięcie dąży pani, żeby ludzkie sprawy były otwarte na pani osąd, to z pewnością skwapliwie skorzysta pani z szansy ujawnienia własnych spraw.

- Jest pani skończona, pani Wilder - syknęła lady Dibbs przez zaciśnięte zęby.

- Doprawdy, tak pani sądzi? - Anne popatrzyła na kobiety, które wpatrywały się w swoją niedawną przywódczynię z nieskrywanym zakłopotaniem. - Myślę, że to raczej pani jest skończona.

*

- Brawo, Anne! - Sophia dogoniła ją, zanim dotarła do drzwi prowadzących na salę balową. Ton dziewczyny wywołał rumieńce na policzkach Anne, czego nie zdołała sprawić żadna ze złośliwości lady Dibbs.

- Jeśli chcesz się znaleźć na czarnej liście, to doskonale - ciągnęła Sophia. - Ale ponieważ od dwóch miesięcy robisz mi nieustanne wykłady na temat znaczenia towarzyskiej akceptacji, muszę przyznać, że jestem zaskoczona. A czy nie pomyślałaś, jak twoje postępki mogą się odbić na mnie?

Cierpliwość Anne zaczynała się wyczerpywać. Nawet jeśli dziewczyna może mieć kłopoty, to przecież przyjęła ten kurs znacznie wcześniej.

- Poddajesz próbie stopień towarzyskiej tolerancji przez cały sezon, Sophio. Powinnaś być zadowolona, że dostarczyłam ci wymówki wobec ojca, dlaczego nie będziesz więcej przyjmowana w lepszych sannach i domach.

Zamiast się bronić, Sophia wybuchnęła śmiechem.

- Ośmielę się przyznać, że masz rację. A poza tym nie jest mi już potrzebna aprobata lady Dibbs.

- Co masz na myśli? - spytała Anne.

- Dokładnie to, co powiedziałam. Po prostu wzięłam sobie do serca twój przykład, Anne. Miałaś rację: trzeba ignorować damy, a koncentrować się na panach.

- Nigdy nic podobnego nie robiłam.

- Ależ, Anne... Robiłaś. Panowie do tej pory o tym mówią. I oczywiste jest, że

w serce. Była piękna, wyzywająca. Jej widok palił oczy. Migała w tłumie tańczących jak egzotyczny, nocny ptak.

Zmarszczył brwi. Skąd ta myśl? Dlaczego przypisuje Anne Wilder rolę zdrajcy, skoro jest ona tak do bólu bezbronna? Czyż sam tego nie dowiódł? Czy nie obnażył w niej tej bezbronności?

Zasługiwała na - jak to powiedziała Julia Knapp? - adorację. Jego adoracja miała swój początek w lędźwiach. Udowodniła to złodziejka. Pożądał jej - Anne? złodziejki? obu? - jak najnikczemniejsze zwierzę.

Nie znał siebie. Miłość była fikcją, stworzoną po to, żeby szalał z tęsknoty za nią. Teraz jednak, kiedy uświadomił sobie, że to tylko wytwór fantazji, wdowa powinna przestać go fascynować. Tymczasem pociągała go jeszcze bardziej.

Taniec się skończył i Anne dygnęła przed partnerem, przygotowując się do zejścia z parkietu. Podszedł do niej lord Vedder. Wyciągnął ramiona, a ona pozwoliła się objąć. Orkiestra podjęła grę.

Ręka lorda Veddera spoczywała na jej talii tak intymnie. Nachylał się nad nią zbyt nisko, jakby chciał zlizać słoną wilgoć z jej skroni. Ciało Jacka zesztywniało. Zmusił się, by patrzeć. Anne emanowała blaskiem, wigorem, pewnością siebie, które przyciągały mężczyzn jak płomień przyciąga ćmy i oddzielały ją od niego murem zalotników.

A więc taka właśnie była podczas swojego pierwszego sezonu, kiedy została jego niekwestionowaną królową... Taka była, zanim Mateusz zabrał ją, poskromił, a potem zostawił, zmiażdżoną ciężarem jego śmierci. Jakim szaleńcem musiał być ten człowiek...

- Dobry wieczór, pułkowniku.

Jack rozejrzał się. Obok niego stał Strand. Najnowszy informator jego ojca... Był uczciwy, kiedy powiedział Jamisonowi, że nie oczekuje od Stranda lojalności. Ale podobałoby mu się, gdyby Strand ją wykazał.

- Witam, lordzie Strand.

- Nie tańczy pan? - spytał Strand.

- Nie.

- Doprawdy, powinien pan. Wiem, że oficjalnie nie jest pan dżentelmenem, ale biorąc pod uwagę pańskie nienaganne maniery, nigdy bym nie pomyślał, że może pan świadomie sprawić zawód damie.

- Cóż to za dama? - spytał Jack bez zainteresowania.

Uśmiech Stranda był leniwy, pełen prawdziwego rozbawienia.

- Och, mój drogi - zaśmiał się. - Coś takiego! Przysięgam, ubawiłem się tak, że to wprost przekracza imaginację.

- Poczytam sobie za wielki honor, jeśli zdołam rozproszyć pańską nudę. Jestem do pańskich usług. Być może jednak lepiej, jeśli znajdzie pan sobie inne lekarstwo. Mam do załatwienia różne sprawy.

- Ach tak - skinął głową Strand, dotykając palcem nosa. - Śledztwo. Jak panu idzie, pułkowniku? Czy ustalił pan już, która z kobiet jest pańską złodziejką?

- Nie.

- Czy zbliża się pan do wyjaśnienia?

- Być może.

- Coś takiego - zadrwił Strand, a ciekawość zaostrzyła jego rysy. - Cóż za małomówność! Proszę mi nie mówić, że to naprawdę dama z towarzystwa?

- Nie mówię panu w ogóle nic - odparł łagodnie Jack. - Chciałbym wiedzieć, jeśli łaska, co każe panu sądzić, iż uważam, że złodziej jest kobietą?

Strand wzruszył ramionami.

- Wydedukowałem jego płeć z tego, w jaką stronę kieruje pan swoją uwagę i kogo przesłuchuje.

- Ach tak.

Strand zachowywał się całkiem swobodnie. Być może zakładał, że Jack wie, iż raportuje wszystko Jamisonowi. Niemniej Strand wiedział również, że Jack nie lubi, kiedy zebrane przez niego informacje przekazywane są innym.

- Powinienem więc zachowywać większą ostrożność - dodał Seward.

Strand spoważniał.

- To zagadkowe. Myślałem, że my... - Miał coś powiedzieć, ale nagle zmienił zamiar. - Nie, oczywiście, że nie. Na pańskim miejscu starałbym się szybko doprowadzić sprawę do końca. Wczoraj odwiedził mnie Jamison.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Chciał wiedzieć, co pan robi. - Strand zawiesił głos, a kiedy Jack nie podjął kwestii, roześmiał się. - Niech mnie kule biją, Seward, jest pan najmniej dociekliwym śledczym, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Pewnie właśnie dlatego potrafi pan wydostać na jaw tyle sekretów... Ludzie, stojąc przed panem jak słup soli, czują się tak diabelnie niezręcznie, że wpadają w panikę i zaczynają paplać, i w ten sposób wypełniają pełną dezaprobaty pustkę wszelkimi możliwymi niedyskrecjami.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem sprawić wrażenia, że jestem niezainteresowany.

Wzrok Stranda zaostrzył się.

- Proszę pozwolić, że będę szczery. Jamison chce, żeby złodziejka była martwa, a wszystkie jej lary i penaty spalone na popiół. Z jakichś powodów nie ufa, że wypełni pan to zadanie.

Nikt nie miał zamiaru zabić złodziejki.

- W takim razie - odparł Jack - Jamison powinien był wynająć kogoś innego. Już teraz powinno się jej poszukiwać.

- Nigdy nie należał do tych, co siedzą z założonymi rękami - zgodził się Strand.

- Ciekawe - przyznał Jack, myśląc o obsesji ojca, który pragnął doprowadzić do

śmierci złodziejki. Musi ją ująć przed Jamisonem. Popełniła trzy kradzieże w ciągu pięciu nocy. Ostatnim razem zauważył ją lokaj i o mało nie zagnał do kąta stajennego podwórka. Z każdym kolejnym przestępstwem stawała się coraz śmielsza, coraz mniej ostrożna - niemal obojętna. Było tylko kwestią czasu, kiedy popełni fatalny błąd... Musi rozpostrzeć swoją sieć szerzej, a przede wszystkim szybciej. Nachmurzył się.

- Proszę nie marnować tych groźnych min w mojej obecności, pułkowniku - rzekł Strand. - Są tu kobiety, które czyhają na okazję, by zemdleć na widok marsa na pańskim czole.

- Hm? Wybaczy pan, Strand, nie uważałem.

- To część tego tajemniczego powabu, jak sądzę.

- Proszę?

- Nic, nic.

- Powinienem już iść - powiedział Jack. Rzucił okiem na Anne, która wciąż tańczyła w objęciach Veddera. Strand powędrował spojrzeniem w tym samym kierunku. - Pański sługa, sir.

- Nie moim jest pan sługą, pułkowniku - rzekł Strand. - I, jak się wydaje, pięknej wdowy również nie.

Jack zatrzymał się w pół obrotu.

- Co pan ma na myśli?

Strand wskazał Anne.

- Wdowa, odznaczająca się dziś dość gorączkową elegancją, nie sprawia wrażenia zadowolonej. Powiedziałbym, że jest nieco rozczochrana, ale niekoniecznie musi to oznaczać satysfakcję. - Westchnął głośno. - A powinna być zadowolona. Ostatecznie jest przecież gościem Książątka.

- Mówi pan zagadkami, Strand. Nie jestem w nastroju do ich rozwiązywania.

W głosie Stranda zabrzmiała nutka niechęci.

- Ignoruje pan ją, a to ją rani. Wolałbym, żeby nie czuła się zraniona.

- Od kiedy jest pan ekspertem od Anne Wilder? - Jack starał się - bardzo się starał - mówić swobodnym, niedbałym tonem. Wiedział, że mu się to jednak nie udało.

- A od kiedy jest pan taki tępy? Trudno o coś bardziej oczywistego. Przecież chodzi za panem krok w krok. Proszę tylko spojrzeć na jej odbicie w szybie, o tam. Nawet teraz patrzy w pana kierunku.

Mimo woli Jack przyjrzał się ruchomym obrazom na czarnej szklanej powierzchni. W powodzi koronek i falbanek pojawiła się Anne, niczym purpurowy kwiat niesiony prądem w pianie białego tiulu. Tak, patrzyła w jego stronę, dopóki lord Vedder nie przyciągnął jej bliżej.

Nie opierała się, jedynie wymownym ruchem opasała ramionami własne ciało. Vedder nie ustępował. Jack odwrócił się. W twarzy miał napięcie.

- Otóż właśnie - słowa Stranda odbijały bieg myśli Jacka - potrzebny jest jej

ratunek. Nie wiedział pan, że Vedder w swoim czasie ścigał ją dość wytrwale? A nie szukał on uczciwego związku, jak niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę. Wygląda na to, że ponawia swoje starania. Wygląda jak łasica w piżmie, czyż nie?

- Niech jej pan pomoże, Strand.

- Nie ja - odparł Strand, patrząc na Sophię North. Jack również przeniósł na nią uwagę.

Plamy gorączkowych wypieków znaczyły policzki dziewczyny. Z tyłu stał jej ojciec. Gdy Sophia ruszyła naprzód, ojciec chwycił ją za ramię i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Opierała się, on jednak trzymał ją mocno. Nawet stąd było widać, jak wpija palce w jej ciało.

- Wygląda na to, że mam własnego gołąbka, który potrzebuje ratunku. - W pozornie lekkim tonie Stranda słychać było cień bólu. - Nie trzeba dodawać, że mój gołąbek trafił do paszczy wilka na skutek własnej pomysłowości. Jej zagrożenie nie jest ani w połowie tak wielkie jak moje, gdyby naprawdę strzeliło mi do głowy, żeby interweniować. I bez wątpienia może pan przyjąć za pewnik, że jej potrzeba pomocy jest zaledwie mglistym przybliżeniem potrzeby pomocy pańskiej damy, tak samo jak jej gracji, jej umysłu, jej charakteru...

Strand zamilkł. Na jego ustach pojawił się wyraz smutku.

- Niemniej ona naprawdę potrzebuje pomocy - podjął - a ja nigdy wcześniej nie ulegałem podobnym impulsom. Niech mnie kule biją, Seward, jeśli nie ma pan racji. Pora, żebym coś zrobił z tą piekielną nudą. - Skłonił się nisko. - I usilnie nakłaniam pana, by zrobił pan coś dla tamtej drugiej damy. - Ukłonił się z uśmieszkiem i odszedł.

Jack nie próbował się opierać własnym potrzebom. Ruszył na pomoc Anne z rezygnacją i wdzięcznością zarazem. Nie miał wyboru. Wyglądało na to, że w ciągu paru ostatnich tygodni stał się istotą, która kieruje się wyłącznie impulsami i kaprysami, niezdolną do wypłynięcia poza zdradzieckie wody własnych żądz. Zatrzymał się przy końcu korowodu tancerzy, tuż na wprost niej.

Taniec się skończył. Anne odstąpiła na krok od Veddera i dygnęła. Vedder postąpił za nią i szepnął coś, co sprawiło, że rumieńce wypełzły jej na szyję. Odwróciła się, Vedder chwycił ją za rękę. Próbowała się wyrwać...

- Dobry wieczór, pani Wilder - powiedział Jack. Stał przed nią, nieświadom, że się w ogóle porusza.

- Witam, pułkowniku - odparła chłodno.

- Jest pan beznadziejnie *de trop*, Seward - zauważył Vedder, trzymając Anne za łokieć.

Jack zignorował go.

- Czyżbym istotnie był, pani Wilder?

Zawahała się.

- Wydaje mi się, że w ciągu naszej krótkiej znajomości nigdy nie zdarzyło się nam

tańczyć - powiedział Jack. - Nie darowałbym sobie, gdybym nie spróbował naprawić tego przeoczenia.

Wyglądało tak, jakby cofnęła się w siebie. Światowy uśmiech w jednej chwili wrócił na jej twarz. Oczy stały się dalekie i bez wyrazu.

- Pani Wilder?

- Doprawdy...

- Niech pan posłucha, Seward, jeśli pan nie zauważył, to nie pan jest tu od tańca - przerwał jej Vedder. - Właśnie miałem...

Ostre spojrzenie Jacka przecięło słowa Veddera niezaprzeczalną, choć subtelną groźbą przemocy.

- Proszę mi wybaczyć, Vedder, zapewne wyraziłem się niejasno. Pytałem panią Wilder, czy miałaby ochotę zatańczyć, nie pana.

Wściekłość zabarwiła purpurą uszy wicehrabiego.

- Posuwa się pan za daleko, ty nieznośny...

- Chętnie zatańczę, pułkowniku - przerwała pośpiesznie Anne.

Jack pobłogosławił w duchu Veddera, gdyż wątpliwe, czy gdyby nie pretekst, że musi powstrzymać obu mężczyzn przed skoczeniem sobie do gardeł, przyjęłaby jego zaproszenie.

- Pani Wilder... - wyrzucił z siebie Vedder.

- Dziękuję za taniec, lordzie Vedder. - Anne uniosła krótki tren sukni.

Jack skłonił głowę ku Vedderowi, ujął jej dłoń i poprowadził na parkiet.

Mistrz ceremonii ogłosił walca. Podeszła ku niemu blisko. Złożył dłoń powyżej talii, na delikatnym rusztowaniu żeber. Ciepło przeniknęło jego palce. Ujął drugą ręką jej dłoń i uniósł w górę.

Odwróciła twarz, nie chcąc patrzeć mu w oczy, i już po paru pierwszych tonach muzyki przestała się starać, by utrzymać na ustach sztuczny uśmiech. Drżące, bez śladu pogody, odbijały jej konsternację aż nadto wyraźnie. A były takie miękkie pod jego wargami, gdy ją całował, takie czułe i takie oddane...

Pragnął jej. Pragnął jej tak samo - nie, bardziej niż złodziejki. A przecież pragnął niemożliwego.

Fala bólu przetoczyła się przez niego, kłująca świadomość własnej niestałości. Przyciągnął ją bliżej. Anne rzuciła okiem na jego twarz, natychmiast odwróciła wzrok i spróbowała wyszarpnąć się z jego objęcia.

Nie, nie pozwoli jej. Nigdy więcej nie będzie jej trzymał w ramionach, nigdy nie będzie jej dotykał, wię

mięśnie pod skórą jej dłoni, czuł siłę palców, ściskających mocno jego rękę w daremnym wysiłku, by trzymać go na dystans.

Zawróciło mu to w głowie. Oszołomiło. Wzbudziło w nim żar.

Przeszyła go spojrzeniem pełnym złości i zakłopotania. Nie chciała tu być. Niedobrze, psiakrew.

Przyciągnął ją bliżej i wciągnął głęboko jej woń. Pachniała ciepłem, czystością i gniewem, których nie maskowały żadne perfumy czy mydło...

Powoli otworzył oczy, jak człowiek, który wie, że zaraz będzie świadkiem czegoś strasznego. Oddychał płytko. Siła, pasja, żadnej zdradliwej woni... O Boże, nie!

Potknęła się w tańcu i upadła ciałem na niego. Złapał ją. Dobrze znany, intymny dotyk. Położył sobie na piersi jej dłoń, w tym samym miejscu, gdzie spoczywała pięć wieczorów temu.

Szarpnęła się w tył.

Gdzieś zaśmiał się szatan, pomyślał tępo Jack.

Drżał. Nigdy nie był równie bliski całkowitej utraty samokontroli. Jakie to szczęście - dla niej - że nie są sami. Gdyż, właśnie w tym momencie nie był bynajmniej pewien, czy by jej nie zabił.

Chwycił ją za ramiona i wlepił w nią wzrok. Patrzyła wyzywająco, z oczyma rozświetlonymi jak północny panteon umierających gwiazd.

- Moja złodziejka – rzekł.

17

Myślała pani, że jej nie rozpoznam? Że nie mam wypalonego pani znaku na skórze? - spytał niskim, nabrzmiałym furią głosem.

- Boli - szepnęła.

Zdjął dłonie z jej ramion. Pobliska para wpatrywała się w nich i Jack, jęknąwszy w duchu, podjął przerwany taniec.

- Zmiłuj się, Boże, przecież ja znam pani smak. Moje ciało zna pani ciało. Od takiego rozpoznania nie ma ucieczki. - Jego jedwabiście szorstki głos nigdy nie był równie jedwabisty ani równie nabrzmiały groźbą. Myślała, że strach jej nie dosięga. Myliła się.

Czuła, jak z twarzy odpływa jej krew.

Graj swoją rolę do końca. Udawaj, że myślisz, iż chodzi mu o tamten łagodny pocałunek pod domem Northów.

- Proszę, pułkowniku - nie musiała wcale udawać konsternacji - nie jestem tak rozwiązła, jak mogłyby na to wskazywać moje czyny. Mogę przysiąc, że pański... pański pocałunek po prostu mnie zaskoczył.

Skrzywił się.

- Nie chciała pani tego.

- Czego?

- Grać ze mną w tę grę.

Ścisnął ją jeszcze mocniej, tak że ścierpły jej koniuszki palców.

Błysnęło, zagrzmiało i o szybę bębniły strugi deszczu. Przestrzeń zamknęła się wokół niej. Zakręciło jej się w głowie.

- Gra skończona - zgrzytnął. - Proszę się z tym pogodzić. Jest pani moja.

- Czy to rodzaj flirtu? Aczkolwiek przyjmuję odpowiedzialność za to, że być może nieświadomie zachęcałam pana do awansów, to... - Głos jej osłabł. W uszach rozległo się słabe brzęczenie, a przez ciało przetoczyła się fala bólu. Nigdy więcej Jacka. Nigdy więcej czułości. Wszystko stracone. - Muszę zaprotestować. Zostałam zaskoczona, bo nie znałam sposobów, jakimi posługują się... mężczyźni tacy jak pan i... - Ból zamigotał w jej spojrzeniu jak cień księżyca. Powiedz to. - Wolałabym nie zawierać takich znajomości.

Odwrócił gwałtownie głowę, tak jakby go uderzyła. Rozchylił usta i gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Kłamie pani.

- Proszę, pułkowniku - powiedziała cicho. - Ta rozmowa jest dla mnie bardzo przykra. Może lepiej przerwiemy taniec?

Oczy mu się zwęziły. Minęła sekunda i rysy wygładziły się, a furia znikła za chłodnym popiołem oczu.

- O, nie, madame. - Jego głos był twardy i gładki jak diament. - Najpokorniej proszę o łaskę i o możliwość dokończenia tego walca.

Powinna go zostawić. Powód, jakiego jej dostarczył, był aż nadto wystarczający. Nie potrafiła jednak wykrztusić słów odmowy, nie potrafiła pozostawić go samego na parkiecie. A on nie oczekiwał na jej odpowiedź.

Zatoczyli powolny, elegancki łuk wokół sali. Muzyka połączyła ich w rytmie równie srogim i zawiłym jak gra, która toczyła się między nimi. Przez cienki jedwab sukni czuła dotyk jego palców, rozległość jego dłoni, krzywiznę ramienia otaczającego jej bok. Oszołomiło ją to, wzbudziło żar. Drżąc, cała otwierała się na tę zmysłową prowokację.

To szaleństwo. Poświęcanie siebie samej. Musi uciec.

- Jest pani pewna, że właśnie tego pani chce, madame? - spytał.

Patrzył na nią niewzruszenie, jak gdyby odczytywał jej myśli z kolorów na policzkach, z nieruchomości spojrzenia - rzeczy, których nie była w stanie kontrolować.

- Nie wydaje się pani szalona, pani Wilder - ciągnął. - Mimo to kierunek, jaki pani obrała, może dać wyłącznie tragiczny wynik.

Dziwną aurę miały ostatnie słowa. U mniej opanowanego mężczyzny graniczyłyby one z wymówką. Śmieszne... Być może myśli, że wykorzystała jego zainteresowanie nią jako wdową do ukrycia swojej drugiej tożsamości. Być może czuje się zdradzony, nabity w butelkę. Musi jej nienawidzieć. Ale gdyby patrzył na nią dłużej w ten sposób, musiałaby mu ulec.

- Ma pan zapewne na myśli mój daleki od doskonałości występ w charakterze opiekunki Sophii - powiedziała. - Czy naprawdę byłam taką mamą przyzwoitką? Wiem, że Sophia jest być może trochę narwana, ale która dziewczyna z charakterem...

- Pani celowo udaje, że mnie nie rozumie.

Westchnęła.

- Nieustannie rozczarowuję pana, pułkowniku.

Nie zaprzeczył.

- Znajdźmy wobec tego inny temat rozmowy. Czy poczynił pan postępy w poszukiwaniu Ducha? - Zmuszała się do drwiącego tonu, przekonana, że lepiej już wzbudzić jego nienawiść, niż zadręczać się złudzeniami.

Przez chwilę zdawało jej się, że dostrzega troskę w tych zimnych oczach i słyszy smutek w tym twardym głosie. To niemożliwe... To jeszcze jedna baśń. Już kiedyś żyła baśnią. Niemal ją to zniszczyło... A może zniszczyło naprawdę.

Jak gdyby w odpowiedzi, wściekły werbel grzmotu wstrząsnął domem.

- Co nie znaczy, że uważam za prawdopodobne, by ten nieszczęsny człowiek był na zewnątrz w taką noc jak ta - powiedziała żywo. - Musiałby doprawdy być desperatem... Aczkolwiek niewątpliwie dzisiejsza noc stwarza mnóstwo pokus. - Lady Dibbs przemknęła obok w ramionach podstarzałego lowelasa. - Lady Dibbs ma śliczny nowy naszyjnik. A klejnoty w tiarze lady Pons-Burton mogłyby wielkością rywalizować ze śliwkami...

Podniosła na niego wzrok. Obserwował ją teraz uważnie.

- Musi pan być strasznie zawiedziony, nie mogąc go schwytać. Ale wcale nie potrzebuje pan się tak dręczyć - powiedziała. - Kto jest w stanie przewidzieć posunięcia kryminalisty? Oni myślą innymi kategoriami niż zwykli ludzie.

Odchyliła głowę do tyłu. Twarz Jacka wyprana była z jakichkolwiek emocji.

- Mam nadzieję, że nie zanudzam pana, pułkowniku. A może powinnam zwracać się do pana per Jack? - wymówiła wyzywająco jego unię. Nie może być obojętny. Lepsza nienawiść niż apatia.

- Och, zapewniam panią, że w najmniejszym stopniu nie czuję się budzony - odparł. Jego uśmiech był kwestią zwykłego napięcia mięśni.

O Boże, ależ musi jej nienawidzić... Nutka histerii zabarwiła śmiech, który wyrwał się z jej ściśniętego bólem gardła. Nie była w stanie zapanować nad drżeniem, które nagle owładnęło jej ciałem. Pomyliła krok znów się potknęła. Żeby nie upaść, wsparła się na jego sztywnej ręce. Skrzywił się.

- Och! - krzyknęła. - Sprawiam panu ból.

- Nie - zaprzeczył, zniżając głos. - Nigdy więcej nie dam pani takiej przewagi nad sobą, moja droga.

*

Jego złodziejka. Krucha, zatroskana wdowa - i zwinna, zuchwała złodziejka w

jednej osobie. Pożądanie i czułość. Desperacja i duma.

Zadrwiła sobie z niego. Cisnęła mu w twarz jego iluzje. Co nie znaczy, by miało to jakieś znaczenie. To, że jej pragnął, rozwścieczyło go znacznie bardziej niż jej jawna kpina.

Oddychał ciężko. Zabawiła się nim, pozwoliła, żeby się do niej umizgał, żeby się przed nią odkrył, żeby jej zaufał... Ale ta świadomość nie była w stanie zabić w nim pożądania.

Przyciągnął ją bliżej i musnął ustami jej ucho.

- Proszę mi wybaczyć tę poufałość, pani Wilder.

Szarpnęła się. Usta rozchyliły się w dzikim uśmiechu. Wydawała się taka delikatna i wiotka pod jego dłonią... Jej kruchość, jej bladość jak nie z tego świata, jej ciemne, wystraszone oczy zwiodły go, ale znało ją dobrze jego ciało. O, tak... Nigdy nie doświadczył podobnie spontanicznego rozpoznania. Nigdy nie musnęło go nawet coś równie intensywnego i równie żywiołowego.

Walc się skończył. Zatrzymali się. Żadne z nich nie zrobiło najmniejszego ruchu, by odstąpić od siebie nawzajem. Uniosła wzrok.

- Anne...

- Niech pan nie będzie zanadto poufały. - W jej głosie brzmiała panika. - Co daje panu prawo do takiej arogancji? Nie zna mnie pan. W ogóle mnie pan nie zna. - Szarpnęła się jak dzikie zwierzątko. I jak dzikie zwierzątko ją pojmał. Wrzał w nim gniew, destylując się we wściekłą determinację.

- Niech mnie pani nie prowokuje - powiedział.

- Niech pan idzie szukać swojego złodzieja, pułkowniku Seward.

Na jej podniesiony głos zaczęły zwracać się ku nim głowy.

- Już go mam. To pani jest moją złodziejką - mruknął, chwytając jej nadgarstek i wsuwając sobie pod ramię jej rękę. Była kompletnie nieczuła na otoczenie; w każdej chwili mogła się zdemaskować. Nie wolno było do tego dopuścić.

- Proszę się uspokoić - rzekł szorstko. - Nie powinna pani zwracać na siebie większej uwagi, niż zdołała to pani zrobić dotychczas.

Odwróciła od niego oszalały wzrok i powiodła nim po zaintrygowanych i rozbawionych twarzach stojących w pobliżu osób.

- Jeśli chce pani odnaleźć pannę Sophię, to, oczywiście, możemy to zrobić natychmiast, pani Wilder - powiedział głośno.

Powłóczyła stopami, gdy sterował nią poprzez tłum. Głowę miała wysoko uniesioną jak skazaniec prowadzony na szubienicę. Pod oczami wystąpiły ciemne kręgi, niczym znaki narysowane węglem. Powiódł ją ku odległemu krańcowi sali, wyprowadził do hallu i popchnął lekko przed sobą.

- Proszę iść ze mną. Potrzebne jest nam odosobnienie.

- Nie. - Odzyskała już panowanie nad sobą. Gorączka w oczach zniknęła; były teraz matowe, nieodgadnione. - Jeśli sądzi pan, że to ja jestem pańskim złodziejem,

pułkowniku, to jest pan w błędzie.

Głos miała spokojny. Zbyt spokojny.

- Proszę nie prowokować mnie jeszcze bardziej - powiedział ponuro.

- Jeśli poświęcał mi pan uwagę dlatego, iż sądził pan, że jestem Duchem, którego pan poszukuje, to przykro mi, że zmarnował pan swój czas.

Cóż za opanowanie, pomyślał z aprobatą i furią. Pochylenie głowy, lekkie drżenie warg, tembr głosu, wszystko świadczyło o jej goryczy i bólu.

Nie pozwoli, by drwiła z tego, co do niej czuł... To nie zasługiwało na podobne traktowanie.

Czyż jednak nie wykorzystywał innych równie przebiegle, równie bezlitośnie, jak ona wykorzystała jego? Czy nie czyhał na cudze iluzje i słabości, żeby uzyskać to, na czym mu zależało?

Nie chciał się nad tym zastanawiać. Owładnęła nim wściekłość.

Chwycił ją za łokieć i poprowadził, opierającą się, w ciemność hallu. Tam ujął mocno jej dłoń, podniósł i przytrzymał pomiędzy nimi jak wyzwanie. Chwycił brzeg rękawiczki i zaczął ściągać. Wówczas zdała sobie sprawę z jego zamiaru. Ironiczne drgnienie przebiegło skurczem jej twarz, przelotne i nagłe. Wparli się w siebie spojrzeniem. Ściągnął rękawiczkę z jej palców, odsłaniając nagie przedramię. Pokrywały je drobne, niezabliźnione jeszcze ranki.

- To ślady po wybitej szybie. Osłaniała pani rękami twarz, wpadając wtedy przez okno - warknął.

- Ścinałam ostrokrzew na bukiety - odparowała.

- Ma pani bliznę. U nasady małego palca.

Oczy Anne rozszerzyły się.

- Skąd pan może...

- Czułem ją. - Odwrócił dłoń Anne wierzchem do góry i nie spuszczając jej z uwięzi wzroku, powiódł palcem wzdłuż niewielkiego zgrubienia. - Kiedy położyła pani ręce na mojej nagiej skórze. I nadal ją czuję.

To było oskarżenie. Przełknęła ślinę.

- Jest pan w błędzie.

Te słowa wznieciły w nim płomień gniewu.

- Czy sądzi pani, że wystarczy powiedzieć: „To nie ja” i jak otumaniony głupiec zdejmę kapelusz i wystękam: „Proszę o wybaczenie, madame, musiałem się pomylić?”

Spróbowała się wyrwać. Szarpnął ją z powrotem i zbliżył twarz do jej twarzy, tak że dzieliły ich zaledwie centymetry.

- Jutro złożę pani wizytę, pani Wilder. Proponuję, żeby była pani w domu. Sama.

Potrząsnęła głową. Za oknami złowieszczo uderzył grom.

- Będzie pani w domu - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Bo jeśli nie...

W tym momencie potrąciła go jakaś kobieta. Zachwiał się i odwrócił ze złością.

Lady Dibbs wpatrywała się w niego, mrugając oczami.

- Och! Przepraszam, pułkowniku... - Dostrzegła Anne i w jej oczach odmalowała się wrogość.

Zza pleców lady Dibbs wyłoniły się jej towarzyszki. Stały rządkiem jak owce przed bramą na pastwisko, całe w bieli falbanek, wpatrując się w niego, jakby był wilkiem.

Ich nieprzyjazne spojrzenia padły na stojącą za nim Anne, która zachowała kamienną twarz. Jej obnażona dłoń była bezpiecznie ukryta w drugiej, osłoniętej rękawiczką. Niestety, lady Dibbs miała ostry wzrok i jeszcze ostrzejsze pragnienie, by znaleźć jakieś uchybienie.

Wypatrzyła rękawiczkę, którą Jack wciąż trzymał w dłoni, i trąciła ją figlarnie.

- Pani Wilder! Zdaje się, że zgubiła pani rękawiczkę. Proszę mi nie mówić, że... - Przycisnęła dłoń do serca i zwróciła do pozostałych dwu kobiet: - Moje drogie! Przerwałyśmy *tête à tête*?

Chciwe spojrzenia wdarły się między niego i Anne. Jeszcze stojąc tu, już układały w głowach swoje opowieści... Niemal je słyszał: „To zero z Sussex, zyskawszy pozycję w towarzystwie dzięki świetnemu a niepojętemu mariażowi, może sobie teraz pozwolić na pobłażanie bardziej przyziemnej stronie swojej natury, flirtując z bastardem".

Lady Dibbs uśmiechała się, bawiąc się krzykliwym naszyjnikiem okalającym jej pulchną szyję. Anne nie mogła oderwać oczu od jej palców, była jak zahipnotyzowana.

- Wet za wet, pani Wilder - powiedziała w końcu lady Dibbs spokojnym, złowróżbnym głosem. - Mam nadzieję, że pani hojni sponsorzy mają także... powiedzmy, szerokie horyzonty?

Anne patrzyła na nią niewidzącym spojrzeniem. Zdawało się, że zwinęła się niczym jeż, który udaje nieżywego. Oczy miała puste, pozbawione nadziei.

Siłą oderwał od niej spojrzenie. Nie będzie miał nad nią litości, pomyślał bezwzględnie.

- I że spodoba im się ten oto fakt - ciągnęła triumfującym tonem lady Dibbs. - Rozmawiałam z paroma moimi znajomymi i odkryliśmy dość interesującą okoliczność dotyczącą pani akcji dobroczynnej. Czy wie pani, że większość osób okradzionych przez Ducha Wrexhalla to równocześnie pani darczyńcy? A zatem niewątpliwie dotyczy to nas. Nie sądzi pani, że złodziejem może być jeden z jej podopiecznych? Chyba nie może pani od nas oczekiwać, byśmy wspierali ludzi, którzy widzą w nas swoje ofiary, prawda?

Anne powoli zwróciła głowę ku Sewardowi.

- Wybaczy mi pan, jeśli pana opuszczę, pułkowniku? Muszę dopilnować, by Sophia poszła już do domu. Mam jeszcze sporo obowiązków - rzekła obojętnym tonem. Przeniosła spojrzenie na trzy kobiety. - Czy gratulowałam już pani

wspaniałego naszyjnika, lady Dibbs? Życzę miłego wieczoru, moje panie.

I z godnością, której nie mógł nie podziwiać, dygnęła i mijając lady Dibbs, skierowała się ku wyjściu.

Anne zakończyła rozmowę i pokrzyżowała jego plany. Nie mógł ruszyć jej śladem. Byłoby to równoznaczne z lawiną komentarzy, a przyciągnięcie uwagi innych to była ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Odprowadzał ją jednak wzrokiem, dopóki nie zniknęła.

18

W miarę jak upływała noc, burza szalała coraz potężniej. Nadciągnęła znad wybrzeża i dotarłszy do Londynu, zatrzymała się nad miastem. Adam Burke przybył z Sussex najwcześniejszym rannym dyliżansem i poszedł piechotą cztery mile pod adres, jaki dał mu pułkownik.

Zanim dotarł na miejsce, buty miał całkiem przemoczone. Teraz przy każdym ruchu skrzypiały niemiłosiernie. Agent specjalny pułkownika Sewarda nie powinien wydawać takich nielicujących z jego godnością dźwięków, pomyślał.

Gniótł w dłoniach kapelusz i czekał, aż pułkownik przestanie myśleć, a zacznie mówić. Kolejne uderzenie pioruna wstrząsnęło krokwiami dachu. Zadrżały bibeloty na półce. Burke rozejrzał się dookoła.

Niezbyt okazałe mieszkanie wynajmował pułkownik... Wygodne i czyste, ale całkiem pozbawione drobiazgów, które mogłyby cieszyć człowieka na tym łez padole. Jedynymi bibelotami okazały się pusta szklanka i stojąca obok niej karafka.

Burke rzucił okiem na pułkownika. Widać ta sprawa dała mu się we znaki... Włosy miał zmierzwione, zupełnie jakby bez przerwy przegarniał je dłonią, i nie miał na sobie żakietu! Burke pracował dla pułkownika od sześciu lat i nigdy nie zdarzyło mu się widzieć go w podobnym stanie. W dodatku wyglądał na zmęczonego do cna. Ale czyż o drugiej nad ranem wszyscy nie byli równie znużeni?

Prawie miesiąc zajęło Burke'owi podążanie niezwykle frapującym tropem listu. Skończył już referowanie swoich ustaleń, a były one nadzwyczaj interesujące. Nie mógł pojąć, dlaczego pułkownik nie poklepał go po plecach i nie powiedział: „Dobra robota, Burke. Dziękuję, że fatygowałeś się w taką okropną noc". Zamiast tego wpatrywał się w kominek, jakby zahipnotyzował go migotliwy blask płomienia.

- Opowiedz mi coś więcej o ojcu Anne Wilder i Jamisonie - zaskoczyło Burke'a nieoczekiwane pytanie.

Tribble i Jamison? Spróbował przypomnieć sobie wszystko, czego dowiedział się o dziwnym związku łączącym złodzieja i... Jamisona. Nie wiedział, jak określić stanowisko Jamisona, podobnie jak w gruncie rzeczy nie wiedział, jak tytułować pułkownika, który był podporządkowany bezpośrednio Jamisonowi, czy wszystkich innych - włącznie z nim samym - którzy pracowali dla pułkownika.

- Na pierwszy ogień wziąłem banki - zaczął. - Próbowałem ustalić, kto potrzebuje pieniędzy. No cóż, odpowiedź brzmi: wszyscy potrzebują albo potrzebowali... z wyjątkiem tatusia Anne Wilder, sir. On miał pieniądze.

Pułkownik skinął zachęcająco głową.

- Kiedy jednak przyjrzałem się dokładniej, stwierdziłem coś dziwnego. Pieniądze Tribble'a nie pochodziły z żadnych inwestycji; regularnie wpłacał je ktoś w Londynie. Nie mogłem ustalić nic ponadto. Wobec tego odwiedziłem Sussex i rozmawiałem z ludźmi, którzy służyli u Tribble'a, zanim umarł. Opowiadali mi, że przyjechał z Londynu z portowym akcentem i skrzynią pieniędzy. Kupił sobie dwór i wżenił się w miejscową szlachtę.

Pułkownik odwrócił się od ognia i wsparł o obramowanie kominka. Oświetlony padającym zza niego blaskiem sprawiał wrażenie, jakby wyszedł z płomieni. Wrażenie było deprymujące.

- Wszystko to bardzo dobrze, Burke - powiedział pułkownik - ale nie wyjaśnia to związków Tribble'a z Jamisonem.

- W porządku, no więc wkrótce Tribble'om urodziła się córka. Pan Tribble przepadał za dziewczynką. Nie spuszczał z niej oka, nawet wtedy, kiedy pani wyjeżdżała, żeby odwiedzić swoich bliskich w Bath, co zdarzało się trzy razy do roku. Pan Tribble nie wyjeżdżał razem z żoną, pomimo że byli, jak to pan nazywa, oddaną parą. W gruncie rzeczy nigdy nie opuścił Sussex.

- Dalej - mruknął pułkownik.

- Teraz rzeczy zaczynają się układać sensownie. Służba mówi, że skoro tylko pani opuszczała dom, Tribble zaczynał uczyć dzieciaka rozmaitych sztuczek. Wspinania się na drzewo, otwierania drzwi bez klucza, chodzenia po linie rozpiętej między dwoma drzewami, fikania koziołków...

Pułkownik gwałtownie podniósł głowę. W końcu coś przyciągnęło jego uwagę.

- No właśnie... To robi się coraz bardziej interesujące. Jak powiedziałem, Tribble nigdy nie opuszczał Sussex. Nigdy! Nie jeździł nawet do Londynu, skąd pochodził. Tak jakby się bał, że ktoś go rozpozna. Albo - położył palec koło nosa - jakby mu ktoś zabronił przyjeżdżać do Londynu. Oprócz...

- Oprócz czego? - spytał pułkownik.

- Mniej więcej z początkiem wojny - i wkrótce po tym, jak Anne Tribble została Anne Wilder - pan Tribble nagle zaczął podróżować. Nie było go w domu całymi tygodniami, a nieraz nawet miesiącami. Potem wojna się skończyła, pan Tribble wrócił do domu i zastał córkę wdową, wyrzuconą z własnego domu przez matkę męża.

- Co? - Pułkownik zrobił krok naprzód.

Burke przestąpił niezręcznie z nogi na nogę i kiwnął głową.

- Stara wiedźma nie chce mieć nic wspólnego z młodszą panią Wilder. Wini ją za śmierć syna. Rozpowiada o tym na prawo i lewo.

- Czy słusznie? - spytał pułkownik niskim, pełnym napięcia głosem.
- Hę? - Burke popatrzył na pułkownika zmrużonymi oczami.
- Czy naprawdę Anne Wilder przyczyniła się do śmierci swego męża?
- A! Nie, sir. A w każdym razie nikt tak nie uważa. Ani sąsiedzi, i służba. - Burke pokręcił głową. - Pod każdym względem doskonałe małżeństwo. Pokojówka pani Wilder przysięga, że mąż dałby jej gwiazdkę z nieba, gdyby go o to poprosiła. Żeby tak kochać kobietę... Może pan to sobie wyobrazić?

Pułkownik nie odpowiadał. Po prostu skierował swoją uwagę z powrotem na ogień. Burke zresztą wcale nie oczekiwał po nim odpowiedzi. Uśmiechnął się na myśl, że pułkownik miałby dzielić się z nim przemyśleniami w sprawach romansowych. Porządny i uczciwy, był najbardziej praktycznym człowiekiem, jakiego Burke znał.

- Powiadają, że pani Wilder bardzo się zmieniła, odkąd wyszła za pana Wildera.
- W jakim sensie?
- Cóż - powiedział Burke z przebiegłym uśmiechem - przedtem była jak żywe srebro, wie pan. Zawsze gotowa do rozmaitych zbytków i psikusów. Ale czy można się dziwić, wziąwszy pod uwagę, jak pobłażał jej ojciec? - Zachichotał. - Tak czy owak, była typem chłopczycy. Ale kiedy poślubiła Mateusza Wildera, ustatkowała się. Żadnych figlów, żadnych skandali, które wiązano by z jej nazwiskiem. Nawet źdźbła.

Burke potrząsnął głową.

- Nie, starsza pani Wilder nie miała żadnych podstaw, żeby mówić źle o młodszej pani Wilder. Kiedy pan Tribble wrócił ze swoich podróży, był wściekły, że w taki sposób traktuje się jego córkę.
- Były jakieś nieporozumienia?
- Skąd - powiedział Burke. - Tribble był zanadto sprytny, żeby walczyć otwarcie ze starą Wilderową. Jak by nie było, ona miała pozycję, a on nie. Ale w parę tygodni później pan Tribble był już sir Tribble'em i stara wiedźma zrobiła się malutka. Następnego dnia starsza pani Wilder miała rozmowę z „nieznaną osobą". Od tamtej pory trzyma buzię zamkniętą na kłódkę.
- Czy tą nieznaną osobą jest Jamison?

Burke żałośnie zmarszczył czoło.

- Nie wiem - wyznał. - Próbowałem ustalić, ale mi się nie udało.
- To nie ma znaczenia.

Uspokojony obojętnym tonem pułkownika, Burke podjął opowiadanie.

- A nie interesuje pana, jak to się stało, że zwykły, tyle że bogaty, pan Tribble zmienia się w sir Tribble'a? Co do mnie, to ciekawi mnie szczególnie, dlaczego minister finansów zarekomendował go do tytułu szlacheckiego, skoro nie prowadził on żadnych interesów.
- Dobre pytanie. Rozumiem, że tym razem znalazłeś odpowiedź?

- Tak, sir. Zawarłem znajomość z sekretarzem ministra finansów - rzekł Burke. - Gadaliśmy o wszystkich tych uszlachconych kupcach i ja wspomniałem Tribble'a, a on powiedział: „Och, Tribble nie został uszlachcony przez mojego pana. Dostał tytuł na prośbę jakiegoś starego łotra nazwiskiem Jamison, któremu mój pan był coś dłużny".

Przez chwilę pułkownik stał nieporuszony.

- Rozumiem - odezwał się w końcu. Odsunął się od kominka i podszedł do okna. Zaciągnął zasłonę. - A zatem jej ojciec nie był zwykłym złodziejem. Kradł dla Jamisona. Prawdopodobnie informacje. Najpierw jako młody człowiek w Londynie, a potem we Francji.

- Ja myślę tak samo - zgodził się Burke. - I nauczył córkę własnych sztuczek, i być może powiedział jej o ludziach w Londynie, którzy mogą być zainteresowani jakimś smakowitym kąskiem. Zdaje się, że Anne Tribble zrobiła dobry użytek z tych informacji... albo zły, zależy jak się na to patrzy.

- Na to wygląda.

Burke, ubawiony, pokręcił głową.

- Kto by pomyślał? Dama z towarzystwa i Duch Wrexhall. Może wdowieństwo tak ją wytrąciło z równowagi? Jak pan myśli?

Bruzdy wokół ust pułkownika pogłębiły się.

- Czy mówiłeś o tym komuś? - spytał ostro.

- Nie, sir. - Burke był lekko dotknięty. Nigdy dotąd pułkownik nie kwestionował jego lojalności.

- To dobrze. Nie mów.

- Doskonale, sir.

- Czy ktoś jeszcze zadawał jakieś pytania? Czy nie kręcili się koło ciebie agenci Jamisona?

Burke wzruszył ramionami.

- Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek czegoś szukał, sir. Nie przyszło mi do głowy, żeby o to pytać... - Aż się skręcił, ostro świadomy rozczarowania malującego się na twarzy pułkownika. - Przecież panu przydzielił to zadanie... Nigdy nie myślałem, że może mu przyjść do głowy śledzić pana.

- To zrozumiałe. Dlaczego miałbyś tak myśleć? - odparł pułkownik. Znów wyjrzał przez okno. Na niebie zatańczyła błyskawica. Ten pokaz fajerwerków zakasowałby nawet Covent Garden... - Spróbuj ustalić, kto jeszcze czegoś szuka, Burke. Prawdopodobnie już za późno.

Stukanie oznajmiło przybycie starego Szkota, Griffina. Wsadził głowę w drzwi i zlustrował Burke'a zjadliwym spojrzeniem.

- Skończyłeś już swoją wycieczkę, tak?

- Co tam, Griffin? - spytał pułkownik.

- Chłopak chce pana widzieć, kapitanie. Mówi, że to pilne.

- Przyślij go tu.
- Już jest, kapitanie. - Griffin odwrócił się i zrobił zachęcający ruch ręką.

Niewielka, przemoknięta postać wśliznęła się do pokoju i skierowała prosto do kominka. Chłopak wyciągnął gołe dłonie nad ogniem i zaczął je mocno rozcierać. Jego odzienie parowało.

- Przynieś mu gorącej herbaty - polecił pułkownik Griffinowi. - No, a teraz co tam masz tak ważnego?

Chłopak ostrożnie rzucił okiem ku Burke'owi.

- Śmiało - zachęcił go pułkownik.
- Wyszła.
- Co? - wrzasnął pułkownik. Burke doznał szoku. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby pułkownik podniósł głos... Wielkimi krokami pułkownik przebył dystans dzielący go od chłopca i stanął przed nim z przyciśniętą do boku ręką.
- Opowiadaj - warknął.
- Wymknęła się pół godziny temu - mruknął chłopak, przywarłszy plecami do kominka. - Nie zobaczyłbym jej, ale akurat błysnęło, kiedy pełzła po dachu. Tylko dlatego ją zauważyłem. Stanęła na szczycie i czekała chwilę, aż napłynie mgła, a potem rozmyła się na tle dachu. Panie święty, ale tam musiało być ślisko...

Panie miłosierny, pomyślał Burke, patrząc, jak wściekły piorun rozdziera niebiosa nagłym błyskiem. Ona się tam spali na popiół.

- Gdzie poszła? - spytał pułkownik.
- Nie wiem. - Chłopak znowu się skulił. - Nie udało mi się zobaczyć... Tylko przez chwilę mi mignęła. Ale kierowała się na północny wschód.
- Na północny wschód? Jesteś pewien?
- No jasne - odparł chłopak. - Mówię panu, wyglądała jak cień, psiakrew...

Griffin pchnął drzwi i wszedł, niosąc tacę z filiżankami, czajnikiem z herbatą i talerzem pełnym kromek chleba z serem.

Pułkownik przegarnął włosy obiema dłońmi.

- Gdzie do pioruna ona mogła... - urwał nagle.

Zrozumiał, pomyślał Burke. Wie, dokąd ona zmierza. O ile jej się uda...

Pułkownik skierował się do drzwi.

- Griffin, daj im jeść i wypraw z powrotem. - Złapał chłopaka za ramię. - Wiesz dostatecznie dużo, żeby trzymać język za zębami. Tym razem jest to podwójnie ważne. Ani słowa o tym, co robiłeś i czego się dowiedziałeś tej nocy. Ani słowa. Zrozumiałeś?

Chłopak wytrzymał jego spojrzenie.

- Jasne. Jeszcze mi życie miłe.
- Rozumny nicpoń - mruknął pułkownik i spojrzał na Griffina. - Daj chłopakowi dwie korony. - Potem przeniósł spojrzenie na Burke'a. - A ty rób to, co ustaliliśmy - powiedział i wyszedł. Chłopak ruszył w ślad za nim, kierując się do kuchni.

Burke napotkał spojrzenie Griffina.

- Czy ona naprawdę tam jest? Teraz? - zdołał w końcu wydobyć z siebie głos. - W takim razie naprawdę musiała stracić zmysły.

19

Potknęła się i zaczęła się ześlizgiwać po zmurszałych dachówkach ku krawędzi dachu. Deszcz, spływający strumieniami po twarzy, oślepiał ją. Wpiła paznokcie w rozmiękłe, mokre drewno, usiłując powstrzymać upadek. O pół metra od krawędzi zatrzymała się. Roześmiała się w głos.

Spazmatycznie łapiąc oddech - a może było to łkanie? - wygramoliła się na klęczki. Poklepała przytroczoną do boku torbę i uśmiechnęła się z ulgą. Ten ciężar dodawał otuchy... Była tam tiara, bransolety, portmonetka z pieniędzmi, broszki, kolczyki... i naszyjnik lady Dibbs.

Niech pani powie swoim znajomym, lady Dibbs, pomyślała. Niech pani powie, że podejrzewa pani, iż ktoś z tego okropnego zakładu dobroczynnego, prowadzonego przez to zero znikąd, używa listy darczyńców jako czegoś w rodzaju kryminalnego przewodnika. Niech pani przekona swoich przyjaciół arystokratów, żeby dotrzymywali obietnic i uregulowali swoje należności, bo jutro może być za późno. Przynajmniej dla pani jest za późno.

Zaśmiała się jeszcze raz i wystawiła twarz na deszcz. Lodowate strugi kłuły policzki i wargi jak igiełki. O Boże, jak zimno... Zimno jest dobre. A drętwota jeszcze lepsza.

Jeszcze kawałeczek i dotrze do beczki na deszczówkę, gdzie schowała rzeczy: obszerną spódnicę, którą z łatwością można włożyć na obcisłe złodziejskie rajtuzy, ciężki płaszcz, który skryje przemokniętą koszulę, i czepek.

Błyskawica rozdarła niebo i niebiosa wypuściły swoją ostatnią salwę. Dźwięk przeniknął ją, zawibrował w sercu i w żołądku. Z trudem kapała dech. Kiedy grom przebrzmiał, uśmiechnęła się i spojrzała w dół.

- Gdzie jesteś, Jack? - zawołała z cicha. W domu, w łóżku, gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku... Ale on nie ma, nieprawdaż? Zaufał jej, a to oznacza, że nie ma ani krzty rozsądku. Złodziejowi nikt nie ufa. Ani sercem, ani czymkolwiek innym.

Kolejny błysk pioruna. Jasny tym razem. To gdzieś blisko. Wyprostowała się i stanęła wśród wichury, koncentrując się na obietnicy łaskoczącej elektrycznością jej ciało, narastającej coraz bardziej...

Bum!

Spazmatycznie złapała oddech, zdjęta pierwotnym przerażeniem. Jak blisko! Jeszcze troszeczkę i sama stałaby się częścią nawałnicy, płonęłaby tym wspaniałym białym płomieniem... Roześmiała się jeszcze raz i pomknęła przed siebie powietrznym szlakiem.

*

Piorun uderzył w markizę, nagły blask rozświetlił całe niebo. Jack, mrużąc oczy, patrzył prosto w tę jasność. Tam była ona. Wiotka niczym wiatr, mała jak zimowe słońce, mknęła w górze, wysoko nad nim, kierując się w stronę parku. Zamknął oczy i oddychał głęboko. Bóg jeden wie, dlaczego jeszcze nie została trafiona. To wyłącznie kwestia czasu... Nie zdarza się

rogiem i zderzył się z kobietą w jasnym płaszczu. Wyrzucił przed siebie ręce, żeby uchronić jej szczupłe ciało przed zderzeniem z murem, pomógł utrzymać równowagę i zamierzał odejść, gdy wtem zatrzymał go jej głos.

- Coś takiego, pułkownik Seward! Czy to naprawdę pan?

Odwrócił się. Stała przed nim Anne Wilder, w skromnym płaszczu płowej barwy. Dłonie obciągały czyste rękawiczki. Włosy przykrywał modny czepek. To niemożliwe.

- Jak? - wyjąkał. - Jak zdołała się pani ubrać w ten sposób?

Zaśmiała się z jakąś dziwną, niestosowną przyjemnością. Było w tym śmiechu gorączkowe podniecenie. Wilgotne oczy lśniły jak ciemnogranatowy atrament. Krople deszczu zwisały z gęstych rzęs niczym wodne kryształy.

- Przecież pan całkiem przemókł, pułkowniku! - wykrzyknęła. - W taki wieczór bez płaszcza? Przeziębi się pan na śmierć! Co pan sobie myśli?

Ogarnął go gniew. Chwycił ją za ramiona.

- Jak pani to zrobiła? Gdzie są pani rzeczy?

Znowu się roześmiała, bynajmniej nie próbując się uwolnić.

- Moje rzeczy? Rzeczy mam na sobie, pułkowniku, i to o wiele więcej niż pan.

Wpatrywał się w nią. Ze straszliwą jasnością zaczynał rozpoznawać wyraz jej oczu. Ani przemawianie do rozsądku, ani pogróżki nie docierały do niej. Była u lady Dibbs, ukradła jej klejnoty - i nie miała ich na sobie. Odczytywał to w jej nieokiełznanym podnieceniu i gorączkowym śmiechu.

Opiła się eliksiru zwycięstwa i teraz czuje się niepokonana... Jak żołnierz, którego cały regiment zmiotło w czasie walki, a on jakimś cudem ocalał, a teraz jest w szoku spowodowanym poczuciem winy, mocy i własnej nietykalności.

Ujął ją za ramię i odwrócił. Pod wpływem jego dotyku cała jej brawura znikła.

- Nie! - zaprotestowała, wpierając się obcasami w grunt. - Co pan robi? Nie wolno panu tak po prostu...

Zignorował jej protest i pociągnął ją alejką ku ulicy. Opierała się całym ciężarem, tym razem jednak trzymająca ją ręka nie była śliska od krwi ani osłabiona od cięcia, i pomimo jej wysiłków nie rozluźnił chwytu.

- Zwariował pan? - Szarpała się, usiłując rozewrzeć jego palce.

- Prawdopodobnie.

- Proszę mnie puścić, pułkowniku - syknęła. - Czy postradał pan zmysły? Przecież widzi pan, że nie jestem pańską złodziejką. Jest pan w błędzie.

Przyciągnął ją do siebie i krzyknął na dorożkarza, kryjącego się pod drzewem po drugiej stronie ulicy, z dala od nich. Oczy woźnicy rozszerzyły się na widok mężczyzny odzianego tylko w przemokniętą koszulę i szamoczącej się w jego uścisku kobiety.

Jack zaklął siarczyście. Anne potknęła się na śliskim bruku i upadła na kolana. Spróbowała wyszarpnąć nadgarstek z jego chwytu. Spódnica nasiąkła wodą,

spływającą rynsztokiem. W twarzy, zwróconej ku ulewie, było szaleństwo. O Boże...

- Moja żona dostała szału! - wrzasnął, usiłując przekrzyczeć nagły łoskot gromu. - Piątaka za odwiezienie nas do domu!

Mężczyzna przyglądał się, zdumiony, jak Jack dźwiga Anne w górę i zamyka w uścisku jej szamoczące się ciało. Wreszcie, skinąwszy głową, zaczął powoli wspinać się na kozioł.

- Oszalał pan? - wyrzuciła z siebie Anne, tłumiąc łkanie.

- Ja oszalałem? - odparował. - A pani co tu robi, pani Wilder?

- Ja... ja... mój Dom... poszłam zobaczyć, czy...

- Nic podobnego. Wcale tam pani nie była. Ukradła pani biżuterię lady Dibbs, a ja będę jutro musiał przewrócić wszystko do góry nogami na powierzchni kilometra kwadratowego, żeby ją znaleźć.

- Nie znajdzie pan. Niczego pan nie znajdzie. - Zaprzestała walki. - Niczego pan mi nie może udowodnić. Proszę mnie puścić.

- Nie.

Dorożka zatrzymała się. Woźnica zaczął się gramolić na ziemię, żeby otworzyć im drzwi.

Jack mocniej przycisnął Anne.

- Proszę nie robić scen - powiedział ostrym, nabrzmiałym pogróżką głosem. Ona musi się go bać, musi zdać sobie sprawę, że jest zdolny do popełnienia każdego czynu, który uzna za niezbędny. I czyż nie jest zdolny naprawdę? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej był tak wściekły. - Jeśli będzie pani robić sceny - wyrzucał z siebie zimnym, nieprzejednanym tonem - to tu, w tym miejscu zedrę z pani ubranie i zmuszę, żeby ujawniła pani swoje sekrety.

Zbladła i ucichła, jedynie drżenie przebiegało jej ciało. Zaklął ostro, wulgarnie, tak jak nauczył się w szkockim przytułku. Drżenie Anne zmieniło się w drgawki. Wepchnął ją do dorożki i wspiął się za nią sam. Ona tymczasem rzuciła się w poprzek siedzenia i złapała za klamkę przeciwległych drzwi.

Chwycił ją w pasie i pociągnął z powrotem na kolana. Ociekająca wodą spódnica natychmiast przemoczyła mu spodnie. Rąbek czepka plasnął go po twarzy. Wciąż obejmując ją mocno jedną ręką, drugą rozluźnił wstążki czepka i zerwał go jej z głowy. Długie, jedwabiste czarne pasma rozsypały się po plecach. Wilgotne.

- Ciekawe, że ma pani mokre włosy, biorąc pod uwagę fakt, że podszewka pani czepka jest niemal sucha. Nieprawdaż, pani Wilder?

W odpowiedzi podwoiła swoje usiłowania, żeby uciec. Napięte, krągłe pośladki wwiercały mu się w krocze. Fale rozkoszy przetoczyły się przez jego ciało, zaskakujące i budzące furię. Nawet tu i teraz, wiedząc, jak sobie z nim igra, pożądał jej.

- Proszę się uspokoić - mruknął, usiłując odwrócić uwagę od jej silnego, gibkiego

ciała na swoim.

Osłabła. Zepchnął ją brutalnie z kolan. Natychmiast wcisnęła się w kąt dorożki i wlepiła w niego oczy niczym w dzikiego kota.

- Gdzie jest list, który ukradła pani z pokoju lorda Atwooda? - krzyknął. - Był w srebrnej, wysadzanej klejnotami szkatułce.

Zamrugała.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Złapał ją pięściami za kołnierzyk i wyciągnął z kąta. Słyszał, jak kolana uderzają w deski podłogi. Podciągnął ją do góry, tak że jej twarz była na jednym poziomie z jego twarzą. Było to żałośnie łatwe. Ważyła tyle co nic.

Strach wyzierał z jej oczu. Usta drżały. Boże, zmiłuj się, pragnął czuć ich smak, stłumić ich ciche pojękiwanie własnymi wargami...

A dlaczego by nie? Dlaczego nie, do diabła?

Szarpnął ją ku sobie i nakrył jej wargi własnymi. Nachylił głowę, zmuszając, by pod jego naporem odchyliła swoją do tyłu, i otworzył usta w otwartej demonstracji swojej mocy, zmuszając, żeby przyjęła jego język. Kwilenie dobyło się z jej gardła. Poczuł smak jej łez. To wystarczyło... Nic więcej nie potrzebowała robić.

Z pomrukiem wściekłości oderwał usta od jej ust. Nigdy wcześniej nie stosował przemocy wobec kobiety. To nic nie dawało, nie było w stanie zaspokoić żądzy, która pełgała gdzieś w tle jego czarnych myśli. Rozdrażniało go tylko, a to z kolei wprawiało go w furię.

Nie pozwoli jej, żeby z nim to robiła. Nie pozwoli, żeby nim zawładnęła! Potrząsnął nią, aż krzyknęła lekko mimo woli.

- Nie w smak pani, pani Wilder? Myślałem, że lubi pani troszkę brutalności w miłosnej zabawie?

- Proszę...

- O, nie. Nie teraz. Później. Teraz potrzebuję odpowiedzi, a nie pani.

Kłamstwo.

- Ale ja...

- Dość mam tych zaprzeczeń, pani Wilder. Zaczynają mi się już przykrzyć. - Jego głos miał ostrość sztyletu i ranił jak sztylet. Był w tym dobry. Był najlepszy, psiakrew... Przyciągnął ją o parę centymetrów bliżej, pozwalając, by jego wzrok błądził z rozmyślną powolnością po jej twarzy, szyi i łonie. - Spróbujmy jeszcze raz. Gdzie jest list?

Wyrzuciła ręce w górę i chwyciła go za przeguby, usiłując powstrzymać. Bezskuteczny wysiłek... Powiódł kciukiem po jej ciepłej, wilgotnej szyi. Gdyby chciał, mógłby ją złamać niczym gałązkę.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała błagalnym tonem. - W srebrnej szkatułce nie było żadnego listu.

- No, przynajmniej o tyle posuwamy się naprzód, że milcząco zgadzamy się co do

pani tożsamości - powiedział. - Ale wciąż nie podporządkowuje się pani w pełni zasadom gry, pani Wilder. Ja zadaję pytania. Pani odpowiada. Proszę przestać się trząść, do krocset!

- Nie mogę! - Szloch wyrwał jej się z gardła.

- Gdzie jest list?

- Powiedziałam już panu... Nigdy nie widziałam żadnego listu. W szkatułce lorda Atwooda nic nie było. Była pusta!

- Ukryta przegródka - powiedział niecierpliwie. - Tam był.

Zmieszanie, które ukazało się na jej twarzy, wyglądało na prawdziwe. Gdyby przesłuchiwał ją jak kogoś obcego, przysiągłby, że mówi prawdę. Zdolność do oceny czy ktoś kłamie, czy nie, to był jego chleb powszedni od ponad dziesięciu lat... Nie mógł jednak ufać własnym sądom, kiedy chodziło o nią. Zanadto był zaangażowany, na zbyt wiele sposobów.

Nie miał pojęcia, co ona czuje czy myśli, wobec kogo czy czego jest lojalna... I czy w ogóle jest zdolna do jakiejkolwiek lojalności?

Anne wpatrywała się w niego.

- Tam nie było żadnej tajnej przegródki - szepnęła, jak gdyby bojąc się go sprowokować.

Roześmiał się. Skrzywiła się na dźwięk tego gorzkiego śmiechu. Już był sprowokowany, i to jak...

- Czy to znaczy, że mam uwierzyć, iż złodziejka o pani umiejętnościach nie sprawdziła, czy w szkatułce z biżuterią nie ma ukrytej przegródki?

Przełknęła ślinę. Dwie bliźniacze linie pojawiły się między prostymi ciemnymi brwiami. Na przekór sobie samemu zapragnął wygładzić je koniuszkami palców. Gwałtownie opuścił ręce. Zdrajczynie... Chcą uspokajać i pocieszać, podczas gdy on potrzebuje ich do zastraszania.

- Nie sprawdzałam dokładnie, ale obejrzałam ją - powiedziała szybko. - Nie było żadnego uchwytu ani dźwigienki. Gdyby była szufladka, musiałyby być.

Zastanowił się, czy nie mówi prawdy, i zdecydował, że to nie ma znaczenia. Tak czy owak nie mógł jej ufać. Nie mógł wierzyć ani jednemu jej słowu. A to bolało, psiakrew.

Było to tak głupie, że o mało co się nie roześmiał. Wciąż jej pragnął. Czegokolwiek z niej, co mógł mieć.

Kłamała, żeby ochronić tego, komu sprzedała ten przeklęty list. Albo chciała go ochraniać, albo bała się go bardziej niż jego, Jacka.

Głupia baba... To on był najgroźniejszym wilkiem w całej tej jej bajeczce. Niedługo odkryje, jak złym i groźnym.

- Gdzie jest teraz szkatułka? - spytał.

- Sprzedałam paserowi. Gdy tylko... gdy tylko ją ukradłam.

- Wygodnie!

- Tak! Czy myśli pan, że mogłabym trzymać coś, co tak łatwo zidentyfikować, w miejskim domu mojego wuja? Sprzedałam ją staremu człowiekowi w porcie. Skorzystałam z pomocy pośrednika.

- Coraz lepiej - stwierdził ponuro Jack. - A jak się nazywa ten stały człowiek?

- Ślepy Tom.

- Tom. - Głos Jacka był nabrzmiały szyderstwem. - Znalezienie go nie powinno być trudne. A ten „pośrednik”?

- Ja... ja nie wiem.

Uśmiechnął się. Drgnęła, tak jakby to było ostrzeżenie przed ciosem.

- Być może któryś z pani podopiecznych wie. Na przykład ten smarkacz. Czy on się nie nazywa... Will?

Zastygła jak jeleń uchwycony w snop światła latami.

- Proszę - szepnęła żałośnie.

- Bardzo dobrze. Teraz porozmawiajmy o nazwisku pośrednika.

Łzy wezbrały w jej oczach, przelały się przez krawędzie powiek i potoczyły falą po policzkach.

- Nie znam jego nazwiska. Nie wiem nawet, jak się skontaktować ze Ślepym Tomem... To on się ze mną kontaktuje. Poprzez różnych ludzi. Dzieci przeważnie, nieumiejące przeczytać notek, które przenoszą.

- Zdumiewające. Ślepy Tom, który przy swoim kalectwie potrafi pisać.

- Nie wiem... Może korzysta z pomocy skryby? - Jej ton był teraz błagalny. Porzuciła swój kąt, nachyliła się ku niemu i chwyciła go za rękaw. Jej skóra lśniła jak świeże mleko w ciemnym wnętrzu powozu. Dotyk rąk, nawet w rękawiczkach, elektryzował.

Żądza i wściekłość wrzały w jego żyłach. O Boże, wplątała go w sieć namiętności i beznadziei tak gruntownie, że wątpił, czy zdoła kiedykolwiek się wyrwać.

- Proszę, niech pan nie wciąga w to Willa. On nic nie wie. To tylko dziecko. Ja pomogę panu znaleźć szkatułkę. Przysięgam.

- Ach, więc znajdziemy szkatułkę. W porządku. Ale to trochę potrwa.

A tymczasem mój ojciec będzie cię szukał, a kiedy znajdzie, zabije cię... Nie pozwolę na to, przysięgał sobie w duchu. Bez względu na to, co będę musiał zrobić.

- Czego pan chce?

- Chcę, żeby mnie pani poślubiła - powiedział chłodno, patrząc na nią uważnie.

Wlepiła w niego oczy w panicznym przerażeniu.

- Poślubiła pana? Ja nie mogę pana poślubić.

- Pozwolę sobie być innego zdania. Może pani. Zapewniam panią, że załatwienie specjalnego pozwolenia będzie jednym z najłatwiejszych zadań, jakie kiedykolwiek miałem do wypełnienia.

Potrząsnęła głową w gwałtownym zaprzeczeniu.

- Nie. Nie mogę. Nie mogłabym!

- Może pani - warknął. - I zrobi to pani. Inaczej zaaresztuję chłopaka jako Ducha Wrexhalla.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie może pan tego zrobić. Nikt panu nie uwierzy.

- Przeciwnie - mówił chłodno i beznamiętnie. - Uwierzą dowodom, a ja się postaram, żeby było ich mnóstwo. Niepodważalnych dowodów.

- Spreparuje pan fałszywe dowody, żeby oskarżyć niewinnego chłopca?

- Moja droga - powiedział cicho - jak na złodziejkę jest pani zaskakująco naiwna. Robiłem to już nieraz, mnóstwo razy. Nie ma nic prostszego.

- Przyznam się.

- Nikt pani nie uwierzy. Uznają panią za równie dzielną, co głupią młodą kobietę. Zresztą, kto uwierzy, że Duch Wrexhall to kobieta? Jeannette Frost może uchodzić za głupiutką, kiedy zaklina się, że chłopak ją całował, ale lepsze to, niż gdyby całowała ją kobieta, czy - gorzej - gdyby w towarzystwie dowiedziano się, że w ogóle nikt nie dybał na jej cnotę i że jest kłamczuchą.

- Pan nie może naprawdę tak myśleć. Nie może pan mnie zmusić do małżeństwa.

Jego głos stwardniał.

- A jednak zrobię to.

- Dlaczego? - spytała bezradnie. - Nie rozumiem. Dlaczego chce mnie pan poślubić?

- Polowałem na panią. Śledziłem panią. Ująłem panią. I, na Boga, nie zamierzam pani wypuścić.

20

Nie wierzę - Jamison grzmotnął pięścią w biurko. - Nie zrobiłby czegoś podobnego bez mojej zgody.

Mężczyzna, ukryty za oparciem ogromnego fotela, poruszył się na swoim miejscu.

- Zrobił to. Poślubił ją na mocy specjalnego zezwolenia przed dwoma dniami.

- Dlaczego? - spytał Jamison. Gość nie odpowiedział. Właściwie tym lepiej... Jamison nie oczekiwał, nie potrzebował znać opinii tego człowieka. Był trutniem przenoszącym informacje.

Informacje te nie podobały się Jamisonowi. Uzasadniały one jego obawę - nie, nie obawę, nazwałby to raczej przeczuciem, które miał od jakiegoś czasu - że lojalność Sewarda wobec niego ulega erozji. Seward na krótkiej smyczy to jedno; jako wolny agent był kimś zupełnie innym.

- Nie sądzę, żeby było wiele do zrobienia w tej sprawie - powiedział mężczyzna.

Jamison rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Zawsze jest coś do zrobienia. Jego współpraca z tym arystokratycznym trutniem zaczęła się przed laty, gdy

zaproponował mu rozwiązanie kwestii grożącej mu niewypłacalności. Od tamtej pory Jamison rozwiązywał o wiele więcej jego różnych kłopotów, nie tylko finansowych. W zamian żądał wyłącznie rzadkiego, ale za to całkowitego posłuszeństwa.

Związek okazał się pożyteczny. Mężczyzna posiadał pewną inteligencję i umiejętność prowadzenia ukradkowej obserwacji. To, że obracał się w kołach najbardziej wyrafinowanej socjety, też nie było bez znaczenia. Był jednak niczym w porównaniu z Sewardem.

Żaden z agentów, którymi kierował Jamison, nie mógł zastąpić Sewarda. Nie sposób było przecenić wagi, jaką miałaby dla Jamisona podobna strata... Utraciłby swoją najważniejszą broń - człowieka, który budził szacunek i strach, który był w stanie odkryć nie tylko słabości, ale i siłę jego wrogów, człowieka dysponującego inteligencją i intuicją.

- Nie pozwolę na to! - wrzasnął z jadowitą wściekłością.

Skryty za fotelem człowiek wyglądał na zaskoczonego.

Jamison złożył ręce na biurku. Spokój zastąpił rzadki u niego wybuch furii. Mężczyzna, który podejmuje decyzje pod wpływem emocji, podejmuje złe decyzje. Odrzucał możliwość utraty pożytku płynącego z licznych talentów Sewarda, ale odzyskanie ich dla siebie wymagało starannego planu. Seward żonaty... Na litość boską! Ta myśl budziła w nim odrazę.

- Dlaczego się z nią ożenił? - spytał.

Człowiek za fotelem uniósł ręce.

- Nie wiem. Od paru tygodni obdarzał ją zainteresowaniem. Myślałem jednak, że podejrzewa, iż to ona jest Duchem Wrexhallem. Mówiłem panu o tym.

- Nic takiego pan nie mówił - poprawił go Jamison. - Raportował pan, z kim rozmawia na przyjęciach i gdzie posyła osoby, o których wiedział pan, że są jego agentami. To ja poskładałem do kupy elementy tej układanki. Ja panu powiedziałem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, sądząc z tego, jak przyczepił się do niej Seward, byłem pewien, że ona musi być Duchem.

- Kim, do diabła, jest ta kobieta, nawiasem mówiąc? - spytał Jamison.

- Nikim odparł gość. - Wzbudziła małą sensację, kiedy parę lat temu pojawiła się w towarzystwie. Podejrzana kreatura, ma jednak w sobie jakiś wabik. Ale inny niż...

- Do rzeczy, człowieku - powiedział chłodno Jamison. - Musi coś w tym być. Nie wyobrażam sobie, żeby Seward poślubił jakąkolwiek kobietę ze względu na jej „wabik”. - Przy ostatnim słowie parsknął.

Na twarzy gościa pojawił się grymas niesmaku.

- Prowadzi zakład dobroczynny dla żołnierzy, wyprasza datki wśród socjety, ale

jest nikim, mówię panu. Jej matka pochodziła ze zwykłego ziemiaństwa, a ojciec był ni mniej ni więcej, tylko kupcem z Sussex. Zdaje się, że został uszlachcony parę lat temu - no, ale wszyscy dostawali tytuły w tamtych czasach...

- Uszlachcony? - Jamison wychylił się do przodu, zaalarmowany. - A jak się nazywał ten handlarz?

- Proszę pozwolić mi pomyśleć. Tristham?... Nie, chyba Tribble. Tak, Tribble!

Jamison odchylił się z powrotem na oparcie. Niemożliwe, żeby był to ten sam złodziejaszek, którego zatrudniał przed laty... Ten zadzierający nosa śmieć z doków, który domagał się szlacheckiego tytułu, żeby jego córka miała jasną pozycję w towarzystwie. Ale niewątpliwie to był on. Tribble był najbardziej użytecznym i utalentowanym złodziejem, jakim kiedykolwiek się Jamison posługiwał. Jego córka nie ustępowałaby mu zatem...

Gdyby był w odpowiednim nastroju, roześmiałby się.

- No cóż, być może zasłużył pan na pieniądze, jakie płyną do tych pańskich pustych kieszeni. Jestem przekonany, że żona Sewarda rzeczywiście jest Duchem Wrexhallem.

- Ale dlaczego Seward ją poślubił?

- Nie dotarł do listu - rzekł Jamison. - Zamiast ją zabić, tak jak kazałem, poślubił ją, żeby mieć ją pod kontrolą, dopóki go nie znajdzie.

- Przecież może go już mieć.

- Nie - odparł Jamison. Przesunął papiery na biurku, tak żeby leżały w idealnie prostej linii. - W ten sposób Seward chce mnie wymanewrować. Powiedziałem mu wyraźnie, że chcę śmierci tego złodzieja. Widzę, że sam będę musiał wykonać to zadanie.

- To niemożliwe, żeby zamierzał pan zabić żonę własnego syna!

- Dosyć późno objawia pan wrażliwość w tej grze. Zanim zdecyduje się pan pogrążyć głębiej w sentymentalizm, radzę, żeby pomyślał pan o wszystkich uciechach, do których jest pan tak przywiązany, i tytule, który pan tak poważa, i przypomniał sobie, w jaki sposób doszedł pan do tego tytułu - poprzez nieoczekiwaną śmierć dalszych krewnych.

Pomimo cienia, jaki skrywał twarz mężczyzny, można było dostrzec, że pobladł. Jamison zacisnął usta.

- Poza tym to nie jest żona Sewarda. To żeton przetargowy, który Seward trzyma pod kciukiem w najprostszy i najwygodniejszy sposób, jak to jest możliwe.

- Nie jestem pewien - powiedział mężczyzna. - Tam chodzi o coś więcej, idę o zakład. Pan go nie widział. Wygląda jakby był... zadurzony.

- Proszę pamiętać, że go wychowywałem - zauważył Jamison. - Jeśli jest zadurzony, to tylko w tym sensie, że ona pociąga go fizycznie. Jego głowa jest wolna.

- A co z sercem?

- On nie ma serca. A jednak... - Splótł dłonie i zaczął z namysłem postukiwać się palcami wskazującymi w podbródek. - Odciął się ode mnie. Może czuć się dotknięty, jeśli ją zabiję. Nie chcę tego. Chcę go mieć pod kontrolą.

- Ja jej nie zabiję.

Oczy Jamisona zalśniły.

- Chyba nie - powiedział spokojnie. - Proszę jednak nie popełniać błędu. Jeśli tak zdecyduję, zabije ją pan.

Mężczyzna zawahał się, po czym targnął głową w dół na znak zgody. Jamison przyglądał mu się zmrużonymi oczami. Jego gość wiedział dostatecznie dużo, by zdawać sobie sprawę, że nie będzie miał innej możliwości, o ile Jamison wyda mu takie polecenie. Nie był, bądź co bądź, człowiekiem głupim.

- Jak zamierza pan to zrobić?

- Nie tak pochopnie. - Jamison cmoknął z dezaprobatą. - Najpierw muszę dokładnie rozpoznać sytuację. Rozpracowywanie detali może trochę potrwać. Ale dość prędko powinna być martwa.

- A jeśli mu powie, gdzie jest list?

- Nie powie - uciął Jamison.

- Skąd pan może wiedzieć, że...

- Może pan już iść - odprawił gościa Jamison.

Mężczyzna z westchnieniem ulgi wstał i podniósł płaszcz.

- A co z Frostem?

- Niech się pan kręci koło niego. Proszę się starać, żeby był nieszczęśliwy i pijany. Może to być dla pana sposób na zachowanie czystego sumienia, lordzie Vedder.

*

Ledwie Vedder wyszedł, Jamison podniósł się i podszedł do wypełnionych książkami szaf. Sięgnął po umieszczony wysoko tom i wyjął go. Nie zadając sobie trudu, żeby się rozejrzeć - nikt nie ośmieliłby się wejść bez zapowiedzi do jego sanktuarium - przerzucił strony. Tom otworzył się w miejscu, gdzie włożony był gruby, potrójnie złożony welinowy arkusz ze złamaną woskową pieczęcią. Królewską pieczęcią.

Dziewucha Tribble'a nie mogła powiedzieć Jackowi, gdzie jest list, bo tego nie wiedziała. Wiedział tylko Jamison i zamierzał utrzymać ten stan rzeczy.

Na tydzień przed śmiercią Atwood przyszedł do niego z listem. Od jednego z przyjaciół z Admiralicji dowiedział się, w jaki sposób Jamison wespół z sir Knowlesem rozwiązują „delikatne problemy polityczne". Jamison, z miejsca rozpoznawszy znaczenie listu, szczęśliwie uwolnił go od niego. Na tym sprawa powinna się była skończyć.

Naturalnie nie skończyła się. Jamison zamknął oprawną w skórę księgę i odłożył ją na miejsce. Z nieznanych przyczyn Atwood napisał do Knowlesa i przedstawił

mu zawartość listu oraz rozmowę, jaką miał z Jamisonem na temat jego wagi. Na szczęście nie wspomniał, że dał już list Jamisonowi. Być może zakładał, iż Knowles i tak już wie, że list jest w posiadaniu Jamisona. Wiedziano, że tworzą tandem.

Knowles natychmiast chciał wiedzieć, kiedy Jamison spodziewa się zabezpieczyć ów fascynujący list. Jamison, wzięty z zaskoczenia, powiedział, że podjął już kroki w celu dostarczenia listu do jego rąk.

Próbował ustalić, jak poradzić sobie z tą sytuacją, gdy uśmiech fortuny w postaci tej małej złodziejki podsunął mu rozwiązanie. Ukradła Atwoodowi szkatułkę z biżuterią.

Jamison natychmiast skorzystał z okazji, jaka się nadawała. Atwood sam pomógł jego sprawie. Następnego wieczoru po kradzieży poszedł na kolację i uraczył przyjaciół opowieścią o tym, że padł ofiarą notorycznego złodzieja, Ducha Wrexhalla.

Jamison otarł czystą chusteczką kurz z palców i uśmiechnął się. Prawie że mógłby podarować życie złodziejce tylko z tego powodu... Prawie.

Na nieszczęście dla siebie była poza nim jedyną osobą, która wiedziała na pewno, że Atwood nie był w posiadaniu tego listu w chwili śmierci i że listu nie było w szkatułce z biżuterią, jak utrzymywał Jamison. Mimo to i tak mógłby pozwolić jej żyć, gdyby nie wtrącił się Knowles.

Jamison zmiął chusteczkę w pięści. Jego twarz przybrała ponury wyraz. Chociaż powiedział Knowlesowi, że osobiście doprowadzi do uregulowania sytuacji, to Knowles przywłaszczył sobie owo zadanie. Knowles zdecydował, kogo się pośle do jego realizacji. Knowles wybrał Sewarda, wiedząc, że jest on agentem Jamisona, i zyskał odpowiednią moc, żeby pominąć rywala... Jamison mocniej zacisnął pięści.

Nie będzie tolerował podobnego afrontu, kiedy tylko odzyska przewagę w ich relacji. Knowles pierwszy się o tym dowie, a i Seward szybko pozna cenę zdrady. Jak śmiał zlekceważyć jego rozkazy na rzecz rozkazów wydanych przez Jamisona?

Wysiłkiem woli nakazał sobie spokój i powrócił myślami do sprawy, którą należało załatwić. Skoro tylko dowiedział się, że Knowles wyznaczył kogoś do tropienia złodzieja, zdecydował, że złodziej musi umrzeć. Nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że list jest u Jamisona. To musi pozostać tajemnicą, zwłaszcza przed Knowlesem, do czasu gdy będzie mógł wykorzystać list do umocnienia własnej pozycji. We właściwym czasie i okolicznościach taki dokument jak ten może ogromnie rozszerzyć jego wpływy.

Jedyne, co musiał obecnie zrobić, to zaaranżować wypadek, zanim Jack - albo Knowles - poskłada sobie elementy tej układanki. Wypadek podobny do tego, jaki zorganizował dla Atwooda.

Uśmiechnął się. Jego dobry nastrój powrócił. Nawet to działało na jego korzyść... Knowles uważał śmierć Atwooda za element politycznego spisku rozwijającego się

wokół sprawy zdobycia listu.

Kiedy szedł z powrotem do biurka, uśmieszek na jego twarzy zmienił się w namysł. Po chwili twarz mu się rozjaśniła.

Trzeba pozwolić jej spróbować zdobyć zaufanie Sewarda i przekonać go, że nie ma listu. On wychował Sewarda, uformował go, stworzył. Seward nie ufał nikomu. Nawet samemu sobie.

*

Drobna figurka biegła wydeptaną przez konie dróżką. Strand obserwował Sophię z mieszanymi uczuciami.

Była taka młoda, psiakrew... Wystarczająco młoda, by jego świetna pozycja - o(i)-3.16295(e)

ecz ą ś ciwie żyn

ę ę

zdawało, i że miała jak najlepsze intencje, zawierając ten ukradkowy ślub, bo nie chciała sprawiać wszystkim kłopotu oficjalnym weselem. - Sophia z rozdrażnieniem wygięła drobne usteczka. - A to, że mnie sprawiła kłopot? I to jaki! Zostałam bez przyzwoitki, a sezon dopiero się zaczyna...

- Biedactwo - powiedział machinalnie Strand. Anne poślubiła Sewarda... Wszystkiego najlepszego!

Sophia zatrzymała się w cieniu wielkiego cisu. Jego pradawne konary uginały się pod ciężarem zieleni. Rozejrzawszy się szybko wokół, powiodła go za drzewo. Obojętnie ruszył za nią. Bez wątpienia zaplanowała kolejne uwiedzenie w niebezpiecznej scenerii.

Nie miało to dla niego większego znaczenia. Ciało zasygnalizowało już ze z radością się podporządkuje. Kiedy o tym myślał, bawiło go raczej, że on, który wykorzystał dotąd tyle kobiet, był obecnie wykorzystywany przez dziewuszkę, która zaledwie zdążyła opuścić szkolną ławę.

Jak było do przewidzenia, skoro tylko skryli się za drzewem, wsunęła mu dłonie pod poły płaszcza i pod koszulę.

- Zmarzły mi palce - zamruczała. - A tobie?

- Och, mnie też.

Cofnęła dłonie i powoli rozpięła przód pelisy. Pod okryciem miała na sobie suknię bardziej stosowną w domu publicznym niż w lutym na przechadzce... W głębokim wycięciu obcisłego stanika widniały jej małe, wysoko uniesione piersi.

Wzięła jego opiętą rękawiczką dłoń i włożyła końce palców między dwa ciepłe, miękkie pagórki.

- Czy tak nie jest lepiej?

- O tak. Znacznie lepiej.

- Mam jeszcze cieplejsze miejsca - szepnęła, stając na palcach i wodząc językiem po jego szyi. Zaczęła cofać się chyłkiem pod gałęźmi, prowadząc go za sobą, aż wreszcie znaleźli się przy pniu, skryci przed ludzkim okiem żywym namiotem zieleni.

Leniwie pomyślał, kto też mógł zapoznać ją z tą cienistą altanką. Nigdy nie pytał ją o wcześniejszych kochanków... Wiedział, że byli, a ona tak naprawdę nigdy nie usiłowała sprawiać wrażenia, że jest inaczej, ale nie obchodzili go specjalnie - zwłaszcza teraz, gdy jej palce zwinnie manipulowały przy zapięciu jego spodni. Lekki jęk rozkoszy wyrwał się z jej ust, gdy objęła dłońmi jego twardy członek.

Wiedzące dłonie... Zamknął oczy, opierając się o sękaty pień. Powinien być wdzięczny losowi, że potrafiła radować się fizyczną stroną miłości, gdyż on nigdy nie doświadczył innego jej aspektu.

- Lubisz to? - szepnęła.

- Tak.

- Ja też.

- Czyż nie jesteśmy szczęściarzami?

Jeśli usłyszała ironię w jego głosie, zignorowała ją i zdwoiła wysiłki, by dać mu rozkosz.

- Mam pewien kłopot. - Usłyszał jej głos jakby z oddali. Jego uwaga skupiona była wyłącznie na ruchu jej palców, poruszających się fachowo w górę i w dół.

- Jestem przy nadziei, Giles.

No cóż, to normalne. Była młodą, zdrową kobietą, bardzo przy tym aktywną.

- Czy jestem ojcem?

Zawahała się, ale jej dłonie nie.

- Możesz być.

Wybuchnął śmiechem. Niech ją Pan Bóg kocha... Ta dziewczyna mogła być ladacznicą, ale nie była kłamczuchą. Potrafił to docenić.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Oddała spojrzenie. Na jej ślicznej buzi pojawił się wyraz irytacji.

- A czego oczekujesz ode mnie?

- Chcę to jakoś załatwić.

Śmiech zamarł mu w gardle. Ostrożnie sięgnął w dół i ujął jej nadgarstki. Równie ostrożnie przytrzymał je z dala od siebie. Teraz nie miało to zresztą znaczenia. Erekcja znikła.

- Nie wiem, kto „załatwia" takie rzeczy - powiedział, patrząc na jej twarz. Cerę miała jak śmietanka, zielone oczy były przejrzyste, a rude włosy przypominały płomień. Tak młoda, a taka stara... Wydawało się to niewłaściwe.

- Ale możesz się dowiedzieć.

- Nie.

Odskoczyła. Irytacja zmieniła jej śliczną buzię.

Dlaczego nie? - pomyślał. Dlaczego nie, do diabła?

- Wiesz - stwierdził - wydaje mi się, że znam lepszy sposób poradzenia sobie z tym, niż oddawać to śliczne ciało w ręce rzeźnika.

- Doprawdy? - prychnęła przez ramię.

Przynajmniej będzie miał niewątpliwą przyjemność zaskoczenia jej. Kto by się spodziewał, że mężczyzna o jego reputacji...

Roześmiał się. Sophia odwróciła się, najwyraźniej zdziwiona.

- Możesz mnie przecież poślubić, malutka.

21

Polowałem na ciebie. Śledziłem cię. Złapałem cię w pułapkę. A teraz, na Boga, nie zamierzam cię wypuścić.

Anne wpatrywała się apatycznie w kratę osłaniającą okno sypialni. Wolność straszyła ją za żelazną koronką. Jack Seward straszył ją swoją nieobecnością.

Nie opuszczała tego pokoju od dwóch dni. Odkąd Jack wyciągnął z łóżka młodego proboszcza parafii świętej Bernadetty i zmusił go, by udzielił im ślubu.

Wrócił z nią tu, odeskortował do tego pokoju i wyszedł.

Po paru minutach dostrzegła okratowane okno i zaryglowany zamek w jedynych drzwiach. Zewnętrzna sztaba niweczyła każdą jej próbę cofnięcia rygla.

Całą noc przeleżała skulona na łóżku. Rankiem pojawił się ponury Szkot, Griffin, a za nim chudy, żylasty chłopak uginający się pod ciężarem kłody. Pod surowym, milczącym nadzorem Griffina pokojówka o nazwisku Spawling rozpakowała jej rzeczy.

Kiedy wszyscy oni byli w pokoju, nadszedł Jack. Był równie surowo i nienagannie odziany, jak zawsze, przykro więc odczuła swoje własne zaniedbanie. Omiótł ją pustym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Tonem takim, jakby prowadził rozmowę na temat pogody, poprosił, by opisała chłopca, który przyniósł jej ostatnią wiadomość.

Był nieskazitelnie uprzejmy. Nie znalazła w nim nic, co kojarzyłoby się z tym groźnym Jackiem i przerażało ją to bardziej niż jego gniew i brutalny pocałunek poprzedniej nocy.

Błagała, żeby pozwolił jej wyjść. Zignorował jej prośbę, zasugerował jedynie, by napisała do Malcolma i Sophii, informując ich o swoim małżeństwie.

Raz jeden tylko jeszcze podszedł do niej - ostatniej nocy. Leżała bezsennie na łóżku, wpatrując się w czerń pokoju i wyobrażając sobie w nieskończoność kolejne wersje losu, jaki czeka złodziejkę, która ośmieliła się postawić wyzwanie, prowokowała do rozpusty i zdradziła Ogara Whitehalla, mężczyznę, który robił rzeczy straszne...

Usłyszała zgrzyt odtwieranej zasuwy. Wstrzymała oddech. Ciche kroki przemierzyły pokój i zatrzymały się przy jej łóżku. Przez długą, pełną napięcia chwilę czuła obecność Jacka. Nachylił się nad nią. A potem odszedł.

Nie wiedziała, co zamierza z nią zrobić. Mógł zrobić wszystko. Była szalona, wyobrażając sobie, że wie wszystko o pułkowniku Sewardzie... Nie wiedziała. Był przerażający i niepojęty jak piorun. I tak samo uwodzicielski.

Skrzypnęły drzwi frontowe. Podniosła się, podeszła na palcach do wejścia i przycisnęła ucho do dębowych desek. Ktoś wspinał się po schodach.

Serce łomotało jej w piersi. Ciało przebiegł dreszcz oczekiwania i strachu. Zaraz tu wejdzie. Oznajmi, jaki los ją czeka.

Kroki zwolniły. Wyprostowała się i uniósłszy głowę, przygotowała się na spotkanie z nim. Zatrzymał się pod drzwiami. Cofnęła się o krok. Cisza rozciągnęła się w długie chwile... Kroki zaczęły się stopniowo oddalać, w końcu całkiem ucichły.

Łzy napełniły oczy Anne i spłynęły po policzkach. Być może taki właśnie będzie jej los... Będzie siedzieć pod kluczem, niedostępna dla ludzkiego oka, za jedyną towarzyszkę mając własną szaloną namiętność. Czy taka będzie kara? Czy wiedział, co ona czuje? Jak bardzo go pragnie?

O Boże... Jakaż jesteś głupia, Anne, pomyślała. Jak mógłby o tym nie wiedzieć? Wykorzystałaś każdą sposobność, każdy pretekst, żeby go dotknąć, posmakować...

Wiedział, to oczywiste.

Zabębniła pięściami w drzwi.

- Nie możesz mnie tu trzymać bez końca! Nie wolno ci!

Nikt nie odpowiedział na jej krzyk. Załomotała mocniej, łzy popłynęły obficiej, głos łamał się od łkania. Szarpnęła za klamkę.

- Wypuść mnie, do krocset! Nie możesz mnie trzymać w ten sposób! Jack! Jack!!!

Waliła w drzwi, dopóki ręce nie omdlały jej z bólu, krzyczała, dopóki nie ochrypła. Oparła głowę o twarde deski.

On nie może być takim okrutnikiem!

On może być wszystkim.

Odsunęła się gwałtownie od drzwi i rozglądała się dookoła oszalałym wzrokiem. Musi stąd wyjść! Po raz kolejny przyjrzała się oknu, szukając jakiegoś słabego punktu, i po raz kolejny nie znalazła go. Otwory w ozdobnych kratach z kutego żelaza były zbyt małe, żeby się przez nie przecisnąć. Trzeba by być dzieckiem...

Nagle podbiegła do kominka i uklękła w wystygłym popiele. Ogień wygasł już dawno i nikt nie przyszedł, żeby go ponownie zapalić. Przekrzywiła głowę i zajrzała w ciasny, ciemny tunel. Dostatecznie szeroki. Mogła uciec przez przewód kominowy! Cofnęła głowę.

A potem? Nie, nie będzie myśleć, co potem. Najważniejsze to uciec.

Chwyciła garść sadzy i wymazała na czarno twarz i ramiona. Ubranie, które na sobie miała, było zbyt ciasne, żeby móc się w nim wspinać. Trzeba je poświęcić. Składanym scyzorykiem obcięła połowę spódnicy i niemal całe rękawy.

Wyjęła z szafy lekki płaszcz i zrolowała go ciasno. Przykryje nim zniszczone ubranie, kiedy znajdzie się na ulicy. Przykucnęła, wzięła głęboki oddech i wpełzła w otwór.

Gryząca woń osiadłego w przewodzie dymu przeniknęła nozdrza i osiadła w gardle. Uniosła twarz, mrugając powiekami, gdy spłynęła na nią delikatna mgła sadzy i popiołu.

Podniosła się i zaczęła macać nad sobą rękami, badając otwór, który miał stanowić trasę jej ucieczki. Ciasno, bardzo ciasno. Zaparłszy się plecami o ceglaną ścianę, wparła stopy w ścianę przeciwległą. Powoli, ostrożnie, centymetr po centymetrze zaczęła wspinać się w górę w wąskim, czarnym tunelu.

To się nigdy nie skończy... Każdy centymetr był udręką. Czarna jak sadza ciemność, duszący węglowy pył. Ramiona podrapała sobie do krwi o nierówną ceglaną powierzchnię. Nogi więzły w wąskim tunelu. Przypomniały jej się zasłyszane niegdyś opowieści o cztero- czy pięcioletnich chłopcach przyuczanych do kominiarstwa, którzy utknęli w zbyt wąskim kanale, i nie mogli się stamtąd wydostać. Ogarnęła ją groza.

Dotarła do miejsca, gdzie przewód nieoczekiwanie zmieniał kierunek. Z trudem zgięła się tak, by przecisnąć się przez szczelinę na ostrym zakręcie. Brnęła dalej. Pot oblewał jej twarz. Mięśnie dygotały z wyczerpania.

Wreszcie, na szczęście, poczuła na twarzy błogosławiony, chłodny powiew. Zdwoiła wysiłki. W parę minut później wydobyła się z ciasnego komina jak feniks powstający z popiołów. Dysząc, upadła na dach i leżała tak przez dłuższą chwilę, z rozkoszą chłonąc świeże, lodowate powietrze. Ale nie wolno jej było tu zostać. W każdej chwili mógł odkryć jej ucieczkę.

Stanęła na równe nogi, rozwinęła tobołek i zarzuciła lekki płaszcz na ramiona. Rozejrzała się w desperacji. Mogą zabrać ją stąd, zabrać od Jacka... Ale nie dzisiejszego wieczoru.

Otaczała ją mgła gęsta jak śmietana. Przy takiej widoczności nie sposób wykonywać skoków, jakich wymagałaby powietrzna trasa... Nie było jednak czasu na żale.

Swobodnie popełzła po ścianie w dół. Ulice były wymarłe. Zimno i mgła sprawiały, że tylko bardzo pilne sprawy mogły kogokolwiek wygonić na dwór.

Trzymała się blisko budynków. Z rzadka przed nią lub za nią pojawiała się pojedyncza sylwetka, by po paru sekundach rozpłynąć się w nieprzeniknionej bieli. Szła powoli, zdezorientowana we mgle, obca na tych ulicach. Nagle usłyszała jakiś dźwięk, zbyt donośny w wilgotnym powietrzu.

Stanęła, nasłuchując. Wszystkimi zmysłami, wyostrzonymi do ostatnich granic, starała się wyłapać coś w tej gęstej, przelewającej się zupie. Nic. To tylko ta zwodnicza czujność...

- O Boże!

Coś gładkiego, śliskiego wychynęło z mgły i otarło się o jej nogi. Odskoczyła. Kot...

Westchnienie ulgi zmieszało się z nerwowym śmiechem.

- Biedny kotku - mruknęła. - Widać boisz się tak samo jak ja...

W tej samej sekundzie runął na nią mężczyzna. Przygniótł ją ramieniem do ściany i chcąc ogłuszyć Anne, uderzył jej głową o ceglany mur. Dłonie brutalnie ścisnęły jej szyję. Krztusiła się, szamocząc się bezradnie w jego uścisku. Łzy popłynęły na dławiące ją ręce. Pod powiekami jak fajerwerki wybuchły tysiące maleńkich gwiazdek.

Nagle ktoś odciągnął dłonie mężczyzny. Upadła ciężko na kolana, z trudem łapiąc powietrze. O parę metrów od niej majaczyły we mgle dwie sylwetki, skręcające się w niemej, gwałtownej walce. Dobiegły ją tępe, głuche odgłosy uderzeń, słabnący jęk, wreszcie zapadła cisza. Jedna postać osunęła się na ziemię, potem wstała i znikła w gęstym obłoku mgły.

Drugi mężczyzna odwrócił się i podszedł do niej.

Jack. A Jack oznaczał bezpieczeństwo.

On nie jest twoim wybawcą. On cię nienawidzi. Serce drwiło sobie z tych myśli, ale serce to głupiec, któremu nie można ufać.

Odpełzła od niego na czworakach. Zacisnął szczęki i wyciągnął ku niej rękę. Zamrugała oczami, nie wiedząc, co zamierza zrobić. Chwycił ją za ramię i postawił na nogi.

- Jeśli chce pani żyć, proszę się mnie trzymać - warknął, przyciągając ją bliżej.

- Ale jak...

- Griffin zauważył, że pani nie ma. - Obrzucił spojrzeniem jej usmoloną twarz i rozwichrzone włosy. Ujął jej rękę i odwrócił wierzchem do góry: krew sączyła się z pokaleczonej, brudnej dłoni. - Nie przyszło nam do głowy, żeby zablokować komin.

Puścił dłoń, odwrócił ją i popchnął przed sobą.

- Ten człowiek próbował mnie zabić - zdołała wydobyć z siebie drżący szept.

- Wiem. Ale nie zabił. Nikt pani nie zabije.

Wlepiła w niego oczy, zdumiona. Stał do niej profilem. Na policzku dostrzegła drobne skaleczenie. Uparcie odwracał od niej wzrok.

Uratował jej życie. Znowu. Ona go zdradziła, zraniła i wykorzystała, a on uratował jej życie.

Co nie znaczy, by robiło mu to jakąś różnicę. Odsunął się od niej tak gruntownie, jakby zamieszkiwał inny glob. Równie dobrze mógł nigdy nie prosić, by wypowiedziała jego imię... Nigdy więcej nie popełni błędu ujawnienia przed nią swojej wrażliwości. Prawdopodobnie zabiła jej resztki.

- Ale to nie ostatni, który będzie próbował - powiedział, wciąż patrząc w przestrzeń.

- Co? - wykrzyknęła. - To był zwykły...

Jack zatrzymał się, złapał ją za ramię i odwrócił do siebie. Przygwoździł ją do ściany i przysunął się blisko. Płaszcz otarł się o jej piersi, ciepły oddech musnął czoło. Na jego twarzy malował się gniew.

- Ten człowiek nie był „zwykłym” napastnikiem. Nie miała pani jakiejkolwiek szansy w tym ulicznym ataku - rzekł z naciskiem. - On został nasłany, żeby panią zabić.

Utkwił spojrzenie w jej oczach. Jego ciało było ciepłe; jego ręce przypierające ją do ściany były brutalne. Przez długi, pełen napięcia moment wpatrywał się w jej rysy, wodząc po nich oczami, jak gdyby stał wobec tajemnicy, która nie ma wyjaśnienia. Wyraz twarzy miał taki, jakby przeklinał i zarazem był przeklęty. W końcu oderwał ją od ściany i z powrotem popchnął przed sobą.

- A teraz, jeśli chce pani żyć - w co zaczynam wątpić - będzie pani robić dokładnie to, co każę.

- Chcę żyć - powiedziała.

- To dobrze - odparł. - W takim razie powinno być łatwiej.

- Ale dlaczego on chciał...

- Później. Kiedy będziemy w domu. - Wyraz jego twarzy wykluczał jakikolwiek opór.

Na rogu zatrzymał ją i wysunął się naprzód. Szybko zbadał wzrokiem ulicę przed wejściem do domu i zwrócił się ku niej.

- Tędy, proszę.

Przeszła wraz z nim na drugą stronę, odnotowując, że cały czas starał się trzymać tak, by osłaniać ją przed cudzym wzrokiem. Zaczęli wchodzić po schodach. Drzwi rozwarły się, ukazując czarne wnętrze hallu. Gdy tylko znaleźli się w środku, Griffin momentalnie odciągnął ją na bok. Jack zatrzasnął za nimi drzwi.

- Gdzie jest pokojówka? - spytał.

- Spawling, sir, do usług. - Chuda starsza kobieta schodziła w dół po schodach, beznamiętnie patrząc na usmoloną twarz Anne i ubranie w strzępach.

- Proszę mi przysłać chłopca z kuchni. Będzie musiał natychmiast przekazać wiadomość. A pani Wi... - urwał. - Ta pani potrzebuje gorącej kąpieli. Należy też jej opatrzyć skaleczenia. - Popatrzył na nią. - Najpierw jednak musimy porozmawiać.

22

Jack wręczał właśnie chłopakowi notkę do Knowlesa, gdy do niewielkiego salonu weszła Anne. Jej szczupłe ramiona wciąż okrywał lekki płaszcz. Nawet ze swego miejsca przy biurku mógł dostrzec, że cała drży: czarne loki jaku wiedźmy rozsypane były w nieładzie, usta drżały.

Przyciągnął do ognia stare, zniszczone krzesło. Anne przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Proszę - powiedział.

Skinęła głową i usiadła, patrząc na niego otwarcie, uczciwie. Taka brudna twarz, a taka solenna i szczera. Powinien się dobrze czuć w towarzystwie brudnych uliczników o uczciwych twarzach i czarnych sercach... Uśmiechnął się ponuro. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak źle ocenił człowieka.

Najwyraźniej w przypadku pięknej i zdradliwej wdowy decyzje za niego podejmował jego członek. Nawet teraz czuł, że twardnieje. Seks... Kto by przypuszczał, że pożądanie zapanuje nad nim tak bardzo? Albo będzie próbowało zapanować.

Podszedł do stołu znajdującego się pod przeciwległą ścianą i zapalił świece. Musi ustawić między nimi tyle przeszkód, ile się da.

- Jest pewien człowiek - zaczął bez wstępów. - Nazywa się Jamison.

- Pański ojciec? - przerwała.

Spojrzał na nią ostro. To, że wie o przypuszczalnym ojcostwie Jamisona, nie ma żadnego znaczenia.

- Tak, być może to mój ojciec. Angażuje się w politykę... - przerwał, nie wiedząc,

jak wyjaśnić, co robi Jamison, co robi on sam. - W najmniej widoczne aspekty życia politycznego, ale w wielu przypadkach najważniejsze.

Choć skinęła głową, jej twarz wyrażała dezorientację.

- Jamison interesuje się listem, który pani ukradła. - Uniósł rękę, powstrzymując jej łatwy do przewidzenia protest. - Nie tylko się interesuje - ciągnął. - Najpierw chciał go odzyskać. Teraz pragnie go zniszczyć - i każdego, kto ten list widział. Zrobi wszystko, by do tego doprowadzić. Jest - rozejrzał się dookoła, jakby szukając słów, które podkreśliłyby powagę jej sytuacji oraz niezwykłą władzę człowieka, który chciał ją unicestwić - władcą ludzi. On nie zatrudnia agentów; on ma niewolników.

W chwili, gdy wspomniał o liście, zaczęła uparcie potrząsać głową. Ciemne, wilgotne pukle wiły się wokół jej ponurej, zaciętej twarzy jak węże otaczające głowę Meduzy. Miał chęć poderwać ją z tego krzepa, gdzie przysiadła jak karcone dziecko, i wbić w nią ręcznie trochę rozumu.

- Mówiłam już panu, nie mam tego listu - powiedziała. - I nigdy nie miałam. Co mam zrobić, żeby pana przekonać?

- Czy wierzę pani, czy nie, nie ma to już znaczenia. Ważne, że Jamison pani nie wierzy.

Zbladła pod warstwą sadzy.

- Nie mam tego listu.

Cofnął się o krok i zatrzymał. Anne wystawiała na próbę jego cierpliwość i samokontrolę jak jeszcze żadna z kobiet.

- Nie mogę zagwarantować pani bezpieczeństwa. Jest tylko kwestią czasu, kiedy Jamison zyska do pani dostęp.

- Dostęp? - spytała jak echo. - Mówi pan tak, jakbym była przedmiotem.

Odwrócił wzrok.

- To tylko taki sposób mówienia. Nie o to chodzi.

- A o co chodzi? - spytała.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- O to, że jeśli wkrótce list się nie odnajdzie, będzie pani martwa.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Tracił tylko czas, usiłując wyczytać coś z jej twarzy... Była przecież świetną aktorką.

- Dla kogo ukradła pani tę szkatułkę z klejnotami?

- Dla siebie.

- Proszę nie kazać mi wierzyć w zbieg okoliczności, że w szkatułce z biżuterią, którą pani ukradła, był tak ważny dokument - powiedział ze znużeniem. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę koneksje pani ojca.

- Jakie koneksje?

Jej zdumienie sprawiało wrażenie prawdziwego.

- No cóż - powiedział niebezpiecznie uprzejmym tonem - pani ojciec otrzymał

szlachecki tytuł za to, że kradł na życzenie Jamisona. Jestem pewien, że oprócz nazwisk paserów przekazał pani również nazwiska ludzi, którzy dobrze płacą za sensacyjne epistoły.

- Nie.

Potrząsnęła głową jeszcze raz - w odpowiedzi na oskarżenie jej ojca, którego nie mógł wypowiedzieć na głos.

Ukrył swoje rosnące rozczarowanie.

- Może słuszne byłoby, żebym wyjaśnił sytuację każdego z nas. Nie wierzę ani jednemu słowu, które pani...

- Dlaczego miałabym kłamać? - wykrzyknęła żałośnie. - Przecież powiedział mi pan, że umrę, jeśli nie dam panu tego listu. Dlaczego miałabym ukrywać przed panem prawdę?

- Bo bardziej boi się pani tego, komu sprzedała pani list niż Jamisona. Co jest bardzo poważną, potencjalnie śmiertelną pomyłką.

- Ja nie kłamię - powiedziała ze łzami w głosie, błagalnie wyciągając ramiona. Palce miała brudne i poranione. Omal do niej nie podszedł.

Bardzo ładna poza, najdroższa. Najtwardsze serce by krwawiło. I moje by krwawiło, gdybyś nie wyssała go do ostatniej kropelki... Teatr stracił gwiazdę, gdy Anne Wilder przedłożyła dachy nad sceniczne deski.

- Doskonale - stwierdził obojętnym tonem. - Nie kłamie pani. Nie ma pani listu. A skrzynka z biżuterią nie ma sekretnej przegródki.

Nie potrafiła całkiem ukryć swojej ulgi. Ale ulga była przedwczesna. Znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Przez całe życie szlifował umiejętność rozszyfrowywania tajemnic... Bała się go, ale i pragnęła. Połączenie strachu i namiętności to wyjątkowo płodne połączenie, i on wykorzysta je bez litości. Użyje wszelkich środków, jakie będzie miał do dyspozycji, by rozwikłać zagadkę Anne Tribble-Wilder-Seward.

Poruszyła się niezręcznie pod jego spojrzeniem.

- Skoncentrujemy się na odnalezieniu szkatułki - powiedział łagodnie. - Jeśli list nadal tkwi w środku, być może uda nam się przekonać Jamisona, że pani nie zna jego treści.

Otworzyła usta, by znowu zaprotestować, ale uprzedził ją.

- Chcę mieć możliwie najdokładniejszy opis tej skrzyneczki. Chcę znać nazwiska wszystkich osób, o jakich pani kiedykolwiek słyszała, że są związane z przestępczym podziemiem. Możemy zacząć od tego, do czego jest pani gotowa się przyznać.

- Możemy? - Chwyciła się tego słowa, a on przeklął się za to, że sam podsunął jej tę szansę zyskania przewagi. - My? Dlaczego miałby się pan tym przejmować? Dlaczego miałby mi pan pomagać?

- Jak to, moja droga? - rzekł wypranym z emocji głosem. - Ponieważ jest pani

moją żoną.

*

To była niemodna godzina w tej najbardziej niemodnej z londyńskich kawiarń i wnętrze było niemal puste. Paru kupców z pretensjami do pańskości tłoczyło się przy łukowatym frontowym oknie; ich nowe cylindry spoczywały ostentacyjnie na marmurowych blatach stołów. Postawa kupców była równie sztywna i sztuczna, jak ich świeżo uzyskane tytuły.

O Boże... Knowles nie cierpiał nuworyszy. Prawie tak samo, jak arystokracji.

Wrzucił kolejną bryłkę cukru do stojącej przed nim filiżanki gęstego, czarnego naparu i powoli zamieszał. Przyszedł wcześniej na to spotkanie. Seward bardzo na nie nalegał.

Interesująca zagadka, ten Jack Seward... Knowles nigdy nie czuł się z nim całkiem swobodnie i dlatego właśnie go cenił. Zbyt wielu ludzi wpada w samozadowolenie, w miarę jak robią się coraz starsi i coraz lepiej okopani na własnej pozycji. Traktują swoją władzę jako coś oczywistego. O Jacku Sewardzie nie można było tego powiedzieć.

Jack zawsze był uważany za czarnego konia. Jego tajemnicza lojalność wobec Jamisona manifestowała się w najdziwniejszych momentach, w najbardziej nieoczekiwany sposób. A mimo to w innych przypadkach zdawał się być uosobieniem nieugiętości, nie liczył się z niczyimi planami poza swoim własnym.

A także, pomyślał Knowles, sięgając po posypane cukrem ciasteczko i wkładając je do ust, niezależnie od jego użyteczności dosyć lubił tego człowieka.

- Woli pan ciastka z migdałami czy z miodem?

Knowles otarł usta i zerknął kątem oka na Jacka, po czym zwrócił spojrzenie na stojący przed nim talerz. Jack wyglądał strasznie. Oczy przypominały zapadliska w szczupłej twarzy. Szczękę i podbródek ocieniał zarost. Ale najbardziej wymowny był przekrzywiony krawat. Przez wszystkie lata, odkąd Knowles znał Jacka, zawsze był on ubrany inaczej niż nienagannie.

- Z miodem - odparł, jak gdyby rozważywszy kwestię. - Z migdałami właśnie się skończyły.

Jack skinął na służącego, by podał mu filiżankę kawy, i zajął swoje miejsce.

- Potrzebuję pańskiej pomocy, sir - oznajmił bez wstępów.

Doskonale, pomyślał Knowles. Udzielenie pomocy Jackowi mogło się okazać korzystne... Nie odpowiedział, pociągnął tylko łyk kawy i spojrzał wyczekująco na rozmówcę. Jack nachylił się ku niemu.

- Jamison usiłuje kogoś zabić. Nie chcę, żeby mu się powiodło.

- Rozumiem. Proszę poczęstować się ciasteczkiem, Jack. Doprawdy, wygląda pan na wyczerpanego. - Zapraszającym gestem podał mu talerz.

Jack potrząsnął głową. Knowles z westchnieniem odstawił słodycze.

- Mogę pokrzyżować plany Jamisona na jakiś czas - powiedział. - Być może

nawet tak długo, dopóki ta osoba będzie dla pana użyteczna, ale później...

Najwyraźniej nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał Jack. Przegarnął dłonią włosy, jak gdyby starał się powściągnąć emocje. Coraz dziwniejsze... Jack Seward podlegający emocjom!

Knowles wzruszył ramionami w geście usprawiedliwienia.

- Wie pan, jak nieustępliwy potrafi być Jamison, kiedy zagnie na kogoś parol...

- Wiem. I właśnie dlatego chcę zapewnić bezpieczeństwo tej osobie, sir. Nie na jeden dzień czy tydzień. Na zawsze.

- Ach! - Knowles splótł palce na brzuchu i uśmiechnął się melancholijnie. - Któż z nas może być bezpieczny na zawsze?

Jack nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Chcę, żeby ona była bezpieczna.

Ona? Rozmowa przybierała coraz bardziej interesujący obrót.

- Czy mówimy może o pańskiej świeżo poślubionej żonie?

Jack krótko skinął głową.

- Rozumiem. - Knowles ściągnął wargi, koncentrując na zagadnieniu całą swą uwagę.

Kelner przyniósł filiżankę kawy i oddalił się.

Prawdę mówiąc, on, Knowles dostrzegał znacznie więcej, niż mógł przypuszczać Jack. Miał agentów, których istnienia nikt nawet nie podejrzewał. Ludzi, których jedynym zajęciem było stałe informowanie Knowlesa o niuansach życia pewnych osób, a także nieustanne śledzenie wszelkich posunięć jeszcze innych, ważniejszych osób, i tak dalej, i tak dalej - włącznie do starego, obłąkanego króla.

Narzeczona Jacka i jej pociąg do przebywania na wysokościach dopiero niedawno dotarły do jego świadomości. Miał uznanie dla Jacka za jego umiejętność odkrycia interesujących talentów Anne Wilder, zanim zrobił to on sam. Teraz jednak i on o tym wiedział. Tak samo jak to, że Jamison chce ją zabić. Nie znał tylko powodu. Upór, że złodziejka musi zostać zgładzona, gdyż prawdopodobnie przeczytała list, wydawał się przesadny, nawet jak na Jamisona... Sporządzony przez Atwooda opis treści listu, zawarty w notce, którą przesłał Knowlesowi na krótko przed swoją śmiercią, był niewątpliwie interesujący, ale czyż usprawiedliwiałoby to przelew krwi? Knowles zaczynał podejrzewać, że nie wie o wszystkim, co zawierał list.

Wziął z talerza kolejne ciasteczko. Fascynujące, pomyślał, wkładając je do ust. Cała ta sprawa była fascynująca... Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek coś go tak zajęło.

- Mamy z Jamisonem milczącą umowę - odezwał się w końcu. - Żaden z nas nie wtrąca się w in czz013.6655 Tfł0.9[(c)4.68276ł/R7 13.66 Tfł0.9[(c)4.4-4.10358(w)190792(s)1

przyszedłem.

Knowles otarł serwetką końce palców i z powagą skinął głową.

- Zobaczę, co da się zrobić. Ale nie będzie to możliwe szybko, a do tego czasu, jak podejrzewam, nastąpią kolejne zamachy na życie pańskiej... eee... żony.

Gdyby Seward był typem mężczyzny, który wzdycha z ulgą, niewątpliwie by westchnął. Ponieważ był, jaki był, Knowles dostrzegł jedynie, że napięcie mięśni jego barków leciutko ustąpiło. Co nie znaczyło, że się odprężył. Doprawdy, pomyślał z ponurym rozbawieniem, jakich też środków użył Jamison wobec chłopaka, by uzyskać taką postawę?

Otyły, stary człowiek w kamizelce obsypanej cukrowym pudrem ciężko wstał. Z rozmyślnym skąpstwem klasy kupieckiej starannie odliczył monety należne za kawę i ciastka. Nie zapłacił za nietkniętą filiżankę Jacka.

Umieścił kapelusz na łysinie i odchodząc, spojrzał na Jacka.

- Będę, oczywiście, oczekiwał jakiegoś rewanżu.

- Oczywiście - odparł Jack.

23

Służący krążyli, przynosząc wiadra gorącej, dymiącej kłębami pary wody. Kiedy sadza i brud osiadały na powierzchni, opróżniali wannę i napełniali ponownie. Anne pławiła się w parującej cieczy. Mydło szczypało ranki, obolałe mięśnie rozluźniały się powoli. Wyczerpana fizycznie i psychicznie, bezwolnie poddawała się zabiegom Spawling.

Nie pozostało jej nic, czym mogłaby walczyć. Ktoś pragnął jej śmierci, a jedynym, który się temu komuś przeciwstawiał, był człowiek, który miał wszelkie prawo jej nienawidzić, który powiedział - i miał do tego podstawy - że nie wierzy ani jednemu jej słowu. Powinna obawiać się o swoje życie i obawiała się, ale ten strach tkwił pogrzebany pod lodową skorupą bólu.

Wrogość Jacka wciąż na nowo wzbierała w jej myślach niczym bąbel kwasu, burząc błogosławione otępienie. Jedynie jego wrogość miała moc ranienia jej, tam w głębi, gdzie przetrwały jeszcze resztki jej uczuć. Zranienie i strach wyssały z niej ostatecznie resztki gorączkowej energii, dzięki której mogła egzystować.

Jack pragnął zapewnić jej bezpieczeństwo, planując jakąś przyszła zemstę albo żeby użyć jej jako lewara, albo jako pokaz władzy wobec ojca, albo dla wielu innych racji, których nie była w stanie dociec. Mogła tylko biernie czekać, co z nią zrobi... to znaczy, co zrobi jej.

Mechanicznie namydliła włosy i czekała, aż milcząca Spawling spłucze je kolejnymi warząchwiami czystej, ciepłej wody.

- Dziękuję - mruknęła i pozwoliła, by pokojówka pomogła jej wyjść z wanny i włożyć gruby, bawełniany szlafrok. Usiadła przed toaletką, a kobieta zaczęła mozolnie rozczesywać splątany kłąb jej włosów grzebieniem o rzadkich zębach.

- Czy ty się w ogóle odzywasz? - spytała Anne.

- No.

Anne spojrzała w lustro, na odbicie zamkniętej, spiętej twarz Spawling.

- Od dawna jesteś u pułkownika Sewarda?

- Dwa miesiące. Pan Griffin mnie przyjął.

To tyle, jeśli chodzi o dowiedzenie się czegoś na temat Jacka, pomyślała ze znużeniem Anne. Rozległo się pukanie i pokojówka podeszła do drzwi. W minutę później wróciła.

- Pułkownik chce panią widzieć, proszę pani.

Anne zwalczyła pokusę, by odmówić. Co by przez to osiągnęła? Nie miała gdzie pójść. Rodzice zmarli, matka nieżyjącego męża nienawidziła jej... Nie miała domu, który mogłaby nazwać własnym.

Niczego nie mogła odmówić Jackowi. Wstała. Pokojówka otworzyła szafę i wyjęła suknię.

- Ta, proszę pani? - spytała, pokazując *robe de chambre* w kolorze jasnej orchidei. Suknia należała do Sophii. Jej pokojówka musiała zapakować ją przez omyłkę.

- Tak - odparła Anne apatycznie. - Doskonale.

W piętnaście minut później weszła za Griffinem do niewielkiego pokoju, gdzie Jack rozmawiał z nią poprzednio. Griffin wpuścił Anne i zamknął za nią drzwi.

W pierwszej chwili nie dostrzegła Jacka. Jedynie kominek i lampa o nieprzyciętym knocie dawały nieco światła. Ciężkie zasłony były starannie zaciągnięte, broniąc dostępu czemuś, co mogło wtargnąć do środka.

Na tę myśl poczuła dreszcz. Potarła ramiona dłońmi. Nie chcąc czekać w tym niegościnnym pokoju, odwróciła się, by wyjść, i wtedy go zobaczyła. Siedział w fotelu, głęboko ukryty w cieniu. Łokcie spoczywały na poręczach; splecionymi dłońmi wspierał podbródek. Opuściwszy głowę, śledził ją uważnie.

Drgnęła, zaskoczona, że go nie spostrzegła. Wytworzyła w sobie przeleż szósty zmysł jak śpiący, który wyczuwa cudzą obecność. Nigdy dotąd jej nie zawodził.

Poruszyła się, chcąc się usunąć z zasięgu tego nieubłaganego, nieprzyjaznego spojrzenia. Jego wzrok szedł w ślad za nią ze spokojną celowością, niczym u drapieżnego zwierzęcia. Był w samej koszuli, z podwiniętymi do łokcia rękawami. Przy nieskazitelnej bieli tkaniny skóra wydawała się niemal czarna; przeguby i przedramiona były smukłe i silne. Twarz miała ciemny koloryt nie tylko ze względu na cień, w jakim pozostawał; wyglądał, jakby od paru dni się nie golił.

Nagle zdała sobie sprawę, że sama mu się przypatruje, i zbita z tropu odwróciła oczy. Jego milczący bezruch nie był rezultatem kamuflażu. Nie miała też wrażenia, że zapadał się do wewnątrz, chowając istotę siebie samego tak głęboko, że nikt nie był w stanie jej odnaleźć.

Przeciwnie, wydawało jej się, że patrzy na człowieka, którego duszą targał huragan, zdzierając z niej kolejne warstwy, aż stała się przejrzysta, wręcz niedostrzegalna.

Nie był ani ciemnością, ani światłem; nieustannie prześladowała go możliwość stania się jednym lub drugim. Człowiek mroku, egzystujący w krótkim momencie, gdy słabą poświatę pochłania ciemność. O Boże, pomyślała, nigdy jeszcze nie widziałam go w świetle dnia.

Musiała coś powiedzieć. Budził w niej lęk.

- Chciał mnie pan widzieć?

- Tak. Chciałem panią widzieć.

Tylko jego usta się poruszały. Zatrzeszczały głownie w kominku i osypujący się żar odbił się refleksem w jego szarych tęczówkach. Ktoś skłonny do fantazjowania mógłby pomyśleć, że obudziły one ogień płonący gdzieś głęboko w tym człowieku, ale ona nie była naturą marzycielską. Przełknęła ślinę.

- Dlaczego pani to robi? - spytał.

Nie warto było udawać, że nie zrozumiała pytania. Jednakże jak mogła wyjaśnić coś, czego sama nie rozumiała? Nie znajdując właściwej odpowiedzi, odparowała zuchwale:

- Nigdy pan niczego nie ukradł, kapitanie?

Nie była przygotowana na jego reakcję. Rzucił się naprzód, po czym gwałtownie zatrzymał, jak gdyby szarpnięty przez haczyk wędki. Cofnęła się. Puls jej bił szybko.

Zły uśmiech wypełzł mu na wargi.

- Nic, w porównaniu z tym, co ukradła pani.

Wiedziała, że mówi o nocy, kiedy związała go i zrobiła coś niewyobrażalnego.

Jego uśmiech błysnął ostro jak nóż.

- Widzę, że mnie pani rozumie. Myślała pani, że blefowałem, kiedy obiecałem, że będę panią miał? Albo może myślała pani, że kiedy odkryłem, iż kobieta, która z takim entuzjazmem pieściła moje ciało, to skromna, ciesząca się szacunkiem wdowa, odstąpię od zamiaru? Nie, nie odstąpię. Zawsze dotrzymuję obietnicy.

Kolana miała jak z gumy. Wyciągnęła rękę, szukając oparcia. Wstał i podszedł do niej niczym dworny adorator pragnący pomóc swej damie. Ujął jej ramię i podprowadził ją do tego samego krzesła o prostym oparciu, na którym siedziała wcześniej.

- Proszę usiąść tu, przy ogniu. - Przytrzymał jej krzesło. Zbita z tropu tą kombinacją dworności i wrogości, posłuchała. Jack nachylił się nad nią, stojąc za jej plecami. - Przypuszczam, że zasługuję na małą rekompensatę. A pani jak myśli? - spytał cicho.

Położył dłonie na jej ramionach. Pochyliła się, próbując na niego zerknąć. Przycisnął ją do oparcia.

- Spokojnie - mruknął, niczym do spłoszonego konia. - Zmarzła pani. Włosy są jeszcze wilgotne. Proszę pozwolić sobie pomóc.

Jego głos spływał po niej jak szorstki jedwab. Wplótł palce w jej włosy i powoli

rozdzielił ciężką masę na pojedyncze ciemne pasma, rozpościerając je niczym sieć na ramionach i gorsie. Kostki palców ocierały się lekko o jej piersi. Miał piękne ręce... Nawet ta okaleczona miała w sobie jakiś wdzięk.

Deprymowało ją, że stał tuż obok, a nie mogła go widzieć. Dotykał jej poufale, niemal niechcący. Chciałaby znać wyraz jego twarzy, ale nie potrafiła się zdobyć na to, by się odwrócić. Byłoby to zbyt intymne.

Bardziej intymne niż to? Powstrzymała rodzący się w gardle śmiech. W głowie kręciło jej się ze zmęczenia i rosnącego napięcia.

Powiódł lekko kciukiem wzdłuż wycięcia dekoltu, po czym wsunął go za koronkowy obrąbek. Znieruchomiała jak łania w sieci leśniczego. Przebiegł ją dreszcz. Przysiągł, że weźmie odwet... Strach zabarwił jedynym w swoim rodzaju odcieniem jej wzburzone emocje.

- Pani jest naprawdę śliczna.

Mówił jak podróżnik komentujący jakiś szczególnie przyjemny widok... Jego głos był beznamiętny. Leniwie, od niechcenia pogłębił rozwarcie dekoltu, odkrywając piersi niemal do koniuszków.

Jeśli usłyszał jej lekkie westchnienie, zignorował je.

- Trudno oprzeć się zdumieniu, że ktoś o tak doskonałej urodzie, dysponujący tyloma możliwościami, decyduje się wybrać złodziejstwo jako sposób spędzania czasu.

Jej myśli zaczęły się gmatwać. Ręce Jacka sunęły powoli po jej ciele. Ciepło jego dużych dłoni przenikało przez jedwab sukni. Ujął jej piersi i potarł je delikatnie palcem, sprawdzając ich ciężar i gładkość z bezlitosną łagodnością.

Języki ognia migotały, znacząc jej ciało smugami światła i cienia. Przerażał ją. Nie pamiętała, by kiedykolwiek jej ciało było pieszczone tak rozmyślnie i z tak oczywistą intencją.

- Czy to nudne?

- Co?

Jego kciuk odnalazł szczyt piersi wznoszący się pod cienkim jedwabiem.

- Czy to nudne?

- Nie. - Jej głos brzmiał, jakby brakło jej tchu. I brakło jej tchu. Zaczęła się podnosić, on jednak porzucił leniwą pieszczotę jej piersi, by znowu pchnąć ją na krzesło. Spróbowała przekręcić głowę. Ujął ją delikatnie w dłonie, zmuszając, by patrzyła przed siebie.

- Zostań - wyszeptał. Ciepły oddech musnął jej ucho. Słyszała jedynie ten cichy, drażniący głos. - Tylko parę dotknięć. Z pewnością ty miałaś ze mnie więcej.

Ostrożnie ułożył jej ręce na poręczach fotela i nakrył własnymi.

- Wytrzymaj. Nie musisz nic robić, do niczego się przyznawać. Po prostu odczuwaj.

Jego niski głos hipnotyzował ją niejasną obietnicą ciemnej wiedzy, którą pragnęła

z nim dzielić. Wysysał z niej wolę.

Spojrzała w dół. Jego dłonie igrały od niechcenia z atłasowymi pętelkami zdobiącymi wycięcie dekoltu, a kciuki w naturalny sposób ocierały się o brodawki piersi.

- A więc, Anne? Dlaczego kradłaś? Żeby poczuć, jak krew szybciej krąży w żyłach? - W jego głosie był ślad rozbawienia lub bólu, nie potrafiła tego określić.

- Nie.

Przestał igrać atłasowymi ozdobami. Rozczarowanie i ulga przetoczyły się przez nią jednocześnie, dopóki nie usłyszała, że się porusza. Ukląkł za jej krzesłem. Patrzyła prosto przed siebie, niepewna i pełna obawy, co zamierza.

Wierzchem do góry wsunął rękę pod spódnicę, dotykając kolana. Powoli miął materiał, aż obnażył łydkę. Palce wśliznęły się pod kolano, znacząc drobne, delikatne kółeczka na jej wrażliwej skórze.

- Rozluźnij się - wyszeptał jej do ucha. - Była taka noc, kiedy mnie pragnęłaś. Pamiętasz? Teraz ja pragnę ciebie.

Rumieniec upokorzenia zalał jej twarz i całe ciało.

- Przykro mi.

Jego dłonie zatrzymały się na ułamek sekundy równy uderzeniu serca, po czym podjęły swoją niespieszną wędrówkę. W śmiechu, którym owionął jej ucho, nie było rozbawienia.

- Kłamczucha. Nie jest ci przykro... Ale mnie jest.

- Proszę.

Leniwie rysował wzory na miękkiej, delikatnej skórze wewnętrznej strony ud.

- Nie pozwoliłaś mi, żebym uczestniczył w twoim pragnieniu. To nieładnie. Można powiedzieć, nieuprzejmie. Byłbym szczęśliwy, mogąc wyświadczyć ci przysługę. Służyć ci. Ale ty wiesz o tym. - Przez chwilę ostrzejsza nuta zabarwiła jego tęskny głos. - Wykazałaś całkiem jasno, jak dalece byłbym gotów.

Tak... Przymknęła oczy, oszołomiona tym niedbałym, jakby od niechcenia przypuszczanym atakiem na jej ciało. Tak... Pragnęła go. Pragnęła kontrolować tę męską moc i seksualność. Od samego początku pociągała ją jego moc, jego władza, jego zdolność kontroli. To było tak odmienne od jej własnego braku mocy, braku władzy, braku jakiejkolwiek kontroli.

- Chcę służyć ci obecnie. Pozwól, żebym dawał ci przyjemność.

Przyjemność? To słowo było nęcące. Nigdy nie pozwalano jej na przyjemność dla przyjemności, na nieskomplikowaną, najprostszą jej postać. Żaden mężczyzna nie zrobił nigdy nic, by po prostu zaspokoić jej zmysły... Wabiła ją ta wizja.

Pragnęła go. Jak płomień przyciąga ćmę, tak ją przyciągało to, że był zdolny ją unicestwić. Wolną dłonią uniósł ciężki płaszcz jej włosów i odrzucił go na bok. Poczuła na karku jego otwarte usta. Głowa opadła w tył, szyja wygięła się w łuk, wystawiając się na jego penetrację. Ciepłe wargi lekkim jak piórko pocałunkiem

musnęły kącik jej oka i łuk podbródka.

- Pozwól, żebym ci służył.

- Tak - wyszeptała, poddając się. Nie troszczyła się już, o co mu chodzi, o zemstę czy o upokorzenie...

Poczuła przy skroni jego uśmiech.

- Ale najpierw wyjaśnij mi to, Anne. Powiedz, dlaczego kradniesz.

Zaczęła unosić ręce w geście porażki. Chwycił ją za nadgarstki i z powrotem umieścił je na poręczy fotela.

- Trzymaj ręce tutaj.

W jego głosie nie było przymilnej nuty i po raz pierwszy zrozumiała, że drażniąc ją, drażni samego siebie. Myśl pojawiła się i znikła, tonąc w powodzi wrażeń: wilgotne pocałunki, lekki jak piórko dotyk, ciemność i żar, niewidzialna postać pieszcząca ją z niedbałą pogardą... Ścisnęła okrągłe gałki wieńczące poręcze fotela.

- Czekam, Anne.

Dłoń Jacka wędrowała powoli coraz wyżej pomiędzy jej nogami. Tętno biło jak szalone. Elektryczność zdawała się wstrząsać jej receptorami, gdy koniuszki palców muskały wewnętrzną stronę jej ud.

- A więc? - spytał.

Nie miała dla niego żadnej odpowiedzi. Sobie samej nie umiała tego wyjaśnić. Poruszyła się niespokojnie, usiłując znaleźć odpowiedź. Nic... Zadrżała, cała pragnąca, zdyszana.

- Zasługiwali na to - powiedziała w końcu, przełykając z wysiłkiem ślinę.

Zaśmiał się lekko tuż przy jej uchu, ciepło i bez przekonania.

- Spróbuj jeszcze raz. - Palce wróciły do miejsca, gdzie łączą się uda i zaczęły leciutko pieścić obrzmiałość jej kobiecości.

Chwyciła gwałtownie oddech, odchylając się do tyłu. Skubnął ją zębami za ucho. Ból, jak ostra przyprawa, wzmocnił smak rozkoszy.

- Dlaczego?

- Potrzebowałam pieniędzy na Dom.

- Nie.

Chwycił ją jedną ręką za kolano i rozwarł jej uda. Bezsilne opadły na boki, otwierając dostęp dla jego bezlitosnej penetracji. Drugą ręką ujął od spodu jej pierś i uniósł, uwalniając ze stanika. Spojrzała po sobie: rozłożone szeroko nogi, dłoń Jacka pieszcząca jej kobiecość, naga pierś spoczywająca na sukni, tak by jego druga ręka mogła igrać z brodawką.

Usiłowała odnaleźć w sobie wolę, by się poruszyć, ale nie mogła.

- Piękna Anne - mruknął.

Cofnął dłoń z jej piersi. Jęk protestu wyrwał się z jej ust. Usłyszała wilgotne mlaśnięcie i ręka wróciła na swoje miejsce, silna, opalona na tle białej skóry, i zaczęła gładzić aureolę na szczycie piersi, namaszczając ją wilgocią z jego ust.

Blask ognia zalśnił w zwilżonym koniuszku. Oddech Jacka stał się głębszy i bardziej chrapliwy. Leniwie potarł brodawkę między kciukiem i palcem wskazującym.

- Piękna złodziejka i kłamczucha.

- Nie - szepnęła ochryple, wyginając ciało ku jego dotknięciu, unosząc się na fotelu, by umożliwić mu pełniejszy dostęp.

Nieskomplikowana przyjemność? Nie było w tym nic nieskomplikowanego.

- Nie jesteś piękna? Czy nie jesteś złodziejką? Nie zgadzam się ani z jednym, ani z drugim.

Zanurzył nos w jej włosach, poniżej ucha i powoli nakreślił językiem wilgotną linię wzdłuż szyi. Głowa Anne przetoczyła się na bok.

- Nie kłamię - szepnęła. Zignorował ją.

- Wiesz, mam własną teorię na ten temat. Chcesz ją usłyszeć?

O Boże, jak on może mówić tak beznamiętnie, tak niedbale? Całe ciało bolało ją z napięcia, drżało jak zbyt silnie napięta cięciwa łuku.

- Chcesz? - powtórzył.

Zaczął lekko ssać płatek jej ucha. Palce pomiędzy jej nogami pracowały subtelnie i precyzyjnie jak palce zegarmistrza. Zamknęła oczy i usłyszała własny jęk.

- Czy mogę potraktować to jako zgodę?

Serce jej uderzyło gwałtownie. Fale rozkoszy przetoczyły się przez nią jak odległy grzmot, skupiając się w punkcie między nogami, który drażnił.

- Robisz to, ponieważ to lubisz. - Jego głos był dymny, uwodzicielski, rozpustny, tak cichy, że zdawał się strumieniem jej własnych myśli. - Cały Londyn pod tobą. Żadnych spódnic, które by cię krępowały. Żadnych ograniczeń. Nic, co by cię wiązało z przeszłością i z przyszłością.

Mag. Czarodziej... Jego słowa przywołały echem w jej umyśle tamten narkotyczny powab. Ręce igrały z jej ciałem, rozpalając na nowo pragnienie. Odwróciła głowę i jego jedwabiste, delikatne włosy połaskotały ją w policzek.

- Jack...

Nieoczekiwanie głębiej wsunął w nią palec, rozciągając ciasne zamknięcie. Rzuciła się, spinając przeciw tej nagłej inwazji. Otoczył ramieniem jej talię, unieruchamiając ją w fotelu, podczas gdy jego palec igrał z wejściem do jej ciała. Powoli, konsekwentnie wprowadził drugi palec. Umrze, na pewno umrze... Przełknęła z wysiłkiem.

- Jack... proszę...

- Spokój. - Subtelna nuta napięcia wkradła się do jego głosu, niczym stalowe ostrze brzytwy. - Kradniesz, bo cię to podnieca. Prawda?

Palce wewnątrz niej zgięły się. Dłoń otarła się o wzgórek łonowy.

- Prawda?

- Tak - wyrzuciła z siebie wraz z westchnieniem.

Przerwał. Ona oszaleje.

- Proszę...

Cofnął dłoń. Łkając, przekręciła głowę do tyłu.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął swoją uwodzicielską torturę, zobaczyła jego oczy. O parę centymetrów od jej oczu, płonęły bólem i pożądaniem, nieruchome i brutalne z pragnienia.

- Nieprawda - powiedział gwałtownie. - Robiłaś to, żeby cię złapano. Ponieważ chciałaś być ukarana.

Utkwiła w nim spojrzenie, zaskoczona udręką w jego głosie.

- Powiedz mi, Anne. Czy wyobrażałaś sobie, że ja będę wystarczającą karą?

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy uderzyły go w twarz i rozsypały się po jego dłoniach i ramionach. Chwycił ją za ramiona, przywołując do spokoju.

- Cóż, madame - powiedział ponuro - spróbujmy to ustalić.

24

Nigdy nie byłeś moją karą - powiedziała tym swoim obnażonym głosem, i chciał jej wierzyć. To źle. To, czego on chciał, nie miało najmniejszego znaczenia.

- Nie? - rzekł niedbale, tak jakby jej słowa nie miały dla niego żadnego znaczenia, nie oznaczały bólu lub przyjemności. - Cóż, w takim razie być może ty jesteś moją.

Wpatrywała się w niego bez słowa, niech piekło pochłonie te jej piękne oczy. Sprawiała wrażenie tak nierozumiejącej, tak zagubionej... Włosy opadały ciemną chmurą na ramiona, jedna pierś wznosiła się słodką obrzmiałością ponad ciasnym rąbkiem dekoltu, długie nogi były rozrzucone w przepysznej pozie rozluźnienia.

Czuł, jak jego starannie wypracowany, monumentalny obiektywizm rysuje się i kruszy, kiedy patrzy w jej czarnoniebieskie oczy. Nienawidził tego, że choć wyglądała jak śliczna, nasycona hetera, wciąż wzbudzała w nim czułość. Dotykanie jej było jak dotykanie nagiego, obnażonego nerwu. A jednak nie mógł zostawić jej samej. Tak samo jak nie mógł pozwolić, by coś jej się stało, jak musiał chronić ją przed Jamisonem.

Kto jednak ochroni ją przed nim? Stłumił tę myśl. Ona nie potrzebowała ochrony przed nim... Ona tego chciała. Szukała seksualnej rozkoszy, jak opiumista szuka swego narkotyku. Topniała pod każdym dotknięciem, wyginała się w łuk pod każdą pieszczotą, drżała z tęsknoty za wyzwoleniem, którego jej odmawiał...

Spróbował odzyskać panowanie nad sobą. Panowanie, które ukradła mu tu, w tym pokoju na piętrze, uwięzionemu przy tym przeklętym fotelu, łkającemu z pragnienia.

- Czy nie tego właśnie pragniesz? - spytał. Okrążył fotel i stanął przed nią. Bezradnie uniosła ku niemu wzrok.

Chciał, żeby była przerażona.

Chciał się z nią kochać.

Podniosła głowę. Dłonie nadal ściskały poręcze tego przeklętego fotela, tak jak jej kazał. Psiakrew, to było jak w dziecięcej książeczce: złodziejka zmieniła się w Anne, Anne przemieniła się w złodziejkę, obie zmieszały się tak, że nie potrafił już powiedzieć, co jest rzeczywistością

Uniosła twarz; usta rozchyliły się jakby w niemym błaganiu.

Inni mieli go zawsze za potężnego człowieka, on sam jednak nigdy się za takiego nie uważał. Nigdy nie czuł się silny - aż do tej chwili, gdy był w stanie doprowadzić Anne do szczytowania. Wsunął palce odrobinę głębiej w gorący, śliski kanał. Jej oddech znowu drgnął.

- Pomyśl - szepnął w jej aksamitną szyję. - Idealna wolność. Brak odpowiedzialności. Niezależność od wszystkiego, co się może zdarzyć. Niewinny obserwator. Moja ofiara.

Zadrasnął paznokciem śliską tkankę. Jęknęła. Powieki drgnęły.

Cofnął dłoń. Otworzyła oczy i utkwiła w nim spojrzenie pełne bolesnego oskarżenia. Wyciągnął ramiona, chwycił poły koszuli i rozwarł ją. Wstrząsała nim żądza.

- Trzymaj ręce na poręczach fotela - starał się mówić beznamiętnym tonem. - Nie możesz być i ofiarą, i czarnym charakterem, Anne. Tylko jedna rola dla jednej osoby.

Nie byłby w stanie prowadzić dalej tej gry, gdyby go dotykała, nie zdołałby wyrwać jej choćby niewielkiej części tego, co mu zabrała. Trzymał się kurczowo tego pomysłu, nie wiedząc dlaczego, wiedział jedynie, że nie odda jej jeszcze i tego, skoro oddał już tyle. Cząstkę siebie musiał zachować niepogwałconą.

Podporządkowała się, choć z wahaniem.

- Ale...

Nachylił się i stłumił jej słowa głębokim, brutalnym pocałunkiem. Obwiódł językiem jej zaciśnięte wargi.

- Otwórz usta - mruknął. Posłusznie zrobiła to jak grzeczna dziewczynka, na jaką wyglądała. Język wtargnął głęboko, smakując jej słodycz.

Poddawała mu się ochoczo, zbyt ochoczo, z zaufaniem wyginając się w łuk ku górze. Odsunął na bok nienawiść do siebie samego, koncentrując się na dotyku jej warg, przyciśniętych do niego w długim, namiętnym pocałunku.

W końcu oderwał usta. Sprawiała wrażenie równie oszołomionej, jak on. Jeszcze jednego chciał od niej... Uniósł jej podbródek wskazującym palcem, nachylił się i powiódł językiem po jej szyi i obojczyku, smakując jej świeży, lekko słony, lekko mydlany posmak - posmak swej własnej klątwy.

- Powiedz: „proszę, Jack”- szepnął.

- Jack.

W jego wzroku powinien być triumf. Nie wiedziała dlaczego, nie potrafiła myśleć, ale oczekiwała triumfu. Chciał ją zranić, to było oczywiste. Ale triumfu nie było... Był tylko ból. Wzdrygnął się na błagalny ton w jej głosie.

- Proszę... - Skłoniła głowę. Czuła się głupia, szalona, spustoszona. Starała się, jak mogła, dać mu to, czego od niej oczekiwał, żeby zakończyć tę torturę... ze względu na nich oboje.

Nachylił się ku jej nagiej piersi i obwiódł językiem aureolę na jej szczycie, długim, lubieżnym ruchem, aż w końcu wziął w usta brodawkę i zaczął ssać. Zatraciła się w tym rytmie. Jego głowa lśniła złotem na tle bieli jej ciała. Nawet chłodny, jedwabisty dotyk jego włosów drażnił przewrażliwioną skórę.

- Proszę... - Miała wrażenie, że jej ciało leży na stosie, w centrum rozkosznej pożogi, świadome, choć spalone na popiół, a wola dryfuje bezwolnie w wirze pożądania. - Jack?

- Jestem tutaj.

Wodził po niej ustami i dłońmi, dotykając miejsc, na które nie miała nazwy, tak intymnie, tak druzgocąco umiejętnie... Kiedy je cofnął, miała wrażenie, że znika, wsysana przez nieskończoną próżnię pragnienia.

- Nie przerywaj!

- Nie zamierzam przerywać - zapewnił ją. Jego głos był niemal łagodny. Nigdy, odkąd zaczął tę grę, jego ton nie był łagodny, choć dotyk łagodny aż do udręczenia.

Uniósł spódnicę i zmiął czerwono-fioletowy kłąb jedwabiu wokół talii, wydając jej ciało na swój beznamiętny ogląd. Podniósł wzrok.

Nie. Nie beznamiętny... Coś płonęło głęboko pod tym lodowatym chłodem jak płynne serce wulkanu pod powłoką lodowca.

- Czemu jesteś taka piękna?

Nie mógł dłużej jej drażnić, nie mógł dręczyć jej obietnicami...

Mógł.

Zagłębił głowę między jej uda. Każdy ruch języka rozpalał w niej ogień, grożący, że ją pochłonie. Każde dotknięcie warg zmieniało rozkosz w cudowny ból. Wszystko, co z nią robił, było obietnicą, a nie spełnieniem. Piersi miała obrzmiałe, brodawki bolały. Każdy centymetr jej ciała zdawał się otarty, nadwrażliwy.

Zagryzła wargi. Nie chciała płakać. Gdyby miała choć odrobinę dumy, odrobinę przyzwoitości, wstałaby i wyszła. Ale nogi miała jak z waty, pozbawione mocy; cała jej energia skupiona była na tym, co z nią robił z tak niewiarygodną wprawą.

To było to, co od początku stanowiło istotę ich relacji, czyż nie? Demonstracja jego mocy i jej niemocy.

- Poddaj się temu, Anne. - W jego uwodzicielskim głosie był cień smutku. Smutku i żalu. - Nie ty jesteś odpowiedzialna.

Język zadrgał na progu jej ciała, wśliznął się między fałdy jej kobiecości i dotknął serca bólu. Nie wiadomo skąd przypłynął cichy zduszony dźwięk. Z jej własnego gardła, uprzytomniła sobie mgliście.

Jego oddech był ciepły, drażniący.

- Czerp tylko przyjemność. Resztę pozostaw za sobą.

Ale to nie było to, czego chciała. To nigdy nie było to, czego chciała, nawet jeśli on myślał inaczej. Chciała jego. Usiłowała złapać oddech, żeby złożyć to w słowa.

- Proszę... - Sięgnęła w dół, chwyciła garść jedwabistych włosów i siłą uniosła

jego głowę. Jego wzrok padł na jej twarz upadłego anioła.

- Bądź ze mną, Jack - wydyszała błagalnie. - Nie każ mi robić tego samej.

*

Nie potrafi tego zrobić.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej zmaltretowaną twarz, by sam poczuł się zmaltretowany, a wszelkie jego zamiary podarte w strzępy w obliczu jej pragnienia. Bez względu na to, co o niej wiedział, ile oszustw i przestępstw mógłby jej udowodnić - kochał ją.

Jego serce podniosło rokosz, rewoltę przeciwko rozumowi, bunt przeciwko całemu dotychczasowemu życiu poświęconemu dbałości o własne przetrwanie. Był bezsilny. Wystarczyło, że podsunęła mu jako pretekst swoje oczy o barwie obsydianu, by rozpadł się na kawałki.

- Proszę - szepnęła jeszcze raz.

Jęknął, zerwał się na nogi i porwał ją w ramiona. Jej ciało było lekkie i zahartowane jak szpada. Choć była tak silna, mógłby ją zabić bez najmniejszego wysiłku. Jej kruchość deprymowała go, jego własna siła peszyła.

Poniósł ją ku biurku i opuścił na jego krawędź. Złapał za porwane poły koszuli i zerwał ją z siebie. Drżącą dłonią pogładziła jego ramiona i pierś, jakby się bała, że ją powstrzyma, i musiała zebrać możliwie najwięcej wrażeń w możliwie najkrótszym czasie.

Nie potrzebowała się martwić, pomyślał, krzywiąc usta w uśmiechu. Nie powstrzymałby jej, nawet gdyby przystawiono mu rewolwer do głowy.

Obciągnął w dół jej stanik gwałtownie, rozrywając rękawy. Troszkę za szybko, Jack, przywołał się do porządku. Powinien działać powoli, powinien być delikatny...

Chryste, powinien był już dotąd nauczyć się opanowania, przywyknąć do ograniczeń! Stał się przecież apostołem nieustannego pobudzenia, zmuszony żyć z niezaspokojonym pragnieniem całe miesiące. Najwyraźniej jednak nie miało to znaczenia.

Sięgnęła ku niemu, nieumiejętnie manipulując palcami przy spodniach - rozkoszny, bolesny brak kompetencji - i zamknęła dłoń wokół jego erekcji z żarliwością neofity. Jej dotyk spuścił ze smyczy potok wrażeń.

- Jack - szepnęła, niemal rozpinając go. Oczy miała zamknięte; blade powieki, muśnięte światłem, wyglądały jak powleczone perłową mgiełką. - Jack?

Znowu ten ton zagubienia... Wiedział, że nie należy mu wierzyć. Ale nie miał już nic, w co mógłby wierzyć, no i miał przecież prawo wybrać iluzję, prawda?

- Jestem tutaj.

Opasał sobie jej nogi wokół talii i powiódł dłonią po długiej, gładkiej linii jej uda, łydki, ku delikatnemu łukowi stopy. Zwinęła się, usiłując przywrzeć bliżej, desperacko poszukując spełnienia.

- Proszę, Jack...

Kiedy słowa, które miały być jej karą, stały się błogosławieństwem?

Podwinął jej spódnicę, ujął w dłonie twarde, krągłe pośladki i uniósł.

Objęła go ramionami za szyję, przyciągając jego głowę do własnej. Jej ciało drżało, rozdzierane pragnieniem. Sięgnął dłonią między ich ciała, by dać jej zaspokojenie, którego pragnęła.

Otworzyła oczy. Piękne. Tragiczne.

- Nie! - jęknęła. - Proszę, Jack. Ty też...

Opuścił usta na jej usta i otoczył ją ramionami, przyciskając najbliżej jak mógł - pierś w pierś, brzuch w brzuch. Każdym centymetrem ciała usiłował wchłonąć ją w siebie.

- Jack?

- Jestem tutaj. - Nie istniało nic, czego mógłby jej odmówić.

I zaraz potem był wewnątrz niej, tonąc w jej objęciu.

*

Poruszał się z gwałtowną elegancją, duży i silny. Przywarła do niego, chłonąc jego pchnięcia. Pragnienie porwało ją jak kamyk porwany falą odpływu. Jedna, druga, kolejna potężna fala rozkoszy przetoczyły się przez jej ciało, każda wyższa od poprzedniej...

- Jack? - Szukała go teraz, potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek. Przywarła do kotwicy jego ciała. Rozkosz spalała ją. Jeszcze nie... jeszcze nie...

- Proszę, Jack!

- Anne. - Jej imię w jego ustach rzuciło ją na szczyt.

25

Anne obróciła się na bok i otworzyła oczy. Była sama. W pokoju Jacka.

Przypomniała sobie tamten przejmujący orgazm i powolny, spiralny powrót z krainy ekstazy. Trzy razy dotknięcie jego ust zaczynało ów cykl od nowa. W końcu, znużona, nasycona po latach głodu, odpłynęła na ciepłe morza rozmarzenia w bezpiecznej kolebce jego silnych ramion, mając przy uchu miarowy odgłos bicia jego serca.

Zbyt wyczerpana, by otworzyć oczy, mruknęła, protestując, gdy kładł ją do łóżka. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był ciepły mur piersi Jacka przy jej policzku i miękkie futerko zarostu łaskoczące usta.

Chciała zobaczyć Jacka. Teraz. Musiała go widzieć. Była przekonana, że - na czole Anne pojawiła się zmarszczka bólu - że go kocha.

Cienka świetlna linia obrysowywała jedyne okno. Uniosła się na łokciu; gruby pled ześliznął się z jej ramion. Strumień chłodu owionął nagie ciało. Drżąc z zimna, spuściła nogi na podłogę i usiadła.

Ubranie, porządnie poskładane, wisiało na poręczy łóżka. Pośpiesznie włożyła miękką, wełnianą suknię i właśnie kończyła naciągać pończochy, gdy rozległo się

pukanie.
- Proszę pani? - odezwał się zza drzwi stłumiony, męski głos.
- Tak?
- Pułkownik powiedział, że mam pani podać śniadanie. Przyniosłem.
- Aha. - Włożyła pantofel. - Czy pułkownik będzie mi towarzyszył?
- Nie. Wyszedł.
Włożyła drugi pantofel i stanęła.
- A kiedy wróci?
- Nie powiedział. - W głosie zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. - Na pani miejscu nie czekałbym na pułkownika. To może potrwać bardzo długo.
Jack ją opuścił. Czy mogła spodziewać się czegoś innego? Jej ciało dawało mu rozkosz, ale widać niczego innego od niej nie chciał.
- Proszę wejść - odrzekła apatycznie.
Gałka u drzwi przekręciła się i tyłem wszedł Griffin, niosąc pełną tacę. Pulchne, gorące bułeczki, słoik miodu, wonne plastry bekonu i smażonych nerek, dwa gotowane jajka, dzbanuszek kawy... Jakiś ciemny kształt przewinął się między nogami mężczyzny, który omal się nie potknął.
Szara kotka z parku. Więc jednak Jack ją przygarnął... Widok tego małego, wychudzonego zwierzątka sprawił jej niezwykłą radość.
- Ach, jaka słodka! - wykrzyknęła. Kotka podeszła do niej z dziwną, niemądrą ufnością, trąciła łebkiem jej spódnicę i otarła się o kolana. - Jak się nazywa?
- Nijak - mruknął Griffin, stawiając tacę na stole koło kominka. - Kot i tyle.
Odsunął krzesło i przytrzymał, by usiadła. Z zadowoleniem zajęła miejsce. Przez ostatnie dni niewiele jadła... Ślinka napłynęła jej do ust. Przekroiła bułeczkę, posmarowała ją miodem i odgryzła kęs, zanim do niej dotarło, że Griffin wciąż stoi obok jak strażnik.
Odłożyła bułeczkę na talerz.
- Czy będę mogła wyjść?
- Nie, proszę pani - odparł twardo. - Pułkownik nie zmienił rozkazów od wczoraj.
- Pułkownik? - Stłukła skorupkę jajka. W środku, w otoczce bieli, widniało półpłynne żółtko.
- Tak jest, proszę pani. - Szkocki gbur nie usiłował nawet maskować swojej niechęci. - Pani mąż.
- Nie jesteś służącym ani lokajem, prawda, Griffin? - Wyjęła łyżeczką żółtko i umieściła je na spodku.
- Nie, proszę pani.
- Gdzie jest służba? - Postawiła spodek na podłodze. Szara kotka wyskoczyła spod spódnicy Anne i, przycupnąwszy nad talerzykiem, zaczęła łakomie pochłaniać jajko.
Griffin splótł ręce za plecami.

- Pułkownik trzyma tylko pokojówkę i kucharkę. Nie potrzebuje więcej służby. Nie potrzebuje lokaja.

- Jak to? - spytała.

- Pułkownik nie ma na własność domu. Ani powozów. Ani koni. Nie ma nic prócz ubrania na grzbiecie. - Jego uśmiech oznaczał wszystko prócz sympatii. - Tym razem nie poślubiła pani człowieka majętnego, proszę pani.

- Rozumiem.

Jack nie miał nic. Zatroskało ją to, choć nie potrafiła sprecyzować, co właściwie z tego wynika ani dlaczego się tym przejmuje.

- Gdzie mieszka, kiedy nie jest w mieście?

- Tam, gdzie go poślą.

- Poślą?

- Tam, gdzie jego umiejętności są najbardziej przydatne.

„Okropne rzeczy” - przemknęło jej przez myśl. Sięgnęła po bułeczkę z miodem i zaraz ją odłożyła. Straciła apetyt.

- Co to za umiejętności?

Twarz Griffina stwardniała.

- Umiejętność robienia tego, na co nikt nie miałby odwagi. Cze48.7346(z)-4 (C)-0.76151C

Griffina czy przeciw Jamisonowi.

- Nauczył chłopaka myśleć, że jest wyklęty. Skazany na piekło za zbrodnię polegającą na tym, że się w ogóle urodził. Pułkownik wierzył w to tak, jak my wierzymy, że mamy ziemię pod stopami. Nie dałbym sobie głowy uciąć, ale może wciąż jeszcze w to wierzy.

- Dlaczego Jamison to zrobił? Dlaczego miałby to robić własnemu dziecku?

- Bo mógł. Dla człowieka takiego jak Jamison to wystarczający powód.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała, mając chęć zatkać sobie uszy, by nie słyszeć więcej tych okropności. - Dlaczego?

Nie odpowiedział, utkwił w niej tylko spojrzenie swych czarnych oczu i podjął opowieść:

- Pułkownik nie jest diabłem. Uratował mi życie, a oprócz mnie czterem innym ludziom, których nawet nie znał. Gotów był poświęcić dla nas własne życie.

Przysunął się bliżej. Głos miał ściszony, oczy twarde.

- Wszyscy pracowaliśmy wtedy dla Jamisona. Choć o tym nie wiedzieliśmy... Zbieraliśmy informacje o oddziałach Napoleona i przekazywaliśmy różnymi kanałami do Londynu. Złapali nas. - Wzruszył ramionami. - I żabojady chciały nas powiesić jako szpiegów. Jack dowiedział się o tym i zaproponował wymianę: jego życie zamiast naszych. - Griffin uśmiechnął się. - Och, skorzystali z okazji, jakżeby inaczej... Jack Seward tkwił im cierniem w oku od pierwszego dnia. Za jego głowę była wyznaczona suma, za jaką można by było wykupić księcia.

W jego głosie brzmiała duma. Anne wzdrygnęła się.

- Więc zgodzili się na te warunki. Jack wszedł, myśmy wyszli.

- I co było potem?

- Powiesili go. - Z głosu Griffina zniknęła beztroska. - Naprawdę go powiesili... Nie zdołaliśmy sforsować tych wrót dostatecznie szybko. Stu pięćdziesięciu mężczyzn pwa

zabrano coś jeszcze. I jeśli zrobi to pani, madame, własnoręcznie panią zabiję.

*

Gdy Griffin, cisnąwszy swoją pogróżkę, wyszedł sztywnym krokiem z pokoju, Anne zaczęły prześladować przerażające wizje: mężczyzna duszący się w pętli szubienicznej liny, chłopiec maltretowany przez knowania dorosłego obłąkańca.

Boże święty, czy to, przez co przeszedł Jack, można w ogóle nazwać dzieciństwem?

Fatum, przypadek czy szaleńczy plan doprowadził do tego, że poślubiła obcego człowieka. Bez względu jednak na to, jak krótkie życie było pisane temu związkowi, chciała go. Chciała, by trwał tak długo, ile zdoła wytrzymać. A przeszłość Jacka stanowiła klucz do jej przyszłości.

Nie mogąc się uspokoić, krążyła po pokoju. Szara kotka leżała na poduszce i śledziła ją swymi złocistymi oczyma. Anne odgarnęła ciężką zasłonę i niespokojnie wyjrzała na zewnątrz. Przez głowę przemknęła jej ponura wizja: Jack, ranny, leżący samotnie na ulicy...

To szaleństwo, przecież Jack nie da się skrzywdzić. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że każdego, kto by został na niego nasłany, pośle do diabła równie łatwo, jak tamtego zbója zeszłej nocy.

Puściła zasłonę i rozejrzała się po pokoju. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo brak tu jakiejkolwiek własności osobistej. Na nocnym stoliku leżało kilka książek, a na marmurowym blacie toaletki szylkretowy grzebień, szczotka i skromny zestaw przyrządów do golenia. W wysłanym aksamitem pudełeczku znajdowało się trochę dobrej jakości, choć niezbyt drogiej biżuterii: parę szpilek do krawata, komplet usztywniaczy do kołnierzyka z kości słoniowej. W szafie spoczywały na półkach dobrze skrojone, lecz proste ubrania.

Poza tym nie było w pokoju nic, co świadczyłoby o charakterze użytkownika. Gdyby spakować te nieliczne drobiazgi, nie byłoby żadnego dowodu, że Jack w ogóle tu mieszkał.

3 4 7 7 . 9 6 2 7 0 (n) 1 j Z / 4 . 4 6 1 (w . 3 7 6 6 0 6 1 (a) 4 . 6 8 2 p 5 7 5 (Z) 5 . 6 2 2 3 2 (o)
.80289(n)-0.821575(t)5.622o575(l)-3.1677(o)-9.6079/R15 13.6655 1fl0.999421 0 0 1 125.76 w 3.76 61(i)27

Gdyby ją

Na twarzy Stranda pojawiła się ironia.

- Moje gratulacje, lordzie Strand - powiedziała Anne. Zwróciła się ku Sophii: - Życzę ci, byś była szczęśliwa, Sophio.

- Mam taki zamiar.

- Och, ogromnie dużo nowin mamy ostatnio. - Lady Dibbs najwyraźniej miała dość tematu małżeńskiego szczęścia. - Mała Sophia łapie nieosiągalnego od lat lorda Stranda, pani ucieka z tajemniczym pułkownikiem Sewardem, a ja... - urwała i rozejrzała się, by sprawdzić, czy wszyscy słuchają jej z dostateczną uwagą. - A ja zostałam napadnięta w moim własnym buduarze przez Ducha Wrexhalla.

- Naprawdę? - spytała Anne.

- Tak. - Udało się jej wstrząsnąć towarzystwem. - Ogromny, potężny brutal... Obawiam się, że Jeannette Frost nie ma racji. Nie było nic wykwintnego w tym prymitywnym brutalu w moim pokoju. Przypominał raczej... wojownika.

- Ach tak? - rzuciła lekko Anne.

- Tak... Ale cóż, niektóre kobiety mają to nieszczęście, że budzą najgorsze instynkty w tego rodzaju osobnikach. Bez żadnej własnej winy.

- Jestem tego pewna - zauważyła Anne. - Mam nadzieję, że ta bestia nie obraziła pani?

- Ja... - Lady Dibbs dotknęła czoła wierzchem dłoni. - Nie chcę o tym mówić. - Z jej ust wyrwało się lekkie westchnienie. Lord Pons-Burton, wyrwany z odrętwienia, ruszył ku niej spiesznie, powłócząc nogami. Lady Dibbs powstrzymała go niecierpliwym ruchem ręki.

- Ale przyszliśmy tu przecież, żeby życzyć pani szczęścia, nieprawdaż? - Spojrzała zalotnie po obecnych. - Wyprzedzić resztę towarzystwa. Po prostu umieramy z niecierpliwości, by usłyszeć pani romantyczną baśń. Musi pani być zawojowana przez groźnego pułkownika bardziej, niż podejrzewałam.

Groźnego? Chociaż sama określała Jacka tym słowem, nie podobało jej się ono w ustach innych osób.

- Nie sądzę, by pułkownik Seward był groźny - rzekła z powagą. - Wszystko przemawia na jego korzyść.

Jego surowość. Jego wdzięk. Jego odwaga. To nie było tak, że myliła się, biorąc go za baśniowego bohatera... Wiedziała doskonale, że naprawdę robił straszne rzeczy, a pomimo to nie był straszny. Być może i ona nie jest taka okropna, pomyślała, czując przypływ mocy i nadziei. Miała wrażenie, że jej dusza wydaje westchnienie ulgi.

- Chodzi mi o to, że to takie nieoczekiwane! - ciągnęła lady Dibbs. - Nie potrafię sobie wyobrazić mężczyzny, który mniej przypominałby pani poprzedniego męża. A pani, panno Knapp?

- Być może prywatnie pułkownik jest dżentelmenem - zauważyła niepewnie Julia. Skubała koronkową rękawiczkę, a wyraz jej twarzy stawał się coraz bardziej

nieobecny. - Niewielu jest mężczyzn równie otwartych, usłużnych i miłych w obejściu, jak Mateusz.

- O, tak! - zauważyła ze śmiechem lady Dibbs. - Usłużył nieskończonej liczbie kobiet, utwierdzając je w przekonaniu, że jest półbogiem.

- Trafiła pani w sedno! - przyłączyła się do jej kpin Sophia.

Julia podniosła głowę.

- To nie fair. Mateusz nigdy nie czekał na pochlebstwa. Zależało mu wyłącznie na szczęściu innych. Nigdy nie czekał na pochlebstwa - powtórzyła.

- Ależ był uosobieniem próżności - stwierdziła Sophia z prawdziwym zdumieniem.

- Jestem przekonana, że się pani myli - wymówiła Julia przez zaciśnięte usta. Na jej łagodnej zazwyczaj twarzy odmalował się wyraz uporu.

Sophia i lady Dibbs popatrzyły na siebie wymownie. Anne przyszłaby Julii z pomocą, ale była jak zahipnotyzowana tą rozmową. Po raz pierwszy słyszała, jak mówi się o Mateuszu inaczej niż z uwielbieniem. A może po prostu po raz pierwszy słuchała?

- Moja droga - rzekła spokojnie lady Dibbs - wszystkie przepadałyśmy za Mateuszem. Widziałyśmy jednak, jak otaczał się zastępami uwielbiających go młodych debiutantek... Zbycia obiektem adoracji zrobił sobie zawód. Jedynie obecna tu pani Seward stała się dla niego godną konkurentką.

Lady Dibbs rzuciła Anne pełne aprobaty spojrzenie.

- Tak jest. Dowiodła, że jest prawdziwym wyzwaniem dla Mateusza. Nie padła przed nim na kolana, tak jak my wszyscy... jak wy wszyscy. Drżę na myśl, co by się stało, gdyby Anne odmówiła mu swojej ręki... Nie przeżyłby podobnego afrontu.

- Jestem pewna, że uważa pani swoje wrażenia dotyczące pana Wildera za trafne - powiedziała Julia chłodno, tonem, jakiego nigdy dotąd Anne u niej nie słyszała. - Ale ja, która znałam go przez całe życie, mogę panią zapewnić, że on sam nigdy nie myślał o sobie w ten sposób. I obraża mnie słuchanie, jak plami pani jego pamięć podobną rozmową. Tak samo jak, jestem o tym przekonana, obraża to panią... panią Seward.

Ale Anne to nie obrażało. Zaskoczyło ją tylko i wprawiło w pomieszanie. Tak przywykła myśleć o Mateuszu jako o człowieku doskonałym i o czystym sercu, że słuchając teraz, jak lady Dibbs oskarża go, że świadomie podsycał zaślepienie kobiet...

- Skoro tak twierdzisz, Julio - powiedziała Sophia obojętnie i przeniosła swoją uwagę na lady Pons-Burton. Pozostali poruszyli się niezręcznie na swoich miejscach i wrócili do rozmów w grupach.

- Proszę cię na słówko, Strand. - Malcolm skinął na przyszłego zięcia. Wygiąwszy usta w wyrazie smutnej rezygnacji, Strand pozostawił Anne z lady Dibbs.

Lady Dibbs od niechcenia wzięła Anne pod rękę i odeszła z nią na bok. Anne popatrzyła na nią nieufnie. Ta kobieta czegoś od niej chciała.

- Myślę, że powinnyśmy ogłosić zawieszenie broni, pani Wilder... to znaczy pani Seward.

Anne zadbała, by jej twarz była wyprana z jakiegokolwiek wyrazu.

- Czyżbyśmy były w stanie wojny, lady Dibbs?

- Możemy być. Zostały oddane strzały ostrzegawcze. Teraz musimy być ostrożne. Proszę pozwolić, że będę szczera. Wojny zawsze są bardzo kosztowne. Jestem pewna, że żadna z nas nie chce doprowadzić się do nędzy.

Wreszcie Anne jasno zrozumiała, jaki jest powód obecności lady Dibbs w tym domu. Lady Dibbs się bała.

Jeszcze trzy dni temu lady Dibbs miała przewagę. Wiedziała, że może wykorzystać swój wpływ, by zmniejszyć szansę Sophii na świetne małżeństwo, czy rozpowszechnić swoją teorię, że jeden z podopiecznych Anne to Duch Wrexhall. Plotki na ten temat zrujnowałyby Dom ekonomicznie. Teraz jednak lord Strand, znacznie wyżej stojący w towarzystwie niż ona, żenił się z Sophia, Anne także poślubiła możnego, nawet jeśli nisko urodzonego mężczyznę. Lady Dibbs straciła możność wywierania wpływu.

Pomimo całej swojej brawury nie chciała stać się przedmiotem drwin. Nie zniosłaby, gdyby równi jej rangą społeczną wyśmiewali ją jak kogoś pospolitego.

- Dopilnuję, żeby moje zobowiązania zostały uregulowane - powiedziała, zniżając głos - ale nie wolno pani pod żadnym pozorem wspominać, ile czasu zajęło mi uiszczenie zadeklarowanych sum.

Anne przyjrzała się wspaniałej damie. Jej duma ucierpiała potężnie. Nienawidziła tej rozmowy, nienawidziła tego, że w ogóle musi o coś Anne prosić. Jej twarz zdradzała odrazę do służalczej roli, jaką właśnie teraz grała. W napięciu czekała na odpowiedź Anne. Oblizała wargi.

- Proszę mi po prostu powiedzieć, kiedy pani sobie życzy, żeby pieniądze zostały wpłacone, i na tym sprawę zakończymy.

Uwalniając ją od wiary w nieskazitelność Mateusza, lady Dibbs skierowała ją ku przyszłości. Prawda, zrobiła to niechcący, ale nie miało to znaczenia. Przyszłość zawsze była dla Anne jak niekończący się czarny tunel. Dziś po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może odnaleźć swoją drogę wśród mroku.

A lady Dibbs nie miała nic. Została poślubiona mężczyźnie, którego nigdy przedtem nie widziała, wydawała pieniądze, które nie były jej własnością, mieszkała w domu, który do niej nie należał, miała kochanków, którzy nie budzili się w jej łóżku. Wszystko, co miało dla niej znaczenie, przehandlowała za pozycję towarzyską. I tylko ta pozycja jej została.

Anne poczuła litość.

- Jestem przekonana, że jakkolwiek to pani zorganizuje, każde rozwiązanie będzie

dla mnie satysfakcjonujące.

26

Otworzywszy wejściowe drzwi, Jack usłyszał gwar obcych głosów. Godzina była późna. Słońce skryło się za horyzontem, pozostawiając jeszcze tylko wąską, karmazynową smugę.

Odwrócił się do Griffina, stojącego parę metrów za nim, i przyłożył palec do ust. Serce waliło mu w piersi. Wszedł i zaczął nasłuchiwać.

Od strony wąskiego korytarza napłynął śmiech męski, a potem kobiecy. W salonie musiało się znajdowało jakieś sześć osób. A zatem nikt spośród nich nie zagrażał Anne... Nie uspokoił się jednak całkowicie.

Tylko bardzo zuchwały morderca odwiedzałby dom przyszłej ofiary, ale czy istniał lepszy sposób, by zbadać teren i wyszukać słaby punkt? Gdyby on był w takiej sytuacji, z pewnością brałby pod uwagę podobne rozwiązanie.

Strząsnął po cichu płaszcz z ramion i podszedł do drzwi. Niewidziany przez osoby w salonie, porachował wzrokiem gości: Pons-Burton i jego młoda żona, Malcolm Norm z Sophią, Julia Knapp i lady Dibbs.

I Strand.

Obecność Stranda zabolała go niczym nagły cios w czułe miejsce. Uśmiechnął się gorzko.

To było takie logiczne, psiakrew... To oczywiste, że Strand został nasłany przez Jamisona. Ale wina Anne bez wątpienia też była oczywista. Ktoś, kto nie byłby zaangażowany tak jak on, prawdopodobnie dostrzegłby jej dwulicowość aż nazbyt jasno, a jej kłamstwa biłyby go w oczy tak samo, jak obecność Stranda w roli szpiega Jamisona. To, że ich nie dostrzegał, nie oznaczało, że nie istnieją.

Ze swego miejsca widział jedynie tył jej głowy. Pasemko włosów, wymknąwszy się z upięcia, opadało na kark. Taki drobiazg, a taki wzruszający... Kąciki jego ust uniosły się w smutnym uśmiechu. Tyle nowej wiedzy zyskał tej nocy. Znał miękkość tej gęstwiny, chłodny dotyk jej głowy na swej piersi...

Po raz tysięczny przeklął sam siebie za głupotę. Pomimo tego wszystkiego, co wiedział, chciał wierzyć w namiętność ostatniej nocy. Chciał słyszeć szczere pragnienie i, do diabła, jeszcze coś więcej w głosie Anne, gdy błagała go, by był z nią w tych przejmujących momentach ostatecznego poddania się.

Nie było sensu zastanawiać się nad kaprysami własnego serca. Nie miały żadnego znaczenia. Chciał wierzyć w Anne. Chciał wierzyć, że Strand jest jego przyjacielem. Och, kiedyś chciał nawet wierzyć w dobrego i łaskawego Boga...

Teraz miał na głowie inne troski. Przede wszystkim należało jak najlepiej wykorzystać obecną sytuację.

Jeżeli Strand był agentem Jamisona, można by wysłać temu ostatniemu ostrzeżenie. Czy komukolwiek innemu, kto zagrażał Anne.

- Dobry wieczór paniom.

Jack wszedł do pokoju, ściągając rękawiczki. Rozejrzał się wokół z uprzejmym uśmiechem, tak jakby spodziewał się ich wizyty. No cóż, przyznał Strand, istotnie mógł się ich spodziewać. Ten człowiek miał niezwykłą intuicję.

Ciekawe, czy wyczuwa również, że tęsknię za jego żoną, pomyślał, starając się przybrać na twarz wyraz skupienia, podczas gdy lady Dibbs brzęczała mu nad uchem, opowiadając jakieś banały. Przecież nie minęły jeszcze dwa miesiące, kiedy sam mu powiedział, że Anne go pociąga... żaden mężczyzna nie zapomina takich rzeczy.

Ale pociąg to nie to samo co nostalgia, prawda? Doprawdy, pomyślał, nie mogę ujawniać tak wiele, zwłaszcza wobec samego siebie.

- Czy państwo już jedli? - spytał Jack, uśmiechając się niczym idealny gospodarz. Podszedł do Anne i stanął za jej plecami. - Czy możemy mieć zaszczyt zaproszenia państwa na obiad?

Pons-Burtonowie, najwyraźniej zakłopotani, pośpiesznie wymruczeli podziękowania i wymówki. Niewątpliwie nie oczekiwali, że małżonek Anne nadejdzie, gdy oni będą właśnie pracowicie i wytrwale zbierali tu miód plotki.

Jedno spojrzenie na przyszłą żonę wystarczyło, by Strand wiedział, czyjemu autorstwu można przypisać tę dezinformację. Sophia w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia zbitej z tropu. Wyglądała na rozbawioną. Jego maleństwo ujawniało dość niezwykłe poczucie humoru.

- Proszę pozwolić, że zadzwonię przynajmniej po jakąś przekąskę - zaproponował Jack, tak jakby to był pałac, a nie podrzędnej jakości wynajęty dom, i jakby on był pławiącym się w luksusach potentatem, a nie zahartowanym w bojach żołnierzem.

Swoboda tego człowieka jest wyjątkowa, pomyślał Strand z podziwem. On...

Myśl znikła, zanim zdążyła się uformować, gdyż na oczach Stranda Jack wyciągnął rękę i ujął ten przeklęty spoczywający na jej karku pukiel. Przez chwilę bawił się nim od niechcenia. Intymność i posiadanie, zawarte w tym geście, biły w oczy... Strand wysiłkiem woli starał się oddychać równo. Bądź co bądź była jego żoną. Należała do niego.

- Muszę się jakość wytłumaczyć z tego, że ukradłem wam Anne, panie North - powiedział gładko Jack, patrząc ponad ramieniem Northa prosto w oczy Stranda.

Ten człowiek czyta w myślach, do diabła...

- Mam nadzieję, że nie sprawiło to państwu zbytniego kłopotu? - mówił dalej Jack.

North, ze wzrokiem przykutym do ręki Jacka pieszczącej kark Anne, wydał dziwny skrzek. Odkaszlnął i zaczął jeszcze raz.

- Nie, nie! Właśnie przekazaliśmy Anne szczęśliwą wiadomość. Lord Strand ogłosił swoje zaręczyny z moją kochaną, małą Sophia.

„Kochana mała Sophia” wpatrywała się zmrużonymi oczami w ciemną dłoń Jacka dotykającą połyskujących pukli Anne. Koniuszkiem języka zwilżyła usta. Strand niemal jej żałował. Chciałaby, by ta ręka spoczywała na jej karku...

- Ach tak. Moje gratulacje, lordzie Strand. - Oczy Jacka były jak monety na powiekach zmarłego: płaskie i bez wyrazu. - Jestem pewien, że będzie pan równie - zrobił wymowną pauzę - usatysfakcjonowany w swoim małżeństwie, jak ja w moim.

Pozostali usiłowali bez przekonania i bez powodzenia oderwać wzrok od intymnej gry toczącej się na ich oczach. Jack odgarnął włosy Anne i przez chwilę lekko pieścił kciukiem jej kark. Potem powiódł dłonią ku jej szyi i gestem właściciela zaczął gładzić delikatne ciało.

Anne oblała się rumieńcem. Dzielnie uniosła podbródek.

- Jestem pewien, że będę - odparł Strand sztywno.

Zachowanie Jacka było horrendalne, możliwe wyłącznie wśród ludzi z najniższych klas. Strand zawsze był przekonany o poziomie Jacka. Nigdy nie widział, by traktował kogokolwiek, kobietę czy mężczyznę, łotrzyka czy księcia, w ten sposób... Równie dobrze mógł wypalić Anne na czole znak jako jej właściciel!

Do diabła, żonaty czy nie, nie miał prawa ujawniać swego apetytu w tak zuchwały, wulgarny sposób... Usta lady Dibbs przypominały pułapkę na muchy. Pozostali wymieniali zgorszone spojrzenia.

Musiał położyć temu kres.

- Pułkowniku - zaczął - mam interesujące wiadomości na temat konia, którym był pan zainteresowany. Wie pan, mówię o tym wyścigowym Atwooda.

- Ach tak? - mruknął Jack bez zainteresowania, najwyraźniej błądząc myślami gdzie indziej. Wciąż gładził szyję Anne. A ona? Pierś Anne, gdy na nią patrzył, wznosiła się i opadała coraz szybciej. Jego oczy nie były już puste; lśnił w nich ogień.

- Nie chciałbym obrażać uszu dam różnymi nieciekawymi dla nich szczegółami - powiedział znacząco Strand. - Może więc, gdyby był pan tak uprzejmy... - Wyciągając ku niemu rękę, postąpił w kierunku hallu.

Jack podniósł wzrok.

- Obawiam się, stary, że nie jestem w tej chwili zbytnio zainteresowany końmi - oznajmił spokojnie. - Doprawdy, człowieku, pański rozkład zajęć został źle zaplanowany. Muszę przypomnieć, że jestem świeżo upieczonym małżonkiem i aż się palę, by móc się nacieszyć moją żoną... to jest towarzystwem mojej żony, naturalnie. - Nachylił się nad jej karkiem; usta zawisły tuż nad kremową skórą Anne.

Strand, od niemal dwudziestu lat niewiedzący co to ambaras, poczuł gorąco na twarzy.

- Jack...

Jack wyprostował się i aż westchnął z rozdrażnienia.

- Nie, lordzie Strand. Nie jesteśmy na końskim targu. Nie wyciągnie mnie pan z tego domu, nawet gdybym mógł kupić królewskie klejnoty za pół pensa czy rękopis listu Platona za tyle co nic. - Każde słowo wymawiał z lekkim, ale wyraźnym naciskiem. Strand zrozumiał, jaką wiadomość przekazuje mu Jack.

Jack zakończył swoją misję. Nie obchodził go już zaginiony list, szkatułka z klejnotami, a tym samym i Duch Wrexhall.

Nagle Anne wyciągnęła rękę i wsunęła ją w dłoń Jacka. Drżała lekko. Czy była to namiętność, czy też jakieś inne, mniej oczywiste uczucie, Strand nie potrafił ocenić. A potem przyłożyła wierzch jego dłoni do swego policzka. Powieki miała opuszczone; gęste ciemne rzęsy delikatnie muskały brązową, opaloną skórę. Strand poczuł w sercu ból na widok uczucia, jakie zapłonęło we wzroku Jacka.

Tym razem w westchnieniu lady Dibbs był nieudawany szok.

- Myślę, że nadużyliśmy już państwa gościnności.

- Istotnie! - podchwycił Pons-Burton. - Idziemy, mój Racuszku. - Podał rękę żonie.

„Racuszek" zachichotała i wstała. Pons-Burton, nie ukrywając zniewagi, ruszył ku drzwiom, popychając żonę przed sobą niczym pasterz owieczkę. Nie zatrzymując się, wyszli.

Lady Dibbs, skinąwszy głową wszystkim pozostałym, pospieszyła za nimi.

- Ja... - Spojrzenie Northa wdarło się między Jacka i Anne. Jego nagły uśmiech był esencją lubieżności. - Życzę ci szczęścia, Anne - powiedział. Skłonił się nisko i wyszedł.

Z całej tej grupy jedynie Sophia nie sprawiała wrażenia zgorszonej. Wyglądała za to na chorą z zazdrości. Wprawdzie Strand wątpił, czy ktokolwiek mógł to odczytać z jej ślicznej, pozbawionej wyrazu twarzy, ale on miał nad innymi tę przewagę, że sam był w cuglach podobnego uczucia.

Biedna dziewczyna... Będą musieli znaleźć pociechę tam, gdzie będą mogli.

Anne również wstała, ale nie wypuściła ręki Jacka. Wydawało się, że nie jest w stanie oderwać oczu od twarzy małżonka. Wyglądała jak zamroczona.

Julia, wzburzona i nieszczęśliwa, podeszła do Anne.

- Wszystkiego najlepszego, Anne - szepnęła i skinąwszy głową Jackowi, pospieszyła do wyjścia.

Do Anne podeszła Sophia.

- Do widzenia, Anne. - Nachyliła się i otarła krótko policzkiem o policzek Anne.

- Życzę ci wszelkiego szczęścia, Sophio - powiedziała szczerze Anne. Oderwała od niej ciemne oczy i przelotnie musnęła spojrzeniem Stranda. - I panu, lordzie Strand - dodała cicho, ze smutnym uśmiechem.

- Tak jest. Wszystkiego najlepszego - przyłączył się Jack, ogarniając ramieniem smukłą talię Anne. Znów zatonęła w jego objęciu. To było niemal tak, jakby jej

duch natychmiast podążył na spotkanie z jego duchem.

- To miło z waszej strony. - Sophia zwróciła głowę ku Strandowi.

Wiedział, że porównuje go z Jackiem Sewardem i że to porównanie nie wypada na jego korzyść. Uśmiechnął się do niej.

- Idziemy, Sophio.

Włożył sobie pod ramię jej rękę i wyprowadził z pokoju. Nie będzie się oglądał za siebie. Ani teraz, ani nigdy potem.

W hallu w milczeniu otulił Sophię peleryną. Z wrodzoną grzecznością sprowadził ją ze schodów, gdzie czekała Julia i jego przyszły teść. Brwi Northa poruszały się dwuznacznie. Strand pieczołowicie pomógł wsiąść do swego powozu najpierw Julii, potem Sophii, przepuścił Northa i wreszcie wsiadł sam.

Dołożył starań, by dokładnie otulić kaszmirowym pledem stopy Sophii i Julii, drugi zaś podał przyszłemu teściowi. Następnie zajął przeciwległe miejsce i stuknął łaskaw dach. Powóz ruszył. Przez parę minut nikt się nie odzywał.

- Nie przejmuj się tak, moja droga - powiedział w końcu, gratulując sobie w duchu, że w jego głosie nie ma śladu goryczy. - Uważam, że pasujemy do siebie jeszcze bardziej niż Seward i jego żona.

27

Drzwi zamknęły się za gośćmi i Anne, stojąc w objęciu ramion Jacka, podniosła na niego wzrok. Jego twarz była tak blisko, że dostrzegała drobne fioletowe plamki na tęczówkach skupione niczym korona wokół czystej czerni źrenic. Brwi miał gładkie, równie stanowcze, jak jego charakter.

- Dziękuję - powiedziała. Zmieszał się. Spodziewał się, że zareaguje na jego publiczne obłapianie co najmniej z niesmakiem, a kto wie, czy nie z wrogością.

Puścił jej talię. Nie odstąpiła i przez chwilę poczuł prawdziwą przyjemność. Zaraz potem jednak zimne podejrzenie zaciemniło jego radość.

Przyjrzał się jej twarzy, szukając w niej jakichś wskazówek co do jej uczciwości lub perfidii. Odważnie wytrzymała tę inspekcję. Ale właściwie dlaczego miałaby się troszczyć o to, że ją rozszyfruje? Przecież nigdy nie potrafił zobaczyć w niej nic innego niż to, co chciał zobaczyć: odwagę, dzielność, mądrość...

Wiedziała doskonale, jak na niego działa. Czy miała nadzieję, że odwróci jego uwagę od śledztwa?

Mały głuptas... To by ją tylko zabiło. Dopóki oddycha, nie pozwoli na to. Nie ufa jej, a mimo to z ochotą oddałby za nią życie. Ponieważ ją kocha.

Oderwał wzrok od jej oczu i odstąpił o krok.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame - powiedział. - Czy wolno wiedzieć, czym zasłużyłem na tę wdzięczność?

- Wszystkie te nonsensy o koniach, klejnotach i listach... Niewątpliwie mówiłeś komuś w tym pokoju, że jestem pod twoją opieką.

Ach tak... Ale nie powinien być zdziwiony. W roli złodziejki czy w roli wdowy, nigdy nie wątpił w jej inteligencję.

- Dziękuję - powtórzyła, spuszczając oczy w uroczym zawstydzeniu. Boże, gdyby tylko mógł jej wierzyć...

Spędził dzień na zbieraniu plotek i wywiadzie. Zamierzał wycofać się do biblioteki, żeby opracować strategię, która pozwoliłaby utrzymać Anne przy życiu. Nie dysponował jednak jeszcze wszystkimi niezbędnymi informacjami.

Nie miał ani słowa od Knowlesa, a Burke najwyraźniej zniknął. Patrząc w tej chwili na Anne, nie widział powodu, dla którego nie miałby z nią zostać. Bóg jeden wie, jak długo będzie to możliwe.

- Jadłaś coś?

Podniosła głowę i z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

- Nie.

- Kucharka coś tam przygotowała. Czy mogę... czy mogę ci towarzyszyć?

- Naturalnie.

Odprężył się, aż do tej chwili nieświadomy, że obawiał się, iż odrzuci jego towarzystwo. Spojrzał na swój ubiór. Musi wyglądać niezbyt osobliwie.

- Wybacz, że cię na chwilę opuszczę. Chciałbym się przebrać. Powiem kucharce, żeby podała nam w salonie za... - Uniósł brwi i spojrzał na nią, oczekując, by podała odpowiedni dla niej czas.

Uśmiechnęła się. Uśmiech ten rozświetlił całą jej twarz życiem i ciepłem. Nigdy dotąd nie widział, żeby uśmiechała się tak szczerze... Otrząsnął się. Nie może poddawać się hipnozie tego uśmiechu. Nie może stać tu jak ogłupiały chłopiec kredensowy wpatrzony w pokojówkę.

- Za pół godziny? - zaproponowała.

- A więc za pół godziny. W salonie?

- Tak.

- Zjemy obiad.

Uśmiech przemknął przez jej usta jak światło przez pryzmat, inny, głębszy, rozświetlony subtelnością i pięknem.

- Tak.

- Wobec tego... - Skłonił się. Przeszła za nim do salonu. Kiedy biegł na górę do swojego pokoju, przeskakiwał po dwa stopnie naraz.

Anne położyła łyżkę obok swojego *pot de crême*. Nie było to zbyt dobre *pot de crême*. W gruncie rzeczy cały posiłek, od wodnistego *consommé* przez rozmiękłe warzywa do przegotowanej baraniny, był raczej średni... Towarzystwo za to doskonałe.

Jedli obiad pod sztandarem milczącego zawieszenia broni. Żadne z nich nie wspominało listu, Ducha Wrexhalla czy ostatniej nocy. Za każdym razem jednak,

kiedy Anne spojrzała na Jacka, przypominała sobie, jak się kochali. Kochali się... To słowo było niewypowiedzianie piękne, pełne cudownych skojarzeń.

Jack dołożył starań, żeby czuła się z nim dobrze. A ponieważ był najbardziej szarmanckim i pełnym największego uroku mężczyzną, jakiego znała, i ponieważ starał się nie tylko zabawić ją, ale i oczarować, to zanim podano *pot de crême*, była całkowicie pod jego urokiem. W świetle ich ostatnich, pełnych namiętności spotkań zapomniała, że jeszcze parę tygodni temu byli zaledwie znajomymi.

Za pomocą subtelnej i zaskakująco łagodnej ironii prowokował uśmiech Anne i zachęcał do wyznań uwagą, z jaką jej słuchał. W jego towarzystwie odnalazła w sobie tamtą pełną życia dziewczynę, która dziesięć lat temu oczarowała towarzystwo swoją bezpośredniością i śmiałością.

Dopóki nie przypomniała sobie, że jej nie ufa i że myśli o niej jak najgorzej.

- Wyglądasz na zamyśloną.

Podniosła wzrok. Nie zdawała sobie sprawy, że ją obserwuje. Ale cóż, Jack był przecież tajnym zbieraczem informacji. Jego zawód polegał na odkrywaniu słabości swoich wrogów... Nie chciała być jego wrogiem.

Czy cały ten wieczór - miła rozmowa, skupiona uwaga, czar - nie był po prostu sposobem na wydobycie od niej informacji, jakich potrzebował? Jeśli tak, to musiała przyznać, że jest w tym bardzo dobry... Na swój sposób ta forma uwodzenia była niemal równie skuteczna, jak tamta w nocy.

Wspomnienie zalało żarem jej policzki i szyję. Te opalone palce bawiące się krawędzią kieliszka igrały z najintymniejszymi zakątkami jej ciała. Te wargi, wygięte teraz w tak szczerym uśmiechu, karmiły się skoncentrowaną żądzą na jej ciele...

- Anne?

Wzdrygnęła się, z lekkim westchnieniem. Powściągnęła krnąbrne myśli. O co on pytał?

- Wybacz. Bujałam w obłokach.

Jego powolny uśmiech mówił jasno, że jest kłamczuchą.

- Powiedziałem, że wyglądasz na zamyśloną.

- Naprawdę? Myślałam o... - Odrzuciła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl, i powiedziała: - Myślałam o przeszłości.

Uśmiech zniknął. Na twarzy Jacka pojawił się cień.

- O twoim małżeństwie?

- Nie. - Z jakiegoś powodu nie chciała, by myślał, że Mateusz był z nimi, czy to ostatniej nocy, czy teraz, przy obiedzie. - O rodzinie.

- Opowiedz mi o niej.

Uspokoiła się.

- Mój ojciec był tak pospolity jak janowiec na wrzosowisku, choć powinnam raczej powiedzieć: pospolity jak żebrak pod katedrą Świętego Pawła. Pochodził z

doków.

Jack z uwagą skinął głową.

- Wiesz, że był złodziejem... Ale wycofał się z gry i jako rentier przeniósł się do Sussex. Poznał moją matkę i zakochali się. Czasy były, jakie były, więc jej ojciec, a mój dziadek, nie sprzeciwiał się zbyt ostro, gdy tata poprosił o rękę matki... i spłaceniu długów mojego dziadka.

Jack roześmiał się. Od kącików jego oczu rozbiegły się wachlarzyki zmarszczek, a na policzku pojawił się wydłużony dołek. Pochyliła się ku niemu nad stołem pociągnięta magnetyzmem tego uśmiechu, jak słonecznik zwraca się ku pierwszym promieniom słońca.

Dobrze było móc opowiedzieć komuś o ojcu. Nie o sir Tribble'u, londyńskim parweniuszu i złodzieju, który zrobił dobrą partię, ale o swoim ojcu, emerytowanym włamywaczu, który miał na tyle rozumu, by wycofać się z gry, zanim go złapią.

- A potem? - spytał Jack.

- Moja matka umarła na grypę - powiedziała, przytomniejąc. - Parę lat później przyjechałam do Londynu i weszłam w świat. Poznałam Mateusza i pobraliśmy się.

Jak prosto to wszystko brzmi...

- Sprawiając tym ojcu wielką przyjemność. - Jack nalał jej kieliszek sherry.

- O, tak. Tak sądzę. - Zmarszczyła w skupieniu brwi. - Po ślubie z Mateuszem nie widywałam ojca zbyt często.

Ojciec z dumą patrzył na nich, stojących przy ołtarzu. Po weselnym śniadaniu uścisnął ją i poszedł. Zdawało się, zniknął z jej życia.

- Dlaczego? - spytał cicho Jack.

Spojrzała na niego zakłopotana.

- Nigdy jakoś nie było odpowiedniej pory, żeby nas odwiedził albo żebyśmy my złożyli mu wizytę. Wiesz, jak to jest... Jesienią Mateusz zaplanował nasze wizyty w różnych domach, albo też nie chciał narzucać ojcu naszego towarzystwa. A potem zaczynał się sezon, trzeba było zatrudnić służbę, zamówić powozy, przygotować ubrania... Znowu zimą Mateusz uwielbiał zabierać ludzi na żeglugę wokół Włoch... - zawiesiła głos. - A potem, wkrótce po otrzymaniu szlacheckiego tytułu, mój ojciec zmarł.

- Współczuję ci.

- Tak - powiedziała cicho. - Wiem, że mi współczujesz. Dziękuję.

Miała dziwne wrażenie, że Jack zbiera się na odwagę.

- Opowiedz mi o Mateuszu.

Westchnęła.

- Większość ludzi uważa go za świętego.

- To niemożliwe - rzekł zdecydowanie Jack.

- Ależ tak - zaprzeczyła ze znużeniem. - Był szczodry, uczciwy, zawsze zwracał

uwagę na drugiego człowieka...

- To mówi tylko o tym, że miał czułe i kochające serce.

- Nie! - zaprotestowała ostro. Po twarzy Jacka przemknęło zdziwienie. - Spytaj kogokolwiek, kto go znał. Mateusz był wyjątkowy.

- I traktował cię dobrze.

- Traktował mnie jak królową. Każde moje życzenie było rozkazem. - Jej głos stał się bezbarwny. - Wystarczyło, że podobał mi się jakiś obraz, a za parę godzin był mój. Jeśli pochwaliłam jakąś książkę, Mateusz od razu ją czytał, tak żebyśmy mogli o niej porozmawiać. Jeśli zobaczył, że śmieję się z kimś nowo poznanym, zapraszał go do nas na obiad.

Z każdym kolejnym dowodem miłości Mateusza, jaki wymieniła, jej głos stawał się coraz bardziej sztuczny i napięty. Słyszała to, ale nic nie mogła na to poradzić. Słowa, tak długo trzymane w zamknięciu, wylewały się z niej strumieniem.

- Jeśli wypowiedziałam jakąś opinię, Mateusz przyjmował ją jako własną, tak by nikt nie mógł wątpić, że mnie popiera. Robił to wszystko, bo mnie kochał. Wciąż mi powtarzał, jak bardzo mnie kocha. Wciąż powtarzał, że to wszystko jest dowodem, że kocha mnie, tak jak nie kochał nigdy żaden mężczyzna.

I mówił też, że sposób, w jaki ona przyjmuje te wspaniałe podarunki, jest dowodem, że ona go nie kocha. Starała się... Usiłowała przez całe lata dać mu miłość, której tak rozpaczliwie pragnął. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby udowodnić i jemu, i sobie samej, że go kocha, ale zawsze jego wątpliwości brały górę.

Nie była w stanie odwzajemnić mu choćby jednej dziesiątej tego straszliwego, przytłaczającego uczucia. To rozczarowanie zabiło Mateusza. Jak mogłaby powiedzieć to Jackowi?

Spojrzała na kieliszek z winem, który trzymała w dłoni. Rubinowy płyn drżał.

Jack popatrzył na nią z uwagą.

- Byłby z niego czuły, kochający ojciec. Dziwię się, że nie mieliście gromady dzieci.

Ach, jaka by była szczęśliwa, gdyby miała dzieci...

Jack natychmiast wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Wybacz mi. Nie chciałem być okrutny.

Wpatrywała się w obrus. To była jedyna rzecz, jakiej Mateusz kategorycznie jej zabraniał. Teraz, pomyślała, wie dlaczego. Zawsze utrzymywał, że nie zniósłby, gdyby musiał dzielić się nią z kimkolwiek przez dłuższy czas. Sądziła wtedy, że żartuje... A jeśli mówił prawdę?

Pamięć przywoływała obrazy przeszłości, obrazy, które przez pięć lat uporczywie usiłowała pogrzebać w pamięci: Mateusz płaczący gorzko, bo zapomniała mu tego dnia powiedzieć, że go kocha. Mateusz na kolanach pośród wypełniającego salę balową tłumu, przysięgający ze śmiechem, że zrobi wszystko dla nich dwojga,

niezważający na jej zażenowanie tą publiczną sceną. Mateusz w rozpaczy, bo poszła do czytelni publicznej bez niego. Mateusz przychodzący do jej łóżka jak suplikant do ołtarza, dotykający jej z paraliżującą rewerencją. Mateusz wołający z gniewem, że to jej podła krew jest przyczyną, iż nie jest niezdolna do wyższej formy miłości...

Jeszcze rok temu wierzyła mu, wierzyła, że nie jest zdolna do prawdziwej miłości. Powtarzał jej to, bądź co bądź, przez całe trzy lata... Teraz nie była już tego taka pewna.

Palce Jacka zacisnęły się wokół nadgarstka Anne. Pogładził kciukiem jej dłoń, dodając w ten sposób otuchy. Z trudem zaczęła mówić dalej.

- Ja... ja chciałam mieć dzieci. Ale Mateusz uważał, że dopiero jak będę starsza.

Twarz Jacka była skupiona, poważna.

Gdyby mogła ujrzeć myśli kłębiące się w tym przenikliwym umyśle, nie miała wątpliwości, że wyglądałyby niczym splątany motek ciemnej przędzy. Nie była pewna, czy chce znać werdykt, jaki niewątpliwie pociągnęłaby za sobą ta wnikliwa ocena... To, co poczęło się w namiętności zeszłej nocy, skończyło się gdzie indziej. Nigdy w życiu nie czuła się tak wystawiona na zranienie.

Nie była już pewna, czy Mateusz miał rację co do niej, ale nie chciała, żeby Jack to osądzał. Nie przeżyłaby, gdyby uznał, że jej czegoś brak.

Rozejrzała się, szukając bezpiecznego tematu rozmowy.

- Przyganiał kocioł garnkowi, pułkowniku.

Na dźwięk swego tytułu ostro poderwał głowę.

Jego oczy drapieżnika nagle stały się puste. Teraz jednak znała go już, wiedziała, że to tarcza ochronna, której używa, gdy ona zanadto zbliża się do czegoś, czego on nie ma ochoty ujawnić. Nie odwróciła spojrzenia od tej ostrzegawczej pustki.

- Opowiedz mi o sobie.

Opowiedz mi o sobie.

Nie powiedziała tego tak sobie. Wiedziała, o co prosi, a mimo to poprosiła. I była gotowa poczekać na odpowiedź.

Jack popatrzył na delikatny nadgarstek, który obejmował. Łagodnie odwrócił jej dłoń wierzchem do góry i przyjrzał się gojącym się rankom. Gdzieś w tych przeklętych zadrapaniach znajdowała się odpowiedź... Gdyby tylko potrafił w nich czytać.

Kochający rodzice, idylliczne dzieciństwo, efektowna rola gwiazdy londyńskiego sezonu, świetny mariaż, małżeństwo jak z bajki, a potem tragedia... I Anne Wilder zaczyna ryzykować życie dla pięciu tysięcy funtów, jakich warte były klejnoty innej kobiety. Ale czy jest to prawidłowa sekwencja? W sposobie, w jaki opisywała adorację ze strony pierwszego męża, było coś, co trącało potwornością. Miłość Mateusza sprawiała wrażenie raczej pożerania niż adoracji.

- Pułkowniku?

Powoli wypuścił jej dłoń i podniósł wzrok. Patrzyła na niego lśniącymi oczami, w których było wyczekiwanie.

- Opowiedziałam ci o sobie.

I to znacznie więcej niż myślisz, moja droga...

- Teraz wypada, żebyś dał mi coś w zamian.

- A co byś chciała? - spytał gładko.

- Griffin opowiedział mi... - Zawahała się, ale po chwili brnęła dalej: - O Paryżu i o tym, co tam zrobiłeś.

- Doprawdy? - mruknął Jack. - Cóż za przedsiębiorczość ze strony starego Griffa.

- I coś o Jamisonie. Opowiedz mi więcej.

Chciała wiedzieć o Jamisonie.

Nigdy z nikim nie rozmawiał na temat Jamisona. A skoro już o tym mowa, to nigdy w ogóle nie rozmawiał z nikim o swojej przeszłości. Wiedział, jakie pogłoski krążą na jego temat. Czy były prawdziwe, czy zmyślone, nie miało dla niego znaczenia, ale teraz ona pytała. Ona pytała - i miało to dla niego wszelkie możliwe znaczenia.

Odsunął krzesło, założył nogę na nogę i spojrzał prosto w te zaintrygowane oczy koloru północnego nieba. Jeśli to jest cena, jaką trzeba zapłacić, zapłaci ją. Jeśli chce, by na jej oczach przeprowadził sekcję własnego serca, tak też się stanie.

Nie zamierzał tęsknić za Anne Wilder. Nie zamierzał pożądać złodziejki. Odkrycie, że te dwie kobiety są jedną osobą, sprzęgło oba te pragnienia. Najgorsze było, że jeśli to, co zaczynał podejrzewać, było prawdą, deklaracja mogła na stałe posłać Anne na dachy. A zatem zrobi, co będzie mógł.

Uśmiechnął się smutno. Bądź co bądź, nie szukał cudu; szukał czegoś znacznie rzadszego - miłości.

28

Nie wiem, kim byli moi rodzice - powiedział Jack. Mówił głosem spokojnym i beznamiętnym. - Jamison utrzymuje, że może być moim ojcem, ale zależy to od jego nastroju i od tego, czego ode mnie chce.

Upił łyk sherry i odstawił kieliszek.

- Znalazł mnie w edynburskim przytułku, gdzie szukał swojego bastarda ze związku ze szkocką służącą. Zgłosiłem się do tej roli. Zaakceptował mnie. Zostały ustalone warunki, na które obaj się zgodziliśmy.

No. Nawet nie było tak strasznie trudno...

- Ile miałeś wtedy lat?

Wzruszył ramionami.

- Przypuszczano, że mam około siedmiu. A może osiem? Dziewięć?

Na moment przez jej starannie utrzymywaną maskę uprzejmości przemknął cień

przerażenia.

- Przykro mi - powiedział. - W takich miejscach akta nie są zbyt starannie przechowywane. Moje zaginę

Starał się odczytać wyraz jej twarzy. Nie potrafił.

- Dobiliśmy targu, Jamison i ja. Dostałem czysty dom, regularne posiłki, wykształcenie. W zamian miałem starać się sprawiać mu przyjemność, a później oddać do jego dyspozycji swoje talenty.

- Musisz go nienawidzić - powiedziała cicho, gwałtownie.

- Nienawidzić? - spytał zaskoczony. - Nie.

Na widok jej szoku poczuł nagłe zakłopotanie. Powinien więc nienawidzić Jamisona...

- Jak to? - spytała. - Nigdy nie był dla ciebie ojcem. Zaszantażował cię, kazał myśleć, że...

- Anne - przerwał spokojnie. - Jamison zaproponował mi pewien układ. Ja zaakceptowałem jego warunki. To ja jestem odpowiedzialny za to, kim jestem.

- Nie mów mi, że go kochasz?

Jack, zdesperowany, odgarnął włosy ze skroni.

- Kocham? Tak. Nie. Nie wiem... - Wpatrywał się w nią, zmieszany. - Serce nie pyta o pozwolenie. W osobliwy sposób nie troszczy się o ocenę tych, których zdecydowało się kochać. Drwi z umysłu, podporządkowuje sobie rozsądek, nie liczy się z wolą przetrwania...

Mówił równie dobrze o niej, jak o Jamisonie, ona jednak nie mogła o tym wiedzieć. Słuchała w napięciu.

- Jamison nigdy nie okazywał mi uczuć - przyznał. - Był szorstki, brutalny. Manipulował mną i używał do swoich własnych celów. Ale był wszystkim, co miałem, Anne. Mógł nie mieć dla mnie źdźbła uczucia, ale mnie cenił. Anne - wyciągnął ku niej dłoń, jakby błagając o zrozumienie - nikt wcześniej mnie nie cenił. Wszyscy widzieli we mnie jedynie nędzne stworzenie, którego nawet nie starali się zbytnio utrzymać przy życiu, ale które pomimo to nie miało jakoś zamiaru umierać.

Na jego ustach pojawił się wyraz smutku.

- Czy kocham Jamisona? Nie ufam mu, niczego od niego nie oczekuję. Boję się go, nie akceptuję go, czuję wstręt do diabelskiego układu, jaki zawarliśmy, a mimo to... tak, mogę powiedzieć, że go kocham. Czy możesz to zrozumieć?

Ze wzrokiem utkwionym w jej oczach, wciąż wyciągał ku niej rękę. Spojrzała na tę dłoń, spojrzała na niego.

- Nie. Nie rozumiem.

Zwinął dłoń w pięść i cofnął rękę. Kto mógłby zrozumieć coś tak dziwnego? Nie rozumiał sam siebie, nie potrafił sobie tego wyjaśnić.

- Do czego cię zmuszał Jamison?

W jej tonie było błaganie, żeby był subtelny, żeby złagodził i osłodził rzeczy, które robił na życzenie Jamisona. Ale nie po to zaszedł tak daleko, żeby teraz osładzać prawdę. Nie przypuszczał, że wciąż jeszcze będzie tu siedzieć i zadawać

pytania... Nadzieja niezmordowanie trzepotała w jego sercu.

- Jamison i człowiek nazwiskiem Knowles kierują pracą ludzi, którzy prowadzą za kulisami działania o charakterze politycznym. Jestem jednym z tych ludzi.

- Co to znaczy „prowadzą działania za kulisami”? - spytała ostrożnie.

- Organizują sprawy, zbierają informacje, upewniają się, że pewne ewentualności się zdarzą, a inne nie. Oczywiście, większość tych akcji odbywa się poza egidą rządowej aprobaty.

- Jesteś szpiegiem.

- Czasami. - Poruszył się na krześle. Uczciwość, nakazał sobie. - Tak.

- I właśnie dlatego kazano ci mnie śledzić. Bo ten list, który, jak twierdzisz, ukradłam, jest ważny. - W skupieniu zmarszczyła czoło. - Gdyby nie był wyjątkowo istotny, to ten Jamison - niemal wypluła to nazwisko - nie życzyłby sobie, żeby uśmiercono każdego, kogo podejrzewa, że mógł go widzieć.

- Tak - przyznał spokojnie.

Podniosła na niego oczy.

- Nie mam tego listu, Jack - powiedziała. - I nigdy nie miałam. Nikt mnie nie wynajął, żebym go ukradła.

Nie miał powodu, żeby jej wierzyć. Była złodziejką i oszustką. Celowo go zachęcała do okazywania jej względów, tak by mogła towarzyszyć każdemu jego ruchowi i odciągać go w ten sposób od celu. Użyła jego ciała, żeby zaspokoić własne. Uczciła pamięć swojego świętego eksmałżonka, rzucając się z dachów i okradając jego przyjaciół.

A on ją kochał.

- Tak - powiedział. - Wiem.

Przymknęła oczy, tak jakby chowała do skarbca jakieś uczucie.

- Ale tak jak mówiłem - ciągnął - dla nas ważne jest to, co myśli na ten temat Jamison. Nie potrzebujesz mnie przekonywać. To, czy ci wierzę, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia.

Otworzyła oczy.

- Dla mnie jest to najważniejsze na świecie.

Zdjął nogę z nogi i zaczął powoli przechylać się ku niej ponad stołem. Onieśmielało ją to. Mówiła o tym uwaga, z jaką mu się przyglądała, i leciutkie cofnięcie ciała. Jakie to piekielnie zabawne... Nawet nie zdawała sobie sprawy, jaką ma nad nim władzę.

- Co to jest? - spytała.

Rozejrzał się, niepewny, o czym właściwie ona mówi.

- Ten list - wyjaśniła. - Co jest w nim tak ważnego, że nikt więcej nie może go zobaczyć? Świadectwo chrztu? Metryka ślubu?

Jej słowa przypomniały mu o prawdziwym niebezpieczeństwie, jakie im groziło. Nawet w tej chwili, gdy rozmawiali, Jamison mógł organizować kolejny zamach na

jej życie.

- Nie wiem.

- List miłosny? Wyznanie? Jak on wyglądał? Czy to była kopia czegoś, czy stronica z książki?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Jedyną osobą, która widziała, był lord Atwood. Miał być kurierem.

Zmarszczyła w skupieniu czoło. Chciałby z nią zostać, ale nie mógł. Wstał.

- Idę do Pałacu Windsor. Myślę, że stamtąd pochodzi ten list. Jeśli uda mi się ustalić jego autora, łatwiej mi będzie znaleźć trop listu. Muszą istnieć ślady, które dokądś prowadzą, Anne. Znajdę je.

Przeszedł obok niej, kierując się ku drzwiom

- Jack?

Zatrzymał się z ręką na klamce.

- Tak?

- Chciałabym, żebyś był ostrożny.

Nie wolno mu było czegokolwiek się w tym dopatrywać.

- Dobrze - powiedział, zmuszając się do obojętnego tonu. - Na pewno będę się starał.

Griffin otworzył mu drzwi tuż przed świtem. Jack zrzucił płaszcz i kazał zaspanej pokojówce, żeby przyniosła mu kawy. Sen był niemożliwy po tym, czego się dowiedział tej nocy... Wszystkiego i niczego.

Ochmistrz królewski czekał na niego przy sekretnym wejściu. Wprowadził go do wysoko sklepionej sali, gdzie czekał już stary, ślepy mężczyzna. Jego zwiędłe ciało kryło się w ciężkich fałdach szlafroka. Kiedyś, raz jeden, widział z oddali tego starca i dzięki temu rozpoznał go obecnie.

- Wasza Królewska Mość. - Skłonił się nisko i zamiótł ręką w wytwornym dworskim geście powitania, mając gorączkową nadzieję, że robi to prawidłowo. Prawdopodobnie rzeczywiście tak było. W ciągu następnych paru godzin przekonał się, że nieugięty, choć rozproszony królewski duch zadaje kłam kruchości jego wyglądu.

- Są nowiny, kapitanie? - spytał Griffin.

- Pogłoski na temat starego króla są prawdziwe - odparł.

- To znaczy, że nie jest szalony?

- Och, szalony jest bez wątpienia, ale jego szaleństwo jest niestałe, przerywane okresami pełnej jasności widzenia. To król napisał ten list, Griff. Jego Królewska Mość pisze wiele listów. Kiedyś zapisał Atwoodowi całą Szkocję.

Griffin parsknął.

- A kto by ją chciał?

Jack uśmiechnął się.

- Kiedyś się jednak zdarzyło, jak przypomina sobie ochmistrz, że Atwood starannie dopilnował, żeby list, jaki napisał Jego Królewska Mość, został opieczętowany królewską pieczęcią. Ochmistrz nie poświęcił wtedy temu specjalnej uwagi. Pomyślał, że Atwood pobłaża królewskiemu kaprysowi.

- A co takiego napisał w tym liście, że Jamison siedzi jak na rozżarzonych węglach? - spytał ironicznie Griffin. - Ogłosił, że Książątko jest bastardem? Kto wie, czy tak nie myśli, skoro tak go nienawidzi...

- Nie wiem, ale wątpię, żeby to było coś aż tak dramatycznego. Ilekroć pytałem Jego Królewską Mość, co było w liście, który napisał do Atwooda, zaczynał wygłaszać przemówienie na temat moralnego trądu, jaki toczy naród, odkąd przewodzi mu „ta odrażająca, tłusta kreatura". Wydaje mi się, że miał na myśli swojego syna.

- A służba i tym podobni?

- Potwierdzają to, co powiedział ochmistrz.

- Ja uważam, że sprawiedliwie by było, gdyby stary król wydziedziczył księcia regenta... Co pan robi?

- Muszę posłać po Burke'a - powiedział Jack z ręką na klamce drzwi do gabinetu. - Chcę, żeby poszedł do domu Atwooda i wypytał służbę.

- Ona tam jest - powiedział Griffin.

Jack cofnął rękę i rozejrzał się zdumiony.

- Anne?

- Tak. - Wyrazista twarz Griffina tym razem pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

- Co ona tu robi o tej porze?

- Nie wiem. O ile mi wiadomo, w ogóle się nie kładła.

Jack ostrożnie uchylił drzwi. Nie odwracając się, powiedział cicho:

- Dziękuję ci, Griffin. Idź się przespać.

- Ale pan musi coś zjeść - zaprotestował Griffin ostrym, pełnym dezaprobaty głosem. - Nie powinien pan aż tak się angażować w związek z tą kobietą, kapitanie. Ona pana...

- Wystarczy, Griffin. - Przestąpił próg i zamknął drzwi za sobą.

Resztki żarzących się węgli rozświetlały kąt pokoju miękkim, sennym blaskiem. Anne spała, skulona, w rogu spłowiałej sofy; w zagłębieniu jej kolan tuliła się zwinięta w kłębek szara kotka. Sen wygładził czoło, tak często ostatnio poorane troską. Koronka jej stanika wznosiła się i opadała w powolnym, przykuwającym uwagę rytmie.

Obszedł ją dookoła, starając się poruszać cicho, tak by nie zakłócić jej drzemki. Przyglądał się jej, gdy spała, dopasowując jeszcze raz do siebie jej przeszłość i teraźniejszość, i tam, gdzie dotąd była ciemność i mgła, zaczynał dostrzegać

przebłyski światła.

Powieki Anne uchyliły się. Zobaczyła go i uśmiechnęła się, jak gdyby budząc się z przyjemnego snu, i szybko znowu zamknęła oczy, wtulając policzek w dłoń.

Serce Jacka zabiło.

- Witaj, Jack - mruknęła.

- Witaj.

- Śniłeś mi się. - Głos miała senny i melodyjny. Wciąż była jakby na wpół uśpiona.

- Teraz?

- Uhmm... Staliśmy oboje, ty i ja, na skale, tak wysoko, że nie widać było ziemi. Nadchodziła noc i wszystko stawało się czarne. Wziąłeś mnie za rękę i kazałeś mi lecieć. Powiedziałam, że nie potrafię. - Głos Anne ścichł; pomyślał, że znowu zapadła w sen, ale po chwili podjęła tym samym sennym głosem: - Bałam się. Ale ty wziąłeś mnie za ręce, przyciągnąłeś do siebie i powiedziałeś, żebym patrzyła ci w oczy. Popatrzyłam i przestałam się bać. I kiedy spojrzałam w dół, zdałam sobie sprawę, że płyniemy po srebrzystym niebie - srebrzystym jak twoje oczy, Jack - i że poprzez ciemność nocy dotarliśmy do świtu.

- I dotrzemy - mruknął i nie mogąc się oprzeć, usiadł obok niej na sofie i odgarnął jej ze skroni jedwabiste pasmo.

Otworzyła oczy. Wyciągnęła rękę i ujęła dłonią jego twarz. Nie było wahania w tym geście, nie było też zażenowania. Lekko przesunęła kciukiem po jego dolnej wardze.

- Jack, ja...

Przerwał jej nagły hałas w hallu. Jack poderwał głowę i nasłuchiwał. To pewnie Griffin potknął się, przykładając ucho do drzwi.

- Griff?

- Tak jest!

Niech go diabli... Swoją lojalność posuwa do ostateczności. Jack zerwał się na równe nogi, podszedł do drzwi i otworzył je.

W drzwiach stał Ronald Frost, z zaczerwienionymi, pałającymi furią oczami. Zęby miał zaciśnięte. W ręce trzymał pistolet wymierzony prosto w serce Jacka.

Kto zaopiekuje się Anne? - pomyślał w rozpaczy Jack, wpatrując się w otwór lufy. Kto ją ochroni, kiedy będę martwy?

- Teraz zobaczysz, jak to jest, kiedy zabierają ci to, co twoje!

Znaczenie słów Frosta przeniknęło mózg Jacka w chwili, gdy lufa pistoletu przemknęła obok jego piersi i zwróciła się ku sofie.

- Nie!

Rzucił się naprzód. Kula trafiła go w głowę. Rzuciło go w tył. Ból i blask wybuchły w skroni. A potem ogarnęła go ciemność.

29

Eksplozja momentalnie otrzeźwiła Anne. Otworzyła oczy. Kotka śmignęła do hallu, gdzie poruszały się jakieś cienie. Anne poderwała głowę: na podłodze leżał Jack, twarzą do góry.

Zerwała się z kanapy, rzuciła ku niemu i padła na kolana.

- Jack?!

Twarz miał zakrwawioną. Krew płynęła obficie, tworząc jeziorko pod głową.

- Jack!

Wsunęła mu ręce pod głowę i uniosła. Nie poruszał się.

- Griffin!

Przykucnęła nad Jackiem i przyłożyła ucho do jego piersi. Jeszcze oddychał. Serce wciąż jeszcze biło. Łzy rzuciły jej się do oczu i popłynęły po policzkach. Oderwała koronkową wypustkę od stanika.

- Griffin!!

Nad głową dały się słyszeć odgłosy stąpania. Z przerażeniem otarła krew z oka Jacka. Jęknął i poruszył się.

- O Boże, proszę, Jack...

Drzwi rozwarły się gwałtownie i wpadł Griffin z pistoletem w dłoni. Błyskawicznie omiótł nim pomieszczenie. Wtem zobaczył Jacka. Stłumione przekleństwo wyrwało mu się z ust. Przypadł do niego i ukląkł. Wyrwał jej z drżących palców przesiąkła krwią koronkę i zaczął umiejętnie oczyszczać twarz Jack z krwawej powłoki.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem... Obudziłam się i usłyszałam, jak Jack mówi „Frost” i „nie”, a potem... - Pochyliła się nad Jackiem.

Griffin zaklął jeszcze raz.

- Burke mówił mu, że Frost jest niemal obłąkany z gniewu. Czemu go nie posłuchał?

Anne nie zrozumiała.

- Dlaczego Frost był na niego wściekły?

Griffin przycisnął krwawy tampon do skroni Jacka i spojrzał na nią ponuro.

- Bo uważał, że pułkownik jest odpowiedzialny za śmierć jego syna. Ale ludzie zawsze zrzucają winę na niego, bo w ten sposób sami mogą się oczyścić we własnych oczach. - Spojrzał w dół. - Nieszczęsny głupiec... Powinien był się zabezpieczyć przed tym człowiekiem. I byłby to zrobił - przeszył ją oskarżycielskim spojrzeniem - gdyby pani nie odwracała jego uwagi. Z drogi!

Wsunął rękę pod tułów Jacka, podparł barkiem jego ramię i stęknąwszy, dźwignął

7.Tmł[(s)11.1 g w g(n)(ę) je ieza (m)-13.5 0 4 9 2 7 (6) 3.9 8 3 4 6 (p) 3.0 1 6 2 9 5 (n) 13.5 9 9 3 (g) 3.3 8 2 1 5 2 [(y)-0.6 5 1 5 7 5 (.) 0.3 5

Wolną ręką zaczął macać w poszukiwaniu rany.

- Będzie dobrze? - spytała Anne drżącym głosem.

Griffin przeszył ją pełnym pogardy spojrzeniem. Nie dbała o to, co o niej myśli. Musiała wiedzieć.

- Będzie żył? - spytała ochryple. On musi żyć. Oddałaby nie wiem co...

- Nie jestem cyrulikiem, do diabła. - Opuścił lampę i zwrócił się ku drzwiom. - Spawling! - wrzasnął.

- Co mogę zrobić? - spytała bezradnie. Kontrast między ciemną barwą krwi i bielą skóry przerażał ją. Jack nigdy nie był blady... W tej chwili przypominał alabaster.

- Zdaje się, że zrobiła już pani dosyć - warknął Griffin z powściąganym okrucieństwem. - Pułkownik zawsze był przytomny, w każdych okolicznościach... Dopóki nie pojawiła się pani. Gdyby nie pani, byłby teraz cały i zdrowy i nie leżałby tu bez zmysłów... Niech się pani stąd zabiera! To najlepsze, co może pani zrobić.

Szloch złapał ją za gardło. Przełknęła go. Wstała i ruszyła chwiejnie do drzwi. Rzeczywistość rozmywała jej się przed oczami. W połowie schodów spotkała Spawling.

- Co to... co to było? - spytała Spawling. - Coś się stało?

- Griffin cię potrzebuje. Bandaże, woda. Przynieś je. - Szła po schodach za pokojówką. Z każdym krokiem miała wrażenie, jakby wsysało ją piekło. - Pułkownik został postrzelony.

Dzień ciągnął się niczym senny koszmar. W południe Anne zeszła na dół i uchyliwszy skrzypiące drzwi gabinetu, zajrzała do środka jak pies do stajni.

Przy Jacku był Griffin. Nie mogła współzawodniczyć z jego umiejętnościami i doświadczeniem... W tej chwili sączył z łyżeczki jakiś płyn w usta nieprzytomnego Jacka.

Ciało Jacka okrywał lekki pled, a czoło spowite było białym bandażem. Nie przebudził się jednak. Gdy patrzyła, miała wrażenie, że jest niemal równie biały, jak opatrunek na jego czole... Wyszła niezauważona.

Po południu zeszła jeszcze raz, wiedziona przeczuciem, że może się jakoś przydać Jackowi. Weszła do gabinetu. Griffin spał w fotelu z głową opuszczoną na piersi. Podeszła po cichu do Jacka i spojrzała.

Oddychał płytko. Kropelki potu zraszały jego twarz. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby ją osuszyć. Obok sofy stała taca, a na niej dzbanek wody, bandaże i zakorkowana, opróżniona do połowy brązowa butelka. Nie miała pojęcia, co za lekarstwo dawał Griffin Jackowi, i wątpiła, czy jej powie.

Nagle Szkot się przebudził. Zobaczywszy ją, wygramolił się z fotela i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! - szepnęła. Przystanął, mierząc ją wzrokiem z wyraźną niechęcią. Ona

nie mogła nic zrobić dla Jacka, ale Griffin mógł... Nie mogła pozwolić, żeby jej urażona duma stanęła na przeszkodzie zdrowiu i życiu Jacka. - Zostań. Ja wyjdę.

Wróciła do swojego pokoju, do książki, z której nie rozumiała ani słowa, do bólu, który nie łagodniał. Z każdą godziną narastał strach. W końcu dała spokój książce i wyjrzała przez okno. Słońce wisiało nad horyzontem jak żółty perłowy wisiorek na gorsie zachodu.

O Boże, spraw, żeby Jack żył. Błagam...

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

- Proszę pani, jakiś dżentelmen chce się z panią widzieć - usłyszała naglący szept Spawling.

- Co za jeden?

- Mówi, że jest ojcem pułkownika. Jakiś pan Jamison.

Jamison. Czyżby przyszedł wykonać zadanie sam? - pomyślała gorzko.

Nie, wątpliwe, by zamierzał jawnie ją zamordować. Poza tym, gdyby chciał zabić ją własnoręcznie w domu Jacka, to nie powstrzyma go zwykłe „idź precz", prawda? A gdyby Jack umarł, cóż - wówczas i tak nie miała nic do stracenia.

- Poproś go na górę.

- Pokojówka powiedziała mi, że Jack został postrzelony - rzekł Jamison, wchodząc do pokoju.

- Czyżby pan o tym nie wiedział? - odparła, podchodząc. - Myślałam, że to pan jest za to odpowiedzialny.

- Ja? - spytał spokojnie. Położył na stole laskę i zaczął ściągać rękawiczki. Brwi miał ściągnięte, jak gdyby szukał czegoś w pamięci. - Nie. Zaręczam pani, moja dobra kobieto, że jest mnóstwo ludzi, którzy pragną śmierci Jacka bez żadnej zachęty z mojej strony.

Chłodny, szary blask uwydatnił rysy jego kościstej twarzy. W Muzeum Brytyjskim widziała raz starożytną złotą monetę, na której widniał profil cezara. Na wychudłej twarzy malowała się egzaltacja i pogarda. Jamison mógłby pozować do tego wizerunku.

- A więc jest pani żoną Jacka. - Przyglądał się jej obojętnym wzrokiem. - Czy zna pani broń, jaką pani poślubiła, młoda damo?

Nie było nic ciepłego ani ludzkiego w jego głosie. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego tu przyszedł: żeby popchnąć naprzód swój własny ukryty plan. Musiała go poznać. Tyle przynajmniej mogła zrobić dla Jacka.

- Oczywiście, że pani nie zna - powiedział. - Ale ja znam. Ja ją stworzyłem, ukształtowałem, wypolerowałem i naostrzyłem.

- Ją?

Uśmiechnął się ustępliwie.

- No więc Sewarda. Jest moim tworem, a pani mi go ukradła. Nie należę do ludzi,

którzy łatwo rezygnują. Zwłaszcza z tego, co jest tworem ich całego życia.

- On nie jest bronią. Jest człowiekiem. - Niespokojnie krążyła po pokoju.

- Proszę, niech pani usiądzie. - Jej ruch, brak koncentracji na nim, na tym, co mówi, irytował go.

- Nie. - Okrążyła sofę i zatrzymała się.

Jamison westchnął.

- Wiem, że Seward jest człowiekiem. Właśnie to sprawia, że jest tak niezawodny jako broń. Zwykła broń nie dostrzega cieni poza celem, w jaki jest wymierzona, a Seward tak. Zna cienie doskonale. Przeżył z nimi całe życie.

- Dopilnował pan tego, prawda?

Nie zamierzała ulec temu drwiącemu poczuciu wyższości. Znowu zaczęła krążyć po pokoju.

Rozdrażnienie skaziło królewską pewność siebie Jamisona.

- Naprawdę wolałbym, żeby pani usiadła. A co do pani pytania, to owszem, dopilnowałem. Żeby dostarczyć sobie samemu broni. Wątpliwy syn musi być gotów poświęcić się dla tego, kto go spłodził, nie sądzi pani? A Seward zawsze był wątpliwy. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli usiądę, prawda?

Wykonała drwiący gest w kierunku kanapy.

- Skądże znowu.

- Jestem nieskończenie wdzięczny - mruknął Jamison. Jego wzrok był teraz pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu, jak u gada. Usiadł ostrożnie na sofie. - Wygląda jednak na to, że i pani nie jest pozbawiona pewnych talentów. Proszę mi powiedzieć, czy pragnie pani wymienić swoją duszę na życie małżonka? Bo jego dusza, obawiam się, została już przehandlowana.

- Co pan ma na myśli?

- Nieważne. - Lekkie uniesienie ramienia zdradzało jego znudzenie.

- Proszę to wyjaśnić, sir. W jaki sposób Jack przehandlował swoją duszę?

Jack opowiadał jej o decyzji, jaką podjął wtedy w przytułku i zobaczyła, jak strasznie, niemal śmiertelnie został przez to zraniony. Rana się zagoiła - Bóg jeden wie w jaki sposób - ale blizna była głęboka i dotąd bolała. Wiedziała jednak, że jest coś więcej, czego nie opowiedział jej Jack. Być może więcej, niż sam wiedział...

Jamison położył splecione dłonie na kolanach.

- Nie usiądzie pani?

To był rozkaz. Pierwsza lekcja posłuszeństwa. No cóż, miała do wygrania coś znacznie ważniejszego niż duma. Usiadła.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- A teraz popatrzmy. Co mogło sprawić, że mężczyzna taki jak Seward przylgnął do mężczyzny takiego jak ja? Czy nigdy się pani nie zastanawiała, co się stało, że jest on tak bezbłędnie nastrojony na ból, że jest takim smakowitym obiektem do pastwienia się?

Patrzyła na niego przerażona.

- Pan jest potworem.

- Ach, skądże znowu - powiedział z autentycznym zdumieniem. - Jestem geniuszem. Genialnym znawcą ludzkiej natury. Widzi pani, młoda kobieto, wszyscy poszukujemy bólu. Ścigamy go od chwili, gdy otwieramy usta, żeby wziąć pierwszy oddech. A pani sama, czy nie szuka pani śmierci od wielu miesięcy?

Wzdrygnęła się, zdumiona. Przeszył ją ból. Puste, zimne spojrzenie tego starca zdawało się wysysać ciepło z pokoju i sekrety z jej duszy.

- Widzę, że mam rację - powiedział z namysłem, po czym wzruszył ramionami. - Mateusz Wilder też był najwyraźniej na swój sposób geniuszem. Proszę spojrzeć, co z panią zrobił...

Nie da mu tej satysfakcji i nie odpowie.

- Ale mówiliśmy o moim talencie. Przez całe życie zgłębiałem wiedzę o tym, jakie są wrażliwe miejsca w duszy i psychice, w które należy uderzać, które cierpienie... - zawiesił głos i uniósł dłonie, jakby szukał właściwego słowa - podać, a które pozwolić człowiekowi zadać sobie samemu. To jest dziedzina nauki, moja droga. A ja jestem jej twórcą.

- Co pan mu zrobił? - spytała. Ścisnęła poręcze fotela i wychyliła się ku niemu.

- Nie docenia pani swojego małżonka, moje dziecko. Sam zranił siebie znacznie głębiej, niż ja czy ktokolwiek inny kiedykolwiek byłby w stanie, z wyjątkiem być może pani. - Znów w jego spojrzeniu pojawił się namysł.

- Proszę mi opowiedzieć.

- Z przyjemnością - skłonił głowę. - Widzi pani, mam pewien feler. - Jego uśmiech mówił, że zdaje sobie sprawę, jak potwornie brzmi w jej uszach to wstydliwe wyznanie, i bawi go to. - W trzydziestym roku życia stałem się bezpłodny na skutek choroby. Ta sama choroba, która uczyniła mnie jałowym, zabiła mojego dziedzica i matkę tej istoty.

Istoty? - pomyślała z przerażeniem.

Nawet jeśli Jamison dostrzegł wyraz wstrętu w jej twarzy, nie dał tego po sobie poznać.

- Parę lat wcześniej ówczesna służąca powiedziała, że jestem ojcem jej nienarodzonego jeszcze dziecka. Ponieważ ją rozdziewiczyłem, nie miałem specjalnego powodu, żeby wątpić w prawdziwość tego stwierdzenia.

- Jack - powiedziała.

- Wybiega pani naprzód - złajał ją. - Dostałem od niej list, wysłany z Edynburga. Informowała mnie w nim, że urodziła syna i nazwała go po mnie Henry, a także że ona choruje i jest mało prawdopodobne, by przeżyła.

Podniósł laskę. Długie, kościste palce zaczęły bawić się srebrną, rzeźbioną gałką.

- Przypuszczam, że myślała, iż dając mu na imię Henry, wywrze na mnie

dostateczny nacisk, żebym go szukał. Nie szukałem.

Anne przymknęła oczy. Potwór - to było za subtelne słowo, żeby go określić.

- Dopóki - pokiwał figlarnie palcem - dopóki nie okazało się, że jestem bezpłodny i bez dziedzica. Pamiętałem nazwę przytułku w Edynburgu, gdzie zamieszkała na czas karmienia, i pojechałem tam. Człowiek, który prowadził ten przybytek, z trudem pamiętał swoje własne nazwisko, a cóż dopiero nazwiska niezliczonych rezydentów. Ale to nie mogło pokrzyżować moich planów. Przyjechałem po syna i byłem zdecydowany z nim wyjechać. Powiedziałem, żeby sprowadził wszystkich chłopców w określonym wieku i ustawił ich w szeregu. Było ich chyba z tuzin. Sewarda zauważyłem od razu. W jego postawie była gwałtowność, w spojrzeniu antypatia, a wokół niego aura rozpaczy - wspaniałej, korodującej duszę rozpaczy.

Po raz pierwszy w jego głosie pojawił się cień prawdziwej emocji. Anne wpatrywała się w niego skamieniała, zaciskając splecione dłonie.

- Wszyscy chłopcy patrzyli na niego. - W jego głosie zabrzmiał odcień dumy. - Czuli do niego respekt, choć nie był ani starszy, ani większy od nich. Był chudy, brudny i miał złamany nos, a mimo to był urodziwy.

W gardle Anne rosła kula.

- Zadałem chłopcom pytanie: „Który z was ma na imię Henry?" Oczywiście, żaden się nie zgłosił. Nie wiedzieli, jaki los czeka tego Henry'ego. Wywiezienie? Może burdel? Nie słyszała pani o dziecięcej i męskiej prostytucji? Doprawdy, młodzi ludzie są dziś zanadto odgrodzeni od życia.

Stłumiła szloch. Zbyt wiele radości by mu sprawiła.

- Powiedziałem więc: „Zamierzam zaadoptować chłopca imieniem Henry i wychowywać go jak własnego syna. Będzie codziennie dostawał jedzenie, spał na puchowym materacu, uczył się czytać i pisać, a kiedy umrę, otrzyma wszystko, co należy do mnie". Natychmiast jakiś kaleka o krzywych plecach krzyknął: „Ja jestem Henry!" - Jamison skrzywił się z niesmakiem. - A ponieważ upłynęła cała minuta, zanim inni chłopcy zaczęli temu zaprzeczać, wiedziałem, że on naprawdę ma na imię Henry.

Nic już nie mogło jej zaszokować. Wpatrywała się w niego, znieczulona jego okrucieństwem.

- I co było potem?

- Wszyscy chłopcy zaczęli wykrzykiwać, że mają na imię Henry... z wyjątkiem Sewarda. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Był niemal na śmierć zagłodzony i nie należał do ulubieńców przywódcy miejscowego gangu. Wiedziałem, że nie przetrwa zbyt długo w tym miejscu, i on wiedział o tym równie dobrze. Ale Henry też nie miał przetrwać. Nie chciałem Henry'ego. Chciałem Sewarda.

Najbrzydsze skojarzenia zrodziły się w jej umyśle. Zbierało jej się na mdłości. Jamison widział to i bawił się tym.

- Och, nie, moja droga. Nie jestem pedofilem... Proszę posłuchać dalej.

- Nie mogę.

- On jest pani mężem. Każdy głupiec widzi, że szaleje pani z miłości do niego.

Wlepiła w niego oczy. Jak mógł wiedzieć o czymś, co ona sama dopiero zaczynała podejrzewać?

Oddał jej spojrzenie, a potem zaczął chichotać.

- Nie wiedziała pani o tym? Jakież to zabawne! Muszę panią pochwalić, moja droga... Doprowadziła mnie pani do śmiechu! Ale na czym to stanąłem? Ach, prawda...

Tak, kocham go, pomyślała gorączkowo, na przekór drwiącemu demonowi, który odzywał się na dnie jej serca. Tak, tak, tak! Kocha Jacka. I będzie walczyć o jego życie i duszę.

- Odepchnąłem tamtego pokrakę i wskazałem na Sewarda: „Ty mi wyglądasz na Jamisona. Jak się nazywasz?", „John Seward" - odparł. Widziałem jednak, ile go kosztuje przyznanie się do tego. Widziałem, jak rozgląda się po pokoju, jak patrzy na walające się po kątach ekskrementy, na skąpo przyrzucone słomą wyrka, na zwierzęcy zapał kolegów..

O Boże... Przełknęła ślinę. Boże, zmiłuj się...

Jamison mówił dalej. Główka srebrnej laski połyskiwała w jego palcach.

- „A teraz, chłopcze, pomyśl jeszcze raz. Kiedy byłeś mały, na pewno ktoś mówił na ciebie Henry?" Seward wciąż nie odpowiadał. Pozostali ucichli. Nawet oni potrafili docenić aktu kreacji, jakiego byli świadkami.

- Kreacji? - wyszło spomiędzy jej wyschłych warg.

- Kreacji Sewarda - wyjaśnił Jamison uprzejmie. - Akt, do którego odnoszą się ostatecznie wszystkie jego późniejsze działania. - Raz jeszcze jego oczy zwęziły się, gdy przypominał sobie tamtą sytuację. - Przez chwilę ważyły się losy jego duszy. Zdawał sobie sprawę, o co toczy się gra. Wiedział, że jeśli powie „tak", skaże Henry'ego na pewną śmierć, a jeśli powie „nie", jego własna śmierć będzie niemal równie pewna. Niemal. Od jednego słówka zależało, czy jego dusza będzie wyklęta. „A więc jak się nazywasz?" - spytałem. - „John Seward" - odparł, ale głos mu się załamał. Wiedziałem, że jestem blisko. O, tak. - Jamison podniósł dłoń, lekko rozstawiając kciuk i palec wskazujący. - „Johnie Sewardzie" - powiedziałem - „a jeśli powiem, że się mylisz, bo ja wiem, iż masz na imię Henry, wiesz, co będziesz mi zawdzięczał?" „Tak" - szepnął. - „Ja nazywam cię Henry. Twierdzisz, że jestem w błędzie?"

Jamison wychylił się do przodu, wciąż ściskając srebrną główkę laski.

w jego palcach.

- Dość poważna decyzja jak na dziecko, nie sądzi pani? Ile mógł mieć lat - siedem, osiem? Och, nie wytrzymała pani... Proszę, oto chusteczka.

Odtrąciła rękę z chusteczką i otarła łzy ręką drżącą z wściekłości i żalu.

- Nie spojrzał ani razu w bok, kiedy wychodził z tego plugawego pomieszczenia - podjął cicho Jamison. - Nie spojrzał na Henry'ego. Nie musiał... Wychodząc, zabrał go ze sobą. Ciężar tej zdrady, tej decyzji, dźwigał ze sobą przez dwadzieścia pięć lat. Dźwiga go nadal.

- Mefistofeles.

- Prawda, droga córko. - Zdawał się zachwycony; - Sam tak o sobie myślę. Jakie to miłe, że jest pani taka oczytana.

- Złoczyńca...

- Złoczyńca? Ależ proszę tylko pomyśleć. Zaoferowałem Sewardowi jedyne prawdziwe wyrównanie tamtego grzechu: kolejny grzech. Czy wie pani, że kiedyś zabił człowieka na mój rozkaz? Czy to nie władza?

- Proszę pozwolić mu odejść.

- Pozwolić odejść? Poświęciłem niemal pół życia na tworzenie Jacka. Wątpię, by najszczersze nawet błagania jakiegoś ciemnowłosego skrzata mogły mnie skłonić do wyrzeczenia się tego.

- On nie jest tym, za kogo pan go uważa. - Usłyszała błagalną nutę we własnym głosie. Nienawidziła siebie za ujawnianie słabości przed tym człowiekiem... On to wykorzysta.

W szlachetnym obliczu Jamisona pojawił się złowrogi błysk.

- Być może ma pani rację. Widocznie małżeństwo z panią uczyniło go wrażliwym. Słaba broń może zranić jej posiadacza. Istotnie, pozwoliłbym mu odejść, gdybym mógł zdobyć inną broń, równie potężną i użyteczną, jak on.

Teraz już wiedziała. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Po raz pierwszy w życiu była zadowolona ze swojego eksmałżeństwa... W oczach Jamisona widziała znajomy, pożerający duszę głód. Widziała go już w oczach Mateusza. Wiedziała, co to demony. Nieobca była jej ciemność. Gdyby jej nie znała, to prędzej teraz uciekłaby, a nie patrzyła prosto w twarz tego człowieka będącego kwintesencją zła. Nie miałaby siły zostać i walczyć o Jacka. Kochała go całą sobą, bez względu na to, ile ją to miało kosztować.

- Czego pan chce? - spytała.

- Och - cmoknął z niesmakiem. - A Seward był zawsze taki czuły na punkcie dobrych manier. Odkryć taki brak wyrafinowania we własnej żonie... - Potrząsnął głową.

- Czego pan chce? - powtórzyła.

- Chcę mieć ten list. - Nuta rozbawienia uleciała.

Nadzieja prysła. Wyciągnęła ku niemu rękę w błagalnym geście.

- Nie mam go! Bóg mi świadkiem, że nie mam tego listu! Nigdy go nie miałam...
- Wiem.
Zamarła.
- Proszę mi wybaczyć nieprzyjemności, jakie być może spowodowałem.
Próbę morderstwa nazywał nieprzyjemnością...
- Dopiero niedawno odkryłem, że go pani nie ma. Ale wiem, kto ma. Potrzebuję tego listu, a pani, jak już wspomniałem, ma pewne wyjątkowe talenty. Proszę zdobyć dla mnie ten list, a wtedy ja pozwolę odejść Sewardowi.
Poczuła przypływ nadziei. Musiała jednak znaleźć się z dala od Jamisona. Potrzebowała czasu, żeby to przemyśleć. Było coś w wyrazie jego twarzy, jakaś gotowość, intensywność, która ją niepokoiła. Nie ufała mu. A mimo to...
Ktoś inny zabrał list. Jamison nie ma już powodu, żeby ją zabijać. A jeśli uda jej się przez to przejść, Jack uwolni się z... Wstała.
- Proszę usiąść - rozkazał.
Nie powinna mu ufać, nie znała powodu, dla którego przyszedł tu, opowiedział jej to wszystko i poprosił o pomoc. Kto zgadnie, co on knuje? Nie potrafiła myśleć jasno.
- List może w każdej chwili zmienić miejsce pobytu - mówił spokojnie Jamison. - Proponuję, żeby pani ubrała się tak, jak zwykle, kiedy bierze się pani do tej roboty, i jak najspieszniej postarała się go odzyskać. Oczywiście, jeśli przyjmuje pani moją ofertę.
- Kto go ma?
Jamison uniósł brew.
- Lord Vedder, ten impertynencki szczeniak. Nie zajmie mu zbyt wiele czasu znalezienie dla listu bardziej niedostępnego miejsca. Za solidniejszą opłatą.
- Gdzie go trzyma?
- Skąd mógłbym wiedzieć? - Jamison machnięciem ręki zbył jej pytanie. - To należy do pani, moja droga. W bibliotece, jak sądzę.
- Ale gdzie? - spytała, wstając. - Jak go odróżnię od innych listów? - Chodziła tam i z powrotem, gestykulując niespokojnie. - Nigdy go nie znajdę. Nie będzie czasu, żeby otwierać całą korespondencję Veddera, grzebać w papierach...
W twarzy Jamisona błysnął gniew.
- Ty głupia babo... To list od króla. Jest na nim woskowa pieczęć!
- Jest pan pewien? - spytała z niepokojem.
- Tak! Tak! - warknął. - Pojedynczy, złożony arkusz welinowego papieru z czerwoną woskową pieczęcią. Nie będzie pani miała kłopotów z identyfikacją. - Wstał i wymierzył w nią koniec laski. - Przyjmuje pani moją ofertę? Zrobi to pani?
Nie musiał pytać. Skoro wiedział o jej miłości do Jacka, to z pewnością wiedział, że jeśli istniała najmniejsza szansa wyzwolenia go spod jego wpływu, zawrze pakt z samym diabłem.

I tak też zrobiła.

30

Jamison pozwolił, by stangret pomógł mu wejść do powozu i okryć nogi pledem. Rzucił okiem na wynajęty miejski dom Sewarda. To dobrze, że wymknął się stamtąd, gdy służba krzątała się gorączkowo wokół Jacka.

Zastukał w dach powozu i podał kierunek jazdy. Pojazd gwałtownie ruszył, rzucając Jamisona na oparcie. Ciekaw był, czy dziewczyna Tribble'a włożyła już swoją czarną maskę. Z pewnością jej się spieszyło... Uśmiechnął się przelotnie. Niedługo przestanie jej się spieszyć.

Niezależnie od środków aktorskich, jakich użył, żeby wykorzystać swoją przewagę, Jamison nie czuł szczególnej satysfakcji z tego sukcesu. Był to po prostu jeszcze jeden sukces.

Zagrał rolę łotra, jak należy. Jak zwykle w przypadku skutecznych forteli, więcej było w jego przedstawieniu prawdy niż kłamstwa. Istotnie znalazł Sewarda w takich okolicznościach, jakie przedstawił, a swoją pierwszą rozmowę z Jackiem zacytował niemal dosłownie. Upiększenie dotyczyło jedynie głębi i stopnia lojalności Sewarda oraz rzekomego zabicia przez niego człowieka na jego polecenie. Gdyby naprawdę mógł go być tak pewny...

Jamison zasępił się i wyjrzał przez okno. Z ciężkich, napęczniałych chmur zaczynały spadać duże płatki śniegu. Pragnął uległości Sewarda. Zrobiłby chyba wszystko, żeby ją sobie zapewnić.

Pierwszym krokiem do tego było pozbycie się tej kobiety. Tak, kiedy ona zginie, Seward będzie go podejrzewał. Zadanie Jamisona polegało na tym, żeby podejrzenia Sewarda na pewno pozostały na poziomie przypuszczeń. Jeśli to mu się powiedzie, zdoła w końcu przekonać Sewarda, że nie miał z tym nic wspólnego. Należy zaaranżować jej śmierć w taki sposób, by żaden ślad nie prowadził do Jamisona, by nic nie wskazywało, że miał z tym jakiś związek.

Jeśli nie zdoła tego przeprowadzić subtelnie, Seward ze sprzymierzeńca może zmienić się we wroga.

I to jakiego wroga... Czy to, co czuje, to naprawdę strach? - Ta myśl go zdumiała.

Obecny plan powinien pójść lepiej niż wpadka, którą zaaranżował Vedder. Nakłonić tego żałosnego pijaka, Frosta, żeby wtargnął do domu Sewarda... Ów głupiec o mało nie zabił Sewarda! Aż wstrząsnął się ze złości i niesmaku. Nie powinien był uwierzyć Vedderowi, że potrafi zrealizować zadanie. Ostatnio się rozleniwił.

A więc dobrze, tym razem wszystko zostanie zrealizowane właściwie. Vedder już czeka w swojej bibliotece. Niedługo ta uciążliwa niewiasta wtargnie tam i Vedder ją zabije. Seward pomyśli, że zdenerwowana i wyczerpana psychicznie znowu uległa impulsowi, który każe jej kraść. Swoją drogą, obłąkane zachowanie... Co

innego mógłby zrobić Vedder, kiedy Duch Wrexhall zaskoczy go w jego własnym domu, niż zabić intruza? Tajemnica, gdzie schowała list, pozostanie niewyjaśniona. Dopóki on, Jamison, nie zdecyduje inaczej. Ponowne pojawienie się listu w nieokreślonej na razie przyszłości będzie można przypisać tysięcznym okolicznościom.

Potem, kiedy odkryje, że zabił żonę Jacka Sewarda, Vedder skieruje wylot lufy ku sobie. Na to by przynajmniej wyglądało. Różne osoby z towarzystwa uznają to za akt tchórzostwa, niemniej, znając reputację Sewarda, na pewno go zrozumieją.

Oczywiście, Vedder nie zna tej części planu. Wie tylko, że zostały spłacone wszystkie jego długi i że otrzyma taką samą sumę, jeśli zabije Anne Wilder... to jest Anne Seward.

A więc nikt tego nie odkryje, pomyślał Jamison, zamykając oczy i pozwalając, by jednostajny ruch powozu ukołysał go do drzemki. Tylko dwoje ludzi może powiązać jego osobę z Vedderem - sam Vedder i Anne. A oboje wkrótce będą martwi.

Ból pulsował Jackowi w skroni. W ustach czuł suchość. Zmrużył oczy. Obraz rozmywał się... Jego spojrzenie padło na lampę. Wciąż był w gabinecie. Na sofie. Od kiedy...

- Anne! - Poderwał się. - Anne! - Krzyk przeszedł w jęk. Chwycił się za głowę i zgiął w pół. Pokój zawirował wokół niego. Jack zacisnął powieki, żeby powstrzymać mdłości. Dysząc ciężko, policzył do dziesięciu, po czym spróbował stanąć na nogi. Niech diabli wezmą wirujące pokoje... Gdzie jest Anne?

- Anne! - krzyknął. Nogi drżały mu z wysiłku, z trudem utrzymywał się w pozycji stojącej. Kiedy stąpał ciężko ku drzwiom, żołądek zaczął się buntować. - Anne!

Od strony hallu dobiegł go łomot zbliżających się pośpiesznie kroków. Jack zamrugał pełnymi łez oczami. Drzwi otwarły się gwałtownie i do środka wpadł Griffin.

- Boże święty, kapitanie! Co pan sobie myśli...

Runąłby na podłogę, gdyby Griff nie złapał go za ramiona.

- Powinien pan zostać na dole - powiedział.

- Nie. Gdzie Anne? Czy jest ranna? Czy on ją...

- Spokojnie, ma się doskonale. - Griffin posadził go na sofie. - Zdrowa jak rydz. Pewnie jest na górze i znowu ćwiczy wchodzenie do komina.

Jack poczuł tak wielką ulgę, że nie obraził go sarkastyczny ton Griffina.

- Frost przyszedł ją zastrzelić - powiedział. - Muszę zadbać, żeby już więcej nie miał sposobności. Nigdy.

- Dobrze - odparł Griffin. Wziął do ręki brązową butelkę i odmierzył do szklanki dawkę przejrzystego płynu. - Ale nie teraz. Ta kula wyorała panu w czaszce paskudną bruzdę. - Dopełnił szklankę wodą i podał Jackowi.

- Proszę wypić.
- Co to jest? - spytał.
- Laudanum.
Jack zwrócił mu szklankę.
- Nic dziwnego, że czuję się taki słaby. Ile tej trucizny we mnie wlałeś?
- Wystarczająco, żeby leżał pan spokojnie i odpoczął.
- Od jak dawna leżę?
Griffin wzruszył ramionami.
- Postrzelono pana dziś rano. Teraz dochodzi ósma.
Rozległo się nieśmiałe pukanie. Do pokoju zajrzała pokojówka.
- Przyszedł jeden dżentelmen. Mówi, że musi się z panem widzieć - powiedziała. - Lord Strand.
- Dawaj go... - Nie zdołał dokończyć polecenia. Strand odsunął pokojówkę i wtargnął do środka. Rysy miał ściągnięte z niepokoju.
Przez moment wpatrywał się w Jacka. Po czym zerwał z głowy kapelusz i wydał westchnienie ulgi.
- Nie dawałem mu wiary. Myślałem, że zatruł się alkoholem i oszalał...
- Mówi pan o Froście, jak sądzę? - spytał Jack.
Jack wyglądał okropnie. Kołnierzyk i koszula były zbrukane krwią, nad spowijającym jego głowę bandażem włosy sterczały jak złota strzecha.
- Tak - odparł Strand, przyglądając się przyjacielowi. Dziwne, że musiał usłyszeć wiadomość o jego śmierci, żeby uświadomić sobie to, co w gruncie rzeczy wiedział od lat... Jack był naprawdę jego przyjacielem. Jednym z nielicznych, jakich miał.
- Frost przywlókł się do Watier's Club jakieś pół godziny temu, bardzo pijany - oznajmił. - Zdołał tylko wybełkotać, że pana zastrzelił.
- Znacznie zawyżona ocena własnych umiejętności - mruknął Jack.
Strand uśmiechnął się.
- Griffin, może poprosiłbyś panią Seward, żeby tu przyszła?
Griffin bez pośpiechu zebrał naczynia na tacę i wyszedł. Jack wstał, chwiejnym krokiem podszedł do kominka i chlusnął zawartość szklanki na rozżarzone węgle.
- Po co pan przyszedł, Strand? - Jack podniósł wzrok sponad skwierczących węgli.
- Było mi spieszno zobaczyć...
- Co? - spytał Jack. - Czy wdowa po mnie nie potrzebuje pociechy?
Strand oblał się rumieńcem. Cóż, Jack niewątpliwie wiedział... Kiedy człowiek sam jest zakochany, bez trudu dostrzega oznaki tego stanu u innego mężczyzny, zwłaszcza jeśli dotyczy to jego własnej żony. Ale to nie był powód, dla którego przyszedł, i trochę bolesne było usłyszeć wypowiedziane na głos podejrzenia co do jego motywów.
- Nie - odparł spokojnie. - Przyszedłem zobaczyć, czy pan żyje. I żeby panu

powiedzieć, że lord Vedder wyciągnął Frosta z klubu. Myślę, że to on stoi za akcją Frosta.

- Vedder? - Jack zmarszczył czoło. Grzebał w kominku, wpatrując się w żar, tak jakby mógł tam znaleźć odpowiedź na swoje pytania. - To by miało sens. Jamison i Vedder. - Podniósł głowę i spojrzał na Stranda z powagą. - Proszę o wybaczenie, Strand. Chyba popełniłem straszliwą gafę. Źle pana oceniłem. Gorzej, przypisałem panu własne niskie skłonności.

Strand rozluźnił się.

- Dzięki - powiedział lekkim tonem. - Ale ja i bez pańskich niskich skłonności mam aż nadto własnych. Prawdę mówiąc, przyszedłem zobaczyć, czy rzeczywiście przeniósł się pan na łono Abrahama, bo krążą plotki, że mam być spadkobiercą tych okropnych butów, jakie ma pan na nogach, i chciałem dopilnować, żeby je pogrzebano, zanim egzekutor pańskiej ostatniej woli ogłosi, że należą do mnie.

Jack spojrzał na swoje buty.

- Przykro mi, Strand. Będzie pan zmuszony jeszcze przez jakiś czas zadowalać się własnymi, na razie wciąż jeszcze ich potrzebuję.

Wymienili przyjacielskie uśmiechy. Jack wskazał Strandowi krzesło i sam również usiadł.

- Wracając do Frosta - rzekł Strand, poważniejąc. - Wiedziałem, że jest na pana wściekły, ale żeby do tego stopnia? Nikt by się tego nie spodziewał.

- Tak - powiedział powoli Jack. - Ale on nie przyszedł tu, żeby zabić mnie. Przyszedł zabić Anne. Ja stanąłem mu na drodze.

- Anne? - wykrzyknął z niedowierzaniem Strand. - Ale dlaczego? Co z nią?

- Zapewniają mnie, że ma się doskonale. - W spojrzeniu Jacka pojawił się namysł. - Dlaczego Anne? Podejrzewam, że to Jamison go podstawił.

- Ale dlaczego Jamison miałby chcieć śmierci Anne? - spytał oszołomiony Strand.

- Ponieważ Anne to Duch Wrexhall, Giles - powiedział Jack wypranym z emocji głosem - a Jamison życzy sobie śmierci każdego, kto widział ten list.

Strand z otwartymi ustami opadł na fotel.

- Anne Wilder, Duch Wrexhall - wymamrotał z niedowierzaniem. Wtem jego spojrzenie nabrało ostrości. - Ale dlaczego on chce śmierci każdego, kto widział list? Wydaje się, że to dosyć skrajny środek...

Jack splótł ręce na piersi. Spojrzenie miał odległe i zamyślone.

- Właśnie nad tym się zastanawiam. Twierdzi, że ze względów bezpieczeństwa. W pierwszej chwili przyjąłem to wyjaśnienie. Wiesz, jaki jest Jamison: wcielenie paranoi. Ale teraz zaczynam wątpić.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie. W progu stanął Griffin.

- Wyszła - powiedział bez wstępów. - Nikt nie wie dokąd.

- Co? - zawołał Jack, wstając. - Do diabła, co to znaczy, że nikt nie wie dokąd? - Głos miał twardy jak diament. - Po to tu wszyscy jesteście. Żeby pilnować jednej

kobiety.

Griffin zaczerwienił się, zmieszany.

- Wiem, kapitanie - powiedział, unikając wzroku Jacka. - Poszła na górę. Pokojówka powiedziała, że jakąś godzinę temu usłyszała, jak pani rozmawia w swoim pokoju z jakimś mężczyzną. Myślała, że to ja, i nie zwróciła na to specjalnej uwagi.

- Co poza tym? - zapytał ostro Jack.

- Chłopak kuchenny mówi, że zginął mu płaszcz i kapelusz.

Jack odwrócił się.

- Strand, pomoże mi pan jej szukać?

- Naturalnie. Ale gdzie?

Jack już był w hallu i wkładał na siebie płaszcz. Twarz miał ponurą.

- Frost nie przyszedł tu sam z siebie. Wszędzie widywano go z Vedderem. A Vedder od początku był zaangażowany w to dochodzenie. To głupiec podatny na każdy wpływ i Jamison mógł się nim posłużyć.

- Mój powóz stoi przed domem.

- Kapitanie, pan jest ranny! - Griffin zagrodził mu drogę. - Nie ma pan pojęcia, gdzie ona może być.

Jack spojrzał na Griffina lodowato.

- Pomożesz mi jej szukać?

Griffin wysunął dolną szczękę w wyrazie uporu.

- Nie. To złodziejka i kłamczyni. O mało nie doprowadziła do pańskiej śmierci. Będę zadowolony, jeśli się okaże, że gdzieś spadła i złamała sobie kark. Nie dbam...

Nie dopowiedział. Jack chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie. Usta Jacka drgały, w oczach malował się dziki ból.

- Ale ja dbam - warknął przez zaciśnięte zęby. - Ja dbam, do diabła. Ona nie zginęła. Nie wolno ci tak mówić. - Potrząsnął Griffinem, jak jamnik potrząsa szczurem. - Wyrwij mi serce, Griff! Wyrwij mi je żywcem z piersi, zanim powiesz, że ona nie żyje.

Odepchnął go od siebie i wyszedł w noc.

Jack wsparł się o ścianę domu. Wewnątrz czuł pustkę. Szukał od czterech godzin i nie natrafił na żaden jej ślad.

Najpierw na złamanie karku popędzili do rezydencji Veddera. W pierwszej chwili lokaj ich nie wpuścił, twierdząc, że pan nie przyjmuje, jednak po krótkiej i gwałtownej rozmowie wyjawił, że Vedder wyjechał z pierwszym brzaskiem.

Wystraszony - a także lekko posiniaczony - służący przysięgał, że nigdy nie widział, by jego pan tak szaleńczo spieszył się z wyjazdem i by tak kategorycznie żądał, aby jego wyjazd pozostał tajemnicą.

Ulga, że Vedder nie zasadza się na Anne, była krótkotrwała. Podzielili się ze Strandem: Strand poszedł szukać wśród socjety, a Jack skierował się do miejskiego domu Northów. Nie tylko Anne tam nie było; gospodarzy również. Wyjechali późnym popołudniem na przyjęcie. Nie, Anne z pewnością nie było z nimi.

Wrócił w rejon własnego domu i zaczął przetrząsać okolicę. Pytał ulicznych handlarzy i sklepikarzy, czyścicieli butów i strażników, czy nie widzieli drobnego wyrostka w podartym płaszczu i kapeluszu.

Nikt nie widział. Ale cóż, to byli zwykli ludzie, zawsze mieli oczy utkwione w ziemię, a ona fruwała...

Przed każdym rogiem jego serce ściskała żelazna obręcz strachu. Może tu właśnie znajdzie Anne leżącą na wilgotnym bruku bez życia jak przeszyty strzałą gołąb... I za każdym rogiem ogarniała go fala ulgi, więc z nową determinacją podejmował poszukiwania. W miarę jednak jak kolejne godziny upływały bezowocnie, narastała w nim straszliwa pewność, że od niego uciekła.

Głowa pulsowała z bólu, w oczach mu się ćmiło. Mimo to nie ustawał - dopóki nie był zmuszony przyznać, że Griffin miał rację. Nie wiedział, dokąd iść, nie natrafił na żadne ślady. Wrócił więc tu, do swego mieszkania.

Wspiął się po schodach. Strach i poczucie klęski, jak nigdy dotąd, towarzyszyły każdemu krokowi. Wszedł do środka. Przyczłapała Spawling i wzięła od niego płaszcz.

- Dziękuję. Gdzie jest Griffin i lord Strand? - spytał ze znużeniem, nie spodziewając się dobrych wiadomości. Bez fałszywej skromności, zdawał sobie sprawę, że jest najlepszym tropicielem i najbardziej przenikliwym detektywem w Anglii. Jeśli on jej nie znalazł, nie znalazł nikt.

- Obaj dwa razy tu przyszli i wyszli z powrotem, sir. W gabinecie jest napalone. Powiem kucharce, żeby przygotowała panu coś do zjedzenia. - Spawling dygnęła i spiesznie odeszła.

Wszedł do gabinetu. Ogień trzaskał wesoło w kominku, drwiąc z jego udręki. Utkwił wzrok w płomieniach. Cienie i światła lizały mu twarz.

Boże, pozwól jej żyć, modlił się z głębi serca. Błagam. Błagam...

Usłyszał skrzyp frontowych drzwi. Griffin albo Strand, pomyślał obojętnie. W hallu dały się słyszeć lekkie kroki. Ktoś zatrzymał się pod drzwiami.

- Jack.

Odwrócił się gwałtownie. W otwartych drzwiach stała Anne, patrząc na niego wielkimi oczami, w których lśniło rozgorączkowanie i... Boże, bądź błogosławiony. Łzy.

- Jack, dobrze się czujesz? - wyszeptała.

- Tak. - Głos miał bardziej ochrypły niż zwykle. Teraz już dobrze.

Wbiegła do gabinetu i rzuciła mu się w ramiona. Przycisnął ją do siebie z uczuciem ulgi tak przemożnej, że omal nie upadł.

- O Boże - powiedziała dziwnie łamiącym się głosem, wodząc po jego twarzy wygłodniałym wzrokiem. - Tak się martwiłam. Myślałam, że ty... Och! - Obsypała pocałunkami jego policzki, oczy i usta. Zamknął powieki.

Nigdy w życiu nie przeżył nic takiego, takiej czystej radości... Uniósł ją w ramionach, trzymał ją mocno, nie mając najmniejszego zamiaru jej puścić, gdy wtem Anne zaczęła się wiercić w jego objęciach.

- Poczekaj! - wyszeptała. - O czymś zapomniałam. Poczekaj! - Wyciągnęła z kieszeni złożony we czworo arkusz papieru. Widniała na nim złamana, czerwona woskowa pieczęć.

- Zobacz, co znalazłam - powiedziała.

31

Jack powoli opuścił Anne na podłogę. Spojrzał na papier, który trzymała w ręce, a potem na nią.

- Czy to jest to, co myślę?

Skinęła głową z zapałem.

- Skąd go masz?

- Znalazłam u Jamisona. W jego gabinecie.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- Przyszedł tutaj, kiedy byłeś... - Rozpacz, jaka ogarnęła ją wtedy, kiedy ujrzała go leżącego nieruchomo, bez przytomności, znów chwyciła ją za gardło. Opanowała się jednak i powiedziała: - Bałam się, że możesz nie przeżyć.

W jej oczach było tyle udręki, że pogładził ją delikatnie po policzku.

- Przepraszam. - Zawsze przepraszał za swój własny ból. - Opowiedz mi o wszystkim.

Zrelacjonowała więc, co powiedział Jamison. A kiedy o tym mówiła, wpatrywał się pilnie w jej twarz, jak gdyby chciał przeniknąć jej myśli, jej serce. Już to zrobił, pomyślała oszołomiona.

- Jamison powiedział, że list znajduje się w posiadaniu Veddera - kończyła. - Zaproponował układ, jeśli zdołam go ukraść dla niego. Zgodziłam się. Gdy tylko wyszedł, capnęłam ubranie chłopca kuchennego i po rynnie wspięłam się na dach.

W twarzy Jacka błysnęło rozbawienie.

- I?...

- Wiedziałam, gdzie mieszka Vedder, i ruszyłam w kierunku jego domu. Ale przez cały czas coś nie dawało mi spokoju.

Parę niesfornych loczków opadło na czoło Anne. Jack odgarnął je i założył za uszy.

- Co takiego?

- Byłam już na dachu domu Veddera, kiedy uprzytomniłam sobie, co mnie niepokoi - ciągnęła. - Kiedy Jamison zaproponował, żebym ukradła list Vedderowi, powiedziałam, że nie będę potrafiła go znaleźć wśród papierów w jego gabinecie.

Jamison zniecierpliwił się i powiedział, że to pojedynczy, złożony we czworo welinowy arkusz z woskową pieczęcią. Ale przecież ty mówiłeś, że nikt nigdy tego listu nie widział.

- Moja mądra, mała złodziejka...

- Wiedziałam więc, że Jamison go widział, i pomyślałam, że skoro tak, to z pewnością nie wypuścił go już z rąk. A ponieważ umówiliśmy się, że obrabuję lorda Veddera - zrobiła skromną minkę i ściszyła głos - to nie spodziewał się, że obrabuję jego. Zrobiłam więc to.

Uśmiech Jacka był pełen podziwu.

- Gdzie byłaś, kiedy potrzebowałem pomocy w Wersalu? - Pokręcił głową. Nagle jego uśmiech zgasł i Jack spoważniał.

- Co się stało? - spytała niespokojnie.

Spuścił na nią wzrok.

- Mogłaś zginąć. Miałaś być zamordowana. Właśnie dlatego Jamison cię tam posłał. Podejrzewam, że miał to zrobić Vedder. Na szczęście, choć jest łajdakiem, nie jest mordercą. Co zapewne zdziwi Jamisona - zauważył ze szczyptą gorzkiego humoru. - Nigdy nie rozumiał dziwnej odrazy, jaką mają ludzie do zabijania swoich znajomych.

- Ale dlaczego chciał mojej śmierci, skoro wiedział, że nie mam i nigdy nie miałam tego listu? - spytała w pomieszaniu.

Położył jej ręce na ramionach.

- Bo jest obłąkany, Anne - stwierdził poważnie. - Myślę, że zabił Atwooda, by utrzymać w tajemnicy fakt, że sam posiada ten list. Ty jesteś jedyną osobą, która wie, że nie było go w szkatułce z biżuterią, którą ukradłaś. Tylko ty wiesz, że Jamison kłamał, a poza tym on chciał, żeby uważano, że list jest nie do odzyskania. Dlatego właśnie, kiedy już wkrótce miałem cię schwytać, Jamison zaczął wywierać na mnie nacisk, żeby cię zabić. Nie chciał, żebyś była przesłuchiwana.

Patrzyła mu w oczy. Oczy mordercy, myślała o nich na początku... A jednak nie potrafiła odnaleźć w nich teraz niczego, co budziłoby w niej lęk.

Jack delikatnie uniósł palcem jej podbródek.

- Nie zamierzałem tego zrobić, Anne. Nigdy nie miałem zamiaru cię zabić. Nie jestem mordercą, bez względu na to, co ci powiedział.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Twarz miał skupioną.

- Jaki układ zaoferował ci Jamison?

Próbowała umknąć spojrzeniem, ale on jej na to nie pozwolił. Trzymał mocno jej podbródek.

- Anne?

- Jamison obiecał mi, że jeśli ukradnę list, to pozwoli ci odejść - odparła niewyraźnie.

- A ty mu uwierzyłaś? - Jack zmarszczył czoło ze zdumienia. - Ale cóż - podjął -

nie znasz go tak jak ja. On nigdy z własnej woli nie rozluźni więzów, jakie w swoim mniemaniu na mnie nałożył.

- Musi - powiedziała pełna obawy. Byli tak blisko siebie... Coś cudownego, rzadkiego, ulotnego zdawało się być w zasięgu ręki. Nie pozwoli Jamisonowi tego zburzyć.

- Nie, wcale nie musi. - Jack potrząsnął głową. - Nie musi mi niczego ani rozluźniać, ani zacieśniać. Bo ja nie należę do niego, Anne. Nie jestem jego tworem. Już dawno temu spłaciłem cały dług, jaki miałem wobec niego. On nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ja tak. Mogę odejść w każdej chwili.

- Naprawdę? - szepnęła. Rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć.

- Tak - rzekł pochmurnie. - Przykro mi, że z powodu złudzeń Jamisona naraziłaś na niebezpieczeństwo swoje życie. Ale, Boże jedyny, wiedzieć, że... - urwał. Powoli, niechętnie odsunął dłoń od jej twarzy.

Martwiła się o niego. Ryzykowała życiem, by go uratować... Kiedyś myślał, że chciałby być jej rycerzem w lśniącej zbroi. Nigdy nie przypuszczał, że jej przypadnie ta rola, że Anne w jego obronie stawi czoło smokowi ucieleśnionemu w osobie Jamisona.

Świat stał się nagle nieznany, obcy, aż nazbyt kruchy, aż nazbyt cenny. Nigdy tak bardzo nie pragnął żyć, jak w tej chwili. Każdą sekundę, jakiej udzielą mu niebiosa, pragnął spędzić z nią.

Spojrzał jej w twarz, tak drogą i tak niepewną. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co mu dała. Być może nie zdawała sobie nawet sprawy, do czego się właśnie przyznała.

Musiał być ostrożny. Musiał być cierpliwy.

- A wszystko z powodu tego listu - wyjaśnił w nadziei, że w ten sposób uda mu się odsunąć pragnienie, by porwać ją w ramiona. Nie wolno mu jej przestraszyć. - Myślę, że powinniśmy zobaczyć, co w nim jest, prawda?

- Tak. - Podeszła do stołu, który służył mu za biurko. - Trochę tu za ciemno.

Wziął stojącą na kredensie lampę i podniósł ją wysoko, by oświetlić blat stołu. Anne ostrożnie rozłożyła wykwintny welinowy arkusz barwy kości słoniowej.

Nagłówek i parę ciemnych linijek skreślonych było eleganckim, zdecydowanym pismem. Jack podejrzewał, że Atwood występował w roli skryby Jego Królewskiej Mości. Ale wątły inicjał, nagryzmolony u dołu, był niewątpliwie dziełem królewskiej ręki, nawet jeśli był to tylko inicjał.

Wspólnie przeczytali list. Anne pierwsza podniosła wzrok.

- Czy możliwe, że właśnie z tego powodu zginął lord Atwood? Że za utrzymanie tego w sekrecie chce mnie zabić Jamison? - spytała zdumiona. Ale cóż, Anne nie wiedziała nic o tajnych agencjach, o intrygach politycznych, o mocy pomówień i insynuacji. - O Boże... Co my z tym zrobimy?

- Dopilnujemy, żeby został doręczony.

*

Był już prawie świt, kiedy Jack zakończył wydawanie rozporządzeń i wysyłkę wiadomości. Anne spała, zwinięta w kłębek na kanapie. Jej głęboki, równy oddech dotrzymywał mu towarzystwa w ciągu długich, samotnych godzin nocy.

Raz jeden, tuż po północy, wśliznął się Griffin. Przyniósł dzbanek wody i ręcznik i w milczeniu wyszedł. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że jego chybiona lojalność omal nie kosztowała Jacka utraty jedynej rzeczy w jego życiu, którą naprawdę cenił.

Jack, znużony, potarł kark i podniósł się z krzesła. Oczy go bolały, usta miał jak z bawełny. I pachniał brzydko, uświadomił sobie, wciągając powietrze.

Zdjął koszulę, cisnął ją na krzesło i napełnił miednicę chłodną wodą. Z rozkoszą zanurzył w niej dłonie. Starając się zachowywać cicho, opłukał twarz i górną część tułowia, zmył zaschłą krew i brud oraz wytarł się ręcznikiem. W ciemnym pokoju panował chłód. Jack dostał gęsiej skórki.

Na palcach podszedł do okna i rozsunął ciężkie zasłony. Blask słońca wtargnął do niewielkiego pomieszczenia. Wlewało się przez szyby, nasycając wszystko złotem, wymiatało cienie i wszystkie przedmioty, obdarzało barwą i ciepłem. Nawet powietrze zdawało się iskrzyć i tańczyć, mikroskopijne pyłki kurzu krążyły leniwie w smugach światła.

Jack uniósł twarz, rozkoszując się łagodnymi promieniami, ogrzewającymi zziębnięte ciało. Z niewysłowioną rozkoszą wciągnął w płuca ciepłe, rześko pachnące powietrze. Zbyt wiele życia minęło mu w ciemności, w mroku. Łaknął światła.

Stał tak, rozkoszując się słonecznym ciepłem, gdy wtem poczuł dotyk Anne. Powoli uchylił powieki, jak gdyby w obawie, że to sen, który zniknie wraz z otwarciem oczu. Nie poruszył się, gdy jej dłonie muskały jego ramiona, a potem ześliznęły się na pierś.

- Anne.

Odwrócił się i zobaczywszy ją, zaniemówił. Zaparło mu dech.

Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział jej w świetle dnia. Wszystkie ich spotkania miały miejsce pod osłoną nocy: o zmroku, tuż przed świtem albo w najczarniejszej godzinie północy. Teraz jednak stała w słońcu - i była piękna.

Włosy miała nie czarne, ale sobolowe, lśniące bujnymi, obfitymi pasmami na tle białej koszuli. Jej twarz przesycał najsubtelniejszy odcień różu, niczym serce morskiej muszli. Tylko oczy były takie same w jasności i w mroku - w kolorze indygo.

- Anne - powtórzył.

- Tak? - Głos miała dziwny, jakby odległy.

- Obejmuj mnie, Anne. - Nie zamierzał tego powiedzieć, ale najwyraźniej to właśnie należało powiedzieć, gdyż jej słodkie, łagodne usta, które zdumiewały w

tej surowej, urodziwej twarzy, rozchyliły się w prześlicznym uśmiechu.

- Tak.

Uniosła ręce i powoli przesunęła dłońmi po jego piersi. Westchnął z rozkoszą. Powolnym, miękkim ruchem dłonie Anne ześliznęły się w dół, na brzuch, kciuki wsunęła za pas jego spodni.

- Jack? - W jej lekko zdyszanym głosie brzmiało wahanie.

- Tak?

- Kochaj mnie. - Wypowiedziała te słowa z radosnym zachwytem, delektując się ich treścią. - Kochaj mnie.

- Tak.

Otoczył ją ramionami, zagarnął w objęcia i nakrył ustami jej usta. Anne zakręciło się w głowie od bogactwa własnej reakcji, od słodkiej uległości, z jaką rozchyliły się jej wargi. Całował ją, jakby chciał wyssać jej duszę.

Nie pytał, dlaczego ona tego chce. Nie chciał wiedzieć. Mogła opuścić go jutro albo w chwili, gdy ich plan wyda owoce. Mogła chcieć ugasić swoje pragnienie w nadziei, że kiedy zostanie ugaszone, będzie mogła odejść. Mogła próbować wyprzeć się swoich uczuć do niego. Jakiekolwiek były jej racje, nie chciał ich znać.

To mogłoby go zniszczyć.

Ujął w dłonie jej głowę i przycisnął do piersi. Przesunęła ustami po jego obojczyku, muskając go delikatnymi pocałunkami, otarła atłasowy policzek o jego szyję. Jej ogrzane słońcem włosy wśliznęły się pod podbródek Jacka i zaplątały w kiełkujący zarost.

Szarpnęła go lekko za kark. Spojrzał w dół. Uniosła ku niemu twarz. Pragnęła więcej pocałunków. On też.

Jej usta były zmysłowym przekupstwem. Przez chwilę delikatnie żuła jego dolną wargę, dotknęła koniuszkiem języka kącików ust, a kiedy jęknął, wtargnęła do gorącego wnętrza. Nie był w stanie dłużej się hamować. Całe jego ciało drżało z wielkim wysiłkiem i starało się zachować samokontrolę. Jeśli chodziło o nią, nigdy nie umiał się kontrolować. W tej chwili też.

Zapętlił ramiona wokół jej talii i przyciągnął bliżej jej biodra. Wygięła się w łuk, by zwiększyć nacisk. Zagryzł wargi, czując najeżoną bólem rozkosz. Członek stał się twardy jak skała. Instynktownie otarła się biodrem.

Chwycił ją za ramiona i spojrzał w oczy.

- Pragnę cię. Chcę być w tobie. Chcę być w tobie głęboko, tak żebym czuł twoje tętno, twój oddech.

W odpowiedzi rozluźniła uścisk i zaczęła powoli rozpinać koszulę. Kiedy skończyła, nieśmiało podniosła wzrok. W rozcięciu widać było głęboką dolinkę między piersiami, ale brodawki nadal były zakryte.

Chciał ją widzieć nagą. Odgarnął poły koszuli, odsłaniając niewielkie, krągłe piersi. Powiódł kciukiem po brodawce... Aksamitna, nieco grubsza w tym miejscu

skóra, nieco twardsza, stworzona po to, by ją ssać.

Przytrzymała jego rękę, wpatrując się w niego, nagle jakby skrępowana.

Czy chce, żeby przestał? Nie zrobi nic, czego by ona nie chciała... Cofnął dłoń i przyciągnął Anna do siebie. Lubi pocałunki. Dobrze, będzie więc ją całował, dopóki obojgu im nie zbraknie tchu.

Odpowiedziała żarliwie, z zapałem. Języki splątały się w pełnej żaru intymności, dzikiej i natarczywej. Ale wciąż jednak coś było nie tak. W jej reakcji był odcień desperacji, pocałunki zdawały się błagalne. Podniósł głowę.

- Czego chcesz? - spytał, wpatrując się w jej niezgłębione, szafirowe oczy. - Jak mogę sprawić ci przyjemność?

Zaczerwieniła się. Intensywny róż zalał ją od czubków piersi po szyję i policzki.

Odwróciła wzrok, najwyraźniej zdenerwowana. Ogarnęła go czułość i gorączkowe pragnienie, by ją chronić.

- Twoje usta - wykrztusiła. Uniósł rękę i przebiegła leciutko palcami po jego wargach. - Całowałeś mnie.

- Tak - szepnął.

Odwracała od niego wzrok, ale jej ręka zsuwała się powoli w dół. Lekko potarła własną brodawkę.

- Tutaj.

O Boże... Słyszał, jak z gardła wyrywa mu się jęk pożądania.

- Och, Jack - szepnęła żałośnie - o tyle łatwiej być złodziejką. Kiedy mam na twarzy maskę. Złodziejka może być śmiała. Może brać, co chce... co chcę...

Wraz z rozpalonym do białości pożądaniem, jakie wzbudziły w nim jej słowa, narastało mgliste, niejasne podejrzenie.

- Anna - powiedział cicho, wpatrując się w nią intensywnie - czy Mateusz nie pytał, co ci sprawia przyjemność?

Potrząsnęła głową. Zmarszczył brwi. Wiedział, że wyższe klasy trzymają się dziwnych, podobno masochistycznych rytuałów, jeśli chodzi o małżeński seks, ale do jakiego stopnia hołdował im Mateusz?

- Czy żądał od ciebie czegoś - Jack starał się mówić spokojnie -z czym czułaś się niezręcznie?

- Nie.

Pohamował odruch ulgi.

- Czy mówiłaś mu kiedykolwiek, co lubisz, co sprawia ci przyjemność? - Zawahał się. - Czy próbował sprawiać ci przyjemność?

- O Boże, tak. - Zaledwie ją słyszał. - Ale...

Nie rozumiał.

- Ale co, Anne? - Odgarnął loczek z jej czoła. - Co?

- Nie robiliśmy tego, co ty i ja... On czasem nie mógł... - Zamilkła. Po chwili jednak dodała: - Był taki delikatny... i bałam się, że mogę go urazić... Nie

wiedziałam, co on... kiedyś spróbowałam sprawić mu przyjemność i był przerażony. - Brnęła dalej. - To nie było to, czego oczekiwał ode mnie. To nie była miłość. Powiedział, że to tylko żądza. Więcej tego nie robiłam. - Błagała go oczami o zrozumienie.

Rozumiał. Rozumiał aż za dobrze. Nic dziwnego, że tak gwałtownie reagowała na jego dotyk... Była spragniona miłości fizycznej. Choć dobrze wiedziała, co to akt seksualny, nigdy nie celebrowała jego czystej zmysłowej radości.

- Ja nie jestem święty, Anna - powiedział. - Zjadłbym cię, gdybym mógł. Chcę delektować się twoim ciałem i chcę, żebyś ty delektowała się moim. Chcę słyszeć, jak dyszysz mi w ucho i jak wołasz moje imię. Chcę, żebyś wykorzystała moje ciało do własnej rozkoszy, bo to zwiększa moją rozkosz. Wezmę od ciebie wszystko, na co mi pozwolisz, a potem pewnie wezmę jeszcze więcej. Tego właśnie chcę, Anna. A czego chcesz ty?

Nie wahała się.

- Ciebie.

Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę.

- Czasem - powiedział, zaciskając szczęki - będziemy musieli kochać się w łóżku.

Kanapa stała tyłem do okna; światło tu nie dochodziło. Odwrócił ją i ustawił tak, by padał na nią słoneczny blask.

- Chcę cię widzieć, chcę cię czuć, całe twoje ciało na moim - rzekł szorstko. Złożył ją na grubych, pękatych poduszkach i na jej oczach rozpiął spodnie. Ściągnął jeden, a potem drugi but. W końcu wyłuskał się ze spodni i stanął przed nią.

Mięśnie Jacka były smukłe i prężne. Szerokie ramiona kontrastowały z wąskością bioder. Był piękny, potężny i męski. Jest piękny jak ogier pełnej krwi, pomyślała Anna. Prosty jak pika i zahartowany jak stal.

Wiedział, że ciało ma pokryte bliznami. W niektórych miejscach złamane kości nie zrosły się prawidłowo. Skóra była twarda jak jucht, no i nie był już młody. Aleją kochał. Pragnął jej. Wyciągnął ręce, rozpostarł dłonie.

- Taki jestem. Jestem twój.

- Kochaj mnie - powiedziała. Właśnie tego chciała... Tego, czego zaznali już wcześniej, tego przenikania się fizycznego pożądania i rozkoszy serca. - I pozwól mi kochać ciebie.

Ujął jej twarz w obie ręce, uniósł kciukami podbródek i jeszcze raz ucałował długim, pełnym żaru pocałunkiem. Chwyciła go za ramiona i pociągnęła, aż padł obok niej, przerywając pocałunek.

Powoli rozebrał ją, wyłuskując z koszuli i ściągając z bioder luźne, workowate spodnie. Jego dłonie były wszędzie: prześlizgiwały się, gładziły, polerowały... Dotykał jej w tysiącach miejsc i na tysiąc sposobów. A kiedy znużyły się ręce, usta przejęły ich rolę.

Muskał nimi każdy cal jej obnażonego ciała, wszeptywał czułości w brzuch, wyczuwał pulsowanie wewnętrznej strony ud, skubał delikatnie napięte ciało pod sutkami. W końcu wziął w usta brodawkę i zaczął ssać. Drgnęła i całe jej ciało wygięło się w łuk.

- Tak - szepnął, odpowiadając na jej niemą prośbę.

Przetoczył się na plecy, trzymając ją nad sobą, i posadził ją okrakiem na swoim zwartym, muskularnym ciele. Z oczami w jej oczach sięgnął w dół, pomiędzy nich, i umieścił główkę członka na wprost jej kobiecego otworu.

- Weź mnie w siebie. Weź wszystko moje, co tylko chcesz - powiedział napiętym głosem.

Jego słowa wyzwoliły w niej poczucie niezwykłej mocy. Opadła na jego drzewce, syknąwszy lekko, gdy przystosowywała się do jego grubości i rozmiaru.

- Chcę ciebie - powiedziała. Poruszyła się, próbując wchłonąć go jeszcze bardziej. Zacisnął dłonie na jej biodrach. Drżał pod nią, wypełniał ją, mocny i twardy, i jej.

- Jest coś więcej - powiedział. - Znacznie więcej. - I zaczął się poruszać, unosząc i opuszczając biodra, pozwalając, by teraz ślizgała się lekko wzdłuż jego trzonu.

- Więcej - zażądała, zdumiewając siebie samą. Uśmiechnął się leniwie, triumfująco, i podporządkował się życzeniu. Pchnięcia stały się silniejsze, głębsze, twardsze. Przyjęła jego rytm, wspierając dłonie o jego płaski, falujący brzuch. Rosło w niej napięcie. Uczucie, że spełnienie jest blisko, że niewiarygodna rozkosz jest tuż tuż, w zasięgu ręki, stawało się nie do zniesienia.

- Boże, już nie mogę... - szepnął.

Spojrzała na niego. Pot pokrywał jego ciało. Twarz miał napiętą, dziką i zdeterminowaną.

- Więcej - powiedziała.

Jack zaśmiał się. Śmiech zmienił się w jęk. Wyglądała tak ponętnie i nagląco, nabita na jego penis, z twarzą napinającą się przy każdym pchnięciu... Doprowadzała go do szaleństwa.

A więc chciała jeszcze więcej, tak? Znów się przetoczył i nakrył ją sobą. Splótłszy palce z jej palcami, rozciągnął jej ramiona ponad głową i trzymał. Dyszała lekko. Jej źrenice były jak gwiazdy z onyksu.

- Chcesz więcej? - spytał ochryple.

- Tak - szeptała.

- Tak - powtórzył jak echo i pchnął. Mocno.

Westchnęła lekko. Pchnął jeszcze raz. Westchnienie zmieniło się w niski, koci pomruk satysfakcji.

- Proszę... Potrzebuję tego - mruknęła, wychodząc biodrami naprzeciw jego pchnięciom, cała napięta. - Proszę... To za wiele.

- Nie.

Poruszał się długo, wchodząc i wychodząc z jej ciała, i za każdym razem, gdy

czuł, że jest bliska szczytu, wycofywał się, czekając, aż to przeminie. A potem zaczynał od nowa.

Nie raz, ale trzy razy doprowadzał ją do krawędzi spełnienia. Wreszcie, za trzecim razem, otworzyła nagle oczy. Gorączkowy, oskarżycielski wzrok padł na jego twarz.

- Teraz - powiedziała wyzywająco i uwolniła ręce z jego chwytu. Oplotła ramionami jego kark i uniosła się, przywierając piersią do jego piersi i oplatając uda wokół jego bioder. Głęboko w niej, czuł, jak jej mięśnie zaciskają się wokół niego jak gorąca, wilgotna, jedwabista pięść.

- Tak.

- Tak - odpowiedziała jak echo, podrzucając biodrami.

Jeszcze tylko jedno pchnięcie, pomyślała dziko. Tylko jedno pchnięcie. Jeszcze tylko parę sekund. Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając mocno zaciśnięte zęby.

Był taki silny i piękny, górujący nad nią, z twardą, płaską piersią. Jego czerwoną z wysiłku szyję oplatały jak węże, nabrzmiałe krwią żyły. Załkała, gwałtownie podrzucając biodrami, by położyć wreszcie kres temu niekończącemu się pragnieniu.

- Jack! - Desperacka nuta w jej głosie przywołała go z jakiejś wewnętrznej przestrzeni, w którą się oddalił. Otworzył oczy.

- Tak - wycharczał. - Anne. Moja.

Uniósł ją, oplatając ramiona i pchnął głęboko po raz ostatni. Długi dreszcz wyzwolenia przebiegł jego ciało, wyzwalając i ją, rzucając w zawrotny, ślepy wir czysto zmysłowej rozkoszy.

*

Tuląc ją w objęciu, obwiódł koniuszkiem palca zarys jej skroni. Oddychała płytko; na jednej piersi miała ślady zadrapań od jego brody. Będzie żyła. Chciałby móc powiedzieć to samo o sobie... Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przeżył coś, co dałoby się porównać z tym, co dzielili przed chwilą.

Uchyliła powieki. Oczy miała lśniące, nasycone.

- Kocham cię. - Nie zdawał sobie nawet sprawy, że to wypowiedział, dopóki nie spostrzegł, że słowa te odbiły się w jej oczach. Cień zasnuł ich blask, potem ból, i wreszcie znowu stały się lśniące - tym razem od łez. Przeklął siebie samego. Jak mógł być taki tępy, taki nierozważny...

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie warto płakać, Anne. Niewiele we mnie zostało serca, którym mógłbym kochać. Moje serce to nieurodzajny krajobraz. Wyschnięta sieczka, nic więcej.

Ten kiepski dowcip nie wywołał na twarzy Anne uśmiechu. Wywołał tylko obfitsze łzy. Już dawno, dawno temu nic go tak nie zraniło.

- Nie płacz, Anne. Nasze małżeństwo zostało zawarte zgodnie z prawem, ale nie będę usiłował zatrzymać cię przy sobie wbrew twej woli. Jesteś wolna i możesz

odejść, kiedy chcesz i dokąd chcesz. Nie wyciągnę ręki, żeby cię zatrzymać, nie zawołam: „Wróć”. Nie martw się, Anne, nie proszę cię, żebyś mnie kochała.

Uniosła dłoń i słabą piąstką uderzyła w jego pierś. Patrzył na nią w zdumieniu.

- Ty idioto - powiedziała, łkając - ja nie płaczę dlatego, że cię nie kocham, tylko dlatego, że cię kocham. Kocham. I dlatego, że nie wiedziałam, że potrafię kochać.

32

Nic nie wydawało się nigdy tak ważne ani tak kruche. Musi być ostrożny, musi być tak przezorny i mądry, jak zawsze dotąd.

- Czemu tak myślałaś? - spytał. Na jej nagim ciele, gdy zabrakło na nim żaru jego ciała, pojawiła się gęsia skórka. Podniósł koszulę i okrył nią jej ramiona.

- Dlaczego myślałaś, że jesteś niezdolna do miłości? - powtórzył cicho.

Otarła palcami łzy.

- Bo poślubiłam świętego i nie kochałam go.

Czekał, zachowując ostrożne milczenie.

- A zakochałam się w człowieku, który mnie ścigał, w człowieku nasłanym, żeby mnie zabił. To niewłaściwe.

Na pozór od niechcenia włożył jej rękę w rękaw koszuli. Serce biło mu mocno w piersi.

- Dlaczego to mówisz?

- Bo tak jest. - Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby udawał, że jej nie rozumie. - Poślubiłam Mateusza, bo był przystojny, bogaty i tak strasznie niedostępny.

- I dlatego, że go kochałaś - powiedział spokojnie.

- Myślałam, że go kocham - odparła. W jej oczach odbiło się zmieszanie.

- Ale on ci nie wierzył.

Wciągnął rękaw na jej drugie ramię i zaczął zapinać koszulę. Podniosła oczy. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

- Skąd wiesz?

- Słuchałem. Byłem zainteresowany tematem z dość osobistych względów - powiedział z krzywym uśmieszkiem - i starałem się połączyć to, co wiedziałem o Anne Wilder, co słyszałem o Anne Tribble i co rozpoznałem u złodziejki. Od czegoś uciekałaś. Powoli zaczynałem podejrzewać, że od ideału, któremu byłaś poślubiona. Albo od jego trupa.

Próbowała wyrwać się z jego objęć, ale Jack wcale nie zamierzał jej wypuścić.

- Najwyraźniej uważasz się za odpowiedzialną za śmierć twojego małżonka. A może powinniśmy nazywać to tak, jak on chciał, żebyś nazywała - samobójstwem?

Zacisnęła powieki. Co za udręka - widzieć ten ból na jej twarzy... Jack w milczeniu przeklął Mateusza Wildera.

- Na początku było jak w baśni - zaczęła mówić Anne. Oczy wciąż miała zamknięte; słowa wychodziły z jej ust powoli, jak gdyby mogły ją zadławić. - Robił dla mnie wszystko. Wszystko. A jedyne, czego oczekiwał, to żebym go

kochała. Myślałam, że kocham. - Na czole pojawiły się zmarszczki konsternacji. - Ale on coś dostrzegał, w jakiś sposób wiedział, że to nie była prawdziwa miłość, że to, co czułam, nie było prawdziwe, bo wątpił w to niemal od samego początku.

- Tak?

- Pytał mnie, czy go kocham. Przez cały czas mnie pytał, czy go kocham. - W jej głosie pobrzmiewało echo tamtego nieustannego molestowania. - Ale kiedy odpowiadałam, że tak, był zraniony i nieszczęśliwy.

- Dlaczego?

- Mówił, że gdybym go naprawdę kochała, nie potrzebowałby o to pytać. A jednak, kiedy powiedziałam, że go kocham, zaczynał sondować, robił się podejrzliwy, dopytywał, czy jestem tego pewna. A wtedy...

- A wtedy już nie byłaś pewna - dokończył Jack. I on myślał, że tylko Jamison jest potworem... - A jak na to reagował? Wycofywaniem się?

Anne gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie! Nie... - Na jej twarzy pojawił się wyraz skrajnego wyczerpania. - Od nowa zaczynał swoje zaloty. Dawał mi prezenty, zabierał w podróż, otaczał nieustanną uwagą. Robił wszystko, co w jego mocy, żebym go pokochała.

Jej głos stawał się coraz bardziej bezbarwny, pozbawiony życia.

- W końcu uznał, że jestem niezdolna do miłości. Że nigdy nie będę w stanie odwzajemnić choćby cząstki tego uczucia, jakie on miał dla mnie. Ponieważ nie jestem w pełni szlachetnie urodzona, rozumiesz. A ludzie mojego pokroju nie potrafią przeżywać emocji w takim samym stopniu, jak ci, w których żyłach płynie błękitna krew.

- Nienawidził cię? - spytał Jack. Pierś gniótł mu ciężar. Czekał, że fala bólu omyje go i przeminie. Ale ból wciąż narastał.

- Nie. - Znów potrząsnęła głową i ciasno oplotła własne ciało ramionami. Zapatrzyła się w przestrzeń, w jakąś odległą przeszłość, a kiedy zaczęła mówić, w jej głosie czuło się jakąś gwałtowność. - Wciąż mnie kochał. Ten mój defekt nie miał wpływu na jego... - urwała w poszukiwaniu właściwego słowa.

- Wyższość? - poddał cicho Jack.

- Tak - skinęła głową. - Myślę, że tak to można określić, chociaż on sam nigdy by tego tak nie nazwał. To było jego przekleństwo, mówił. To, że kocha bardziej, niż jest kochany. Ale byłby żył z tym przekleństwem. Po prostu żylibyśmy już tak na zawsze.

Patrzyła na niego oczami zapędzonego w kąt zwierzęcia.

- Ale ja nie mogłam żyć w ten sposób! - wykrzyknęła. - Któregoś dnia, po jednej ze scen, powiedziałam mu, że nie będę go więcej ranić moją obecnością i że dość już oboje wycierpieliśmy. Powiedziałam, że wracam do ojca. Błagał mnie, żebym tego nie robiła. Przysięgał, że nie może beze mnie żyć. Jack, ale ja nie mogłam dłużej zostać! To mnie zabijało! Powiedziałam mu to.

- I odeszłaś - powiedział Jack.

- Nie było mi dane. Mateusz jako młodzieniec spędził parę lat w marynarce i miał jakieś koneksje w Admiralicji... nie wiem... - Odgarnęła włosy z twarzy. - W ciągu tygodnia zdołał jakoś załatwić sobie rangę kapitana i dowództwo okrętu. Jack, on nie był stworzony do dowodzenia! Poprowadził swoją załogę do katastrofy, a siebie samego do śmierci.

Narcystyczny głupiec... Ile wysiłku włożył w to, żeby ukarać Anne, wpoić jej przekonanie, że prowadzi niewinnych mężczyzn do zguby! No cóż, udało mu się to znakomicie, doprawdy. Pewnie jest to dla niego pociechą w piekle, w jakimkolwiek jego zakątku się znajduje.

- Naturalnie napisał list. - Czuł, że szczęki sztywnieją mu z wściekłości. Wiele zła widział w swoim życiu. Ściskał dłonie wielu demonom, rozmawiał z szatanem w najrozmaitszych przebraniach. Myślał, że zna wszystkie jego postaci - a oto miał do czynienia z jeszcze jedną, dotąd nieznaną.

- Tak. - Anne skinęła głową.

Nie musiała nawet mówić, co było w liście. Na pewno lekko zawoalowane oskarżenia, sugestie, że gdyby była inna, gdyby się bardziej starała, to nie popadłby w rozpacz. A potem długie, czułe zapewnienia o nieśmiertelnej miłości i modły o jej szczęście. Jack czuł się wprost fizycznie chory.

- I on twierdził, że to, co czuł do ciebie, to była miłość? - spytał z niedowierzaniem.

Anne podniosła na niego zdumiony wzrok. Wyczuwała jego furię.

- Tak.

- Mateusz cię nie kochał, Anne. Chciał posiąść twoją duszę, a kiedy mu się nie udało, zapragnął ją zniszczyć. I, niech go piekło pochłonie, prawie mu się to udało.

- Nie, Jack - powiedziała ze smutkiem, potrząsając głową. - On nie był demonem. Po prostu chciał ode mnie czegoś, czego nie mogłam mu dać.

Nie przekona jej o złej woli Mateusza. Zrani ją, jeśli będzie próbował... Powiedział jej więc to, co potrzebowała usłyszeć - zwykłą prawdę.

- Anne, nikt nie mógł dać mu tego, czego on chciał.

Utkwiła w nim wzrok. Długi dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Wyprostowała się, jak gdyby przygotowując się do przyjęcia werdyktu.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nie powiedziałam ani słowa, nie zdradzałam tego nawet sama przed sobą, ale, Jack... - Powoli odwróciła głowę, nieruchome spojrzenie utkwiła w przestrzeń. - Ja nienawidziłam życia z nim. Nienawidziłam prezentów i przyjęć, i podróży, i sukni. - Z każdym słowem jej głos nabierał mocy i pasji. - Nienawidziłam jego oskarżycielskich spojrzeń i jego milczącego cierpienia. Nienawidziłam jego błagalnych łkań i napadów złości. Nienawidziłam jego adoracji. Dusiła mnie, miażdżyła, tłamsiła mi duszę. Starałam się nie dopuszczać do siebie tej nienawiści. - Wpiła palce w ciało i kołysała się w tył i w przód. - Boże,

zlituj się... Starałam się nie nienawidzić go!

Łzy potoczyły się jej po twarzy. Nawet nie próbowała ich ocierać. Pozwoliła, by płynęły gorącymi, słonymi strumieniami.

- Wszystko dobrze, Anne.

- Przysięgam, przysięgam na Boga, nie chciałam jego śmierci! Wszyscy dookoła mówili mi, jakie mam szczęście, że jestem tak uwielbiana. Zazdroszczono nam. Widziałeś to, Jack. Zazdroszczono mi, a ja zamieniłabym się na miejsce z każdym, kto mi zazdrościł!

- Wiem - mruknął.

Anne szlochała, zakrywając twarz rękami. Łagodnie przyciągnął ją do siebie i objął. Przywarła do niego i płakała już ciszej, a łzy wypłukiwały z niej wreszcie truciznę winy i wyrzutów sumienia. Po chwili podniosła głowę i poszukała wzrokiem jego twarzy.

- Jack - powiedziała. - Kocham cię.

Starannie rozważył możliwe odpowiedzi: przysięgi miłości, obietnice na przyszłość, gwarancje wierności, zapewnienia, że jej ból przeminie. Ale nie mógł jej zagwarantować żadnej z tych rzeczy poza pierwszą, a to już przecież wiedziała. Tak więc udzielił jej w końcu jedynej odpowiedzi, jakiej mógł, i okazała się ona najbardziej ze wszystkich uzdrawiająca.

- Wiem - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Wiem.

I Anne się uśmiechnęła.

*

Dłoń Anne spoczywała lekko na przedramieniu Jacka, gdy prowadził ją długimi, pustymi korytarzami Pałacu Windsor. Grobowa cisza zalegała stary pałac, choć pośród komnat i sal krzątały się pospiesznie dziesiątki służących i urzędników, wytrwale wykonujących monumentalną pracę konieczną do codziennego funkcjonowania pałacu.

Podeszli do zamkniętych drzwi. Stojący obok nich lokaj w liberii skłonił się i wprowadził ich za sobą do środka.

- Pułkownik Henry John Seward z małżonką - zaanonsował głośno.

Wewnątrz niewielkiej, z przepychem urządzonej komnaty stał za krzesłem potężnie zbudowanego, łysego mężczyzny urodziwy młody lokaj. Dalej w głębi stał Jamison, wsparty ciężko na swojej lasce ze srebrną główką. Na samym końcu pokoju, kuląc pod łachmanami zwiędłe, zgarbione ciało, przycupnęła Mary Cashman. Wypatrzyła Anne i rzuciła się ku niej.

- Ten łysy dżentelmen przyszedł do mnie do domu, pani Wilder. Myślałam, że jest z Admiralicji i że w końcu dadzą mi zaległy żołd mojego Johnny'ego, ale oni przyprowadzili mnie tutaj. Boję się...

- Wszystko będzie dobrze, pani Cashman - powiedziała uspokajająco Anne. - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie mogłaby pani usiąść, zanim się to wszystko

wyjaśni. - Podprowadziła wystraszoną kobietę do niewielkiego wyścielanego krzesła, poprosiła, by usiadła, i poczekała, aż Anne przyniesie jej coś do picia.

Wróciła do Jacka.

- Jak sądzisz, Jack, czy ten lokaj mógłby przynieść coś dla pani Cashman...

- Bastard.

Anne odwróciła się gwałtownie. Boleśnie, powoli odmierzając krok za krokiem, zbliżał się ku nim Jamison.

- Niewdzięczny, niepoczciwy bastard - powtórzył zimno.

Anne, zaalarmowana, podniosła wzrok na Jacka. Nawet cień emocji nie zadrgał na jego szczupłej twarzy. Żadnego bólu ani zranienia.

- Tak, sir - powiedział.

- Czy wiesz, co zrobiłeś? - Jamison nie raczył poświęcić jej choćby przelotnego spojrzenia. Była dla niego doskonale nieistniejąca. Liczył się jedynie Jack. I list.

Po raz pierwszy Anne zdała sobie sprawę, że na swój własny, pokrętny sposób Jamison troszczył się o Jacka, tak jak człowiek troszczy się o będący jego własnością przedmiot o ogromnej, niemożliwej do zastąpienia wartości.

- Wiesz? - powtórzył pytanie Jamison.

- Tak, sir - odparł spokojnie Jack. - Dopilnowałem, by pewien prywatny list dotarł do celu.

- Posiadacz tego listu mógł obalić rząd.

- Wątpię w to, sir.

- Nie czytałeś go? - spytał z niedowierzaniem. Głos miał zniżony; ktoś, kto by stał za Anne, nie zdołałby dosłyszeć jego słów. - Wiesz, co sugeruje ten list? Sugeruje, że rząd, za wiedzą rodziny królewskiej, świadomie powiesił niewinnego człowieka.

- Co też istotnie zrobił.

- Nie o to chodzi - rzekł ze złością Jamison, stukając trzcinką o podłogę. Nagły, ostry dźwięk odbił się echem w rozległym milczącym pokoju. - Trzeba było dać przykład tym buntownikom. John Cashman nie został skazany na podstawie spreparowanych dowodów. On naprawdę był w tym sklepie rusznikarza.

- John Cashman w czasie dokonywania swojej rzekomej zbrodni był pijany, zły i nie w pełni władz umysłowych. Widziałem, jak go wieszano, wie pan o tym. - Anne usłyszała, jak nitka gniewu, rozżarzona do białości, wplata się w chrypliwy głos Jacka. - Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę zamierza pan dopuścić do jego śmierci. Poszedłem więc i byłem świadkiem pańskiej niegodziwości.

- Ba! - Jamison okręcił się i ruszył przed siebie, zamierzając odejść, kiedy jednak Jack nie zawołał go, zatrzymał się i odwrócił ku niemu. - Ten list może zniszczyć nas wszystkich. Byłbym go właściwie wykorzystał. Miałbym dzięki niemu zapewnioną pozycję, mógłbym dokonać wielkich rzeczy.

- Powiedziałem już, że chyba bardzo przecenia pan jego znaczenie.

- Czyś ty oszalał? - spytał Jamison.

Jack odpowiedział mu chłodnym, pozbawionym emocji spojrzeniem.

A więc w taki sposób udało mu się przetrwać, pomyślała Anne. Pogrzebał sam siebie; ukrył swoje człowieczeństwo przed tym wcieleniem zła.

- No cóż, zrobiłeś to, Jack. - Jamison potrząsnął głową. - Zrobiliście to oboje z żoną. - W spojrzeniu, jakie rzucił na Anne, było coś takiego, że zadrżała. Musiało to uderzyć i Jacka, gdyż przysunął się bliżej. Jamison zauważył jego opiekuńczy gest. Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że ten szlachetny gest jest zasłużony, Seward. Mam nadzieję, że...

- Jego Wysokość Król.

Na dźwięk tych słów wszystkie głowy zwróciły się ku niewielkim drzwiom w tylnej części komnaty. Wszedł lokaj, a za nim potężnie zbudowany młodzieniec o świeżej twarzy, niosący w ramionach drobnego starca w jedwabnym szlafroku.

Król... Anne zabrakło tchu. Był różowy, pomarszczony i jak gdyby zasuszony. Długie, białe kosmyki opadały mu na ramiona. Zapadnięte oczy powlekała mleczna emalia. Całkowicie ślepy, mówił Jack.

Anne dygnęła, składając niski, oficjalny ukłon. Pani Cashman, widząc to, wstała z krzesła i nieudolnie starała się naśladować ten ukłon. Człowiek, który poprzedzał wejście króla, uśmiechnął się na ten widok.

- Wasza Królewska Mość. - Korpulentny łysy mężczyzna, który dotychczas siedział spokojnie, obserwując Jamisona, Jacka i Anne, dź

- Doprawdy? Do kogo napisałem ten zagubiony list?
- Do pani Mary Cashman, sir.
Twarz króla pokryły zmarszczki. Brwi zbiegły się, nadając jej groźny wyraz. Anne poczuła, że Jack wstrzymał oddech... gdy wtem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ten dziwny wyraz zniknął. Spokój wypełnił starczą, pokrytą linią zmarszczek twarz.
- Matka marynarza.
- Tak jest, Wasza Królewska Mość - przyświadczył skwapliwie Knowles. - Odzyskaliśmy ten list.
- To dobrze - rzekł król. Westchnął i postukał ostro palcem w pierś młodego osiłka piastującego go w objęciach jak matka niemowlę. - Kolonie trzeba wziąć pod obcas. Dopilnuj, żeby Pitt odwiedził nas dziś wieczór. Nie możemy ich stracić, słyszysz? Wyśmiano by nas na wszystkich dworach Europy. Nie będziemy...
- Pani Cashman nie umie czytać, sir! - wykrzyknął Knowles.
Usta króla przybrały wyraz stanowczości.
- Nie umie czytać? Dobrze, w takim razie przeczytaj jej list na głos, człowieku!
- Tak jest, sir. - Knowles wydostał z kieszeni ten sam welinowy arkusz, który ukradła Anne. Otworzył go i podszedł do wątłej Mary Cashman, wciąż drżącej pod ścianą w pozycji przypominającej dyg.
- Pani Cashman?
- Tak - odpowiedziała ledwie dosłyszalnie.
- W porządku - rzekł Knowles i posłał jej lekki, zachęcający uśmiech. - Jego Królewska Mość Jerzy III, król Anglii, pisze:

Pani,
My również straciliśmy Nasze ukochane dzieci. Żałujemy, że Nasz Syn i Następca nie dopełnił w Naszym imieniu Swego monarszego obowiązku i dopuścił do tak poważnego uchybienia sprawiedliwości. Przyjmij, pani, Nasze kondolencje i pamiętaj, że twój Król docenia twoją ofiarę.

J.

- To cały list, pani Cashman. Jest pani. Może go pani zabrać, jeśli ma pani ochotę.
- Nie może pan... - Jamison postąpił naprzód.
Jack położył mu rękę na ramieniu.
- Mądrzej pan postąpi, zachowując spokój - szepnął. - Znacznie mądrzej.
Jamison strząsnął jego rękę i utkwił w nim otwarcie wrogie spojrzenie. Ale wciąż jednak milczał.
- Cóż, pani Cashman - podjął Knowles - jak zatem będzie?
Jedna łza spłynęła z oka starej kobiety. Wyprostowała się trochę, dość, by można było zauważyć, że słowa Jego Wysokości przywróciły tej najlichszej z jego poddanych wewnętrzną godność. I w tym momencie Anne kochała swego ślepego,

szalonego, zgrzybiałego monarchę. Oddałaby za niego życie.

- Bardzo uprzejmie dziękuję, sir, ale nie ma potrzeby, żebym zabierała list - odparła spokojnie Mary Cashman. - I tak nikt nie uwierzy, że to się zdarzyło naprawdę, i będą go wyśmiewać jako fałszywy. Nie chcę, żeby ktokolwiek wyśmiewał ten dzień i tę chwilę. Zachowam go tu - pani Cashman położyła sękatą dłoń na sercu - i zabiorę ze sobą do grobu. Niech Bóg błogosławi Waszą Królewską Mość.

Knowles wpatrywał się w kobietę i miękka, ciastowata twarz mieniła się niedającymi się określić uczuciami.

- Wasza Królewska Mość, pani Cashman życzy, żeby Bóg błogosławił Waszą Królewską Mość!

Król skinął głową, przyjmując błogosławieństwo jako należne i zasłużone, i pociągnął swojego nosiciela za rękaw.

- Królowa nie lubi, kiedy każe się jej zbyt długo czekać, Bob.

- Tak jest, Wasza Królewska Mość. - Młody osiłek odwrócił się i ostrożnie niosąc swego kruchego króla w ramionach, tylnymi drzwiami opuścił salę. Drugi sługa udał się za nimi.

- Pani Cashman, obecny tu Burke - Knowles wskazał głową pięknego młodzieńca u swego boku - odprowadzi panią do domu. Jak rozumiem, jest jeszcze kwestia doręczenia pani rekompensaty pieniężnej. Burke się tym zajmie.

Młodzian nazwany Burke'em zgiął się w ukłonie przed panią Cashman i podał jej ramię.

- Służę, pani Cashman - powiedział, szczerząc w uśmiechu zęby. Mary Cashman zamrugała oszołomiona jego wspaniałą prezencją. - Natychmiast dostarczymy panią do domu.

Anne była pewna, że pani Cashman poszłaby za nim do Hiszpanii, gdyby tylko jej to zaproponował. Opuściła pokój dość szybko... Jamison odczekał parę sekund, po czym przemaszerował obok nich sztywnym krokiem. Gdy Jamison przestępował próg, Knowles wstrzymał oddech. W końcu odetchnął głęboko.

- Miło mi panią poznać, pani Seward - powiedział. Nie wiedziała, jakie zajmuje stanowisko, ale wiedziała, że pomógł Jackowi, i to było dla niej najważniejsze, dygnęła więc z szacunkiem. Uśmiechnął się. - Widzę, Jack, że pańska małżonka ma równie dobre maniery, jak pan. Proszę tylko pomyśleć, jakie będą wasze dzieci... - Uśmiech trwał na jego twarzy, a ton nie uległ zmianie, gdy mówił dalej: - Jamison będzie przypuszczał, że zamierza pan doprowadzić do jego... eliminacji. Będzie starał się ją uprzedzić.

- Jestem pewien, że tak - odparł spokojnie Jack. - Ale nie będę do tego dążył, sir. Chyba że... - Oczy Jacka na ułamek sekundy spoczęły na Anne.

- Tak, rozumiem - Knowles skinął głową. - Też nie sądziłem, że pan tak postąpi, biorąc pod uwagę, że jest pańskim ojcem i w ogóle... Chociaż nie byłoby to dla

mnie wielką niespodzianką.

Nie byłoby dla niego niespodzianką, gdyby Jack chciał zabić człowieka będącego niemal jego ojcem? - pomyślała Anne z przerażeniem. Czy nikt nie wie, jaki jest Jack?

Knowles zatrzymał się przy drzwiach. Wyjrzał do hallu, po czym zadowolony, że nie ma tam nikogo, odwrócił głowę.

- Aby wykluczyć jakiekolwiek przyszłe nieprzyjemności, rozważę możliwość pańskiej relokacji, Jack. Naprawdę.

I wyszedł.

Epilog

Tego wieczoru wcześnie podniosła się mgła i szybko wznosiła się w górę. Kłębiła się nad ziemią, pełzła po ścianach domów, spowijając wszystko jak miękki, gruby plusz. Anne i Jack stali na balkonie rezydencji Stranda i patrzyli, jak tuman pochłania świat. Byli sami. Strand stwierdził, że woli swój klub, i oddał im do dyspozycji cały dom.

Jack otoczył Anne ramionami. Mgła lśniła wilgocią na jej rozpuszczonych włosach i policzkach. Wzeszedł księżyc i jego światło odnalazło głębię jej oczu, w której chciał się zatapiać przez resztę życia.

- A co z Domem? - spytała niespokojnie. - Jesteś pewien, że Julia Knapp będzie mogła go nadzorować?

- Tak - odparł, muskając wargami jej skroń. - Papiery, które podpisałaś, dają jej prawo kontrolowania administracji.

Anne skinęła głową. Mgła dotarła już na balkon. Ocierała się o jej kolana jak wielki, biały kot.

- Naprawdę możesz to zrobić? - szepnęła. Położyła dłoń na jego piersi. Z czułością przykrył ją własną i pochylił głowę, by ucałować leciutko koniuszki jej palców. - Naprawdę możesz sprawić, że ktoś po prostu zniknie?

Uśmiechnął się.

- Anne, jestem doskonałym szpiegiem. Tym właśnie się zajmuję. - Spoważniał. - I robię to doskonale. Ale kiedy znikniemy, znikniemy na dobre. Zostawiamy za sobą wszystko: majątek, przyjaciół, rodzinę, pozycję.

- A kotka? Czy możemy zabrać ze sobą szarą kotkę? - spytała z troską w głosie.

- I nic więcej - odparł z powagą. - Tylko w ten sposób może się to udać.

- Wiem. - Westchnęła głęboko. Obłoczek pary z jej ust zmieszał się z mglistym całunem spowijającym powoli jej ramiona, pieszczącym szyję i wplątującym się we włosy.

Uniósł jej podbródek, by lepiej widzieć twarz. Piękna Anne. Jego złodziejka. Jego żona.

Ciaśniej oplótł ją ramionami.

- Spójrz na to wszystko po raz ostatni, Anne. Pożegnaj wszystko, co było ci

drogie.

Ona jednak spojrzała na niego, gdyż tylko w nim dostrzegała wszystko, co było jej drogie. Patrzyła na niego długo, z ufnością. Przepełniona słodyczą pewności, że kocha i jest kochana, nie zauważyła, kiedy mgła spowiła ich do końca.

A kiedy zbłąkany powiew rozwiał całun mgły, już ich nie było.

Od autorki

John Cashman to postać realna. Torturowano go, uznano za winnego zdrady stanu i stracono w okolicznościach podobnych do tych, jakie opisałam w książce. Nowe badania wykazały, że prawdopodobnie król Jerzy III cierpiał na chorobę zwaną porfirią, której towarzyszą, między innymi, halucynacje i psychoza. Symptomy te jednak nie muszą utrzymywać się nieprzerwanie.

Antypatia między królem Jerzym III a jego synem, księciem regentem, jest dobrze udokumentowana historycznie. Ukazując niedołężnego, pozbawionego władzy, szalonego monarchę w momencie, gdy ulega odruchowi czystego miłosierdzia, zagrałam w odwieczną autorską grę „co by było, gdyby". Mam nadzieję, że rezultat okazał się zajmujący.